

3/
2011

CENA 15 ZŁ
(W TYM 5% VAT)

NOWY OBYWATEL



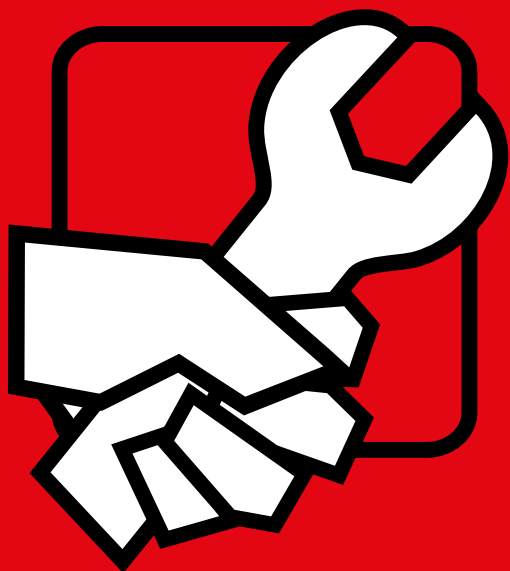
Europa 5,5 EUR
USA 7 USD
ISSN 2082-7644
INDEX 361569



9 772082 764118 >

Chcemy być sobą!

wreszcie



KLUB OBYWATELA

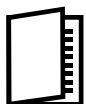
www.nowyobywatel.pl/klub

okazja!

ZAPŁAĆ WIĘCEJ

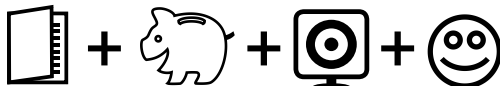
ale tak, by miało to sens

opcja 1
4x15 PLN
salon prasowy



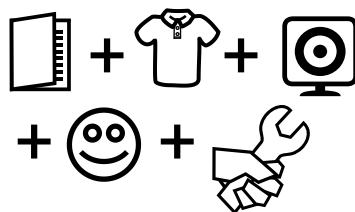
Zysk:
„Nowy Obywatel”
na cały rok

opcja 2
50 PLN
prenumerata



Zysk:
„Nowy Obywatel” na cały rok
+ oszczędność + e-Obywatel + wygoda

opcja 3
120 PLN
klub obywatela



Zysk:
„Nowy Obywatel” na cały rok
+ unikatowa koszulka + e-Obywatel
+ wygoda + status współwydawcy

Obywatele gorszego świata



Fot. Katarzyna Reszka

Gdy ktoś sam się nie szanuje, inni również nie będą go szanowali – głosi ludowe porzekadło. Czyż nie tak dzieje się ze współczesną Polską? Czy szanujemy siebie, w efekcie dając innym podstawy ku temu, żeby i oni nas szanowali? Wątpliwe.

Jeśli naśladujemy innych, to nie w tym, w czym byłoby warto. Kopiujemy wzorce najgorsze, negatywnie zweryfikowane, fascynujemy się błyskotkami, nie rzadko wcale nie tanimi w ostatecznym rozrachunku, nawet jeśli wciskano je w ramach promocji i wyprzedaży. Jeśli natomiast postanawiamy być samodzielni, to koniecznie w myśl zasady „na złość babci odmroziemy sobie uszy”. Nie wzorujemy się na rozwiązaniach mądrych i efektywnych, lecz – jak śpiewali rockmani – „chcemy być sobą wreszcie”, nawet gdy oznacza to drogę wprost ku przepaści.

Sporą część niniejszego numeru zajmują teksty wskazujące takie właśnie prawidłowości w polskim życiu zbiorowym. Maciej Pańków analizuje badania, które mówią, że Polacy znajdują się w europejskiej czołówce osób najdłużej pracujących i zarazem najbardziej spolegliwych wobec oczekiwań pracodawców. Oczywiście jednocześnie także w czołówce kiepsko opłacanych, ale to wiemy z autopsji, bez potrzeby śledzenia badań socjologicznych.

Z kolei Konrad Malec, opisując złowieszczy fenomen tzw. zamkniętych osiedli, daje do zrozumienia, że wcale nie doganiamy Europy, bo w tym absurdzie już dawno ją przegoniliśmy. Naszym wzorcem wydaje się Ameryka – i to raczej Łacińska, niż Kanada. Janina Petelczyc wykazuje natomiast, iż popularne w Polsce liberalno-populistyczne wezwania do likwidacji KRUS nijak mają się do tego, jak problem ubezpieczenia społecznego rolników rozwiązały kraje dbające o swoich obywateli. Podobne wnioski płyną z rozważań Rafała Bakalarczyka o rodzimym modelu profilaktyki zdrowotnej, czy może raczej – o jej braku.

Jeszcze gorzej wypada obraz naszego państwa w świetle artykułu Aleksandry Lis, poświęconego unijnej polityce energetycznej i polskiej roli w jej kształtowaniu. Z tekstu wyłania się smutna prawda, iż jesteśmy pionkiem przedstawianym przez innych i w interesie innych. W dodatku bez sprzeciwów przyjmujemy taką rolę, choć istnieją rozmaite alternatywy – część z nich wspomina nasz rozmówca, Wacław Czerkawski, w wywiadzie obnażającym mity antywęgłowe. Joanna Szalacha natomiast zadaje w tekście o patriotyzmie gospodarczym wymowne pytanie: *Czy społeczeństwo polskie zasługuje na takie samo emocjonalne i konsumenckie wsparcie, jak kraje Trzeciego Świata i misie panda?*

To oczywiście nie wszystko. Jak wiele razy podkreślaliśmy, czarnowidztwo jest najgorszym doradcą. Pokazujemy zatem, że może być inaczej – czy to w postaci lepszych rozwiązań zagranicznych, czy w formie alternatywnych wizji, czy analizując rodzime pozytywne trendy, czy odwołując się w dziale „Nasze tradycje” do bardzo dobrych polskich wzorców i dokonań sprzed lat.

Ponieważ zaś wkraczamy w okres kampanii wyborczej, nie zabrakło tym razem również bardziej doraźnego wątku. Mówi o nim ankieta dotycząca „Polski Solidarnej” – czy mamy na nią szansę, a jeśli tak, to jak można odmienić nasz kraj na lepsze. Pewne jest jedno: kto zgadza się na gorsze traktowanie, będzie traktowany właśnie w ten sposób. Kto nie szanuje siebie, tego nikt nie uszanuje.

REMIGIUSZ OKRASKA

6 System niepewności

WYWIAD

rozmowa z dr. hab. Kazimierzem W. Frieske

ANKIETA „NOWEGO OBYWATELA”

13 Polska (nie)solidarna - ankieta „Nowego Obywatela”

14 Zaczniemy od żółtej kartki

dr hab. Ryszard Bugaj

Pis hasła Solidarnej Polski nigdy nie skonkretyzował, a w polityce jego rządu trudno było dostrzec działania z tym hasłem współbrzmiające. Już łatwiej wskazać działania bliskie idei... Liberalnej Polski: spłaszczenie podatków czy likwidację podatku spadkowego. Sądę, że ta formacja ma ograniczoną zdolność do oceny alternatyw w sferze społeczno-gospodarczej.

16 Sprawiedliwość społeczna zamiast solidaryzmu

Piotr Ikonowicz

20 Polska Solidarna - Polska Liberalna

Joanna Duda-Gwiazda

Pis postawiło tamę prywatyzacji majątku należącego do służby zdrowia. Uwiedziona przez agenta, Beata zalewała się łzami na oczach milionów widzów, ponieważ nie mogła „kręcić łodzi przy prywatyzacji szpitali”. Próba zmierzenia się z mafią węglową skończyła się postawieniem Pis pod pręgierzem za samobójstwo Barbary Blidy.

24 Lewica post-neoliberalna

Ewa Charkiewicz

Państwo jest zarządzane jak firma: najważniejszy dokument polityczny stanowi sprawozdanie finansowe, a sfera społeczna to pasywa, które trzeba minimalizować. Mamy więc do czynienia z kryzysem polityki. Dyskurs o Polsce Solidarnej ma zatem formę bez treści w postaci konkretnego politycznego „oprządkowania”, takiego jak krytyka poszczególnych polityk i projekty alternatywnych rozwiązań.

6

Państwo zawodzi jako stabilizator życia społecznego. Ba, samo produkuje niepewność. Przykładem jest system emerytalny, deregulacja rynku pracy czy to, co stało się w szeroko rozumianym systemie edukacyjnym. To powoduje nie ryzyko, ale niepewność, co ma dalszą konsekwencję. W nieprzewidywalnym świecie, w którym nic nie jest pewne, człowiek nie potrafi racjonalnie kalkulować i podejmować racjonalnych decyzji. Państwo nie spełnia zatem swej podstawowej funkcji: stabilizowania społecznej rzeczywistości wokół nas.

13

Choć nasza redakcja zawsze była krytyczna wobec wizji „Polski liberalnej”, bardzo wiele do życzenia pozostawiał w naszej opinii także obóz „Polski solidarnej”. Przewidując, że wyborczy spór „liberalnej” z „solidarną” powróci również w roku 2011, poprosiliśmy kilka osób o opinię na ten temat.



16

Obsesyjne skupianie się na „walce z układem” było największą słabością intelektualną tej konstrukcji. Kaczyńscy umieli dostrzec niesprawiedliwość, ale nie potrafili jej przypisać systemowi. Stąd teorie spiskowe i paranoiczne tropienie agentów, mimo że winni sytuacji społecznej byli bardzo blisko, np. wśród sponsorów ich kampanii wyborczych.

28 Pracownicy gorszej Europy

Maciej Pańków

Pracownicy w nowych krajach członkowskich UE pracują w skali roku dłużej, w wyższym tygodniowym wymiarze czasu pracy oraz posiadając skromniejsze prawa do płatnych urlopów. Dzieje się tak, mimo iż w skali gospodarek narodowych statystycznie przysparzają oni pracodawcom mniej strat roboczo-godzin z tytułu akcji protestacyjnych w porównaniu ze swoimi kolegami z „piętnastki”.

34 A mury rosną

Konrad Malec

Polska na tle większości państw europejskich zdecydowanie wyróżnia się liczbą zamkniętych osiedli. Z kolei na tle naszego kraju szczególną pozycję zajmuje Warszawa, gdzie już cztery lata temu było ich ponad 400. Dla porównania, w Berlinie jest tylko jeden taki obiekt, a w Paryżu - trzy.

40 Profity z profilaktyki

Rafał Bakalarczyk

Ograniczona obecność działań profilaktycznych w polskiej polityce zdrowotnej nie jest przypadkowa. Wyraża ona głębsze deficyty naszego systemu społecznego. Pojawia się pytanie, czy to, jak żyjemy, zależy tylko od nas samych? W neoliberalnej doktrynie uważa się, że zasadniczo - tak. Zatem każdy musi dbać o zdrowie i ponosić odpowiedzialność za swoje decyzje. Toteż państwowe działania na rzecz zmiany zachowań zdrowotnych są niepotrzebne.

46 Dbajmy o siebie, czyli patriotyzm konsumencki (część I)

dr Joanna Szalacha

Postawmy sobie pytanie: czy społeczeństwo polskie zasługuje na takie samo emocjonalne i konsumenckie wsparcie, jak kraje Trzeciego Świata i misie panda? Czy jesteśmy tego warci? Zadbajmy o siebie.

52 Dokąd zmierzasz, biblioteko?

Anna Sobótka, Krzysztof Wołodźko

Podczas gdy za międzynarodową normę zakupów nowości książkowych do bibliotek uznaje się 30 woluminów na 100 mieszkańców rocznie, w Polsce do 2004 r. współczynnik ten wynosił nieco ponad... 5 woluminów.

58 Udział na niby

Krzysztof Okrański, Agnieszka Wasilewska

Prawo gwarantuje społeczeństwu udział w decyzjach dotyczących środowiska naturalnego. Niestety, głównie w teorii.

65 Rosja bez mitów - wczoraj i dziś

rozmowa z dr. hab. Mikołajem Iwanowem

Za czasów Jelcyna mieliśmy co prawda więcej demokracji, ale niestety wielkim kosztem. Znakomita większość Rosjan wspomina ten okres jako czas chaosu, zaś na rosyjskiej ulicy „demokrata” nadal jest epitetem negatywnym.

GOSPODARKA SPOŁECZNA

72 Czarne złoto czy czarne błoto?

rozmowa z Wacławem Czerkawskim

Wbrew obiegowej opinii, że do górników wszyscy dopłacają, górnictwo od lat generuje zyski. Rok w rok odprowadza do Skarbu Państwa 7-8 mld zł w postaci różnego rodzaju danin i podatków. W Polsce, o czym nie wszyscy wiedzą, aż 95% energii powstaje z węgla, dlatego nie musimy się obawiać, że jej zabraknie - mamy własną. 29 kopalń zatrudnia bezpośrednio prawie 115 tys. górników, a każde miejsce pracy w górnictwie generuje średnio 3-4 kolejne w jego zapleczu.

78 Robią to inaczej

Konrad Malec

Związek zawodowy to strajk, zadyma, zablokowany ruch w Warszawie. Takie skojarzenia nie obejmują jednak coraz bardziej istotnych - i skutecznych - form działalności związkowej.

85 Spółdzielnia pracy nad tekstem

Jordan Cibura

Chcieliśmy być niezależni od wszelkich nacisków z zewnątrz, przede wszystkim ze strony sponsorów i reklamodawców oraz polityków; zarządzać swoim miejscem pracy zupełnie samodzielnie. Wszyscy na równych prawach - bez względu na to, czy ktoś pracuje jako redaktor, w dziale sprzedaży czy przy druku gazety.



PROJEKT OKŁADKI
© Ewa Starzyk / kooperatywa.org

ZESPÓŁ REDAKCYJNY

Konrad Malec, Remigiusz Okraska (redaktor naczelny),
Michał Sobczyk, Szymon Surmacz

KWARTALNIK „NOWY OBYWATEL”

ul. Więckowskiego 33/127, 90-734 Łódź

tel./faks 42 630 22 18

propozycje tekstów: redakcja@nowyobywatel.pl

reklama, kolportaż: biuro@nowyobywatel.pl

opracowanie graficzne: kooperatywa.org

nowyobywatel.pl

ISSN 2082-7644

NAKŁAD 1500 szt.

WYDAWCA

Stowarzyszenie „Obywatela Obywatelom”

ul. Więckowskiego 33/126, 90-734 Łódź

STALI WSPÓŁPRACOWNICY

Rafał Bakalarczyk, Marcin Domagała, Joanna Duda-Gwiazda,
Bartłomiej Grubich, Maciej Krzysztofczyk, dr hab. Rafał Łętocha,
dr hab. Sebastian Maćkowski, dr Arkadiusz Peisert,
dr Jarosław Tomaszewicz, Karol Trammer, Bartosz Wieczorek,
Krzysztof Wołodźko, dr Andrzej Zybala, dr Jacek Zychowicz

RADA HONOROWA

Jadwiga Chmielowska, prof. Mieczysław Choraży,
Piotr Ciompa, prof. Leszek Gilejko, Andrzej Gwiazda,
dr Zbigniew Hałat, Grzegorz Ilka, Bogusław Kaczmarek,
Marek Kryda, Jan Kozia, Bernard Margueritte, Mariusz Muskat,
dr hab. Włodzimierz Pańków, dr Adam Piechowski,
Zofia Romaszewska, dr Zbigniew Romaszewski,
dr Adam Sandauer, dr hab. Paweł Soroka, prof. Jacek Tittenbrun,
Krzysztof Wyszkowski, Marian Zagórny, Jerzy Zalewski

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania, zmian
stylistycznych i opatrywania nowymi tytułami materiałów
nadesłanych do druku. Materiałów niezamówionych nie
zwracamy. Nie wszystkie publikowane teksty odzwierciedlają
poglądy redakcji i stałych współpracowników. Przedruk
materiałów z „Nowego Obywatela” dozwolony wyłącznie po
uzyskaniu pisemnej zgody redakcji, a także pod warunkiem
umieszczenia pod danym artykułem informacji, że jest on
przedrukiem z kwartalnika „Nowy Obywatel” (z podaniem
konkretnego numeru pisma), zamieszczenia adresu naszej
strony internetowej (nowyobywatel.pl) oraz przesłania na
adres redakcji 2 egz. gazety z przedrukowanym tekstem.

SPRZEDAŻ

W całej Polsce „Nowego Obywatela” można kupić w sieciach
salonów prasowych Empik, Ruch, Inmedio, Relay.

Wybrane teksty z „Nowego Obywatela” są dostępne
na stronach OnetKiosku (kiosk.onet.pl)

89 Nie trzeba bać się KRUS

Janina Petelczyc

Przyglądając się rozwiązaniom z innych państw, można wyciągnąć kilka wniosków dotyczących Polski. We wszystkich analizowanych krajach stworzono odrębne systemy zabezpieczenia emerytalnego rolników. Jest to decyzja słuszną - istnienie jakiejś formy oddzielnego systemu dla tej grupy uzasadniają specyficzne uwarunkowania zawodowe. Dochody rolników są niepewne i zależą od wielu czynników, nie tylko rynkowych, ale także np. od pogody. W przypadku likwidacji KRUS wielu rolników trzeba by skierować do systemu opieki społecznej, ponieważ nie będą w stanie sami zaspokoić podstawowych potrzeb.

96 OFERTA

dr Jarosław Tomaszewicz

System emerytalny powinien z jednej strony zapewnić możliwość godnej egzystencji emerytom. Z drugiej jednak - sprzyjać polityce pronatalistycznej, bez której niemożliwe jest odbudowanie państwa opiekuńczego.

97 CCS - Chyba Coś Super?

Aleksandra Lis

Dlaczego tak niewiele mówi się o tym projekcie? Może dlatego, że rząd nie ma ochoty powiedzieć obywatelom, że w Brukseli ustala się technologiczną przyszłość Europy bez naszego udziału. Sami nie potrafimy przekonywać Europy do technologii, które od lat są w Polsce rozwijane.

102 Gospodarcze jest polityczne

dr Bartosz Pielniński

Czy można znaleźć alternatywę pomiędzy samoregulującym się rynkiem, a wszechobecnym państwem? W moim przekonaniu - tak, i stanowi ją demokratyzacja gospodarki.

107 Z miłości do ziemi

Wendell Berry

Byliśmy przyzwyczajani, że rozwiązania stosowane w uprawie ziemi są determinowane przez procesy przemysłowe, a „opłacalność rolnictwa” ocenia się z perspektywy korporacji. Nadeszła najwyższa pora, by zerwać z takim myśleniem: społeczne, ekologiczne, a nawet ekonomiczne koszty tego paradygmatu stały się zbyt wysokie i nieustannie rosną na całym świecie.

113 **Demokracja i jej wrogowie***dr Jarosław Tomasiewicz*

Demokracja została zredefiniowana: to już nie władza większości, szanująca prawa mniejszości, lecz prymat interesów mniejszości nad większością. Atomizacja społeczeństwa sprzyja nielicznym, ale głośnym i dobrze zorganizowanym lobbies. Ich działalność sprawia, że niejednokrotnie współczesna demokracja okazuje się zaprzeczeniem demokracji klasycznej.

NASZE TRADYCJE117 **Polityka społeczna w początkach niepodległości***Melania Bornstein-Łychowska*

Warunki, w których nastąpiło wskrzeszenie Państwa Polskiego, przesądziły kierunek jego polityki wewnętrznej w duchu najbardziej demokratycznym i współczesnym.

125 **Drogi rozwoju polskiego ustawodawstwa pracy***Władysław Landau*

Wyzwoliliśmy się w latach ostatnich z narzuconej przez pewne sfery opinii, że w dziedzinie polityki społecznej już wszystko zostało dokonane, że nawet zrobiono za dużo i że należy się już... cofnąć wstecz. W interesie państwa, wzmocnienia jego wewnętrznej siły i zwartości - leży gospodarcze dźwignięcie warstw pracujących i uczynienie z nich aktywnych czynników procesu wytwórczego.

130 **Organizacja służby bezpieczeństwa w fabryce „Ursus” Państwowych Zakładów Inżynierii***R. Siennicki*

Zwrotnym momentem w tej dziedzinie było utrwalenie się przekonania, że w akcji bezpieczeństwa pracy odgrywają rolę nie tylko względy finansowe poszczególnych fabryk i przemysłowców, lecz także, i to przede wszystkim, względy natury humanitarnej, społecznej i ogólnogospodarczej.

Z POLSKI RODEM133 **Za szczęście wasze i nasze, czyli polska teologia wyzwolenia***Remigiusz Ochraska*

Wyartykułował program ideowo-polityczny, łączący chrześcijaństwo z socjalizmem i romantycznym patriotyzmem. Istniejący porządek jest do głębi sprzeczny z ideałami chrześcijańskimi. Zatem Kościół ma moralny obowiązek wspierania ludu, ponieważ jego bunt i dążenia są słuszne.

143 **O nową wieś. Koncepcje agrarne Władysława Grabskiego***dr hab. Rafał Łętocha*

Największy potencjał kraju tkwi właśnie w społecznościach wiejskich. Należy go jednak rozbudzić, który to proces wiązał z profesjonalizacją pracy rolniczej oraz aktywności instytucji i organizacji wiejskich, z wykształceniem fachowych wiejskich działaczy społecznych. Podkreślał, iż konieczna jest zmiana mentalności, wyrobienie swoistej samoświadomości na wsi polskiej i zrozumienie zadań, które przed nią stoją.

149 **Trud socjalizmu, trud polskości**

RECENZJA

Krzysztof Wołodźko

Życie polskiego lewicowca, bohatera swoich czasów oraz jednej z ich ofiar, w pełni ukazuje, co znaczył trud socjalizmu i trud polskości wtedy, gdy za taką podwójną wierność trzeba było płacić najwyższą cenę.

153 **Co z tym handlem?**

RECENZJA

Natalia Królikowska

Przyczyny i skutki oszałamiającego sukcesu sieci handlowej Wal-Mart wiele mówią o całym współczesnym systemie gospodarczym.

NIC ŚMIESZNEGO© PIOTR ŚWIDEREK
BARDZOFAJNY.NETCO SIĘ STAŁO, TO
SIĘ NIE ODSTANIE

JEST JAK JEST

CO MA BYĆ,
TO BĘDZIE

System niepewności

z dr. hab. Kazimierzem W. Frieske
rozmawia Michał Sobczyk

- **Do jakiego stopnia instytucje państwa są w stanie rozwiązywać problemy społeczne?**
- **Kazimierz W. Frieske:** James Scott w książce „Seeing Like a State” mówi, że przechodzimy przez okres kryzysu państwa opiekuńczego. To częsta opinia, jednak Scott rozumie ów kryzys w dość szczególny sposób, który wydaje mi się ciekawy i ściśle związany z pytaniem. Jego zdaniem, państwo opiekuńcze stanowi konsekwencję myślenia wywodzącego się z czasów Oświecenia, w które wbudowane jest przeświadczenie, że potrafimy kontrolować własną historię. Według frazy Comte’a: „wiedzieć, żeby przewidywać, przewidywać, żeby działać”. Otóż Scott powiada, że coraz częściej przekonujemy się, że państwo nie jest w stanie kontrolować tego, co się wydarzy.

Ten problem przejawia się w rozmaitych postaciach. Przykładowo, państwo nie potrafi zapanować nad dynamiką przestępczości. Nie daje sobie też rady, co było ostatnio widać, z kontrolowaniem dynamiki cyklu gospodarczego. Wreszcie, nie radzi sobie z bezrobociem i generalnie rzecz biorąc z polityką społeczną.

Wydaje mi się zatem, że państwo nie panuje nad realiami, dlatego w niewielkim stopniu może w sposób trwały rozwiązywać rozmaite problemy społeczne. Co więcej, jeśli posłuchać pomysłów, o których mówi się w Polsce, można się tylko złapać za głowę. Jak można zgłaszać postulat wydłużenia okresu aktywności zawodowej, jeżeli bezrobocie wśród młodzieży sięga 40%? Mam oczywiście świadomość, że to są w dużej mierze odmienne miejsca pracy, ale tak czy owak posunięcie to wydaje się zupełnie pozbawione sensu. Jest

pewnym argumentem, że ludzie żyją dłużej, jednak z drugiej strony jeżeli popatrzeć na liczony przez Eurostat, mało znany w Polsce wskaźnik, jakim jest przeciętna długość trwania życia w dobrym zdrowiu, to okaże się, że w Polsce jego wysokość spada, i to dość dynamicznie. Znakomita większość 60-latków kwęka i wystarczy pójść do lekarza, a dostanie się zwolnienie - i lekarz nas nie oszuka, bo na pewno coś nam dolega. Wpychamy seniorów na rynek pracy, a potem musimy im wypłacać zasiłki chorobowe. Nie chce się tego dostrzec, bo akurat modne jest wydłużanie okresu aktywności zawodowej. To zresztą kwestia nie tylko mody, ale i usilnego dążenia do zwiększenia segmentu populacji, który można obciążyć podatkiem dochodowym.

Generalnie biorąc, możemy powiedzieć, że państwo zawodzi jako stabilizator życia społecznego. Ba, państwo - tak jak ono funkcjonuje obecnie, organizując swoją aktywność w duchu neoliberalnej ideologii gospodarczej - samo produkuje niepewność. Przykładem jest system emerytalny, deregulacja rynku pracy czy to, co stało się w szeroko rozumianym systemie edukacyjnym. To powoduje nie ryzyko, ale niepewność, co ma dalszą konsekwencję. Mianowicie, jeśli państwo produkuje niepewność, to produkuje również irracjonalność. W nieprzewidywalnym świecie, w którym nic nie jest pewne, człowiek nie potrafi racjonalnie kalkulować i podejmować racjonalnych decyzji. Państwo nie spełnia zatem swej podstawowej funkcji: stabilizowania społecznej rzeczywistości wokół nas.

- **Jakie są z tego wszystkiego wnioski praktyczne? Takie, że dotąd stawialiśmy przed państwem zbyt ambitne zadania?**

- To nie są ambitne zadania, bo państwo do czasu dawało sobie z nimi radę. Ten świat także wcześniej przechodził gwałtowne turbulencje.

Nie, żebym do tego tęsknił, ale świat przed stu laty był bardziej stabilny. Wyobraźmy sobie, że staje Pan na ślubnym kobiercu. Statystyka mówi, że już wtedy powinien się Pan rozglądać wśród druzhen, gdyż według niej za 3 lata wymieni Pan oblubienicę na nowszy model. W interakcje społeczne wbudowana jest niepewność: nie „jesteś moja aż do śmierci”, tylko „według statystyk, jesteś moja na troszkę”. To tylko przykład, podobna nieprzewidywalność towarzyszy także innym aspektom życia społecznego.

- **Czy są jakieś inne struktury, wspólnoty czy sieci redystrybucji, które w tych niepewnych czasach mogą skutecznie wypełniać luki stworzone przez niedomagające państwo?**

- Polacy, co pokazują wszystkie badania, są familiocentryczni. Rozszerzona rodzina, zbudowana nie tylko na więzach krwi, ale także na powinowactwie itd., jest dla nas podstawową strukturą, w której działa mechanizm wzajemności. Od lat powtarzam, że wbrew pozorom jest on bardziej efektywnym regulatorem życia zbiorowego niż formalny system prawny. Ten ostatni jest nieefektywny w kontrolowaniu ludzkich zachowań, wobec tego umożliwia mniejszą przewidywalność niż zasada wzajemności.

Zasada ta działa lepiej, gdy ludzie sprężgnięci są silnymi więziami społecznymi. Obserwowana obecnie indywidualizacja jest kłopotem, który sami sobie stworzyliśmy. Istnieje cała literatura, która pokazuje bolesne paradoksy i pęknięcia indywidualizmu. Proszę zwrócić uwagę, że według badań socjologów, jeżeli połączyć indywidualizm z wartościami materialistycznymi, ludzkie wybory przesuwają się z czasem w stronę wartości postmaterialistycznych. Znowu zaczynamy sobie cenić wspólnotę, ciepłe kontakty z innymi.

- **Postulat państwa-minimum dowiódł swojej słuszności? Konserwatywno-liberalna diagnoza opiera się właśnie na stwierdzeniu, że państwo nie jest w stanie spełniać pokładanych w nim nadziei, a z drugiej strony na dowartościowaniu dobrowolności oraz więzów rodzinnych.**

- Myślę, że państwo powinno być nie jak najmniejsze, lecz, jak to się mówi, silne - to znaczy dawać społeczeństwu klarowne i efektywne systemy regulacji. Tylko w takim kontekście mogą się rozwijać „mocne” wspólnoty. Co więcej, w takim tylko kontekście mogą one ze sobą efektywnie kooperować. To jeden z podstawowych wniosków, do których doszliśmy wraz z Kingą Pawłowską, przeglądając literaturę poświęconą związkom tzw. kapitału społecznego z dynamiką rozwoju gospodarczego.

Napisałem kiedyś artykuł o niebezpiecznych konsekwencjach deregulacji rynku pracy. Teraz jestem skłonny rozszerzyć wnioski: niebezpieczne są wszelkie

deregulację, bo społeczeństwo – samo przez się – stanowi system regulacji. Nie do końca jest to sprzeczne z myśleniem, nazwijmy je, „rynkowym”, gdyż system rynkowy także jest systemem regulacji. Problemem jest to, jakimi technikami chcemy regulować życie społeczne. I tutaj zaczyna się interesujący spór. Są takie obszary życia zbiorowego, w których regulacja przy pomocy prawa, przymusu politycznego (państwa, najogólniej mówiąc) jest potrzebna bezpośrednio, takie, gdzie interwencja może być pośrednia, oraz takie, które tego rodzaju regulacji nie wymagają. Nie wyobrażam sobie, żeby za pomocą norm prawnych można było zbudować np. ład rodzinny. To nie będzie działało, bo tam więzi emocjonalne liczą się w takiej samej mierze, jak zobowiązania materialne członków.

- Czy w dzisiejszych czasach istnieje w ogóle sens i możliwość realizacji naprawdę dużych projektów społecznych?

- Nie jesteśmy w stanie kontrolować złożoności wielkiej zmiany społecznej, dlatego całościowa inżynieria społeczna jest, mówiąc najkrócej, „wynalazkiem szatana”.

Cały ubiegły wiek pokazuje, jakie nieszczęścia powodują wszelkie makroprojekty. Nieżyjący już prof. Jan Baszkiewicz zwykł mawiać, że największym nieszczęściem dla każdego rewolucjonisty jest dożyć owoców własnej rewolucji, bo są one gorzkie i najczęściej nie takie, jak sobie wyobrażał.

- Całościowymi projektami przebudowy społeczeństwa były nie tylko wielkie totalitaryzmy, ale także thatcherizm czy neoliberalizm.

- Nie wiem, czy neoliberalizm to projekt tego rodzaju – jest on za bardzo rozmyty wewnętrznie, niespójny, pełen paradoksów. Neoliberalizm stanowi raczej efekt myślenia wielu ludzi w podobny sposób, natomiast jako schemat zmian istniał co najwyżej w pracach ideologów, doktrynerów. Przy czym on też jest dość niebezpiecznym pomysłem. Paul Johnson, jak na mój gust zbyt konserwatywny eseista angielski, w jednej ze swych książek przestrzega, żebyśmy uważali na intelektualistów. Obmyślają oni projekty zmiany społecznej w dużej mierze po to, aby się nadąć i zaspokoić własne ego, ale z tego płyną same nieszczęścia. Myślę, że ma rację.

©© Shattered Infinity, flickr.com/photos/simplyshutterbug/5507357595/



Wszystko, co możemy zrobić, to – jak określał rzecz Karl Popper – cząstkowa inżynieria społeczna. Chodzi o próby na małą skalę, mające charakter bardzo ograniczonych eksperymentów społecznych. Przy czym musimy mieć pełną świadomość, że nawet jeśli się powiodą, zawsze będą się ugięły pod ciśnieniem szerszej struktury, nad którą na dłuższą metę nie panujemy. Jest w tym pewien ograniczony pesymizm, albo – jeśli ktoś woli – ograniczony optymizm: możemy na troszkę zrobić coś dobrego i to by było na tyle. Myślę, że większe dobro płynie z konkretnych działań, choćby tylko przeprowadzenia ślepca przez jezdnię, niż z zastanawiania się, jak uszczęśliwić ludzkość.

– Czy w ramach tej polityki „zmiany na miarę możliwości” widzi Pan zasadność przyjęcia jakiejś naczelnej czy porządkującej idei? W Unii Europejskiej próbuje się korzystać z pewnych słów-kluczy, mówi się np. o inkluzji społecznej czy społeczeństwie opartym na wiedzy.

– Nie znam ani nie umiem sobie wyobrazić w przestrzeni historycznej czy geograficznej żadnego społeczeństwa, w którym nie uruchomiłyby się jakieś procesy społecznego wykluczenia; być może w całkowicie totalitarnym społeczeństwie byłoby to możliwe, ale takiego przecież nie chcemy. Poza tym, społeczeństwo całkowicie kontrolowane przez państwo nigdy nie istniało, nawet obóz koncentracyjny miał nisze wyjęte spod swego wpływu.

Hasła takie, jakie te lansowane przez Unię, uznają za próbę robienia ludziom wody z mózgu, za aktywność wyłącznie PR-ową. I wszystko, co wiem, przekonuje mnie, że nie mają żadnego głębszego sensu. „Społeczeństwo oparte na wiedzy” – co to za bzdura? Coraz częściej przebija się na powierzchnię myślenia publicznego teza o nadmiernym wykształceniu społeczeństwa. Nie jest to myśl szczególnie nowa. Rosyjski pisarz, Erenburg, napisał w latach 20. książkę o życiu krawca z Homla, Lejzorka Rojtszwańca. Ten Lejzorek w pewnym momencie trafił do Palestyny – mówimy o okresie międzywojennym, gdy wyjeżdżali tam żydowscy osadnicy. Źle mu się tam wiodło. Pojawia się w książce taki dialog. Pracuje dwóch facetów na budowie i rozmawiają mniej więcej tak: – „Panie docencie, poproszę cegłę. – Proszę bardzo, panie profesorze – tu jest cegła, którą chciał pan otrzymać”.

To samo dzieje się współcześnie, gdy małolaty z licencjatem lub dyplomem magistra tego czy owego, siedzą na kasach w supermarketach. Co to za społeczeństwo oparte na wiedzy? Niech Pan popatrzy na dynamikę bezrobocia. Oczywiście, wskaźnik bezrobocia wśród ludzi z wyższym wykształceniem jest niższy niż w grupach o innym poziomie wykształcenia. Jeśli jednak prosperity gospodarcza rośnie, to bezrobocie wśród ludzi z wyższym wykształceniem spada wolniej, a gdy jesteśmy w dołku gospodarczym – rośnie szybciej w porównaniu z poziomem bezrobocia w innych segmentach wykształcenia. Więc tutaj tak naprawdę mamy problem z *overeducation*.



FRIE SKE

Kazimierz Wojciech Frieske (ur. 1945) – socjolog, prawnik, tłumacz literatury naukowej i popularnej, profesor Uniwersytetu Warszawskiego (kierownik Zakładu Problemów Społecznych i Planowania Społecznego), Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego, Uczelni Łazarskiego oraz Instytutu Pracy i Spraw Socjalnych PAN; wykładał i prowadził badania także na uniwersytetach angielskich i amerykańskich. Zastępca przewodniczącego Komitetu Socjologii PAN, redaktor naczelny miesięcznika „Polityka Społeczna”, członek Rady Polskiej Fundacji Upowszechniania Nauki. Jego zainteresowania badawcze koncentrują się wokół szeroko rozumianej socjologii problemów społecznych oraz socjologii prawa, a także tzw. socjologii stosowanej. Wybrane publikacje: „Pijaństwo. Interpretacje problemu społecznego” (1984), „Narkomania. Interpretacje problemu społecznego” (1987), „Socjologia w działaniu. Nadzieje i rozczarowania” (1990), „Opieka i kontrola. Instytucje wobec problemów społecznych” (1996), „Ofiary sukcesu. Zjawiska marginalizacji społecznej w Polsce” (1997), „Dialog społeczny. Zasady, procedury i instytucje w odniesieniu do podstawowych kwestii społecznych” (1999), „Socjologia prawa” (2001), „Deregulacja polskiego rynku pracy” (2003), „Utopie inkluzji. Sukcesy i porażki programów reintegracji społecznej” (2004). Odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi, nadanym na wniosek Ministra Zdrowia za dokonania w działalności na rzecz profilaktyki i rozwiązywania problemów alkoholowych.

W latach 90. wmawiano Polakom, że wykształcenie zapewni sukces, a to nieprawda. To jedno z tych wielkich, strukturalnych kłamstw, które zostały wciśnięte w głowy społeczeństwu. Istnieją rozmaite studia empiryczne, dotyczące lokalnych rynków pracy, które pokazują, że wzięciem cieszą się przede wszystkim robotnicy niewykwalifikowani, a „inteligentów” nikt do roboty nie potrzebuje, a jeśli już, to w magazynie.

– Pan również zajmował się badaniami na poziomie lokalnym – skuteczności programów walki z wykluczeniem społecznym. Jak często udaje im się odnieść trwałe sukces i od czego on zależy?

– Wniosek jest taki: to zawracanie głowy. Oczywiście opisywaliśmy w miarę sensowne programy, jednak ich



Nowa polityka społeczna stanowi wyjątkowo brutalny mechanizm wtłaczania człowieka w podstawowe role społeczeństwa rynkowego: producenta, konsumenta i płatnika podatków.

efektywność była nie tyle konsekwencją ich struktury, co tego, że funkcjonowały w środowiskach sprzęgniętych silnymi więziami społecznymi. W świecie, w którym wspólnoty lokalne przede wszystkim się rozpadają, nie widzę dla podobnych projektów wielkich szans na sukces.

Jeżeli myśleć o podstawowym mechanizmie, za pomocą którego chce się ludzi reintegrować społecznie, tzn. o rozmaitych programach rynku pracy, to one są dramatycznie nieskuteczne, skoro mamy w Polsce ok. pół miliona długookresowych bezrobotnych. Wszystkie znane mi badania pokazują, że im dłużej jest się bezrobotnym, tym mniejsze szanse na to, że uda się taką osobę ponownie włączyć w rynek pracy. Sprawa to, że adresowane do nich programy - już mniejsza z tym, czy są dobrze, czy źle pomyślane, czy mają na celu głównie budowanie pomyślności „reintegratorów”, czy tych, którzy są ich podmiotem - są boleśnie nieefektywne. Generują przy tym koszty, dlatego może lepiej byłoby tym nieszczęśnikom wypłacać zasiłki, niż ładować ogromne pieniądze w mało skuteczne próby ich reintegracji.

Odnoszę wrażenie, że programy reintegracji poprzez rynek pracy są w gruncie rzeczy instrumentem kontroli

społecznej. Mówiąc zupełnie najprościej: bezrobotny, gdy się go zmusi, żeby wziął udział w jakimś szkoleniu, nie siedzi w domu pijąc piwo, nie szlaja się po ulicy, tylko musi się ogolić, pójść na ósmą na wykłady i tam drzemać, gdy uczą go, jak ma pisać CV. Jest wtedy jakoś wprężony w karby społecznej dyscypliny - coś musi zrobić, bo inaczej nie dostanie zasiłku.

- Uzależnianie wypłaty świadczeń od wypełniania określonych zadań uważane jest za „wychowawcze” i stanowi współcześnie jeden z kanonów polityki społecznej.

- Są co najmniej trzy argumenty przeciw temu, co się obecnie nazywa nową polityką społeczną.

Po pierwsze, jeśli uzależnimy prawa socjalne od spełnienia pewnych obowiązków, jak pójście na szkolenie, prowadzi nas to do kategoryzacji ludzi na rozmaite grupy lepszych i gorszych obywateli. Historia zna przykłady segmentowania obywateli wedle tego, jak wykonują obowiązki sprzęgnięte z „obywatelstwem” i sądzę, że to bardzo niebezpieczny kierunek - i myślenia, i działania.

Po drugie, tradycja ciągnąca się od angielskich socjalistów z lat 40. i 50. XIX w. głosi, że obywatel - w sensie

człowieka zdolnego do myślenia w kategoriach dobra wspólnego – może się narodzić dopiero, gdy zaspokojone zostaną najbardziej podstawowe potrzeby jednostki. W połowie XX w. ta myśl zawarta została w słynnym eseju T.H. Marshalla, „Citizenship and Social Class”. Jeżeli chcemy obywatelskiej równości w demokratycznym społeczeństwie, musimy przynajmniej na minimalnym poziomie uwolnić ludzi od trosk codziennej egzystencji.

Jest też trzeci argument, bardzo praktyczny. Otóż okazuje się, że jeżeli argumentować na rzecz tej nowej polityki społecznej wedle myślenia w kategoriach kosztów i korzyści, to okazuje się, że sprawy nie wyglądają do końca tak, jak jej zwolennicy sobie wyobrażają. Nawet jeżeli wypchnie się samotną matkę na rynek pracy, to po pierwsze trzeba jej będzie do tej pracy dopłacić, bo zazwyczaj zarobi niewiele. Po drugie, trzeba będzie sfinansować przedszkole dla jej dziecka. Per saldo, to wszystko niekoniecznie się kalkuluje. Oczywiście mogę zrozumieć myślenie Amerykanów, zgodne ze znanym powiedzeniem św. Pawła: „kto nie pracuje, niech nie je”. Myślę jednak, że nie po to żeśmy wybijali się na „cywilizację”, żeby takie hasło dzisiaj popierać.

Nowa polityka społeczna stanowi wyjątkowo brutalny mechanizm wtłaczania człowieka w podstawowe role społeczeństwa rynkowego: producenta, konsumenta i płatnika podatków. W swojej wyśmienitej książce antropolog Tomasz Rakowski pokazuje, że mogą istnieć bardzo dobrze zorganizowane systemy gospodarcze zbieraczy ziół czy górników z biedaszybów, stanowiące rodzaj alternatywnych łańcuchów społecznych. Choć ludzie w tych łańcuchach świetnie uczestniczą, oficjalna polityka społeczna nadal traktuje ich jak osoby zmarginalizowane. Tu widać, jak się próbuje na siłę wtłaczać ludzi w świat „normalsów”.

- Wykluczenie społeczne jest zatem rzeczą względną?

- Istnieje przynajmniej kilka czy nawet kilkanaście modelowych rodzajów „obcości”, która jest przez pojęcie wykluczenia społecznego redukowana do jednej tezy. To jednak bardzo rozległe zagadnienie, w które nie chciałbym się szczególnie zagłębiać. Chcę natomiast podkreślić, że bardzo niebezpieczną kliszą jest mówienie na jednym oddechu „bieda” i „wykluczenie społeczne”.

Zwykło się uważać, że bieda jest podstawowym źródłem społecznego wykluczenia, tymczasem jest to absolutnym nieporozumieniem i empiryczną bzdurą. Mogę bez trudu wskazać ludzi pod różnymi względami wykluczonych społecznie, którzy nie są jednocześnie ludźmi biednymi, tak jak mogę pokazać biednych, którzy wcale nie są wykluczeni. Nie ma tu bowiem jednoznacznego związku przyczynowo-skutkowego, a tylko korelacja. Nie potrafię powiedzieć, czy ktoś jest wykluczony, bo jest biedny, czy jest biedny dlatego, że jest wykluczony.

- Zajmuje się Pan naukową analizą zjawisk bardzo istotnych dla życia społecznego, jego jakości – jak ta wiedza przekłada się na praktykę decydentów?

- 20 lat temu napisałem książkę „Socjologia w działaniu. Nadzieje i rozczarowania”, była to moja rozprawa habilitacyjna. Demonstrowałem w niej sceptycyzm dotyczący tego, w jaki sposób i w jakiej postaci wiedza akademicka dociera do praktyków, tzn. do tych, którzy podejmują decyzje. Otóż w naukach społecznych mamy do czynienia z różnymi szkołami, koteriami ludzi, którzy podzielają określone poglądy naukowe. Społeczności te mają różne szanse „podczepienia się” pod poszczególne ekipy rządzące. Przykładowo, gdy premierem był Jarosław Kaczyński, króciutko byłem jego doradcą; byłem też członkiem rady przy prezydencie Lechu Kaczyńskim. Natomiast z całą pewnością, choćbym nawet chciał, nie wbiję się do zespołu doradców premiera Tuska, którym kieruje minister Boni, gdyż jest nam wyraźnie nie po drodze w naszych poglądach.

Próbuję przez to powiedzieć, że jeżeli jakieś przekonania się przebijają, nie znaczy to, że są to uniwersalne prawdy nauki, a jedynie poglądy jakiejś „społeczności epistemicznej”. Proszę zresztą zauważyć, że nawet tak bliski doradca premiera Tuska, jak minister Boni, nie zawsze był w stanie przepchnąć swoje propozycje, gdy były one mało atrakcyjne pod względem politycznym. Tak samo jest z całą polityką społeczną.

- Trudno byłoby się Panu dogadać z premierem np. w kwestiach dotyczących optymalnego poziomu regulacji rynku pracy.

- To bardzo rozległy obszar analiz, w którym nie ma łatwych odpowiedzi. Chciałbym jednak zwrócić uwagę na kilka kwestii. W Polsce, która jest drugim obok Hiszpanii krajem europejskim o szczególnie wysokim udziale pracowników bez stałych umów (zatrudnionych na czas określony, na umowę-zlecenie bądź samozatrudnionych jest już niemal 30%), mamy ostatnio do czynienia z różnymi procesami deregulacyjnymi. Przykładem może być niezrozumiała dla mnie decyzja o zawieszeniu przepisów, które mówiły, że trzecia umowa na czas określony przekształca się na mocy prawa w umowę na czas nieokreślony. Tymczasem literatura ekonomiczna pokazuje, że brak stabilności zatrudnienia odbija się na rynku kredytów hipotecznych, a więc także na budownictwie, oraz ma rozmaite inne negatywne skutki gospodarcze. Przede wszystkim jednak rodzi poważne konsekwencje społeczne.

Narzekamy, że Polki coraz mniej chętnie rodzą dzieci. Jak jednak mogą tego chcieć, skoro nie mogą dla nich znaleźć porządnie zatrudnionych ojców? Nie można bezkarnie deregulować rynku pracy, i to się pomału przebija na powierzchnię debaty publicznej. Na Mani-
fie z okazji 8 marca podniesiony został m.in. przykład sprzątaczkii w szkole, która została zmuszona do samozatrudnienia i wyciska z niego 500 zł. Feministki

bardzo trafnie zwrócili również uwagę, że zatrudnieni na umowę o dzieło, umowę-zlecenie czy też właśnie samozatrudnieni, są pozbawieni prawa do urlopu. Deregulacja destabilizuje świat społeczny, czyni go mało przewidywalnym. A przecież to nie jest tak, jak pisze Bauman czy Giddens, że owa niepewność jest wyrokiem historii. Wydaje mi się, że oni mistyfikują rzeczywistość. Sami to sobie robimy, zgadzając się na wszystko.

- Innym polem Pańskich zainteresowań naukowych jest tzw. trzeci sektor.

- Nie mam o nim do powiedzenia wiele ponad to, o czym można przeczytać w prasie. Oczywiście w żadnym razie nie twierdzę, że w organizacjach pozarządowych są sami złodzieje. Jest tam pełno ludzi dobrej woli, którzy wykonują świetną robotę, ale również wielu takich, dla których działalność pozarządowa stała się sposobem na zarabianie pieniędzy. Myślę, że jest całkiem sporo organizacji, które bardziej troszczą się o własny interes niż o interes grupy, którą mają „obsługiwać”. Recenzowana przeze mnie praca doktorska Anny Domaradzkiej pokazuje, jak żrą się między sobą feministki rozmaitych kategorii i orientacji podczas rywalizacji o dostęp do publicznych pieniędzy. Znakomita część „pary” idzie na to, żeby się dorwać do szmalu, a dobro kobiet schodzi na dalszy plan.

- Trzeci sektor jest jednak coraz częściej przedstawiany jako bardziej efektywna odpowiedź instytucjonalna na problemy społeczne niż działania administracji publicznej.

- Odpowiedź na pytanie o skuteczność tego sektora jest skomplikowana. Choćby dlatego, że większe szanse na fundusze mają te NGO'sy, które potrafią wykazać, że są efektywne w realizacji zadań. A jeżeli tak, to bardziej opłaca się podejmować łatwiejsze wyzwania, bo wtedy można się pochwalić większą skutecznością. W literaturze amerykańskiej można znaleźć np. badania pokazujące, że wybierając grupy, z którymi będą pracować, organizacje pozarządowe preferują te, w przypadku których są w stanie szybciej osiągnąć widoczne rezultaty. Efekt jest taki, że ci, którzy najbardziej potrzebują pomocy, zostają pozostawieni sami sobie.

Jednak jestem całym sercem za tym, by trzeci sektor przejmował część zadań publicznych. Rzeczywiście jest bowiem tak, że osoby pracujące „na dole” lepiej znają potrzeby ludzi aniżeli administracja, która z konieczności posługuje się pewnymi ogólnymi wzorcami. Podczas badań powtarzają się wypowiedzi w rodzaju: „oboje z mężem ciężko pracujemy, dzięki czemu jakoś wiążemy koniec z końcem, tymczasem chłop Malinowskiej tylko pije. Malinowska dostaje zasiłek i może z pomocy społecznej wysłać dziecko na kolonie, a mój dzieciak płacze się po podwórku - tylko dlatego, że mnie zasiłek nie przysługuje, bo przekraczamy próg o parę groszy”. Formalne reguły są potrzebne dla

funkcjonowania systemu pomocy społecznej, mam jednak nadzieję, że organizacje pozarządowe funkcjonują na nieco innych zasadach.

Pojawiają się za to inne kłopoty. Wiele zależy od uczciwości NGO'sów, od tego, jaki jest narzut na świadczone przez nie usługi. Moje nieustanne wątpliwości budzi idea odpłatnej działalności pożytku publicznego. Dostrzegam tutaj - przy czym systematycznie i na większą skalę nikt tego nie badał - rozmaite możliwości przekrętów.

- W jednym z artykułów przywołuje Pan pogląd, że konstruowanie racjonalnych procedur rozwiązywania problemów społecznych zwiększa koszty podejmowania decyzji, sprzyja powstawaniu konfliktów, a ponadto - usztywniając strukturę celów - zwiększa prawdopodobieństwo kosztownych pomyłek. Jeśli nie procedury, to co?

- Pokora. Pokora wobec rzeczywistości, na którą mamy przecież ograniczony wpływ. A także elastyczność. Krótko mówiąc, należy pozbyć się pychy i arogancji, mówiącej, że oto obmyśliłem świetny projekt, który musi zadziałać. Bywa, że nie zadziała, bo w trakcie opracowywania procedury nie przewidzieliśmy czegoś albo popełniliśmy jakiś błąd, a nawet jeśli nie, to może się okazać na przykład, że nie mamy ludzi potrafiących czy chcących realizować nasz projekt.

Często bywa tak, że idealny program kompletnie zawodzi na poziomie realizacji. Weźmy choćby kolejne projekty reformy służby zdrowia. Były one bardzo racjonalne, jednak projektant z końca lat 90. nie wziął pod uwagę np. tego, że pielęgniarki pokłóć się z lekarzami, że wewnątrz służby zdrowia tkwi konflikt, który jest równie silny jak jej konflikt z całą resztą. Okazało się, że realizacja pomysłów reformatorskich jest blokowana przez skonfliktowane strony.

Jest taka stara metoda, która nazywa się *action research*. Mówi ona, żeby zrobić jeden krok i zobaczyć, jakie są jego rezultaty. Spytajmy ludzi, czy to jest to, o co im chodzi. Jeżeli tak, to wykonajmy następny krok, jeżeli nie - poprawmy ten pierwszy i wykonajmy go ponownie, lepiej. W metodę kolejnych, stopniowych eksperymentów wbudowana jest właśnie ta pokora wobec oporu materii. Planista może oczywiście ustawić ludzi w szeregu i powiedzieć: „odtąd macie robić, co wam każę”. Nie o to jednak chodzi w poprawianiu polityki społecznej czy ogólnie w planowej zmianie społecznej.

Ludzie, którzy są podmiotem zmiany społecznej, muszą w niej uczestniczyć i ją zaakceptować; są równie ważni jak projektant. To nie jest nowa myśl, tylko to trzeba mówić częściej i głośniejsze. Jaka by ona nie była, władza jest bowiem zazwyczaj dosyć arogancka w swoim myśleniu: „wiemy lepiej, co jest dla ciebie dobre”.

Dziękuję za rozmowę.

Warszawa, 21 marca 2011 r.

Polska (nie)solidarna



Za kilka miesięcy kolejne wybory parlamentarne. Ponownie ich głównymi aktorami będą zaledwie 2-3 partie, zwierające się w klinczu doskonale znanych haseł, propozycji i wzajemnych zarzutów. Nie spodziewamy się po tym starciu wiele, gdyż debata publiczna, czy raczej międzypartyjna, staje się coraz bardziej ogólnikowa, same kampanie wyborcze zaś sprowadzają się do sloganów, billboardów, uśmiechów i złorzeczeń. Do gombrowiczowskiej wojny na miny.

Zapewne jednym z elementów kampanii stanie się - piszemy to w czerwcu 2011 r. - odgrzewanie sporu między „Polską solidarną” a „Polską liberalną”. Napędzał on kampanię roku 2005, w mniejszym stopniu również tę późniejszą o dwa lata. Choć nasze środowisko zawsze było krytyczne wobec wizji „Polski liberalnej”, zanim jeszcze została ona tak nazwana, bardzo wiele do życzenia pozostawiał w naszej opinii także obóz „Polski solidarnej”. Po pierwsze, wiele jego poczynąń dalekich było od faktycznego solidaryzmu, bliskich zaś właśnie liberalnej wizji. Po drugie, idea ta nigdy nie zyskała konkretnego kształtu, pozostając zbiorem wzniosłych sloganów, nie wskazujących na zasady, rozwiązania i mechanizmy, które mogłyby stać się fundamentem reorientacji ustrojowej. Po trzecie wreszcie, dobra pamięć nie pozwala nam zapomnieć, iż wielu deklaratywnych zwolenników „Polski solidarnej” to ludzie mający za sobą przeszłość w postaci inicjatyw i decyzji bliskich ideologii liberalnej.

Niezależnie od naszych ocen i preferencji, „wielka polityka” funkcjonuje wedle swoich reguł. Jedną z nich jest wyraziste artykułowanie opozycji wobec przeciwnika, przynajmniej na poziomie haseł. Stąd też, przewidując, że wyborczy spór „Polski liberalnej” z „Polską solidarną” powróci również w roku 2011, poprosiliśmy kilka osób o opinię na ten temat. W redakcyjnej ankiecie wzięły udział ostatecznie cztery osoby,

choć pierwotnie miało być ich nieco więcej - zabrakło m.in. tych, które można utożsamiać z prospołecznym skrzydłem PiS. Na kolejnych stronach znajdziecie rozważania uczestników ankiety, dla których inspiracją stały się pytania zadane przez redakcję „Nowego Obywatela”, m.in.:

- Kilka lat temu wizja Polski Solidarnej, mającej się opierać na ideałach Sierpnia i definiowanej jako przeciwieństwo Polski Liberalnej, dała PiS zwycięstwo wyborcze. Jak Pan/Pani ocenia wcielenie tego hasła w życie - czy rządy koalicji PiS/SO/LPR oznaczały jego realizację, czy poprzestano jedynie na deklaracjach przedwyborczych?
- Jakie konkretne postulaty i działania polityczne, dostępne „tu i teraz” dla ugrupowania parlamentarnego i jego partnerów (np. związki zawodowe) są Pana/Pani zdaniem możliwe i konieczne do wprowadzenia w życie, aby można było mówić o faktycznej ewolucji Polski Liberalnej ku Polsce Solidarnej?
- Jakie osobowości życia publicznego oraz środowiska (intelektualne, naukowe, polityczne) mają realny potencjał do sformułowania koncepcji całościowej, realistycznej, a zarazem atrakcyjnej dla społeczeństwa, dotyczącej prosocjalnego zwrotu w polskiej polityce?
- Zmiany w jakiej sferze uważa Pani/Pan za kluczowe dla budowy Polski Solidarnej?
- Jakie widzi Pani/Pan największe przeszkody na drodze do urzeczywistnienia bardziej solidarystycznego i egalitarnego modelu społeczno-gospodarczego?

Zapraszamy do lektury.

Zaczniemy od żółtej kartki

DR HAB. RYSZARD BUGAJ

„Solidarna Polska” to jedna z emanacji hasła „IV Rzeczypospolitej”. To alternatywa PiS-u dla III RP. Alternatywa PO, która także kontestowała system III RP, była inna: onnipotentny rynek i „jak najmniejsze państwo”. Realizacja wizji Solidarnej Polski miała prowadzić co najmniej do zasadniczego ograniczenia niesprawiedliwości i pozbawienia elit wyłącznej kontroli nad państwem. Ten postulat nie określał jednak polityki tej partii, gdy była u władzy. PiS wprawdzie sugerował, że z powodu przywiązania do programu Solidarnej Polski musiał z Leppera zrobić wicepremiera, ale jego realizację powierzył najpierw Marcinkiewiczowi, a potem Zycie Gilowskiej.

PiS hasła Solidarnej Polski nigdy zresztą nie skonkretyzował, a w polityce jego rządu trudno było dostrzec działania z tym hasłem współbrzmiające (może ulgi podatkowe na dzieci i likwidacja wsi). Już łatwiej wskazać działania bliskie idei... Liberalnej Polski: spłaszczenie podatków czy likwidację podatku spadkowego. Jedno i drugie było bardzo korzystne dla najzamożniejszych, a osobiście dla oligarchów. Ale to nie znaczy, że PiS grał cynicznie. Sądzę, że polityczne środowisko tej formacji ma raczej ograniczoną zdolność do oceny alternatyw w sferze społeczno-gospodarczej. Dla Jarosława Kaczyńskiego liczy się tylko „czysta polityka”.

Scena polityczna jest już od dawna „zabetonowana” – po doświadczeniu z Samoobroną i LPR-em wyborcy są szczególnie nieufni w stosunku do wszystkich kontestatorów. Nie bardzo zatem widać dziś perspektywę skierowania polityki państwa w koleiny Solidarnej Polski. Wprawdzie nie wiadomo, czego można oczekiwać po PiS-ie, ale nic nie wskazuje na to, że ta partia wykroczy poza ogólnikowe hasła. Zresztą utraciła już wiarygodność – najlepiej świadczy o tym PJN, który

składa się przecież z byłych wpływowych polityków PiS i zwolenników... Solidarnej Polski.

Trudno czegokolwiek spodziewać się po SLD, którym kieruje zbieracz grzybów, znany też z tanecznych popisów i ciągnięcia ciężarówki. Ale w tym roku prawo wyborcze zyskuje wielu Polaków, którzy mogą nie pamiętać, kim jest Leszek Miller i kto rządził Polską w latach 2001-2005, dlatego SLD może otrzymać nawet 15% głosów. Myślę, że jest prawie pewne, iż po wyborach będzie rządził tandem PO-SLD. Będzie rządził zgodnie z hasłem Liberalnej Polski, ale to hasło nie zostanie wprost ogłoszone, a prowadzona polityka będzie skrajnie pragmatyczna, czytaj: kunktatorska.

Jest mało prawdopodobne, by rządy PO-SLD gwarantowały stabilność. Potencjał konfliktu zdaje się w Polsce być już bardzo wysoki. Niekorzystnie zmieniają się także uwarunkowania zewnętrzne. Kryzys w światowej gospodarce jeszcze się nie zakończył (i nie można wykluczyć globalnych perturbacji), a nasz kraj wcale nie jest „zieloną wyspą”. Polsce naprawdę potrzebne są zmiany, które choć trochę urealnią zasadę równych szans i pozwolą państwu skuteczniej stymulować rozwój gospodarczy. Trzeba też zagwarantować, by zwykli ludzie mieli realnie coś do powiedzenia.

Niestety, jest wysoce prawdopodobne, że system demokratyczny w obecnym kształcie nie jest zdolny do wygenerowania koniecznych zmian. Z tym systemem związane są bardzo wpływowe interesy grup uprzywilejowanych, a i neoliberalna ideologia nie jest (jak kiedyś komunizm) martwa. Aczkolwiek dobrze, że mamy system demokratyczny, bo choć nie gwarantuje on antycypacyjnego dostosowania instytucji państwa i jego polityki, to jednak chroni przed takimi konfliktami, jakie obserwujemy dziś w krajach arabskich.

Z grubsza biorąc wiadomo, co trzeba zrobić:

- odblokować system polityczny (dużo mniej pieniędzy dla partii i twardy zakaz używania prywatnych środków, obniżenie progów wyborczych, ograniczenie onnipotentnej władzy Trybunału Konstytucyjnego);
- zmienić system podatkowy (wprowadzenie realnej progresji podatku dochodowego, niezależnie od źródła dochodów);
- zmodernizować system ubezpieczeniowy (bezwzględna zasada: wysokość składki proporcjonalna do rzeczywistego dochodu i dobrowolne ubezpieczenie w II filarze; powolne podwyższanie wieku emerytalnego);
- zrezygnować z prywatyzacji „do dna” i z partyjnej nomenklatury w spółkach Skarbu Państwa;
- zlikwidować powiatowy szczebel samorządu;
- zająć twardą postawę wobec Brukseli (sprzeciw wobec ograniczenia funduszy spójności i ponoszenia narzuconych kosztów na program środowiskowy, niezgoda na pełzającą federalizację i odłożenie na długi okres akcesji do strefy euro).

To oczywiście nie wszystkie konieczne i celowe zmiany, a każda z nich musi być skonkretyzowana. Należy jednak podkreślić, że **problemem nie jest brak możliwości prowadzenia innej polityki, lecz zakorzeniony w interesach brak woli jej podjęcia.**

Trudno się spodziewać, że polityczny kartel (PO, PiS, SLD, PSL) wprowadzi zmiany otwierające dla konkurencji rynek polityczny. Zresztą jest już do wyborów zbyt mało czasu. To jednak nie znaczy, że nic nie można zrobić. Przede wszystkim potrzebne jest przekonanie jak największej części wyborców, że udział w głosowaniu to ich prawo, ale nie obowiązek. Zagrożenie bojkotem wyborów to dla klasy politycznej jedyne dziś realne niebezpieczeństwo. **Jest też bardzo ważne, aby - wobec programowej impotencji ugrupowań parlamentarnych - pojawiły się pluralistyczne pomysły dla polityki.** Aby jak najwięcej obywateli miało świadomość, że potencjalnie istnieją merytoryczne alternatywy, że spór o wyjaśnienie smoleńskiej katastrofy - choć ważny - nie może zastąpić sporu o kluczowe kwestie ekonomiczne i społeczne, o stosunek do integracji europejskiej i kształt systemu politycznego. Jeżeliby się to powiodło, znaczyłoby to, że społeczeństwo pokazało klasie politycznej żółtą kartkę. Nie ma pewności, czy coś by to pomogło, ale można mieć nadzieję, że powstałby niepokój. Warto zabiegać o taki efekt.

DR HAB. RYSZARD BUGAJ



Sprawiedliwość społeczna zamiast solidaryzmu

PIOTR IKONOWICZ

Żeby dokonać znaczącej reorientacji polityki społeczno-gospodarczej, nie mówiąc już o zmianie modelu państwa, trzeba mieć za sobą zbuntowane masy, a nie na sznurki powiazaną koalicję.

Nic to, że ludzie głosowali na lewicową retorykę braci Kaczyńskich czy buntownicze tyrady Andrzeja Leppera. Wszystkie trzy partie koalicyjne, które miały zaprowadzić Polskę Solidarną, nie odbiegały konstrukcją od reszty sceny politycznej. Nawet Samoobrona, która rozpoczynała jako ruch oddolny, bardzo szybko przywdziała garnitur i weszła w buty biurokracji PSL-owskiej. Okazało się, że lokalnym działaczom chodzi o władzę i pieniądze, a nie o żadne zmiany. Bojownicy z czasu blokad musieli ustąpić miejsca napływającym szeroką rzeką karierowiczom, sponsorom, którzy władzy raz zdobytej ani myśleli oddawać. Nawet więc gdyby Andrzej Lepper nie pokochał tak bardzo drogich garniturów, limuzyn i tytułów, to i tak stałby się zakładnikiem własnego aparatu, kierującego się czystym egoizmem, nie zaś dobrem społecznym czy jakąkolwiek ideą.

Bracia Kaczyńscy zrobili duży numer, obchodząc SLD z lewej flanki, ale był to wybieg taktyczny, a nie żaden przełom programowy. Skrzydło liberalne jest w PiS z pewnością najmocniejsze – gdyby było inaczej, partia nie miałaby tych wszystkich pieniędzy na kampanię. Obsesyjne skupianie się na „walce z układem” było największą słabością intelektualną tej konstrukcji. Kaczyńscy umieli dostrzec niesprawiedliwość, ale nie potrafili jej przypisać systemowi. Stąd teorie spiskowe i paranoiczne tropienie agentów, mimo że winni

sytuacji społecznej byli bardzo blisko, np. wśród sponsorów ich kampanii wyborczych.

Gdyby np. traktowali poważnie swoje zamierzenia w zakresie budowy mieszkań, musiałyby to oznaczać starcie się z potężną grupą interesu, jaką są banki żyjące z kredytów hipotecznych oraz deweloperzy. Do niczego takiego nie doszło. Polska Solidarna to chadecki humbug, podobnie jak społeczna gospodarka rynkowa. Bracia byli gotowi na likwidację WSI i bardzo się dziwili, że po wykonaniu tego zadania Polska nie stała się ani trochę bardziej solidarna. Bo solidarność może się przejawiać w systemie podatkowym oraz konstrukcji budżetu, a tu żadnych godnych zauważenia zmian na lepsze nie było. Przeciwnie, finanse publiczne pod wodzą pani Gilowskiej dryfowały w dotychczasowym, niesolidarnym kierunku, polegającym na negatywnej redystrybucji i malejącym udziale budżetu w rosnącym PKB. Okres rządów egzotycznej z pozoru koalicji był przy tym tak burzliwy i obfitował w tyle objawów koalicyjnej nielojalności ze strony PiS, że niemożliwa była realizacja jakiegokolwiek – złej czy dobrej – wizji ustrojowej. Gdyby oczywiście istniała taka wizja, czyli coś ponad wyborcze gruszki na wierzbie.

Polska Solidarna to pojęcie wydumane, u którego podstaw leży naiwna wiara w możliwość sprawiedliwego ładu społecznego, utworzonego na bazie wspólnoty, jaką jest Polska – Naród. Od kwietnia 1997 r. mamy,



© Victor Ferrer, flickr.com/photos/vfer/3435025214/

przynajmniej formalnie, jakieś reguły gry, zbiór norm, którymi powinien się kierować ustawodawca, a także władza wykonawcza. Analiza tego zbioru ma znaczenie nie tylko teoretyczne, zważywszy na wymóg zgodności ustaw z Konstytucją. Ustawa zasadnicza jest też, co równie ważne, pierwszym manifestem ideowym nowego ustroju. W akcie tym ani razu nie pada słowo „społeczeństwo”.

Jest więc Rzeczpospolita „dobrem wspólnym wszystkich obywateli”, ale jedynym, co tych obywateli spaja, jest wspólna tożsamość narodowa, bo skoro nie ma społeczeństwa, to i o więziach społecznych trudno mówić. Władzę sprawuje właśnie naród, który w myśl stwierdzenia Preambuły jest tożsamy z „wszystkimi obywatelami Rzeczypospolitej”. Tym jednym ruchem zapisano do niego również mniejszości narodowe, w tym wyodrębniającą się dynamicznie mniejszość śląską. Tak sztucznego zabiegu dokonano, żeby poza narodem, podmiotem o określonej tożsamości kulturowej, religijnej i historycznej, nie wprowadzać żadnej innej kategorii wspólnoty, aby Konstytucja mogła chronić nie społeczeństwo, lecz każdego obywatela z osobna, jako jednostkę.

Szczególne znaczenie w kontekście innych ustaw zasadniczych ma zabarwienie słowa „naród”, które w językach zachodnich oznacza jednocześnie grupę etniczną o określonej tożsamości i po prostu lud. Stąd tym samym słowem posłużyli się ojcowie-założyciele w Konstytucji Stanów Zjednoczonych: *We the People* – My naród/lud, oraz demonstranci w latach 60., głosząc hasło *power to the people* – władza dla ludu. Po rosyjsku można powiedzieć *raboczij narod* i oznaczać to będzie

lud roboczy, nie naród. Ten ostatni w polskiej tradycji był szlachecki, we współczesnej Polsce zatem, wbrew istocie idei demokracji, władza nie należy do ludu. Słowo „społeczeństwo” znikło też z debaty publicznej, zastąpione właśnie narodem lub „Polakami”, odmienianymi przez wszystkie przypadki w przemówieniach polityków dowolnej orientacji.

Skoro więc władzy w państwie nie sprawuje lud, tylko podzielony na jednostki naród, to i pojęcie społecznej gospodarki rynkowej wydaje się być do Konstytucji wstawione niczym nie pasujące ciało obce. Nie stoi ona bowiem na straży żadnej innej własności poza prywatną, poświęcając jej dużo miejsca. Tymczasem sensem społecznej gospodarki rynkowej jest harmonijne współistnienie własności prywatnej obok spółdzielczej, stowarzyszeniowej, komunalnej czy państwowej. Fakt objęcia konstytucyjną ochroną jednej formy własności z pominięciem pozostałych wskazuje na oczywistą dyskryminację i zadaje kłam odwołaniu do społecznego charakteru gospodarki rynkowej w Polsce. Nic dziwnego, że pod rządami takiej ustawy zasadniczej majątek narodowy podlega stałemu uszczuplaniu na rzecz prywatnych właścicieli.

Konstytucja obiecuje też chronić Polaków za granicą, weteranów walk o niepodległość oraz inwalidów wojennych, ale nic nie wspomina o ludziach niezamożnych czy zagrożonych lub dotkniętych wykluczeniem społecznym. Zaledwie napomyka o tak elementarnych kwestiach, jak prawo do pracy, edukacji, zabezpieczenia społecznego, dachu nad głową, za to dopuszczalny poziom długu publicznego określa dokładnie, w procentach. Te niespójności i niekonsekwencje nie są

bynajmniej wyłącznie wynikiem kiepskiej pracy Komisji Konstytucyjnej Zgromadzenia Narodowego, ale przede wszystkim skutkiem przyjęcia ideologii neoliberalnej za podstawę najwyższego aktu prawodawczego w państwie.

Nie istnieje żaden naród o spójnych interesach. Są wygrani i przegrani, krzywdzący i krzywdzeni, bogaci i biedni. Globalizacja narzuca pewien model podporządkowania interesów gospodarczych państw strategiom i zyskom ponadnarodowych korporacji, ale porządek wewnątrz kraju wciąż ma charakter klasowy. A klasa uprzywilejowana świetnie wychodzi, przynajmniej na krótką metę, na wyprzedzący interesu własnej gospodarki. Główne dziedziny, w których dokonuje się przyspieszona akumulacja kapitału (banki, sieci handlowe, fundusze emerytalne, ubezpieczenia) zostały już oddane w ręce korporacyjne i procesu tego nie da się odwrócić aktami politycznymi. Klasa polskich właścicieli sama się marginalizowała, stając się grupą raczej rentierów niż inwestorów.

Zamiast szukać spisków wewnątrz kraju, należało śledzić powiązania z międzynarodowymi korporacjami - nie agenturalne, lecz kapitałowe. Gdyby jednak istniała licząca się grupa polskich kapitalistów, to doświadczenie pokazuje, że tak samo nie miałaby litości dla ludzi pracy, jak kapitaliści zagraniczni. I nie ma w tym żadnego spisku - na tym polega kapitalizm. A zatem nie ma nic do zrobienia dla większej spójności społecznej w ramach filozofii solidaryzmu społecznego.

Szczerze mówiąc, aksjologia leżąca u podstaw koncepcji Polski Solidarnej to nacjonalizm i ja akurat nie optuję za tym, żeby się do niej odwoływać. Jest to w istocie moralność Kalego, tylko na skalę grupy narodowej. Czyli obrzydliwość. Kiedyś byłem w kościele - oczywiście w okresie walk o demokrację - na wykładzie o społecznej nauce Kościoła. Wykład prowadził Michał Boni. Na moje pytanie, co powinien robić dobry Polak-katolik, gdy okaże się, że pracodawca nie kieruje się tą doktryną? Usłyszałem, że trzeba zrobić wszystko, aby się nią kierował. Tego rodzaju katechizacja bogatych prowadzona przez ubogich nie wydaje się sensowna, tak jak i cała doktryna solidaryzmu.

Oczywiście można sobie wyobrazić atrakcyjną dla społeczeństwa wizję polityczną. Będzie to wizja Polski socjalnej, czyli wychodząca z założenia, że istnieje coś takiego jak społeczeństwo, a nie tylko zbiór jednostek, zantagonizowanych i konkurujących ze sobą zaciekle. Spójność takiej zbiorowości będzie tym większa, im mniejsze będą różnice majątkowe, im mniejsze rozwarstwienie, zaś jej spoiwem zasada współpracy, a nie rywalizacji. Wymaga to jednak istnienia w sferze intelektualnej projektu tak skonstruowanego społeczeństwa, a więc inteligencji, która będzie taki porządek wymyślać i proponować. W czasach poselskich zaproponowałem wszystkim znacznie szerszym politykom społecznym spotkanie pod egidą prezydenta Kwaśniewskiego i powołanie przy jego urzędzie Rady Konsultacyjnej ds.

Polityki Społecznej. Zainteresowanie wyraził tylko jeden - prof. Julian Auleytnier. Pozostali obawiali się utraty łask Komitetu Badań Naukowych, który był już pod kontrolą rządu AWS. Auleytnier się tego nie obawiał, bo był właścicielem uczelni, na której wykładał.

Kiedyś społeczeństwo podążało za intelektualistami, wizjonerami takimi jak Mickiewicz, Towiański, Słowacki, Żeromski. Oni też zawieszali poprzeczkę politykom. Dziś to inteligenci z tytułami podążają jak barany za politrukami w rodzaju Adama Michnika. Nieliczne wybitne autorytety naukowe i moralne, takie jak Zygmunt Bauman czy prof. Mieczysław Kabaj (w wiecznych rozjazdach), pozostają poza krajem i jego duszną atmosferą służalczości wobec kapitału i jego politycznych kelnerów: posłów, ministrów, premierów czy prezydentów. **Autorytet powstaje podczas dyskusji na agorze, u nas jest tylko spółka Agora, która swobodną dyskusję uniemożliwia.** Nie wątpię jednak, że przestrzeń dialogu otworzy jakiś nowy ruch społeczny, który skutecznie przeciwstawi się neoliberalnemu barbarzyństwu. Wraz z ruchem wyłonią się postaci, za którymi ludzie zechcą podążać. Ale to jeszcze przed nami.

Polska Solidarna to mit i to wcale nie niewinny. Sugeruje on, że zamiast walki klas potrzebne jest zespolenie wysiłków wszystkich dobrych patriotów. **Taki horyzont jest sztuczny i przysłania istotę konfliktu społecznego między tymi, których owoce pracy są zawłaszczane, a tymi, którzy je zawłaszczają.** Dlatego należałoby tę koncepcję raczej zwalczać niż kombinować, jak ją wcielić w życie. Zawarty w niej neoliberalizm i nacjonalizm są przeszkodą na drodze do urzeczywistnienia bardziej egalitarnego modelu społeczno-gospodarczego.

Dopóki ludzie będą pozwalać na dzielenie ich na „komunę” i „Solidarność”, wierzących i niewierzących, sposobem kanalizowania niezadowolenia społecznego będzie eksploatawanie konfliktów zastępczych. Przez długi okres po 1989 r. był to konflikt historyczny zwolenników „Solidarności” oraz „komuchów”, czyli ludzi identyfikujących się z poprzednim systemem. Z punktu widzenia interesów świata pracy był to konflikt całkowicie sztuczny, choć chętnie podtrzymywany przez elity. Zarówno bowiem te należące do obozu „Solidarności”, jak i te z PZPR zawarły przy Okrągłym Stole kompromis, kontynuowany w Sejmie „kontraktowym”, który działał na szkodę pracowników niezależnie od ich afiliacji związkowej. Prywatyzacja oznaczała przede wszystkim zwolnienia grupowe i ogólnie wzrost bezrobocia oraz zmniejszenie siły nabywczej społeczeństwa. Każdy z partnerów tego kompromisu mógł winą za wspólny skok na kasę obarczyć drugą stronę, wołając „łapaj złodzieja”, aby wymigać się od odpowiedzialności przed własnym zapleczem wyborczym.

Dziś, gdy z racji upływu czasu tamten konflikt wygasł, zastąpiono go nowym, również zastępczym podziałem na Polskę nowoczesną, europejską oraz tę zacofaną, klerykalną, „moherową”. Takie sztuczne konflikty

mają do tego stopnia zawładnąć zbiorową wyobraźnią, by nie pojawiły się w debacie publicznej sprawy najważniejsze, decydujące o stratyfikacji społecznej, społecznym podziale pracy i dystrybucji dochodu narodowego. Żaden z głównych aktorów sceny politycznej, żadna z obecnych w Parlamencie partii nie podważa milczącego konsensusu, w ramach którego w debacie porusza się kwestie drugorzędne, odsuwając zasadnicze na dalszy plan. Bo w tych ostatnich są one niemal jednomyślne.

Zamieszanie w ludzkich głowach jest już dziś tak wielkie, że coraz większy posłuch znajdują nawoływania do jedności sił politycznych dla dobra kraju. Wrażenie powszechnego konfliktu i nieustających kłótni każe ludziom upatrywać przyczyny ich trudnej sytuacji raczej w sporach niż w faktycznej jednomyślności klasy politycznej, która pod osłoną udawanych utarczek wspólnie służy interesom grup uprzywilejowanych. Hałaśliwy, oparty na brutalnej retoryce styl uprawiania polityki, gdzie rzeczowa dyskusja jest nie do pomyslenia, sprawia, że to politycy są obiektem największej niechęci ze strony opinii publicznej, a nie ich mocodawcy, którzy dzięki tak ukształtowanemu systemowi politycznemu mogą zawsze liczyć na tanią i zdyscyplinowaną siłę roboczą.

Dopóki nie pojmą, że linia podziału przebiega między bogatymi i biednymi, elitą władzy i pieniądza a światem pracy, Polacy będą zniewoleni i niezdolni do wywalczenia sprawiedliwszego podziału dochodu narodowego. Państwo, które stało się w najbardziej bezczelny z możliwych sposobów „komitetem wykonawczym interesów burżuazji”, jest znienawidzone. Dlatego dobro publiczne ustępuje miejsca prywatnie, wyznaczającej horyzont myślowy mas, które tylko w ramach *Rei Publicae* mają szanse na godne życie. To daje elicie

oręż do ograniczania i tak już skromnej daniny publicznej, która jest na nią nałożona. Ta logika sprawia, że wszelkie podatki jawią się jako zło, a stąd już krok np. do prywatyzacji służby zdrowia.

Ci sami ludzie, którzy utożsamiając się z robiącą im wodę z mózgu elitą, nie chcą zwiększenia podatków dla bogatych, nie aprobują też wycofywania się państwa z usług społecznych i innych form opiekuńczych. Popierają więc przyczynę, dla której jest coraz mniej państwa, nie godząc się z logicznymi konsekwencjami takiej antypaństwowej postawy. Każda próba „uspołecznienia państwa” musi się więc wiązać z rewolucyjnym zrywem na miarę Sierpnia ‘80. Tylko wtedy, gdy ludzie poczują, że mają realny wpływ na sprawy publiczne, zaczną myśleć o swym kraju „my”, a nie „oni”. Największym wrogiem na tej drodze jest „policja myśli” obecna tak w mediach, jak i w systemie edukacji. Należą też do niej sponsorowane przez elitę think tanki w rodzażu Fundacji Batorego czy „Krytyki Politycznej”.

Obecne na scenie politycznej partie stanowią zgodne konsorcjum władzy, działające w imię przywilejów i rosnących przepaści społecznych, dlatego nie należy z nimi, niezależnie od scenariuszy koalicyjnych, wiązać żadnych nadziei na poprawę losu większości obywateli. Potrzeba społecznej lewicy, która zorganizuje ruch poza obecnym systemem parlamentarnym i dopiero z pozycji siły przystąpi do szturm na Pałac Zimowy. Instrumentem tego szturm może być kartka wyborcza, ale siłą – jedynie masowy opór wobec wyniszczającego tkankę społeczną, głęboko odhumanizowanego systemu ucisku i wyzysku, który panuje w Polsce. I tylko pod takim warunkiem dojdzie z czasem do tego, że większość wygra wybory.

PIOTR IKONOWICZ

REKLAMA



Polecamy:

Archiwalne numery kwartalnika,
„Nowy Obywatel” na czytniki eBooków,
książki z „Biblioteki Obywatela”,
zestawy promocyjne
i inne dobra!

nowyobywatel.pl/sklep

Polska Solidarna - Polska Liberalna

JOANNA DUDA-GWIAZDA

Solidarność jest niezbędna, aby wspólne działania zakończyły się sukcesem. W warunkach szczególnie trudnych, w niebezpieczeństwie, w walce - bywa warunkiem przetrwania grupy. Dotyczy to strajkującej załogi, ratowania się w górach i po katastrofie, ale odnosi się też do narodu, którego byt materialny i tożsamość są zagrożone.

Solidarność nie jest stanem świadomości społecznej danym raz na zawsze. Korzyści wszystkich uczestników grupy wynikające z solidarnego działania osiągnięte są po upływie czasu i często są niepewne. Korzyści ze złamania zasad solidarności, ze zdrady, z egoistycznego działania w grupie altruistów, są natychmiastowe i bywają znaczne. Po aresztowaniu grupy opozycyjnej ten, który pierwszy zacznie sypać w śledztwie, może liczyć na łagodny wyrok. W „Solidarności”, w Kościele, w redakcjach, w stowarzyszeniach twórców, na wyższych uczelniach, w sądach, we wszystkich zakładach pracy - ludzie, którzy zgodzili się na współpracę z bezpieką, otrzymywali wsparcie w karierze.

Jakaś instancja musi zawsze stać na straży solidarności. W mafii jest *omertà*, w państwie prokuratura i sąd, w grupie społecznej opinia publiczna. Ostatecznie właśnie ona decyduje, czy niesolidarne postępowanie jest opłacalne. Jeśli zdrada uchodzi płazem, solidarność się załamuje i nie tak łatwo ją odbudować. Nikt nie chce być frajerem.

Opuszczę „pole bitewne” i przypomnę znany w socjologii model wspólnego pastwiska. Jeśli na pastwisko, na którym każdy uczestnik wspólnoty wypasa jedną krowę, ktoś wprowadzi dwie, osiągnie podwójny zysk.

Jeśli nie zostanie natychmiast ukarany, inni użytkownicy też wprowadzą dodatkowe krowy. Nikt nie chce być okradany. Pastwisko zostanie zniszczone, krowy będą głodne. Stopniowe wycofywanie dodatkowych krow w imię solidarności jest mało realne. Zniszczone zostało nie tylko pastwisko, również wzajemne zaufanie.

Najważniejszym kapitałem, decydującym o rozwoju kraju, jest zaufanie społeczne. W Polsce zostało ono zniszczone stanem wojennym. Umowa między władzą i społeczeństwem została brutalnie złamana. Co więcej, już wtedy, powołując się na chrześcijańską zasadę przebaczenia, odpuszczano zdrajcom. Potem było już tylko gorzej. Wojciech Jaruzelski został pierwszym prezydentem niepodległej Polski. Kto w okresie transformacji za radą znawców rozwoju kapitalizmu ukradł pierwszy milion, mógł dalej kraść bezkarnie: chroniło go święte prawo własności. Tajne służby utworzyły sieć powiązań polityczno-biznesowych, zakłócających rozwój demokracji i działanie rynku. Nie bez przyczyny każda próba ujawnienia zawartości archiwów tajnych służb kończy się niebotyczną awanturą polityczną, chociaż podobno już dawno problemu nie ma.

Nie rozumiem, dlaczego intelektualiści, socjologowie i filozofowie badający stan społeczeństwa w Polsce i przemiany po 1989 r. nie uwzględniają stanu wojennego i działań agentury. Te tematy są omijane szerokim łukiem nawet w pracach poświęconych „Solidarności”.

Ludzie pracy czują się zdradzeni i oszukani. W „Solidarności” o zakładach przemysłowych mówili „nasze”. Po nacjonalizacji przemysł i duże gospodarstwa rolne nie stały się własnością ani Partii, ani urzędników. Były własnością narodu, chociaż źle zarządzaną i eksploatowaną na rzecz obcego mocarstwa. W procesie transformacji nastąpiło realne wywłaszczenie i zniszczenie miejsc pracy. Zawiodła nowa „Solidarność” i jej przywódcy. Porzuciła działalność związkową, uzależniła się od partii politycznych, osłaniała przekształcanie systemu w Polskę Liberalną, a nawet sama próbowała pełnić rolę partii. Teraz wraca do roli związku zawodowego. Oby się udało.

Jednak przetrwała pamięć o NSZZ „Solidarność” z lat 1980-81, o tym, że miało i mogło być inaczej. Pierwsza „Solidarność” była doświadczeniem milionów ludzi. Dla wielu krótki okres jej działania był najważniejszym w ich życiu.

Hasło „Polska Solidarna”, które pomogło Prawu i Sprawiedliwości wygrać wybory w 2005 r., nie było pustą obietnicą wyborczą. Za rządów PiS skorumpowani politycy i urzędnicy na najwyższych stanowiskach przestali być bezkarni. To spowodowało, że i na niższych szczeblach władzy funkcjonariusze instytucji państwowych bali się wymuszać łapówki. Odetchnęli ludzie prowadzący uczciwe biznesy. Mówili, że mają konkretne oszczędności i nie obawiają się, iż jakaś decyzja administracyjna doprowadzi ich przedsiębiorstwo do bankructwa. Za tamtych rządów wykupiliśmy na własność nasze lokatorskie mieszkanie w spółdzielni. Można też było łatwo, po okazjnych cenach, wykupić mieszkania kwaterunkowe. Była to konkretna pomoc dla niezamożnych ludzi. Skandalem jest, że na to uwłaszczenie trzeba było czekać tyle lat. Może to zbieg okoliczności, ale przestało się pogardliwie mówić o blockersach. Ważna ustawa o otwarciu zawodów prawniczych dla młodzieży kończącej studia została zablokowana przez Trybunał Konstytucyjny. Brak dostępu do porad prawnych jest jedną z przyczyn bezradności, krzywd, wykluczenia. PiS postawiło tamę prywatyzacji majątku należącego do służby zdrowia. Beata uwiedziona przez agenta zalewała się łzami na oczach milionów widzów, ponieważ nie mogła „kręcić łodów przy prywatyzacji szpitali”. Próba zmierzenia się z mafią węglową skończyła się postawieniem PiS pod pręgierzem za samobójstwo Barbary Blidy.

PiS w obsadzie stanowisk popełniło błędy personalne, ale nie broniło „swoich” za wszelką cenę. Na czele wielu instytucji państwowych stanęli znakomici, kompetentni i niezależni ludzie. IPN, chociaż nieustannie atakowany przez agenturę, rozwinął działalność. PiS przygotowało wiele projektów i programów, których

© Misha Popovikj (popmisa), flickr.com/photos/kotle/4684956840/



nie zdążyło zrealizować. Niektóre kontynuuje PO, niestety tylko werbalnie.

Mówimy o Polsce Solidarnej, więc warto jeszcze wspomnieć o „polityce orderowej” Lecha Kaczyńskiego. Wielu działaczy WZZ, Pierwszej „Solidarności” i stanu wojennego zostało przypominanych opinii publicznej.

Największym błędem PiS było wycofanie się z bardzo dobrej ustawy o otwarciu archiwów tajnych służb i zwlekanie z publikacją aneksu do raportu o likwidacji WSI. Mafia każde cofnięcie się odczytuje jako słabość i przystępuje do bezwzględnego ataku. Innego rodzaju błędem było upieranie się przy budowie estakady nad bagnami Rospudy. Zaszkoziło to wizerunkowi PiS w oczach ideowej młodzieży. O Rospudzie słyszeli wszyscy, natomiast mało kto wie, że PiS jest przeciw uprawom roślin modyfikowanych genetycznie.

Koalicja z Samoobroną i LPR, chociaż wymuszona arytmetyką sejmową, miała dobre strony. Lepper nieustannie atakował Balcerowicza i domagał się lustracji majątkowej. Społeczeństwo ma krótką pamięć, więc przypominanie pierwotnych przyczyn patologii jest wskazane. Giertych stanowił przeciwwagę dla nachalnej propagandy antynarodowej i antykatolickiej. Niestety, obaj koalicjanci okazali się skrajnie nielojalni. Można odnieść wrażenie, że niektóre działania Giertycha, np. domaganie się na forum UE wprowadzenia bezwzględnego zakazu aborcji, miały na celu skompromitowanie rządu PiS.

Warunkiem wprowadzenia Polski Liberalnej było odsunięcie społeczeństwa od głosu. Ważne i nie wymagające większych środków finansowych jest odbudowanie agory, miejsca spotkań publicznych. Komerccjalizacja całej przestrzeni publicznej spowodowała, że nie ma nawet gdzie powiesić plakatu lub zawiadomienia o spotkaniu. Nie ma miejsca, gdzie można pokazać film objęty cenzurą, zaprezentować książkę, zorganizować debatę, zabawę, festyn. Można sobie

radzić, korzystając z uprzejmości proboszcza albo lidera jakiejś partii. Nie jest to zdrowa sytuacja. Gdzie ma się udać grupa obywateli oskarżana równocześnie o trockizm i o faszyzm?

Agora powinna być miejscem neutralnym. W Australii są Domy Polskie, z których korzystają wszelkie polonijne organizacje. Widziałam podobnie działające domy dla różnych organizacji społecznych i politycznych w Vancouver i w Waszyngtonie. Gdyby w Polsce w Domu Polskim zatrudnić kilka osób – technika sprzętu audiowizualnego, konserwatora, sprzątacza, prawnika, księgową, urzędnika przyjmującego zgłoszenia na spotkania, wydającego klucze do szaf organizacji i przyjmującego pocztę – koszty działania inicjatyw pozarządowych można by znacznie obniżyć. Mogłyby powstawać nowe. Kto nie zakładał stowarzyszenia, nie wie, że pierwszym problemem jest podanie adresu siedziby. Ponadto, moim zdaniem społeczeństwo obywatelskie to nie jest zbiór organizacji, lecz aktywni obywatele. Ich przede wszystkim mam na myśli, proponując finansowanie agory ze środków publicznych.

Tu i teraz bez żadnych dodatkowych nakładów finansowych można zacząć egzekwować prawo obywateli do informacji o działaniach instytucji państwowych i samorządowych. Teoretycznie można je znaleźć w Internecie, ponieważ wszyscy prowadzą własne strony, a niektórzy nawet wydają biuletyny. Ten sposób komunikowania się z obywatelami ma przeważnie charakter autopromocji. Urzędy nie odpowiadają na listy i pytania. Nie tylko w terminie określonym w prawie, po prostu nie odpowiadają w ogóle. Od dłuższego czasu znajoma bezskutecznie usiłuje dowiedzieć się, jakie jest maksymalne zanurzenie statków, które będą mogły wpływać do portu w Świnoujściu bez kolizji z gazociągami. Musi nam wystarczyć zapewnienie Angeli Merkel, że wszystko będzie dobrze.

Aby realnie rozpocząć budowę Polski Solidarnej, trzeba diametralnie zmienić sposób oceny stopnia rozwoju społeczno-gospodarczego i odejść od ślepego naśladownictwa krajów rozwiniętych. Zmianie liberalnego sposobu myślenia na solidarny służyłaby detronizacja PKB jako uniwersalnego wskaźnika rozwoju. Związki zawodowe i partie polityczne zainteresowane budową Polski Solidarnej powinny podać do publicznej wiadomości wartość współczynnika Giniego (miara egalitaryzmu) oraz wskaźnika HDI (miara rozwoju społecznego) dla Polski.

Stosowane w naszym kraju kryteria postępu i rozwoju są powierzchowne. Na wsi wójt rozdaje komputery mniej zamożnym rodzinom. Komputery trafiają pod strzechy, a we wsi nie ma kanalizacji i oczyszczalni ścieków, nie ma też żadnej komunikacji publicznej, aby dojechać do miasta.

W sytuacji kryzysu należy zrezygnować z nadmier-nych wydatków na propagandę. W szpitalach brakuje

Nie dzielam optymizmu władzy, że Polska jest „na właściwej ścieżce i kursie”. Przeciwnie, ten optymizm mnie niepokoi.



Interpretacja logo polskiej prezydencji w Radzie UE. - pomysły: Filip Stankiewicz, wykonanie: <http://rebelya.pl/discussion/25563/logo-prezydencji-widzeli>

pieniędzy na żywienie chorych, a w Warszawie zainstalowano fontannę za 11 mln zł. Gdańsk ufundował za prawie milion złotych pomnik dzieci, które rano z Rzeszy wysyłając je do Londynu. Intencją władzy miasta było prawdopodobnie zdjęcie z Polaków odium antysemityzmu. Stało się odwrotnie. Budowa i odsłonięcie pomnika dały okazję do przypisywania Polakom zbrodni niemieckich. Na budowę Europejskiego Centrum Solidarności przeznaczono kilka milionów złotych. W Polsce Solidarnej nie byłoby to możliwe. Nikt nie protestuje, ponieważ nie wypada występować przeciw idei Solidarności. Do różnych tabu narzucanych przez polityczną poprawność doszło jeszcze i to.

Nie widzę uzasadnienia, aby ograniczać się do jednej idei i tradycji, nie widzę potrzeby ustalania hierarchii wartości. Doktrynalnie traktowane wartości są wzajemnie sprzeczne. Teolog szwajcarski Romano Amerio błędnemu odczytaniu dogmatu o Trójcy

Świętej przypisuje fakt, że w naszym myśleniu prymat zdobyło pojęcie miłości, kosztem kategorii poznania i prawdy. Miłość do nieuleczalnie chorych może być uzasadnieniem eutanazji. Miłość pojmowana jako zgoda i brak konfliktów prowadzi do ekumenizmu dobra ze złem, prawdy i fałszu. Prawdziwą miłość poprzedza poznanie opierające się na prawdzie.

Nie podzielam optymizmu władzy, że Polska jest „na właściwej ścieżce i kursie”. Przeciwnie, ten optymizm mnie niepokoi. Nie mam zaufania do przywódców, którzy nie dostrzegają i nie przewidują zagrożeń. Imitowanie państw zachodniej Europy kojarzy się z potiomkinowskimi wioskami i wpisuje w tradycję propagandy komunistycznej. W systemie neoliberalnym nie wygląda to lepiej. Tak długo ukrywa się problemy, pożyczka pieniędzy, stosuje kreatywną księgowość, aż dojdzie do bankructwa. Zagrożenia są poważne. Uważam, że powinniśmy przede wszystkim sięgać do polskiej tradycji i szukać rozwiązań niekonwencjonalnych. W historii mieliśmy księży-społeczników oraz komunistów traktujących robotników z pogardą. Nieważne, czy kot jest prawicowy czy lewicowy, byle łowił myszy.

W Polsce jest wielu kompetentnych i przyzwoitych ludzi. Problem w tym, że niewielu z nich przebiło się do mediów. W debacie publicznej wciąż dominują liberałowie. Wybitni ekonomiści na świecie uznali liberalizm za koncepcję chybioną, ale w Polsce wciąż chowamy głowę w piasek. Oprócz przymiotów intelektualnych, ludzie opracowujący projekt prospołecznego rozwoju muszą wyróżniać się odwagą i niezależnością. Nie widzę obecnie nikogo, z wyjątkiem Jarosława Kaczyńskiego, kto mógłby tych ludzi zebrać razem.

Nie możemy jednak liczyć na to, że korzystne dla społeczeństwa zmiany zostaną przeprowadzone odgórnie, nawet gdy będziemy mieli sojuszników w parlamencie. Dlatego decydująca będzie samoorganizacja społeczeństwa. W tej chwili sytuacja polityczna wygląda beznadziejnie. Rząd robi, co chce (czyli niewiele), troszcząc się tylko o swój wizerunek. Można odnieść wrażenie, że władza i elity żyją w innej Polsce niż reszta obywateli.

Niepokojąca jest propaganda, której celem jest dezintegracja. Jaki jest sens przeciwstawiania „dzikusów”, domagających się rzetelnego śledztwa w sprawie katastrofy smoleńskiej, „kulturalnemu” ogółowi, który do takich incydentów nie przywiązuje większej wagi?

Polskę Solidarną można zbudować tylko w oparciu o patriotyzm, który nadaje znaczenie pojęciu wspólnego dobra.

JOANNA DUDA-GWIAZDA

FUNDUSZ „NOWEGO OBYWATELA”

TO JEDYNY SPOSÓB NA PRAWDZIwą NIEZALEŻNOŚĆ!

„Nowy Obywatel” powstaje dzięki zaangażowaniu dziesiątek autorów, grafików, tłumaczy, korektorów i innych aktywistów, którzy swoją codzienną wolontariacką pracą umożliwiają wydawanie kwartalnika i książek, organizowanie dyskusji, prelekcji, pokazów filmowych i innych działań.

**Podoba Ci się to, co robimy?
Wesprzyj dowolną kwotą
Fundusz „Nowego Obywatela”
lub wpłać co najmniej
120 zł i dołącz do Klubu
współwydawców! Szczegóły
na nowyobywatel.pl/klub**

Dzięki Twojej wpłacie będziemy mogli wydrukować następny numer gazety, zorganizować pokaz filmowy, wyjechać z prelekcjami. Każda podarowana złotówka umożliwia rozwój naszych działań.

Wpłaty można przekazywać na konto:
Stowarzyszenie „Obywatele Obywatelom”
ul. Więckowskiego 33/126, 90-743 Łódź
Bank Spółdzielczy Rzemiosła
ul. Moniuszki 6, 90-111, Łódź
Numer konta: 78 8784 0003 2001 0000 1344 0001
z dopiskiem „Fundusz »Nowego Obywatela«”.

**W tym kwartale do Klubu współwydawców
„Nowego Obywatela” dołączyli:**

- **Mateusz Batelt** z Warszawy,
- **Justyna Błazejowska** z Piotrkowa Trybunalskiego,
- **Artur Tomaszewski** z Mieroszowa.

Dziękujemy!

Lewica post-neoliberalna

EWA CHARKIEWICZ

„Polska Solidarna” jest pojęciem po politycznych przejściach. Nie jestem pewna, czy nadaje się do reanimacji. Nie chodzi tylko o to, iż lansowała je partia, która po objęciu władzy nie zrealizowała wyborczych obietnic.

Partie parlamentarne funkcjonują w obrębie politycznych, historycznie kształtowanych możliwości oraz panującej polityki prawdy, która zabetonowana jest w neoliberalnych ramach. Niemal wcale nie ma u nas krytyki tego dyskursu wiedzy/władzy. Panuje wręcz zamieszanie pojęciowe, spowodowane brakiem rozróżnienia między społecznie zakorzenionym liberalizmem (prawa człowieka i państwo pośredniczące w podziale kosztów reprodukcji społecznej - projekt historyczny, bo wszędzie przejechał po nim neoliberalny walec), a neoliberalizmem (państwo jako firma, zarządzanie przez finanse, polityczny podmiot państwa to nawet nie przedsiębiorca, lecz inwestor). W efekcie lewica ma politycznego przeciwnika, który jest zamglonym cieniem i nie ma jak mu się przeciwstawiać.

O ile niektóre dyskusje odnoszą się do świeckości państwa, o tyle do doktryny neoliberalnej nie odnosi się żadna z partii parlamentarnych, które jednocześnie ją wdrażają. To jedna z największych przeszkód na drodze do przyszłej realizacji polityki lewicowej czy polityki solidarności społecznej, czyli takiej, która zapewni bezpieczeństwo socjalne i ekologiczne, wdrażanie

wszystkich praw człowieka oraz bardziej sprawiedliwy podział kosztów opieki i wyników wzrostu gospodarczego. Taka polityka nie ma jeszcze w Polsce zaplecza w postaci silnego krytycznego dyskursu, który byłby w stanie osiągnąć taką masę krytyczną, aby przełamać neoliberalny monopol w polityce prawdy. **W parlamencie i mediach toczą się gorące spory o politykę obywatelową czy historyczną, ale ustawy społeczne i gospodarcze, ograniczające prawa obywatelskie, przechodzą bez większych dyskusji.**

Wśród przyczyn hamujących rozwój lewicowej polityki w Polsce był założycielski dyskurs transformacji, zorganizowany według wzoru przejścia od piekła, czyli totalitaryzmu i nędzy czasów komuny, przez czyszcenie reform ustrojowych - do raju „wolnego rynku” i „demokracji”, które zapewnią powszechną szczęśliwość i dobrobyt. „Wolny rynek”, opisywany przy pomocy atrybutów prywatyzacji, konkurencyjności oraz efektywności, niewiele ma wspólnego z tym, jak w istocie funkcjonują rynki. Jest natomiast użyteczny jako polityczny ideał czy - jak chce Foucault - „permanentny trybunał ekonomiczny”. Wymusza powszechne dostosowania, w tym

przeobraża jednostki w przedsiębiorcze podmioty, którym solidarne państwo nie jest potrzebne, a także uzasadnia likwidację wszelkich ograniczeń w przepływie kapitału, ukrywając zarazem społeczne i ekologiczne koszty. Analogicznie uprawiano ewangelizację na rzecz Unii Europejskiej i „powrotu do Europy”. Transformacja legitymizowała się przez projekcję powszechnego bogactwa i przez Kościół, który nota bene sam ulegał urynkowieniu: księża stali się przedsiębiorcami, którzy zarządzają duszami wiernych oraz parafią jak przedsiębiorstwem.

Ten polityczny PR miał zaplecze w produkcji wiedzy na temat gospodarki, państwa, grup społecznych i jednostek (diagnozy, raporty, strategie, programy, poradniki). Wprowadziła ona kryteria z ekonomii do analiz społecznych i do dyskursu jurydycznego; np. rok temu sądy rodzinne zlikwidowano z powodu ich nieefektywności ekonomicznej. To, co było kategorią praw i potrzeb, przeobrażone zostało w kategorii finansowe – *vide* nadrzędność diagnozy ekonomicznej nad medyczną w reformach zarządzania ochroną zdrowia. Nowa kategoria, społeczeństwo obywatelskie, jak mówił Foucault w „Narodziinach biopolityki”, to zbiorowość przedsiębiorczych jednostek, wyposażonych do konkurencji z innymi, które kalkulują koszty i korzyści, inwestują w siebie i potomstwo, i czerpią z tego zyski. Pozwala to przerzucić koszty hiperkonkurencji i ryzyka biznesowego do gospodarstw domowych. Ponieważ upowszechnienie normy przedsiębiorczości i wzrost gospodarczy mają rozwiązać problem ubóstwa, polityka społeczna okazuje się zbędna, a jeśli racjonalny ekonomiczny podmiot jest bezrobotny, to na własne życzenie.

Dopóki transformacja ustrojowa nie była „zaklepana” (m.in. przez akcesję do Unii), ten dyskurs działał jak broń masowego rażenia wobec wszelkich tęgnot lewicowych. Dopiero później zaczęły w Polsce powstawać nowe ogniska krytyki społecznej. Jednak wskutek założycielskiego dyskursu transformacji, który wyznaczył granice polityki parlamentarnej, scena polityczna i polityka prawdy bardzo mocno przesunęły się w konserwatywno-neoliberalną stronę. Dzisiaj ten pierwotny dyskurs, który wdrażał i zabezpieczał transformację, jest już zbędny i został zastąpiony przez dwie nowe ramy: postpolityki (zamazanie konfliktów społecznych) i modernizacji (neoliberalizm w nowym opakowaniu).

Kiedy jednak spojrzymy na wspomniane dyskursy przez pryzmat *realu*, to za regulatywnymi ideałami wolnego rynku i demokracji skrywa się paradoks jednoczesnej widzialności i bezgłosu licznych grup społecznych, dezindustrializacja i likwidacja miejsc pracy, „uelastycznienie” (czytaj: intensyfikacja i potanie) pracy, prywatyzacja sfery publicznej, kontrola reprodukcji (zakaz aborcji i odbieranie dzieci ubogim matkom), przerzucanie kosztów szeroko rozumianej opieki do gospodarstw domowych. A wszystko to w ramach ustawicznego dążenia do hiperkonkurencyjności i jak chcą doradcy premiera, autorzy raportu „Polska



© ninette_luz, flickr.com/photos/ninette_luz/3413779145/

2030”, w imię rozwoju podporządkowanego akumulacji kapitału.

W 2005 r. prof. Mieczysław Kabaj pisał o stracie netto 5 mln miejsc pracy przy jednoczesnym wzroście liczby osób w wieku produkcyjnym. Część nowych miejsc pracy, jakie później powstały, miała już charakter prekariatu, zwiększyła się migracja za chlebem, rośnie grupa „pracujących ubogich”. Po kryzysie z 2008 r. mamy systematyczny spadek zatrudnienia, który ulegnie przyspieszeniu wraz z realizowanymi cięciami w administracji publicznej i po znacznym ograniczeniu w najbliższych latach transferów z Unii Europejskiej. **Próba zagospodarowania przez PO reprezentacji lewicy to nie tylko kalkulacja wyborcza, ale także reakcja na taki przewidywany rozwój sytuacji społecznej.**

O ile starsze pokolenia mogą jeszcze czerpać z zasobów z czasów PRL-u, jak uprawnienia do emerytur, to obecne młode pokolenie już nie ma zagwarantowanego bezpieczeństwa egzystencjalnego. Pod koniec lat 90. i na początku kolejnej dekady przed młodymi z wyższym wykształceniem otwierały się ścieżki kariery. Dzisiaj te miejsca pracy są już zajęte, a bywa, że ludzie po studiach pracują przy taśmie w montowniach lub w *call centers* za grosze. Nawet ci, którzy mają pracę i zdolność kredytową, kupują małe, dwupokojowe mieszkania, bo na większe ich nie stać.

W dużej mierze także demokracja jest użyteczną fikcją. Jej miarą miało być uwłasnowolnienie obywateli i decentralizacja władzy. Tymczasem decentralizacji nie towarzyszyło przekazywanie wystarczających środków na ochronę zdrowia, pomoc socjalną, budownictwo komunalne. Z kolei prawa obywatelskie zostały ograniczone do praw własności oraz wyborczych. Nie ma z czego wybierać wśród partii obecnych w parlamencie, tymczasem ustawa skutecznie blokuje do niego

dostęp mniejszym ugrupowaniom. Społeczeństwo obywatelskie to nie tylko strategia upowszechniania form przedsiębiorczych, przeobrażania ruchów społecznych w grupy interesu. To także polityka jako rynek, konkurencja między grupami interesów i organizacjami pozarządowymi, odpowiedzialnymi wobec fundatorów, a nie tych, których mają reprezentować. **Sterowane na odległość przez warunki przyznawania grantów, organizacje obywatelskie mogą praktykować filantropię czy świadczyć usługi, z których wycofało się państwo, a krytykę społeczną czy walkę o prawa pracownicze i socjalne mogą uprawiać kosztem własnego życia swoich aktywistów, co prowadzi do reprivatyzacji politycznej odpowiedzialności państwa za warunki życia jego mieszkańców.** Dyskursy „społeczeństwa obywatelskiego” i postpolityki skutecznie pozamazywały konflikty społeczne.

Jeśli chodzi o sprzeczności między polityczną retoryką a rzeczywistością, to PiS zmniejszyło podatki dla najzamożniejszych i prowadziło neoliberalną politykę ekonomiczną. W projekcie Konstytucji z 2005 r. prawa socjalne zostały skasowane. W kolejnym projekcie ustawy zasadniczej, przygotowanym przez PiS w 2010 r., przywrócone zostały fragmenty retoryki uprawnień socjalnych, ujęto je jako dobra wspólne, ale poza ramami praw człowieka i obywatela. Ochronę zdrowia potraktowano w kategoriach dostępności, jednak bez gwarancji równego dostępu, jak w obowiązującej ustawie zasadniczej. Wprawdzie lepsze to niż patologizowanie praw socjalnych jako roszczeń, niemniej jest faktem, iż PiS parceluje prawa człowieka, które w ratyfikowanych przez Polskę międzynarodowych konwencjach rozumiane są jako nierozdzielne i uniwersalne. Inny przykład to usunięcie zapisu o prawach kobiet, który zawiera Konstytucja z 1997 r.

PO dąży do redukcji zaangażowania państwa w sferę społeczną i przerzucenia odpowiedzialności na rodzinę, Kościół i organizacje pozarządowe (patrz - „Polska 2030”). Natomiast w PiS-owskich projektach Konstytucji państwo ma zadania społeczne, w tym przeciwdziałanie bezrobociu, bezdomności i innym postaciom wykluczenia, ochronę godności pracy - ale obywatele i obywatelki nie mają zagwarantowanych praw pracowniczych i socjalnych, których realizacji mogą od państwa wymagać. Mamy więc do czynienia z patriarchalnym modelem władzy i opieką w zamian za posłuszeństwo. Dla PiS prawa człowieka to nie prawa, lecz - podobnie jak dla PO - dobrodziejstwa. Główny podmiot polityczny według PiS to naród, o który trzeba dbać, aby Polska była potęgą polityczną i gospodarczą. Imperialną wizję naszego kraju ma również PO.

O ile dla PiS podmiot polityczny stanowi naród jako wspólnota Polaków i katolików, a dla PO - inwestor, o tyle SLD jest partią bez podmiotu. Wprawdzie w dokumentach Sojuszu z 2007 r. są deklaracje, że identyfikuje się on z pracą, a nie z kapitałem, ale formacja ta nie opublikowała programu gospodarczego, który pozwoliłby



takie cele realizować. W programie na wybory samorządowe 2010 r. jak ognia unikała politycznego konfliktu, a w prezydenckiej kampanii wyborczej legitymizowała się jako lewica obyczajowa. Poruszała wprawdzie ważne kwestie społeczne i pracownicze, ale ponieważ w neoliberalnym kontekście polityka społeczna to polityka gospodarcza (skoro zakłada on, iż korzyści ze wzrostu gospodarczego skapują do dołu), podobne prospołeczne deklaracje nie interweniują w główne ramy polityki, lecz płyną obok.

Granica między prawicą a lewicą zawsze była do pewnego stopnia umowna, jednak dzisiaj, w czasach neoliberalno-konserwatywnej hegemonii, mamy do czynienia z jej przesunięciem poza obręb dyskursu publicznego i parlamentarnej demokracji. **Socjaldemokracja to obecnie polityczny zabytek, a partie, które zajmowały tę pozycję, albo zostały zmarginalizowane, albo przeobraziły się w lewicę neoliberalną, która etykietuje się jako tzw. trzecia droga, odwołując do nowej modernizacji, co czyni zarówno Sławomir Sierakowski i środowisko „Krytyki Politycznej”, jak i Michał Boni.** Pojęcia te, jako formy oderwane od sugerowanych przez siebie znaczeń, robią z polityki spektakl, ukrywając zarazem upowszechnienie przemocy, polityki stanu wyjątkowego, instrumentalizację i urynkwienie prawa, czy, jak uważa Wendy Brown, jedna z najwybitniejszych współczesnych feministycznych filozofek, przemieszczenie suwerenności do kapitału i Kościoła - a więc maskując faktyczne stosunki władzy.

Polska lewica straciła zdolność komunikacji i nie stworzyła siatki pojęciowej do krytyki transformacji, co się zmienia dopiero teraz, powoli i grubo za późno. Politycy SLD nie wypracowali analiz, które pozwolą zobaczyć nową rzeczywistość społeczną jak króla bez ubrania. Podobnie jak inni politycy, skupili się na taktyce,



© genvessel, flickr.com/photos/genvessel/1619325474/

na polityce medialnej; nie mają strategii, a nawet języka do zaistnienia w polityce inaczej niż w ramach dozwolonych przez neoliberalizm. Ma to liczne i różnorodne przyczyny, np. MFW i Bank Światowy efektywnie popierali partie postkomunistyczne, gdyż uważali, że włączenie ich do polityki parlamentarnej i rządu ułatwi deregulację i prywatyzację. Zarządzanie politycznym ryzykiem przemawiało za tym, aby nie zostawiać ich na zewnątrz, gdzie mogłyby ogniskować opór wobec neoliberalnej transformacji. A domowa patologizacja „postkomuny” wytwarzała u niej zapotrzebowanie na autoprezentację w roli nowoczesnych, rynkowych obywateli. Stworzyło to polityków takich jak Leszek Miller, szef partii nominalnie lewicowej, który domagał się podatku liniowego.

Co istotne, były i są pewne ciągłości między państwowym socjalizmem a neoliberalizmem. Główne zajęcie rządów i administracji od Gomułki po Tuska to rządzenie ekonomiczne, skupione na wzmacnianiu potencjału gospodarczego. Robią to inaczej, w różnych kontekstach, inaczej odnosząc się do podziału efektów wzrostu gospodarczego, ale jego miary (PKB) i podporządkowanie mu społeczeństwa są identyczne. Między innymi dlatego tak łatwo było intelektualnym elitom wychowanym w PRL-u, w tym Leszkowi Balcerowiczowi czy Michałowi Boniemu, przejść od real-socjalizmu do neoliberalizmu.

Taktyczne objęcie przez Bartosza Arłukowicza stanowiska „reprezentanta wykluczonych” pozwala dostrzec, iż Sojusz został wprężnięty do roli lewicy neoliberalnej i do konkurencji z PO o to miejsce na scenie politycznej. Jeśli reprezentacja wykluczonych jest dopuszczalna, to tylko przez mianowanie, a więc fikcję demokracji. Ponadto, sama kategoria wykluczonych ma za zadanie jedynie legitymizację rzekomej normy

(zamożności), z której 80–90% tzw. społeczeństwa jest wykluczone, służąc jednocześnie jako siła robocza czy zasób fiskalny, z którego dochody mikroklasa zarządzająca państwem przekierowuje na konta wielkiego biznesu i sektora finansów. Bartosz Arłukowicz mianowany jest na przedstawiciela wykluczonych, a więc (prawie) wszystkich po to, żeby „wszyscy” nie mieli swojego przedstawiciela.

Podsumowując, w polskiej polityce parlamentarnej 20-lecia transformacji, w trakcie której pod naciskiem dyskursywnego przymusu scena polityczna bardzo mocno przesunęła się w prawo, pojęcia takie jak lewica czy Polska Solidarna odnoszą się do polityki tożsamościowej reprezentacji, podczas gdy autorytaryzm polityczny i neoliberalne zarządzanie nie są kontestowane. Państwo jest zarządzane jak firma: najważniejszy dokument polityczny stanowi sprawozdanie finansowe, a sfera społeczna to pasywa, które trzeba minimalizować. Mamy więc do czynienia z kryzysem polityki. **Dyskurs o Polsce Solidarnej ma zatem formę bez treści w postaci konkretnego politycznego „oprzyrządowania”, takiego jak krytyka poszczególnych polityk i projekty alternatywnych rozwiązań. Dopiero od niedawna fermentuje nowa krytyka społeczna, zagęszczają się kontestacje neoliberalizmu, łamania praw pracowniczych i likwidacji uprawnień socjalnych, polityki antymieszkaniowej, prywatyzacji edukacji. Feminizm dzieli się na neoliberalny i lewicowy – ostatnia Manifa odbyła się pod hasłem sprzeciwu wobec prekariatu i łamania praw pracowniczych. Ruch ekologiczny dostaje nowego wiatru w żagle wraz z rosnącym sprzeciwem wobec energetyki jądrowej, który przez dyfrakcję może dać formę innym protestom społecznym. Nowa jakość w pozaparlamentarnej polityce lewicowej to odchodzenie od ruchów jednej sprawy czy jednej grupy interesu do budowania związków między nimi.**

Mamy też pierwsze szczeliny w polityce głównego nurtu, w której konflikt między interesem przetrwania państwa a interesem rynków finansowych w sprawie emerytur i transferów do OFE otworzył konflikt polityczny i podważył fantazmat rynku jako sielanki i jako zastępczego modelu systemu zabezpieczeń społecznych. Z drugiej zaś strony są potrzeby i pragnienia części elektoratu, formy negacji, wezwania do naprawy krzywd transformacji, w tym dotyczących likwidowania praw ekonomicznych i socjalnych. Na razie jednak PiS czy SLD i ich przywódcy nie podważają neoliberalnego porządku transformacji, nie podejmują prób wyobrażenia sobie państwa i rynków inaczej. A szkoda, bo w polskiej polityce parlamentarnej potrzebna jest zarówno lewica katolicka, jak i nowy, postneoliberalny projekt lewicowy.

EWA CHARKIEWICZ

Think Tank Feministyczny i LSF Rozwiązda

Pracownicy gorszej Europy

MACIEJ PAŃKÓW

W państwach naszego regionu pracownicy protestują mniej, za to pracują więcej niż na Zachodzie.

Europejska Fundacja na rzecz Poprawy Warunków Życia i Pracy (Eurofound) prowadzi projekt Europejskie Obserwatorium Stosunków Przemysłowych (EIRO). W jego ramach gromadzone są dane umożliwiające analizę porównawczą natężenia konfliktu przemysłowego oraz treści regulacji i układów zbiorowych we wszystkich państwach członkowskich Unii Europejskiej i Norwegii.

Choć nie wszędzie obowiązują identyczne standardy i definicje, a dane są niekompletne, lektura raportów EIRO dostarcza interesującej wiedzy i uzmysławia wyraźne różnice pomiędzy „starą piętnastką” a nowymi członkami Wspólnoty. Dwie z nich chciałbym omówić. Pierwsza obejmuje skalę i przyczyny protestów pracowniczych, druga zaś wymiar czasu pracy. Przywoływane dane odnoszą się do 2009 r., choć autorzy podali również statystyki z poprzednich lat, aby umożliwić uchwycenie trendów.

Protest niejedno ma imię

Raport pod tytułem „Developments in industrial action 2005-2009” poświęcony jest akcjom protestacyjnym – szczególnie tym, które przyniosły pracodawcom straty z tytułu odejścia pracowników od stanowisk. Za podstawę analizy przyjęto liczbę roboczych dni straconych w ciągu roku w przeliczeniu na 1000 zatrudnionych.

Dane zgromadzone przez EIRO nie mogą być kompletne. W przypadku niektórych państw zostały uzyskane w sposób, który uniemożliwia stuprocentową porównywalność. Wynika to przede wszystkim z braku uzgodnionych międzynarodowo definicji strajków i innych akcji protestacyjnych. Przykładowo, we Francji jako strajk nie zostanie zakwalifikowany protest w firmie zatrudniającej mniej niż 10 pracowników. W Niemczech i Wielkiej Brytanii taka właśnie liczba osób musi wziąć udział w akcji, by została ona ujęta w statystykach, zaś w Austrii odnotowuje się tylko legalne strajki. W Portugalii wyłącza się ze statystyk protesty organizowane przez pracowników administracji publicznej. Wreszcie, nie istnieją wspólne ustalenia co do minimalnego czasu trwania akcji protestacyjnej.

Porządek panuje w Polsce

Przeglądając dane dla poszczególnych państw w kolejnych latach, dochodzi się do wniosku, że wysokość interesującego nas wskaźnika wykazuje istotne zróżnicowanie geograficzne, brak natomiast wyraźnych prawidłowości jeśli chodzi o jej zmiany w czasie.

Wyraźny trend wzrostowy dało się zaobserwować między 2005 i 2009 r. w Hiszpanii: w kolejnych latach gospodarka tego kraju straciła 40,2; 47,1; 58,1; 73,9 oraz 82,7 dni roboczych w przeliczeniu na 1000



©© Jonathan_W, flickr.com/photos/s3a/4406984166/

pracowników. W pozostałych państwach w tym okresie występowały silne wahania - po okresie wzrostów następował spadek lub odwrotnie. Różnice między kolejnymi pomiarami są często duże, nawet do dwóch rzędów wielkości. Przykładowo, w Danii po trzech latach umiarkowanych strat na poziomie 20-30 dni rocznie, nastąpił rekordowo duży skok aż do 701,2 dni (najwyższy wynik spośród wszystkich analizowanych państw), podczas gdy kolejny, 2009 r. był wyjątkowo „pokoju” - w gospodarce doszło do straty jedynie 6 dni roboczych w przeliczeniu na 1000 zatrudnionych.

Wyraźny wzrost statystyk może zostać spowodowany nawet przez jedną i skoncentrowaną w nielicznych segmentach gospodarki, ale długotrwałą i intensywną akcję protestacyjną. Tak było właśnie w Danii, gdzie w 2008 r. doszło do dwumiesięcznego strajku pielęgniarek, opiekunek domowych oraz wychowawców dzieci i młodzieży.

Wyciągnięcie dla poszczególnych państw średniej z kolejnych lat unaocznia bardzo wyraźną prawidłowość. Średnia dla 25 analizowanych krajów (brak danych dla Bułgarii, Czech i Grecji) to 30,6 straconych dni roboczych na 1000 pracowników. Przy czym średnia dla „piętnastki” i Norwegii wynosi 43,6, zaś dla 12 nowych państw UE - tylko 11 dni. Najwyższe wyniki, przekraczające średnią dla „piętnastki”, uzyskały:

Dania (159,4), Francja (132), Belgia (78,8), Finlandia (72,9) i Hiszpania (60,4). Są jednak również państwa „starej” Unii, które wykazują bardzo niski poziom strat wywołanych otwartym konfliktem przemysłowym. Należą do nich Austria (0), Luksemburg (4,1), Holandia (5,7), Niemcy i Szwecja (po 6,2). Państwa te uzyskały wyniki niższe niż średnia dla nowych państw członkowskich.

Bardzo niskie straty zanotowano we wszystkich postkomunistycznych państwach Europy Środkowo-Wschodniej, podczas gdy Cypr i Malta osiągnęły wyniki „zachodnioeuropejskie”. Być może wynika to ze specyfiki regionu śródziemnomorskiego, w którym dość powszechnie występują stosunkowo wysokie straty. Poza wymienioną wcześniej w grupie najbardziej dotkniętych protestami państw Hiszpanią, również Włochy notują relatywnie wysoką średnią (34,8), co sytuuje je na 9. miejscu, zaraz za Irlandią, a przed Wielką Brytanią i Norwegią. Brak niestety szczegółowych danych dla Grecji, jednak z innych źródeł można wnioskować, że uzyskałaby ona raczej wysoką pozycję w zestawieniu.

Wśród państw naszego regionu wszystkie poza Słowenią uzyskały wynik poniżej 10. W Polsce tracono średnio 6,5 dnia roboczego na 1000 pracowników rocznie. Nieco bardziej aktywnie od nas protestowali

Litwini. W pozostałych dwóch republikach nadbałtyckich oraz na Słowacji straty mieściły się w przedziale 0-2 dni roboczych rocznie.

Nie będzie chyba dużym zaskoczeniem, że to spory o wysokość płac stanowiły najczęstszą przyczynę straty dni roboczych w badanych krajach. Były one podstawową kwestią, którą uzasadniano prowadzenie akcji protestacyjnych w Polsce w latach 2005-2007, jako główną wskazano je w przypadku Francji, Litwy, Portugalii, Rumunii i Wielkiej Brytanii. Z kolei tylko na Cyprze, w Hiszpanii i Holandii płace nie występowały wśród głównych przyczyn, dla których pracownicy opuszczali swoje stanowiska. Kraje te trapiły przede wszystkim problemy z zawarciem porozumień zbiorowych bądź ich zrywanie, względnie kwestie „nie związane z rokowaniami zbiorowymi” – ta kategoria w odniesieniu do Hiszpanii obejmuje m.in. kwestie restrukturyzacji, redukcji miejsc pracy, organizacji pracy, zdrowia i bezpieczeństwa, zwolnień, dyscypliny, naruszeń umów oraz niewypłaconych wynagrodzeń. Ta grupa przyczyn jako szczególnie istotna wskazana została jeszcze m.in. w odniesieniu do Rumunii oraz naszego kraju. W przypadku Polski jako protesty z przyczyn „wykraczających poza definicję rokowań zbiorowych” wskazano spory związane z problematyką reform i prywatyzacji, które w 2008 r. stanowiły nad Wisłą najczęstsze źródło pracowniczego sprzeciwu. Nasi pracownicy prowadzili zmagania również w bardziej powszechnie konfliktogennych w skali Europy sprawach, takich jak warunki pracy czy prawa związków zawodowych.

Mateczniki oporu

W zbadanych państwach największą liczbę dni roboczych stracono wskutek akcji protestacyjnych w sektorze produkcji przemysłowej, zwłaszcza w branży metalowej (szczególna koncentracja strajków w kolejnych latach miała miejsce w Czechach i we Włoszech). Na drugim miejscu znalazły się usługi publiczne: edukacja, opieka zdrowotna, opieka społeczna i administracja publiczna. Protesty w tym sektorze były częste m.in. w Bułgarii, Danii, na Słowacji i na Węgrzech. Na kolejnym miejscu ulokował się transport i komunikacja – powtarzające się problemy w tej branży notowano we Francji. Sektor usług świadczonych przez podmioty prywatne był stosunkowo mniej narażony na straty, choć te również miały miejsce m.in. w Niemczech (sprzedaż detaliczna), na Cyprze i we Włoszech (hotele, handel) czy w Norwegii (finanse). Z kolei specyficzna dla Grecji przez większość rozpatrywanego okresu była dominacja strajków powszechnych.

W Polsce w pierwszej trójce najbardziej dotkniętych protestami branż figurowała rokrocznie służba zdrowia. Dwukrotnie odnotowano tam największe straty dni roboczych, dwa razy ustąpiła pierwszego miejsca edukacji, zaś raz produkcji przemysłowej i transportowi (w 2005 r.). Konfliktogenne było również górnictwo

(dwukrotnie w czołówce rankingu), a także transport, przemysł odzieżowy i energetyczny.

Autorzy raportu podjęli również kwestię zagrożenia strajkiem jako ważnej techniki negocjacyjnej. Nie należy jej utożsamiać z krótkimi tzw. strajkami ostrzegawczymi, prowadzonymi w Estonii, Niemczech, na Węgrzech, Litwie i w Polsce. Wiadomo, że jest stosowana w bardzo wielu państwach, jednocześnie w mało którym gromadzone są dotyczące jej statystyki. Przykładem kraju, w którym strony zasiadają do rokowań, mając świadomość, że niedotrzymanie ustalonych terminów lub zerwanie negocjacji oznacza rozpoczęcie protestu, jest Norwegia. Pogotowie strajkowe stanowi tam bodziec do poszukiwania porozumienia. Groźba strajku jest zwyczajną taktyką również w Szwecji i Irlandii. Można przypuszczać, że sytuacji tego rodzaju nie było (lub stanowiły margines) jedynie na Cyprze, w Danii, Luksemburgu i na Litwie. Żadnych danych na ten temat nie gromadzono w Grecji, Hiszpanii, Holandii i Słowenii.

Perspektywa niekorzystnego scenariusza „pomogła” w zawarciu porozumień m.in. we Francji, gdzie wzrosły płace w branży transportowej, oraz w Austrii, w której zrezygnowano ze zwiększenia tygodniowego wymiaru czasu pracy nauczycieli w zamian za ustępstwo z ich strony – zgodę na redukcję premii. Zazwyczaj pogotowie strajkowe odwoływano, gdy związkom udało się wywalczyć realizację postulatów lub wynegocjować warunki kompromisowe. W Belgii groźba protestu skłoniła partnerów społecznych do przełamania poważnego impasu w rokowaniach i ich kontynuacji.

Wyrywkowe dane na temat przypadków ogłaszania pogotowia strajkowego uzyskano jedynie we Włoszech i Wielkiej Brytanii. W pierwszym z tych państw monitoringowi podlegają ważne usługi publiczne, których deficyt mógłby stwarzać zagrożenie dla obywateli. W 2008 r. odnotowano 2195 sytuacji, gdy istniała groźba protestu; w 39% z nich strajki ostatecznie się nie rozpoczęły. W odniesieniu do Zjednoczonego Królestwa możliwe było porównanie liczby wszczętych sporów z liczbą referendów strajkowych, które przyniosły decyzję o podjęciu protestu. Sytuacje, w których groźba strajku urzeczywistniła się, stanowiły w poszczególnych latach od 14 do 22%.

W przypadkach, gdy protest nie jest organizowany przez pracowników usług publicznych, państwo – nie będące stroną w sporze – nie ma podstaw do podejmowania interwencji. Jednak jako podmiot posiadający instrumenty regulacji stosunków społeczno-gospodarczych, a także uczestniczący w instytucjach dialogu trójstronnego, może pośrednio oddziaływać na pozostałych aktorów.

Poza odgrywaniem roli mediatora, rządy w pewnych okolicznościach sięgały niekiedy po dostępne instrumenty regulacyjne, dzięki którym możliwe było przywrócenie równowagi w branżach objętych protestami i załagodzenie sporu. Tak było we Francji



00@nr23, flickr.com/photos/nr23/4850512378/

w 2009 r., kiedy to pracodawcy z sektora hotelowego i gastronomicznego mogli zaproponować korzystniejsze warunki zatrudnienia dzięki temu, że rząd zdecydował się utrzymać na czas nieokreślony obniżone stawki podatku VAT. W konsekwencji tego posunięcia odstąpiono od planowanych strajków.

Państwo posiada większe pole manewru w sytuacji, gdy do protestów dochodzi w sferze budżetowej. We Włoszech i Norwegii może po prostu dyscyplinować pracowników, jeżeli dojdzie do sytuacji zagrożenia bezpieczeństwa obywateli. Władze pierwszego z tych krajów mogą wręcz nakazać pracownikom ważnych usług publicznych powrót na stanowiska pracy.

Innym sposobem łagodzenia konfliktów jest uciekanie się do decyzji budżetowych, które usatysfakcjonują pracowników i funkcjonariuszy publicznych. Do jeszcze innego rodzaju sytuacji dochodzi w przypadku przedsiębiorstw państwowych, w których decyzje strony rządowej mogą być bezpośrednio kontestowane przez pracowników. Tego rodzaju przypadek miał miejsce m.in. w polskiej spółce KGHM – protesty w 2009 r. wiązały się z żądaniem utrzymania większościowego udziału państwa w jej strukturze własnościowej.

Uzupełnieniem wiedzy z omawianych badań w ramach EIRO są konkluzje z edycji 2009 Europejskiego Badania Przedsiębiorstw (ECS), opartego m.in. na wywiadach z pracownikami z poszczególnych państw UE. Na pytanie, czy respondent spotkał się z jakąś formą

protestu w swoim miejscu pracy, średnio co piąty odpowiedział twierdząco. Najczęściej o akcjach protestacyjnych wspominali Grecy (45%), Portugalczycy (26%), Francuzi (25%) i Włosi (16%). Spośród ogółu przebadanych pracowników z krajów UE 7% stwierdziło, że byli świadkami protestu trwającego co najmniej jeden dzień.

Dane te jednak nie mogą w prosty sposób służyć analizom porównawczym, gdyż poszczególne państwa dość znacznie różnią się stopniem, w jakim pracownicy są reprezentowani na poziomie zakładów. Grecja pod tym względem znajduje się w unijnym „ogonie” – uzwiązkowane firmy należą w tym kraju do mniejszości. Największy ich udział odnotowano w gospodarce Szwecji.

Najczęściej relacjonowaną przyczyną protestów także w tym badaniu były płace (74% wskazań). Na dalszych miejscach znalazły się zmiany w organizacji pracy (37%) oraz restrukturyzacja, fuzje i relokacje (28%).

Przodownicy pracy

Wnioski z drugiego raportu Europejskiego Obserwatorium Stosunków Przemysłowych, który chciałbym tu omówić, również odnoszą się do zagadnienia czasu. Podobnie jak poprzednio, rysuje się zauważalna różnica między krajami nowo przyjętymi do Unii oraz „starą piętnastką”. Wśród zatrudnionych na pełny etat osoby z tej pierwszej grupy spędzają przeciętnie więcej

czasu w miejscu pracy. Dotyczy to zarówno wymiaru tygodniowego, jak i rocznego, wiąże się z ustawową długością trwania płatnych urlopów i liczbą dni ustawowo wolnych od pracy; odnosi się do obowiązujących w prawie limitów, treści porozumień zbiorowych, ale też empirycznie ustalonych danych.

Średni roczny czas pracy dla całej Unii Europejskiej (wraz z Norwegią) wynosił w 2009 r. 1750 godzin. W przypadku „piętnastki” i Norwegii było to nieco ponad 1700, zaś w nowych krajach członkowskich nieznacznie więcej niż 1800 godzin. Najwięcej w ciągu roku pracują Węgrzy (1856 godzin), zaś najmniej Francuzi (1595). Stosunkowo krótko w skali roku przebywają w miejscu pracy także Duńczycy (1628 godzin), Niemcy (1655) i Szwedzi (1662). Polscy „etatowcy” uplasowali się na 5. miejscu międzynarodowego zestawienia, przepracowując w 2009 r. średnio 1840 godzin, podobnie jak ich estońscy, litewscy i rumuńscy koledzy.

Powyższe dane skalkulowano na podstawie przeciętnego tygodniowego wymiaru godzin pracy uzgodnionego w ramach układów zbiorowych, liczby dni płatnego urlopu oraz dni ustawowo wolnych od pracy. Przyjrzyjmy się poszczególnym składowym dla różnych państw, w tym Polski.

Dziwić może w obliczeniach wykorzystanie danych dotyczących wymiaru czasu pracy uzgodnionego w ramach układów zbiorowych. W raporcie podane zostały również empirycznie stwierdzone średnie, dość znacznie różniące się od zapisów wynegocjowanych przez pracodawców i związkowców. Z badania Eurostatu z IV kwartału 2009 r., uwzględniającego absencje oraz nadgodziny (płatne lub nie), wyłania się nieco inny obraz niż z omawianych niżej danych, dotyczących wymiaru czasu pracy, wynegocjowanego wszak tylko dla pewnej części zatrudnionych.

Przykładowo, polscy pracownicy uplasowali się dopiero na 14. miejscu (39,5 godziny tygodniowo), tuż powyżej średniej dla całej Unii Europejskiej (39,3). Choć w państwach przyjętych do Wspólnoty w 2004 i 2007 r. notowano wyższy wymiar czasu pracy niż w „piętnastce” (odpowiednio 39,9 oraz 38,8 godzin), to w czołówce zestawienia, za przodującą Rumunią (ponad 41 godzin), znalazły się m.in. Wielka Brytania i Luksemburg. Te dane nie zostały jednak wykorzystane, mimo że autorzy przyznali, iż negocjacje zbiorowe w nowo przyjętych państwach odgrywają niewielką rolę w ustalaniu tygodniowego wymiaru czasu spędzanego na stanowisku - albo uzgodnienia nie różnią się od ustawowych 40 godzin, albo w ogóle nie podejmuje się tej kwestii.

Średni tygodniowy czas pracy na pełnym etacie, ustalony w negocjacjach zbiorowych dla wszystkich 28 państw objętych analizą, to 38,7 godziny w 2009 r., dla państw przyjętych do UE przed 2004 r. - 37,9, zaś dla nowych członków - 39,5. W dużej części tych ostatnich krajów, w tym także w Polsce, obowiązuje 40-godzinny tydzień pracy. Wyjątek stanowią Słowacja, Czechy i Cypr. Z kolei ten wymiar czasu pracy w grupie krajów

„piętnastki” uzgodniono w Grecji. Najmniejszą liczbę godzin mają spędzać w miejscu pracy objęci układami zbiorowymi Francuzi (nieco ponad 35,5), Duńczycy (37), Szwedzi (nieco ponad 37), Brytyjczycy (37,25), Norwegowie, Holendrzy i Finowie (po 37,5).

Przy okazji warto wspomnieć, że przeanalizowano pod kątem wymiaru czasu pracy układy zbiorowe w trzech różnych branżach: chemicznej (wybranej jako przykład gałęzi przemysłu), sprzedaży detalicznej (segment usług) oraz usług publicznych. Z badania wynikało, że największy tygodniowy wymiar czasu pracy ustalono w branży sprzedaży detalicznej - 39,1 godziny dla UE, 38,5 godziny dla „piętnastki” i Norwegii oraz 39,8 godziny w nowo przyjętych państwach. Najmniejszy natomiast w usługach publicznych - odpowiednio: 38,4; 37,4; 39,6 godzin. Pomiędzy tymi sektorami ułożyła się branża chemiczna ze średnią unijną 38,8 godziny, średnią dla „piętnastki” i Norwegii 38,2 oraz 39,4 dla nowych członków.

Raport porusza również kwestię ustawowych maksimum tygodniowego oraz dobowego czasu pracy. Dyrektywa unijna (2003/88/EC) wyznacza w tym zakresie ogólne ramy, do których muszą stosować się państwa członkowskie: maksymalnie 48-godzinny wymiar tygodniowy czasu pracy oraz minimum 11 godzin odpoczynku dobowego. Ponadto obowiązuje maksymalnie 8-godzinny wymiar dobowy czasu pracy dla zatrudnionych na nocnej zmianie.

19 państw, w tym Polska, dopuszcza tygodniowy czas pracy na poziomie wyznaczonym przez dyrektywę. Pozostałe kraje ustaliły 40-godzinne maksimum. Wyjątek stanowi Belgia, gdzie wyznaczono 38-godzinny limit. Nie oznacza to jednak, że w drugiej grupie państw nie wolno zatrudniać w wyższym wymiarze - podane maksimum w praktyce jest ustawowym tygodniowym czasem pracy, do którego można doliczać nadgodziny. Polska została przytoczona jako przykład państwa, w którym - obok wymiaru maksymalnego - obowiązuje także krótszy, ustawowy czas pracy. Z kolei w części państw, m.in. w Holandii, zapewniono elastyczność, pozwalającą podwyższyć wymiar czasu pracy - za zgodą związków zawodowych lub rad pracowniczych - do 60 godzin tygodniowo. Jednocześnie limit 48 godzin nie może być przekraczany dłużej niż przez 16 kolejnych tygodni, a zatrudnienie w wymiarze 55 godzin dopuszczalne jest w 4-tygodniowym okresie.

Dość częste jest również okresowe podwyższanie maksymalnego dziennego wymiaru czasu pracy - m.in. w Bułgarii, Czechach, Niemczech i Hiszpanii. Okres ten jest każdorazowo ustalany bądź określony ustawowo. W sześciu państwach (Cypr, Dania, Irlandia, Włochy, Szwecja, Wielka Brytania) maksymalna długość dnia pracy - 13 godzin - wynika z wymogów dyrektywy unijnej. Polska zalicza się do państw z maksimum ustalonym na najniższym, 8-godzinnym poziomie, podobnie jak m.in. Niemcy, Finlandia i Litwa.

Cywilizowany Zachód

Kolejnym czynnikiem wpływającym na roczny wymiar czasu pracy, jest długość płatnego urlopu. Pomiedzy krajami istnieją w tym zakresie stosunkowo duże różnice, wynikające z układów zbiorowych. Wyraźnie najdłuższymi płatnymi urlopami mogą cieszyć się objęci nimi pracownicy w Danii, Niemczech (po 30 dni rocznie) oraz Włoszech (28). Średnia dla 16 państw, z których uzyskano dane, to niecałe 25 dni. Najkrótsze płatne urlopy wynegocjowano w przypadku Słowacji, Rumunii, Cypru i Estonii (20-21 dni). Różnica między starymi i nowymi państwami członkowskimi wynosi ok. 5 dni na korzyść tych pierwszych.

Brak danych m.in. dla Polski. W jej przypadku podano jedynie ustawowe minimum, wskazane zresztą dla wszystkich objętych analizą państw. Nasz kraj - a także wszystkie inne w regionie - należy do grupy 18 członków UE, w których wynosi ono 20 dni. W Austrii, Danii, Francji, Luksemburgu i Szwecji obowiązuje minimum 25 dni, co stanowi największy notowany wymiar. Ciekawe rozwiązanie przyjęto w Wielkiej Brytanii, gdzie formalnie obowiązuje rekordowo długi, 28-dniowy ustawowy wymiar płatnego urlopu. Wliczone jednak w to zostało 8 dni ustawowo wolnych od pracy, aby ukrócić dotychczasową praktykę niektórych pracodawców, polegającą na ujmowaniu ich jako części urlopu. Obecnie więc w Zjednoczonym Królestwie obowiązuje *de facto* 20-dniowy płatny urlop w skali roku, jednak bez narażania pracowników na ryzyko, że zostanie on w sprytny sposób skrócony.

Ostatnią podstawę do wyliczenia rocznego wymiaru czasu pracy przez autorów raportu stanowiła liczba dni ustawowo wolnych od pracy. W Polsce była ona przez pewien czas tematem obecnym w debacie w związku ze społeczną inicjatywą wprowadzenia wolnego w Święto Trzech Króli. W 2009 r. największą liczbę dni ustawowo wolnych od pracy odnotowano w Hiszpanii i na Cyprze (14) oraz w Portugalii i na Słowacji (13). Wyraźnie najmniej było ich w Holandii (6), niewiele

także na Węgrzech i w Wielkiej Brytanii (8). Średnia dla wszystkich państw wynosiła 10,5 dnia, dla państw „piętnastki” z Norwegią 10,4, zaś dla nowych członków UE 10,7, podczas gdy w Polsce było ich 10.

Sumując powyższe liczby z danymi o długości płatnych urlopów, autorzy stwierdzili znaczną, bo aż 45-procentową różnicę pomiędzy państwami z najdłuższym i najkrótszym okresem zapewnionego pracownikom odpoczynku - Niemcami (40,5 dnia) i Węgrami (28). **Polska została zakwalifikowana do grupy krajów z najmniejszą w skali roku liczbą dni wolnych obok Bułgarii, Estonii, Litwy i Rumunii.**

Na Wschodzie bez zmian

Czas na podsumowanie. Z analiz EIRO wynika, że pracownicy w nowych krajach członkowskich UE pracują w skali roku dłużej, w wyższym tygodniowym wymiarze czasu pracy oraz posiadając skromniejsze prawa do płatnych urlopów. Dzieje się tak, mimo iż jednocześnie w skali gospodarek narodowych statystycznie przysparzają oni pracodawcom mniej strat roboczogodzin z tytułu akcji protestacyjnych w porównaniu ze swoimi kolegami z „piętnastki”.

Co więcej, nie stwierdzono tendencji konwergencyjnych. W porównaniu z 2008 r. tygodniowy wymiar czasu pracy obowiązujący w ramach układów zbiorowych w nowych państwach członkowskich wzrósł o 0,1 godziny, podczas gdy w pozostałej części Unii utrzymał się na tym samym poziomie. W skali długookresowej - czyli od 1999 r., od kiedy dane są systematycznie gromadzone - nastąpiła redukcja tego wymiaru o 0,7 godziny w krajach „piętnastki”. Zmiana ta dokonała się głównie przed 2003 r. Z kolei właśnie od tego roku gromadzone były dane dla nowych członków UE, gdzie do 2009 r. nastąpiło zmniejszenie tygodniowego wymiaru czasu pracy jedynie o 0,1 godziny.

MACIEJ PAŃKÓW

**Pośrednicy pobierają
nawet do 50% ceny pisma!**

**Czytasz „Nowego Obywatela” regularnie?
Chcesz nas wesprzeć finansowo?**

Zamów prenumeratę!





OBIEKT
CHRONIONY

88 26

A mury rosną

KONRAD MALEC

Przez stulecia mury obronne chroniły mieszkańców miast przed najeźdźcami. Dziś przebiegają wewnątrz nich. Oddzielają „młodych i przedsiębiorczych” od „nieudaczników”.

III RP(A)

Polska na tle większości państw europejskich zdecydowanie wyróżnia się liczbą zamkniętych osiedli. Z kolei na tle naszego kraju szczególną pozycję zajmuje Warszawa, gdzie już cztery lata temu było ich ponad 400. Dla porównania, w Berlinie jest tylko jeden taki obiekt, a w Paryżu - trzy. Aż 60% warszawiaków chce mieszkać na zamkniętym osiedlu, a w Trójmieście taką potrzebę deklaruje 1/3 mieszkańców.

Generalnie, w całej Europie Środkowej uwidacznia się popularność takich inwestycji. Jednak to Polska jest nieformalnym liderem. Na zachód od Odry nieco więcej jest ich w Wielkiej Brytanii, ale tamtejsze samorządy podjęły działania uniemożliwiające ich powstawanie przez wymuszenie na deweloperach zasady „bezpieczeństwa przez projekt” (będzie jeszcze o tym mowa); podobna polityka prowadzona jest w Holandii. Dużą popularnością cieszą się natomiast „zony” w USA i Ameryce Łacińskiej. Aż 1/3 terytorium São Paulo jest zamknięta, 2 mln ludzi pracuje w ochronie (policjantów jest niespełna 500 tys.). Krajem szczególnie obfitującym w ten specyficzny rodzaj gett jest RPA, gdzie poza podziałem na bogatych i resztę dochodzi spadek po apartheidzie. Oprócz tego, możemy je zaobserwować w krajach Trzeciego Świata.

- *Miasto u samych podstaw było tworem otwartym. Mieszkańców łączyła wspólnota interesów i zarządzania*

przestrzeni. Świat zewnętrzny był obcy, wewnątrz były prawa i obowiązki. Kiedy w środku powstaje enklawa, dotychczasowy układ zostaje zaburzony - tłumaczy dr hab. Jan Skuratowicz z Instytutu Historii Sztuki Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza, specjalista w dziedzinie zabudowy rezydencjonalnej.

W przeszłości całe kwartały bywały zamieszkałe przez przedstawicieli jednego zawodu lub ludzi o podobnym stopniu zamożności. Wynikało to jednak z przyjętej tradycji lub miało uzasadnienie praktyczne. Poszczególne części miasta nie były od siebie odcięte, a mieszkańcy mogli się między nimi swobodnie przemieszczać. Dziś w dużych i średnich miastach coraz częściej jest inaczej.

- *O osiedlu zamkniętym możemy mówić wówczas, gdy za ogrodzeniem, z ograniczeniem dostępu, znajduje się kawałek terenów publicznych, jak ulica, sklep czy plac zabaw* - informuje dr Jacek Gądecki z Katedry Socjologii Ogólnej i Antropologii Społecznej AGH, autor książki „Za murami. Osiedla grodzone w Polsce - analiza dyskursu”.

Gdy takie osiedla pojawiały się w kolejnych polskich miastach, zwykle były witane entuzjastycznie. Media widziały w nich kolejny etap rozwoju, „doganianie Zachodu”. W tym samym czasie krytyczne uwagi pod adresem „polskiego fenomenu” wnosili... niemieccy badacze miast.

Wyspy bezpieczeństwa?

Pierwsze takie obiekty powstawały w latach 60. w Stanach Zjednoczonych. Były to swoiste oazy dla emerytów, którzy nie akceptowali zachodzących zmian, zwłaszcza związanych z młodzieżową rewoltą. W ten sposób chcieli obronić swój styl życia. Nie były one chronione przez strażników – strzegły ich płoty i oddalenie od właściwego miasta. Zjawisko nasiliło się dwadzieścia lat później na fali przestępczości i wojen gangów, jakie przetoczyły się przez USA. Wówczas pojawiły się osiedla strzeżone, na których wzorowane są ich polskie odpowiedniki.

Głównym deklarowanym powodem zamieszkania na zamkniętym osiedlu jest właśnie poszukiwanie bezpieczeństwa. – *Ten czynnik był najczęściej wymieniany przez uczestników targów mieszkaniowych, wśród których prowadziłam badania. Tuż za nim było: mieszkanie na osiedlu zamkniętym. To wartość sama w sobie* – mówi dr hab. Maria Lewicka, kierująca Katedrą Psychologii Społecznej Uniwersytetu Warszawskiego. Przekonanie o konieczności zapewnienia sobie ochrony wynika m.in. z braku wiary Polaków w państwo i jego



©©© Piotr Świderek, bardzofajny.net



©©© Piotr Świderek, bardzofajny.net

służby. – *Wówczas pojawia się chęć fizycznego odcięcia się od złego otoczenia, by zapewnić sobie poczucie kontroli – uważa dr Gądecki. – Trudna historia sprawiła, że policjanta często postrzegamy jako organ represji, nie darzymy go szacunkiem* – uzupełnia Jan Skuratowicz.

Czy przeprowadzenie się do ogrodzonego i strzeżonego bloku rozwiązuje problem? – *Przeświadczenie, że mieszkanie na takim osiedlu zapewnia bezpieczeństwo, jest dość złudne. Statystyki, choć dość wyrywkowe, pokazują, że jest inaczej* – zwraca uwagę prof. Bohdan Jałowiecki, socjolog z Centrum Europejskich Studiów Regionalnych i Lokalnych UW. – *Naprawdę duże osiedla właśnie kiedy są zamknięte, stają się niebezpieczne dla swoich mieszkańców. Na wewnętrzne zagrożenia wskazują m.in. badania przeprowadzone w USA. Również w Polsce mamy pierwsze jaskółki zagrożeń „od środka”. Niedawno w Poznaniu doszło do serii podpażeń samochodów w garażach. Sprawcą okazał się ochroniarz. Wcześniej między mieszkańcami doszło do wojny o miejsca parkingowe, toczono na spuszczane z kół powietrze i wezwania straży miejskiej do nieprawidłowo zaparkowanych aut.*

Pojawiają się zorganizowane grupy, wyspecjalizowane we włamaniach na zamkniętych osiedlach. Jacek Gądecki przytacza przykład mężczyzny, który pomógł dwóm innym załadować telewizor do furgonetki, myśląc, że pomaga sąsiadowi się wyprowadzić. – *Dopiero gdy odjechali, zdał sobie sprawę, że przypominał jego własny* – opowiada naukowiec i wspomina, że na początku pobytu w Krakowie wynajmował mieszkanie w grodzonym apartamentowcu, w którym został okradziony. – *Ludziom się wydawało, że w takim miejscu są bezpieczni. Zostawiali na korytarzach wózki czy rowery i te rzeczy ginęły.*

Zdarza się, że szajki używają specjalistycznych urządzeń, znajdujących się na wyposażeniu straży pożarnej, by np. wystawić z zawiasów drzwi antywłamaniowe. Co więcej, osiedla są najczęściej strzeżone przez ochroniarzy najniższej rangi, bardzo słabo opłacanych, a więc podatnych na korupcję; bywa, że współpracują z gangami. – *Bardziej niż o bezpieczeństwie możemy mówić o poczuciu bezpieczeństwa. Ludzie, kupując mieszkania na takich osiedlach, nabywają raczej wyobrażenia niż realny produkt* – kwituje naukowiec z AGH.

Praktyka pokazuje, że o wiele większy wpływ na bezpieczeństwo ma architektura niż ogrodzenie. Przykładem jest koncepcja „bezpieczeństwa przez projekt”, polegająca na projektowaniu miasta w taki sposób, by nie było w nim ciemnych zaułków. Mieszkańcy wyglądający z okien powinni mieć dobry widok na to, co dzieje się w okolicy. Całość powinna być dobrze oświetlona, z dużą ilością przestrzeni wspólnej, z zielenią i ławeczkami, sprzyjając integracji mieszkańców podczas spacerów i lokalnych imprez, organizowanych przez rady osiedli lub administrację.

Pierwsze osiedla zgodne z tą filozofią zbudowano w Siechnicach pod Wrocławiem oraz w Szczecinie, podobne zaczynają powstawać w Warszawie. Chuligani czy wandy nie pojawiają się w takich miejscach, nie czują się w nich dobrze. – *Badania prowadzone przez Katarzynę Zaborską pokazują, że te osiedla zapewniają wyższy poziom bezpieczeństwa, a jednocześnie zwiększają identyfikację z miejscem i polepszają relacje sąsiedzkie. A najlepszym gwarantem bezpieczeństwa jest dobry sąsiad* – podkreśla Maria Lewicka. – *Tymczasem im więcej płacimy za mieszkanie w „bezpiecznym miejscu”, tym mniejsze zaangażowanie w naturalną kontrolę społeczną i zainteresowanie tym, co dzieje się u sąsiadów* – podsumowuje dr Gądecki.

Niestety, wspólnych przestrzeni brakuje nie tylko w odciętych „zonach”, ale także na nieogrodzonych osiedlach, powstających według widzimisię deweloperów. Tworzenie przyjaznych przestrzeni zawsze podnosi koszty, które ciężko przerzucić na nabywcę.

Szumowiny, czyli my wszyscy

Mieszkańcy nowo powstałych osiedli zamkniętych są najczęściej młodzi (średnia wieku poniżej 35 lat), wykształceni, zatrudnieni na dobrych posadach. Wiemy też, że w miejscu zamieszkania spędzają niewiele czasu. – *Nie wiadomo, czy czują się tam źle, czy też daje o sobie znać wpływ czynników socjodemograficznych. Prowadzą bowiem odmienny tryb życia od przeciętnego robotnika czy osoby o licznych kontaktach lokalnych* – ostrzega dr hab. Lewicka.

Wiele ich codziennych zachowań wskazuje na to, że czują się lepsi od mieszkańców „świata zewnętrznego”. Opryskliwie traktują np. doręczycieli ulotek. Ci ostatni w Internecie skarżą się na „panów zza płotów”, którzy nierzadko witają wyzwiskami ludzi chcących jedynie wykonać swoją pracę. Na problemy natknęli się także

studenci robiący ankiety wśród mieszkańców takich miejsc – potencjalni rozmówcy nie tylko odmawiali, lecz nawet przeliczali swój czas na pieniądze i byli gotowi odpowiedzieć na pytania za 300-500 zł.

Rezydentka jednego z bogatych stołecznych osiedli skarżyła się, że musi na siłę organizować nastoletniemu dziecku sieć kontaktów, bowiem nie przewidziano miejsc sprzyjających integracji najmłodszych mieszkańców. Jest tylko pół boiska do koszykówki, tak usytuowanego, że gdy dzieci zaczynały grę, pogłos powodował telefon sąsiadów do ochrony. Kobieta wozi więc syna po całym mieście na różne zajęcia. Plac zabaw na osiedlach zamkniętych lub półzamkniętych okazuje się nierzadko wygradzoną kłitką, w obrębie której dzieci nie mogą swobodnie biegać.

Jaki sens mają mikroprzestrzenie o ograniczonym dostępie? Prof. Jałowiecki: *Dają poczucie pewności, że nasza pociecha nie spotka się z jakimś „niestusznym” dzieckiem i nie nabierze złych nawyków*. Dr hab. Lewicka dodaje: *Ta sama motywacja każe wozić dzieci do szkoły na drugim końcu miasta, choć w okolicy mamy całkiem przyzwoitą placówkę. To bardzo groźne dla dzieci tych mieszkańców. Wychowywane są w enklawach, odcięte od reszty społeczeństwa. Człowiek dorastający w takich warunkach obawia się spotkania z innymi ludźmi*.

Konsekwencją strachu jest postrzeganie świata przez pryzmat stereotypów oraz brak zaufania do przedstawicieli innych grup, co uniemożliwia współpracę. – *W Polsce mamy najniższy w Unii Europejskiej stopień zaufania do innych ludzi. Nasze badania wykazały, że jest to główna przesłanka potrzeby zamykania się* – wyjaśnia Maria Lewicka. – *Konsekwencją będzie dezintegracja społeczeństwa* – ostrzega Bohdan Jałowiecki.

Rezydenci zamkniętych osiedli rzadko przyznają się, że o wyborze miejsca zamieszkania zadecydowały inne powody niż poszukiwanie bezpieczeństwa czy ładne, zadbane otoczenie. Tymczasem ważną, nierzadko zapewne najważniejszą, rolę odgrywa łączący się z nim prestiż. – *Podkreślają w ten sposób swój sukces materialny* – uważa Jałowiecki. Prowadzi to do silnych podziałów klasowych, nawet w obrębie spójnej, wydawałoby się, grupy. Najlepszym przykładem jest **Marina Mokotów, której mieszkańcy najpierw odgradzili się od innych warszawiaków, a następnie „jeszcze bogatsi” oddzielili się od bogatych.**

– *Obserwujemy przyspieszone wchodzenie w poszczególne klasy społeczne. W kolejnych latach przypisanie do nich będzie coraz silniejsze i bardzo świadome. Nie będzie już możliwe mówienie o „kolegach z podwórka” jak w ostatniej kampanii prezydenckiej* – uważa Jacek Gądecki. Pogardę już „odciętych” względem pozostałych po zewnętrznej stronie muru najlepiej widać na zapewniających anonimowość forach internetowych. Panują na nich określenia: „błokersi”, „żule”, „szumowiny” czy wręcz „podludzie”, a świat poza osiedlem określany jest jako „syf za płotem”. Nic dziwnego, że w odpowiedzi pojawia się niechęć, zawiść, a w końcu

wrogość. Ciekawa jest w tym kontekście historia przytaczana przez Marię Lewicką: dzieci z otwartego osiedla przedostały się na zamknięty plac zabaw. Początkowo rówieśnicy z osiedla grodzzonego się ucieszyli, bo było ich niewiele i nagle zyskali kompanów do zabawy. Rozpoczęła się gra w piłkę. Wszystko było dobrze, póki „lepsze” dzieci nie zaczęły przegrywać. Wówczas jedno z nich poszło po ochronę i kazało wyprosić intruzów.

Miasto szeroko zamknięte

– *Osiedla zamknięte fatalnie wpływają na miasto, które staje się zbiorem oddzielnych wysp* – uważa architekt Jerzy Gurawski, wykładowca Politechniki Poznańskiej. – *Ci, którzy zostają na zewnątrz, są uważani za potencjalnie niebezpiecznych.*

Odpowiedzią na sąsiedztwo nowo powstałego, odciętego terenu, bywa wtórne grodzienie starych osiedli. Przyczyną jest chęć odwetu: skoro oni nas nie chcą, to my ich też nie chcemy u siebie. Częściej jednak wymusza je proza koegzystencji: mieszkańcy elitarnych enklaw chętnie korzystają z dóbr przeznaczonych dla „plebsu”. Zostawiają auta na sąsiednich terenach – bo „u nich” deweloper zaplanował zbyt małą liczbę miejsc parkingowych, za które dodatkowo trzeba zapłacić. Wyprowadzają psy na spółdzielcze trawniki – bo nie wypada, by ich pupilek załatwiał się na prywatnych. Przyprawiają dzieci na place zabaw, które w nowobogackiej przestrzeni często są zbyt małe.

Obawy o żerowanie przez „lepszych” na cudzym wspólnym mieli mieszkańcy Spółdzielni Budowlano-Mieszkaniowej Politechnika w Warszawie, którzy w pierwszej chwili po wybudowaniu luksusowej Mariny Mokotów chcieli się odгородzić od nowego sąsiedztwa. Płot póki co nie powstał, ale jeśli z Mariny zostanie wybudowany nowy wyjazd, ukierunkowany na środek starej zabudowy, nie wykluczają sięgnięcia po to rozwiązanie.

W grodzieniu przestrzeni istotną rolę odgrywają władze lokalne. – *To skandal, że do tego dopuszczają* – prof. Jałowiecki nie zostawia suchej nitki na samorządowcach. Takie praktyki można bowiem znacznie ograniczyć odpowiednimi zapisami planu zagospodarowania przestrzennego. Problem w tym, że większość miast sporządziło takie plany dla zaledwie kilku procent powierzchni. Ponieważ zaś ich nie ma – lub są tworzone „pod inwestorów” – powstaje olbrzymi chaos urbanistyczny, przyspieszający tworzenie kolejnych osiedli zamkniętych. I koło się zamyka.

Paradoksalnie władze często widzą dobry interes w dogadaniu się z deweloperem, w ramach partnerstwa publiczno-prywatnego. Cieszą się, że inwestor pociągnie kawałek asfaltu i wodociągu, albo obok swoich budynków postawi kino. Dla porównania: pod czeską Pragą stanęło grodzone osiedle. Samorząd był przeciw, odmówił jego oznakowania i podzielenia działki. W efekcie, wszyscy mieszkańcy byli zameldowani pod

jednym adresem, co stało się przyczyną poważnych perturbacji. W ich wyniku przedsiębiorca musiał spuścić z tonu.

Utrudnić grodzienie można także przy użyciu innych przepisów, np. egzekwując prawo wodne – w Warszawie i Poznaniu niektóre osiedla dochodzą do samej rzeki, do której w świetle ustaw powinien być zachowany swobodny publiczny dostęp. Sprawdzić by się mogły również przepisy przeciwpożarowe. Powszechnym problemem dla służb ratunkowych jest utrudniony dostęp na zamknięty teren. Pierwszy kłopot to znalezienie wjazdu, zwłaszcza w przypadku nowych obiektów. Nawet jeśli ratownicy wiedzą, którędy dostać się do środka, często oznacza to konieczność nadłożenia drogi i utratę bezcennego czasu. Zdarza się też, że muszą dzwonić do alarmującego, by raczył zejść otworzyć bramę, którą można uruchomić tylko pilotem.

Płot jest osobną budowlą, na którą urzędnicy nie muszą się godzić. – *Niestety, władze miejskie w Polsce nie są szczególnie operatywne ani sprawne. Wszyscy widzimy, jak wyglądają nasze miasta* – żyma się prof. Jałowiecki. Maria Lewicka dodaje, że *niewiele polskich samorządowców i urzędników potrafi myśleć o mieście jako całości.* – *Skutkuje to gettoizacją od razu w bardzo ostrej formie* – kwituje Gądecki.

Ciekawe, że polskie strefy luksusu często odbiegają od zachodnich norm. Większość apartamentowców nie spełnia standardów tego typu obiektów. Zamierzony efekt osiąga się przez ogrodzenie i strażnika, dających poczucie prestiżu, co pozwala na cięcie kosztów przy jednoczesnym windowaniu cen za metr. Z drugiej strony, trudno nabyć mieszkanie na rynku pierwotnym, które nie posiadałoby przynajmniej ogrodzenia i podwójnego zabezpieczenia domofonami.

Mury i ochroniarze sprawiają, że coraz częściej mieszkańcy stref zamkniętych domagają się zwolnienia z podatków lokalnych. Administratorom czy deweloperom nie przeszkadza to jednak domagać się od samorządów np. poszerzenia dróg prowadzących do osiedli. – *W Dreźnie to inwestor musi zapewnić dojazd – inna rzecz, że na grodzienie nie dostałby zezwolenia. W Polsce inwestorzy są silniejsi od władz i to oni dyktują warunki* – wyjaśnia dr hab. Skuratowicz. – *U nas obowiązuje myślenie: zapłaciłem za ekskluzywne mieszkanie w ładnej okolicy, to mi się należy. Tymczasem gdy w Norwegii rozpisano referendum w sprawie obniżenia podatków – obywatele zagłosowali przeciw, bo wiedzą, że coś z nich dostają, że przyczyniają się one do dobra wspólnego* – podsumowuje dr hab. Lewicka.

Warto jednocześnie pamiętać, że odcięcie się od otoczenia bywa bronią obosieczną. – *To oni mają problem, bo nie mogą się przedostać na naszą część. Nawet do szkoły czy kościoła muszą chodzić naokoło* – wyjaśnia Zbigniew Staroń, prezes wspomnianej spółdzielni Politechnika. – *Nasi mieszkańcy już się przekonali, że nie ma tam po co chodzić. Teraz to tamtych zależy, by dostać się do nas.*



© Suvodeb Banerjee, flickr.com/photos/suvodeb/4608726126/

Wilki u bram

Pojawiają się inicjatywy pomysłowo krytykujące nowy trend. Jedną z pierwszych i ciekawszych było zamknięcie łańcuchami przez warszawskie środowiska kontrkulturowe bram czterech osiedli na Kabatach we wrześniu 2006 r. Łańcuchom towarzyszyła informacja, że poza enklawą (nowo)bogactwa znajduje się *Teren nie-prywatny (publiczny, niestrzeżony). ZAKAZ WSTĘPU. Grozi spotkaniem z biednym, chorym lub brudnym.*

Pomimo deklaracji organizatorów happeningu, że akcja ma charakter czysto symboliczny - łańcuchom celowo towarzyszyła mała kłódka, by nie sprawić nadmiernych trudności spieszącym się rano do pracy - doszło do nerwowych reakcji, dzwonienia po ochronę i biegania strażników od bramy do bramy z nożycami do metalu.

Dwa lata później, szwajcarski artysta San Keller, zszokowany ilością warszawskich „twierdz”, poprowadził „watahę wilków” pod ich bramy. Ponad dwadzieścia osób wyło pod Mariną Mokotów, Rezydencją nad Potokiem, na Kopie Cwila oraz u wrót Eko Parku. Keller tłumaczył później, że wilki w naszej świadomości symbolizują zagrożenie, ale są też symbolem wolności, oraz że podobnie jak ludzie tworzą społeczność, którą zamknięte osiedla niszczą. Na „zaatakowanych” osiedlach ochrona w pośpiechu zamykała bramy i wzywała posiłki. Zaskoczeni mieszkańcy nie mogli się dostać

do swych bastionów ani się z nich wydostać. Happening przebiegał spokojnie, a „wilki” zamilkły o 22.00, by uszanować ciszę nocną.

W średniowieczu każdy mieszkaniec miał prawo do miasta i obowiązki wobec niego. Żebrak miał prawo do stopnia przed kościołem, do dachu w przykasztor-nym przytułku, ale i obowiązek jego obrony w przypadku napaści. Obcy wchodzący do miasta musieli zapłacić. - *Problem w tym, że dzisiejsi mieszkańcy używają miasta, ale w nim nie mieszkają. Myślą o nim w kategoriach archipelagów, a co za tym idzie, nie wykazują dbałości o wspólną przestrzeń* - podsumowuje dr Gądecki.

W Polsce nastała era grodzenia. Odcinamy się od świata i od innych ludzi, nawet bliskich. Dla porównania, w Skandynawii nie tylko nie grodzi się fragmentów miast, ale nawet pojedyncze domostwa bardzo często nie posiadają choćby symbolicznego płotu. Niestety, mimo iż tyle się mówi o „doganianiu” czy „naśladowaniu” Europy, bliżej nam pod tym względem do Afryki lub Ameryki Południowej niż do zamożnych krajów europejskiej Północy.

KONRAD MALEC

Profity z profilaktyki

RAFAŁ BAKALARCZYK

Ograniczona obecność działań profilaktycznych w polskiej polityce zdrowotnej nie jest przypadkowa. Wyraża ona głębsze deficyty naszego systemu społecznego.

Przed wszystkim zapobiegać – to częste zalecenie w kontekście problemów społecznych i indywidualnych. Profilaktykę może być odnoszona do wielu obszarów polityki publicznej, ale szczególną popularność zyskuje w polityce zdrowotnej. Profilaktykę zdrowotną rozumie się zazwyczaj jako wczesne wykrywanie choroby lub czynników ryzyka w celu zapobiegnięcia jej powstaniu lub rozwojowi. Mówiąc dokładniej, *profilaktyka to zespół działań zapobiegawczych: edukacyjnych i medycznych, które mają przeciwdziałać konkretnym chorobom*¹. W ramach tej kategorii wyróżnia się szereg faz, zależnych od stadium choroby (patrz ramka).

Profilaktyka wczesna nie przez wszystkich jest uważana za element profilaktyki właściwej. Jednak bynajmniej nie znaczy to, że można ją bagatelizować. To właśnie obecność w społecznej świadomości zasad zdrowego stylu życia i czynników będących zagrożeniem dla zdrowia stanowi bodaj najtrwalsze podłoże dla poddawania się przez obywateli działaniom profilaktyki właściwej. Stąd też warto patrzeć na profilaktykę w ramach szerszej kategorii prewencyjnej polityki zdrowotnej, której jednym z instrumentów jest edukacja zdrowotna.

Znaczenie profilaktyki nie wynika wyłącznie z uniwersalnej zasady, że łatwiej zapobiegać niż później prowadzić działania naprawcze, gdy negatywne zjawisko już się rozwinie. Jej wagę możemy też wyprowadzić ze struktury czynników, które warunkują zdrowie. Wiele klasyfikacji rozwija sformułowaną w latach 70. w raporcie kanadyjskiego ministra zdrowia, Marca Lalonde’a,

konceptję „pól zdrowia”. Z opracowania wynikało, że na zdrowie publiczne wpływ mają (w kolejności według rangi czynnika): styl życia, środowisko fizyczne, uwarunkowania genetyczne i dopiero na końcu system służby zdrowia (patrz diagram).

Przyjęcie takiej perspektywy prowadzi do wniosku, że nasze zdrowie w decydującej mierze zależy od tego, w jaki sposób żyjemy i czy podejmujemy zawczasu działania na rzecz ograniczenia ryzyka choroby.

FAZY PROFILAKTYKI

- **Profilaktyka wczesna** – mająca na celu utrwalenie prawidłowych wzorców zdrowego stylu życia i zapobieganie szerzeniu się niekorzystnych wzorców zachowań w odniesieniu do osób zdrowych;
- **Profilaktyka pierwotna (I fazy)** – mająca na celu zapobieganie chorobie poprzez kontrolowanie czynników ryzyka w odniesieniu do osób narażonych na nie;
- **Profilaktyka wtórna (II fazy)** – zapobieganie konsekwencjom choroby poprzez jej wczesne wykrycie i leczenie (badania przesiewowe, mające na celu wykrycie osób chorych);
- **Profilaktyka III fazy**, której działania zmierzają w kierunku zahamowania postępów choroby oraz ograniczenia powikłań.

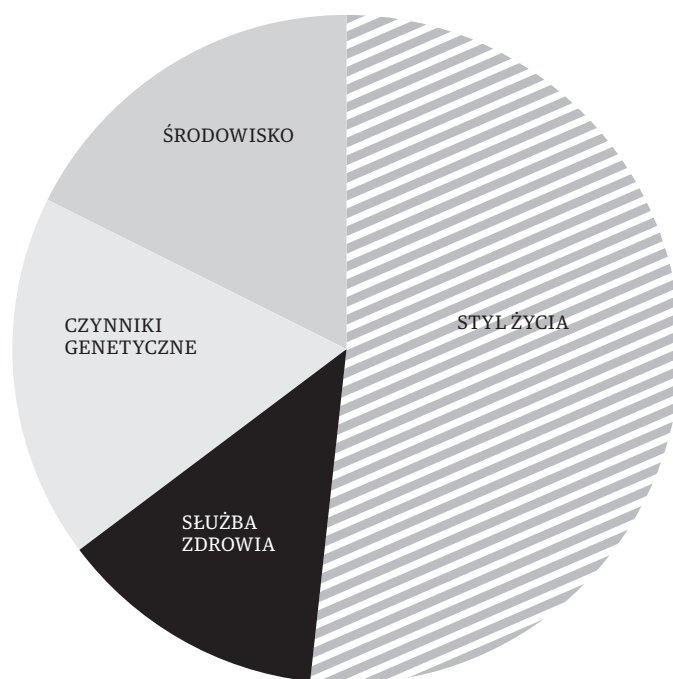
Wspólna odpowiedzialność

Pojawia się jednak pytanie, czy to, jak żyjemy, zależy tylko od nas samych? W neoliberalnej doktrynie uważa się, że zasadniczo tak. Zatem każdy musi dbać o zdrowie i ponosić odpowiedzialność za swoje decyzje. Toteż państwowe działania na rzecz zmiany zachowań zdrowotnych są niepotrzebne, a wręcz ryzykowne, mogą bowiem prowadzić do narzucania jednostkom wzorców postępowania, tłamsząc ich indywidualną wolność wyboru.

Bardziej rozsądne wydaje się stanowisko, które dopuszcza, a nawet zaleca stymulowanie określonych zachowań prozdrowotnych poprzez inicjatywy sektora publicznego. Ważne jednak, żeby nie był to bezwarunkowy przymus, a raczej system bodźców zachęcających lub zniechęcających do danych zachowań. Przede wszystkim zaś ważna jest dystrybucja informacji oraz usług diagnostycznych i doradczych. Szereg przesłanek uzasadnia tezę, że profilaktyka zdrowia to nie tylko kwestia indywidualna czy kulturowa - tj. zależna od systemu norm i wzorców postępowania danej społeczności - ale także systemowo-polityczna.

Po pierwsze, **nasze życie nie zależy tylko od nas samych**. Istotne są również warunki w znacznej mierze niezależne od jednostek (jak status rodziny czy miejsce zamieszkania) i z którymi nieraz - wbrew wizji w pełni mobilnej, elastycznej jednostki - wiążą nas tożsamości, emocje czy zobowiązania. Społeczeństwo, szanując to, powinno za pomocą instytucji państwa dążyć, żeby owe uwarunkowania w jak najmniejszym stopniu determinowały dostęp do praw społecznych, m.in. prawa do zdrowia.

Po drugie, w pełni racjonalny wybór uniemożliwia ograniczona dostępność informacji, a także możliwości zweryfikowania ich rzetelności. Aby jednostki szukające wiedzy na temat zdrowego trybu życia nie były



wydane na pastwę sił rynkowych, które w pogoni za zyskami rozpowszechniają także nierzetelne informacje - potrzebne są programy organizowane, sponsorowane lub przynajmniej akredytowane przez instytucje publiczne.

Po trzecie, państwo powinno mieć możliwość wdrażania takich programów ze względu na to, że jest wciąż odpowiedzialne za zapewnienie opieki zdrowotnej. Jeśli oczekujemy, że państwo wspomóż nas w obliczu utraty zdrowia, powinniśmy dać mu instrumenty, by mogło pośrednio zabezpieczyć się, a bezpośrednio nas, przed zaistnieniem owego ryzyka socjalnego, którego koszt będzie musiało ponieść.

Zachowania prozdrowotne i funkcjonowanie służby zdrowia wpływają na siebie wzajemnie. To, jak dbamy o zdrowie, wpływa na skalę i strukturę dolegliwości, na które odpowiada opieka medyczna. Z drugiej jednak strony, funkcjonowanie służby zdrowia wpływa na to, jak korzystamy z profilaktyki. **Nie dość rozwinięta infrastruktura i niekorzystna pozycja pacjenta**

w systemie mogą ograniczać skłonność do poddawania się profilaktycznym badaniom przesiewowym, mającym na celu wczesne wykrycie ewentualnej choroby.

Widzimy zatem, że wyodrębnione uprzednio „pola zdrowia” nie są wyizolowanymi obszarami, lecz płaszczyznami przylegającymi, a nieraz wręcz nakładającymi się na siebie i powiązanymi siecią zależności. Owe zależności powinny być kształtowane w sposób świadomy w ramach jasnej i całościowej wizji polityki zdrowotnej państwa. Profilaktyka, zwłaszcza w formie poddawania się badaniom skriningowym, jest tym mechanizmem, który najsilniej integruje sposób życia z systemem opieki zdrowotnej.

Warto zwrócić uwagę na jeszcze jeden aspekt profilaktyki. Jak pisze D. Seredyńska, *Samoopieka, do której możemy zaliczyć badania profilaktyczne, jest jedną z form udziału społeczeństwa w polityce prozdrowotnej państwa. Oparta na ogólnych zasadach Zdrowia dla Wszystkich pozwala mieć udział w podejmowaniu decyzji*². Wpisuje się ona we współczesny paradygmat tzw. aktywnej polityki społecznej, której powodzenie uzależnia się od współpracy służb społecznych z beneficjentami. Jednocześnie w Polsce tego rodzaju „partycypacyjne” podejście napotyka wciąż pewne bariery, zarówno instytucjonalne, jak i mentalne – nie tylko po stronie obywateli-pacjentów, ale także decydentów. Jesteśmy przyzwyczajeni do patrzenia na chorobę w wąskim, medycznym sensie, a po drugie jako coś, co się nam przytrafia w niewielkim związku z warunkami i sposobem życia. To zakorzenione myślenie części społeczeństwa można jednak zmienić.

Finlandia i inni

Strategia profilaktyczna powinna być zorientowana zadaniowo, a nie resortowo. Takie zadaniowe myślenie powinno integrować podmioty wielu sektorów i to na różnych szczeblach, ale w ramach skoordynowanej strategii. Przykładów takich programów dostarcza Finlandia, której społeczeństwo jeszcze kilka dekad temu cechował niezdrowy tryb życia i związane z tym np. wysokie wskaźniki otyłości i chorób układu krążenia. W połowie lat 70. postanowiono to zmienić, inicjując kompleksowy program promocji zdrowia.

Jednym z jego elementów było wprowadzenie tzw. recept na ruch, polegających na tym, że lekarz zapisywał pacjentowi nie tylko lekarstwo, ale także odpowiednie ćwiczenia i działania na rzecz zdrowia. Strategia wykorzystywała również wiele innych instrumentów – poczynając od prawnych (jak zakaz reklamowania wyrobów tytoniowych czy nakaz sprzątnięcia śniegu przed domami przez samych mieszkańców), przez informacyjne aż po finansowe (przekazanie samorządom środków na promocję aktywności fizycznej). Jej cele realizowano m.in. poprzez budowę basenów i ścieżek rowerowych, nakłady na dodatkowe oświetlenie, aby można było przebywać na powietrzu do późnych godzin (w Finlandii w okresie zimowym

zmierzch zapada bardzo wcześnie), a także umożliwienie dzieciom niezależnie od statusu materialnego korzystania z szerokiego wachlarza zajęć sportowych³. W Polsce w tym kierunku zmierza program budowy tzw. orlików).

Skuteczna prewencja zdrowotna powinna rozpocząć się nie tylko w jak najwcześniejszej fazie rozwoju ewentualnej choroby, ale także już we wczesnej fazie życia człowieka, właściwie jeszcze przed jego urodzeniem. Badania prenatalne oraz popularyzacja właściwych zachowań matek w okresie okołoporodowym mają zasadnicze znaczenie dla rozwoju dziecka i jego podatności na choroby. W wielu krajach Europy korzystanie z tego typu badań jest standardem, podczas gdy w Polsce istnieją bariery nie tyle instytucjonalne, co mentalne, i to nie zawsze po stronie pacjentów, ale często także wśród lekarzy. Część z nich w obawie, że na skutek ewentualnej diagnozy uszkodzenia płodu rodzice mogą zdecydować się na aborcję, nie kieruje kobiet na odpowiednie badania. Zapomina się przy tym, że dzięki nim można wyeliminować jeszcze w okresie prenatalnym pewne poważne schorzenia i części dzieci uratować nie tylko zdrowie, ale i życie⁴.

Niestety, jak czytamy w raporcie o zdrowiu dzieci, zamówionym przez Rzecznika Praw Obywatelskich, *Z opinii specjalistów, towarzystw naukowych (Polskie Towarzystwo Ginekologiczne, Polskie Towarzystwo Pediatryczne), organizacji pozarządowych (Fundacja „Rodzić po Ludzku”), a także z doniesień medialnych, wynika, iż w ostatnich latach pogorszyła się dostępność kobiet ciężarnych i rodzących oraz noworodków do adekwatnej do potrzeb opieki profilaktyczno-leczniczej. Jak czytamy dalej, Od 2001 roku zaprzestano realizacji programu optymalizacji opieki okołoporodowej, od 2003 roku Narodowy Fundusz Zdrowia zaprzestał finansowania świadczeń udzielanych w ramach szkół rodzenia, a także ograniczył do 7 dni od porodu bezpłatną hospitalizację matek karmiących piersią. Opieka profilaktyczna nad ciężarną, szczególnie w pierwszym trymestrze ciąży, jest w wielu rejonach kraju niezadowalająca*⁵.

Zapobieganiu negatywnym procesom rozwojowym nie sprzyja także niski poziom instytucjonalizacji opieki nad dziećmi w wieku przedszkolnym i żłobkowym. Powszechne objęcie nią najmłodszych Polaków mogłoby ułatwić zdiagnozowanie w porę deficytów rozwojowych i zastosowanie środków zaradczych.

Szkoła (zdrowego) życia

Przestrzenię o dużym potencjale w kwestii profilaktyki zdrowia jest szkoła. Powrót medycyny szkolnej byłby sensownym krokiem, ponieważ szkoła to instytucja powszechna, więc umożliwiałaby szerokie objęcie dzieci badaniami. Nie uzależnia ich szans od zamożności czy poziomu świadomości zdrowotnej rodziców, z którymi, jak wiadomo, bywa różnie. Nie wszystkie rodziny są w stanie czy chcą w porę zapewnić dzieciom dostęp do opieki profilaktycznej – raczej istnieje skłonność



©©© Anoto AB, www.flickr.com/photos/anotogroup/5811020879/in/photostream/

do udawania się do lekarza dopiero, gdy już wystąpi choroba.

Ryzyko nieobjęcia dziecka profilaktyką zdrowotną jest większe zwłaszcza w środowiskach o niskim kapitale społecznym, gdzie jednocześnie warunki życia mniej sprzyjają zachowaniu zdrowia. Medycyna szkolna mogłaby częściowo łagodzić te nierówności. Niestety w latach 90. zapoczątkowano proces jej likwidacji. Już na początku transformacji ze szkół zniknęli lekarze szkolni. Obecnie mają w nich być przynajmniej pielęgniarki, ale i z tym różnie bywa. Polskie Towarzystwo Pediatryczne apeluje od lat o przywrócenie opieki medycznej do szkół.

Jak stwierdza J. Szymborski, *Jeśli dziś powszechnie uważa się, iż jednym z najważniejszych błędów polityki zdrowotnej okresu transformacji w Polsce była rozpoczęta w 1992 r. likwidacja medycyny szkolnej z „wyprowadzeniem” stomatologów i pediatrów ze szkół, to niezrozumiałe staje się niepodjęcie przez Ministerstwo Zdrowia i Ministerstwo Edukacji Narodowej konkretnych kroków zaradczych*⁶.

Szkoła powinna być wielofunkcyjną instytucją, za pośrednictwem której zaspokajana jest szeroka gama potrzeb dzieci i młodzieży. Aby jednak sprzyjała działaniom profilaktycznym, nie wystarczy obecność gabinetów lekarskich i pielęgniarskich. Konieczny jest także określony przekaz programowy, który

rozwijałby u uczniów świadomość zdrowotną, w tym zawierał profilaktykę uzależnień. Szkoła jako instytucja, której racją bytu jest transmisja wiedzy, norm postępowania i kompetencji, wydaje się szczególnie predestynowana, by pełnić te funkcje w odniesieniu do samoopieki zdrowotnej. Pojawiają się wręcz postulaty powołania osobnego przedmiotu, „zdrowia”, który przekazywałby informacje o zdrowiu ludzkim, sposobach dbałości o nie oraz o czynnikach wpływających na jego zdrowie.

Obecnie elementy powyższych zagadnień pojawiają się w ramach innych przedmiotów. Zgodnie z obowiązującą podstawą programową, w przedmioty od godziny wychowawczej po chemię wpisane są wzmianki o aspektach zdrowotnych omawianych zagadnień. Czy to jednak wystarczy? Czy tak duże rozproszenie wiedzy zdrowotnej, przekazywanej zresztą w śladowych ilościach, nie spowoduje, że te informacje nie skupią na sobie odpowiedniej uwagi uczniów? Wprowadzenie wspomnianych treści jest słuszne, ale zapewne należałoby je uzupełnić o mocny akcent w postaci osobnej ścieżki przedmiotowej, która wzbogacałaby i porządkowała wiedzę zdobytą na innych lekcjach. Zdrowie człowieka to pewna całość, nie zaś zbiór wzajemnie niepowiązanych czynników; obecna podstawa programowa chyba nie do końca to uwzględnia.

Trzecim ważnym zadaniem zdrowotnym systemu edukacji (ale nie tylko jego) jest kształtowanie odpowiednich nawyków żywieniowych i sportowych. W krajach rozwiniętych otyłość jest traktowana jako poważna choroba cywilizacyjna, czemu poświęcone zostały raporty OECD na temat strategii profilaktycznych. Pod względem skali występowania tego problemu wśród najmłodszych pokoleń Polska nie jest na szczęście w czołówce, choć zjawisko to występuje również u nas.

Należymy za to do krajów europejskich o najwyższym poziomie niedożywienia dzieci i młodzieży. W odpowiedzi na ten problem podjęto szereg inicjatyw, w tym finansowanych ze środków publicznych. Przykładem jest prowadzony od 2004 r. przez Agencję Rynku Rolnego program „Szkłanka mleka”, dotowany przez Unię Europejską. Jego celem jest zapewnienie dzieciom możliwości wypicia codziennie 0,25 l świeżego mleka, a tym samym promocja zdrowego odżywiania⁷.

W podobnym duchu działa od 2009 r. uruchomiony przez Komisję Europejską program „Owoce w szkole”, finansowany w 75% ze środków unijnych i w 25% z budżetu państwa. Jego adresatami są uczniowie klas I-III szkół podstawowych, a celem długoterminowa zmiana nawyków żywieniowych poprzez zwiększenie udziału owoców i warzyw w codziennej diecie⁸. Do programu przyłączyło się 8,6 tys. szkół (obejmuje 76% uprawnionych)⁹.

Cel akcji jest niewątpliwie słuszny, cieszy też jej skala, choć pamiętajmy, że program uruchomiono

z inicjatywy UE, nie zaś naszej własnej. Tylko czy żeby dokonać długoterminowej zmiany nawyków wystarczy pierwsze trzy lata edukacji szkolnej? A co z uczniami starszych klas?

Wszystkie wspomniane wymiary – **medycyna szkolna, programy żywieniowo-ruchowe, a także oddziaływania na świadomość zdrowotną** – powinny stanowić **komponenty całościowej polityki zdrowotno-edukacyjnej**. Obecnie w Polsce nie tylko nie tworzą one skoordynowanej całości, ale realizacja poszczególnych elementów (zwłaszcza pierwszego z wymienionych) **pozostawia wiele do życzenia**.

Aby to zmienić, potrzebne jest przestawienie się na myślenie zadaniowe, zamiast resortowego. Celem strategicznym powinno być podniesienie kapitału ludzkiego wśród polskich uczniów w wielu aspektach, stąd potrzeba jeszcze silniejszego współdziałania dwóch głównych segmentów usług publicznych – służby zdrowia i oświaty. Polygonem doświadczalnym dla takiej polityki na większą skalę może okazać się program „Szkoły promujące zdrowie”¹⁰. Rozpoczęto go na mocy porozumienia między ministrem zdrowia, ministrem edukacji narodowej oraz ministrem sportu i turystyki w sprawie promocji zdrowia i profilaktyki problemów dzieci i młodzieży z dn. 23 listopada 2009 r. Jak wynika

z informacji MEN, dotąd w programie wzięło udział 2000 szkół, spełniając określone kryteria¹¹. W założeniach współpraca ma na celu wypracowanie dobrych praktyk, które następnie zostaną upowszechnione.

Marne szanse?

Profilaktyka i medycyna prewencyjna są kluczowe nie tylko w okresie najbardziej intensywnego rozwoju biologicznego i poznawczego, ale także w późniejszych fazach życia. Dziś mówi się o uczeniu przez całe życie, a kolejne publikacje z zakresu polityki społecznej próbują opisywać sytuację społeczną człowieka, uwzględniając zmienność jego potrzeb i możliwości na kolejnych etapach życia. Tworzenie zachęt do indywidualnej prewencji zdrowotnej i profilaktyki jest jednak trudne w odniesieniu do osób, które wyszły już z głównego systemu edukacji. **Pojawiają się także dodatkowe bariery, związane z kształtem stosunków społecznych, w tym stosunków pracy.**

Po pierwsze, realne możliwości powszechnego dbania o swoje zdrowie ogranicza fakt, że Polacy pracują średnio więcej niż mieszkańcy innych krajów Unii. Oznacza to, że mają mniej czasu i energii, by regularnie chodzić na badania czy prowadzić zdrowy, systematyczny tryb życia. Dodatkowo, ze względu na niski



© Mikael F. flickr.com/photos/spiken/531757547/

poziom instytucjonalizacji opieki nad osobami zależnymi, część zatrudnionych musi po pracy angażować się w powinności rodzinne w stopniu większym niż w wielu innych krajach. Prowadzi to do przeciążenia, a z drugiej strony do jeszcze większego skurczenia zasobów czasowych, które można wykorzystać na aktywność profilaktyczną.

Problemy te pogłębia niewielka skłonność pracodawców do takiego kształtowania czasu pracy, które jest korzystne dla pracownika. Niewielka elastyczność i sztywne godziny pracy sprawiają, że nie zawsze łatwo jest wygospodarować czas, by poddać się badaniom.

Osobny problem stanowi szczególnie rozkwit w Polsce pozakodeksowych form zatrudnienia, powodujący rodzenie się warstwy określanej mianem prekariatu. **O ile Kodeks pracy nakłada na pracodawcę obowiązek skierowania pracownika na badania profilaktyczne (wstępne, okresowe i kontrolne), zaś na pracownika - poddania się nim, o tyle wspomniane przepisy nie dotyczą osób zatrudnionych na umowy cywilne.** Zazwyczaj nie obejmują ich również szkolenia BHP, co zwiększa zagrożenie dla ich (i nie tylko ich) zdrowia. Jednocześnie pracownicy ci pozbawieni są możliwości korzystania z urlopów, w tym zdrowotnych. W efekcie tłąca się w organizmie choroba często może nie zostać zduszona w zarodku, tylko rozwinąć się u osób, które choć nie są zdrowe, to pracują (co nieraz zagraża także zdrowiu współpracowników). **Mechanizm ten idzie zupełnie pod prąd idei profilaktyki, wczesnego reagowania i leczenia.**

Czy możemy zatrzymać demontaż stosunków pracy opartych na umowie o pracę - to pytanie godne obszernej rozprawy. Być może niekorzystną sytuację mogłaby częściowo łagodzić moda na tzw. społeczną odpowiedzialność biznesu (CSR), a w ramach tego finansowanie pracownikom np. rodzinnych karnetów na basen lub szkoleń w zakresie profilaktyki określonych chorób¹². Wprowadzenie takich działań na szerszą skalę będzie możliwe, jeśli pracodawcy zrozumieją, że nie tylko podnoszą one prestiż firmy, ale także zwiększają wydajność pracowników oraz ich przywiązanie do przedsiębiorstwa. Elastyczny rynek pracy powoduje, że stosunki pracodawcy i pracownika mają niezbyt trwały charakter i w związku z tym motywacja do inwestowania w zatrudnionych jest niewysoka.

Abstrahując od tego, w jakim stopniu w ramach globalnej konkurencji ograniczanie zjawiska prekariatu leży w zasięgu możliwości podmiotów gospodarczych czy systemów krajowych, nietrudno dostrzec, że jest ono niekorzystne z punktu widzenia zdrowia pracownika i jego samoopieki zdrowotnej. Już sam fakt ciągłej niepewności o zachowanie pracy lub znalezienie następnej - przy skromnym zakresie działań kompensacyjnych ze strony publicznego zabezpieczenia społecznego - musi generować stres i oddziaływać niekorzystnie na zdrowie, a także na możliwości konsekwentnego dbania o nie. Aby móc świadomie

kształtować swoje życie, co wymaga pewnej systematyczności, potrzeba minimum stabilizacji.

Po prześledzeniu powyższych zależności, aż ciśnie się na usta marksowska teza o determinowaniu świadomości przez byt. **Przy obecnej sytuacji zawodowo-społecznej dużej części ludności zadowalająca świadomość zdrowotna ma niewielkie szanse szybko wykiełkować, zwłaszcza że jest słabo obecna w naszej kulturze. Jednocześnie barierą jest dezinstytucjonalizacja polityki społecznej na wielu polach.** Część instytucji przez dwie dekady transformacji zmniejszyła zakres podmiotowy (przedszkola, żłobki, Kodeks pracy), część zaś, zachowując charakter powszechny, zmniejszyła zakres swoich funkcji (np. szkoła w kontekście opieki medycznej). Owa dezinstytucjonalizacja nie prowadzi - jak utrzymywali niektórzy - do „uspołecznienia”, lecz raczej do zmniejszenia możliwości realizacji praw społecznych. Widać to także na przykładzie prewencji zdrowotnej.

Powracamy tu do problemu poruszonego na początku: na ile mała obecność profilaktyki w Polsce jest kwestią indywidualnych wyborów obywateli, na ile rezultatem kulturowo-historycznych doświadczeń, do jakiego zaś stopnia skutkiem niekorzystnych uwarunkowań społeczno-ekonomicznych oraz instytucjonalnych? Zasygnalizowane procesy pokazują, że ta ostatnia grupa czynników powinna być w centrum naszego zainteresowania, jeśli chcemy zbadać głębsze bariery dla zastosowania profilaktyki zdrowotnej na szerszą skalę.

RAFAŁ BAKALARCZYK

Przypisy:

1. Danuta Seredyńska, *Badania profilaktyczne jako element zachowań zdrowotnych (doniesienie z badań)* [w:] Maria Kuchcińska (red.), *Zdrowie człowieka i jego edukacja gerontologiczna*, Bydgoszcz 2004, s. 25.
2. Tamże, s. 23.
3. Por. Rafał Bakalarczyk, *Zdrowy rozsądek zza morza*, „Obywatel” nr 2(49)/2010.
4. Por. Martyna Bunda, *Badania prenatalne. Nakazać czy zakazać?*, „Polityka”, 22 sierpnia 2009 r.
5. *Zdrowie dzieci i młodzieży w Polsce*, raport RPO, Warszawa 2008.
6. Janusz Szymborski, *Zdrowie - zapomniany priorytet*, „Polityka Społeczna”, wrzesień 2009.
7. <http://www.mlekowszko.pl/index.php?show=szkolanka&dzial=program>
8. <http://www.owocewszko.com/>
9. *Owoce i warzywa przy szkolnej tablicy*, „Dziennik Gazeta Prawna”, 6-8 maja 2011 r.
10. http://www.ore.edu.pl/index.php?option=com_content&view=article&id=556&Itemid=1105
11. http://www.men.gov.wpl/index.php?option=com_content&view=article&id=1846%3Aszko-promujca-zdrowie&catid=119%3Aycie-szkoly-aktualnosc&Itemid=2
12. Szerzej kwestię CSR w kontekście zdrowia omawia Anna Daria Nowacka w tekście *Społeczna Odpowiedzialność Biznesu a zdrowie* [w:] Małgorzata Bonikowska, Mirosław Grewiński (red.), *Usługi społecznie odpowiedzialnego biznesu*, Warszawa 2011.

Dbajmy o siebie, czyli patriotyzm konsumencki

(część I)

DR JOANNA SZALACHA

Sukces twojego kraju zaczyna się w twojej lodówce.

Wiemy, że jako społeczeństwo jesteśmy systemem naczyń połączonych. Jednak ta wiedza niekoniecznie przekłada się na codzienne decyzje. Nie głosujemy, bo „to nic nie da”, nie zrzeszamy się, bo „to nie ma sensu”. Nie dostrzegamy związków pomiędzy wielką polityką a liczbą godzin, które jesteśmy skłonni poświęcić na działalność społeczną. Tymczasem nawet „zwykły człowiek” może zrobić wiele dobrego. Najprościej zacząć od własnej lodówki.

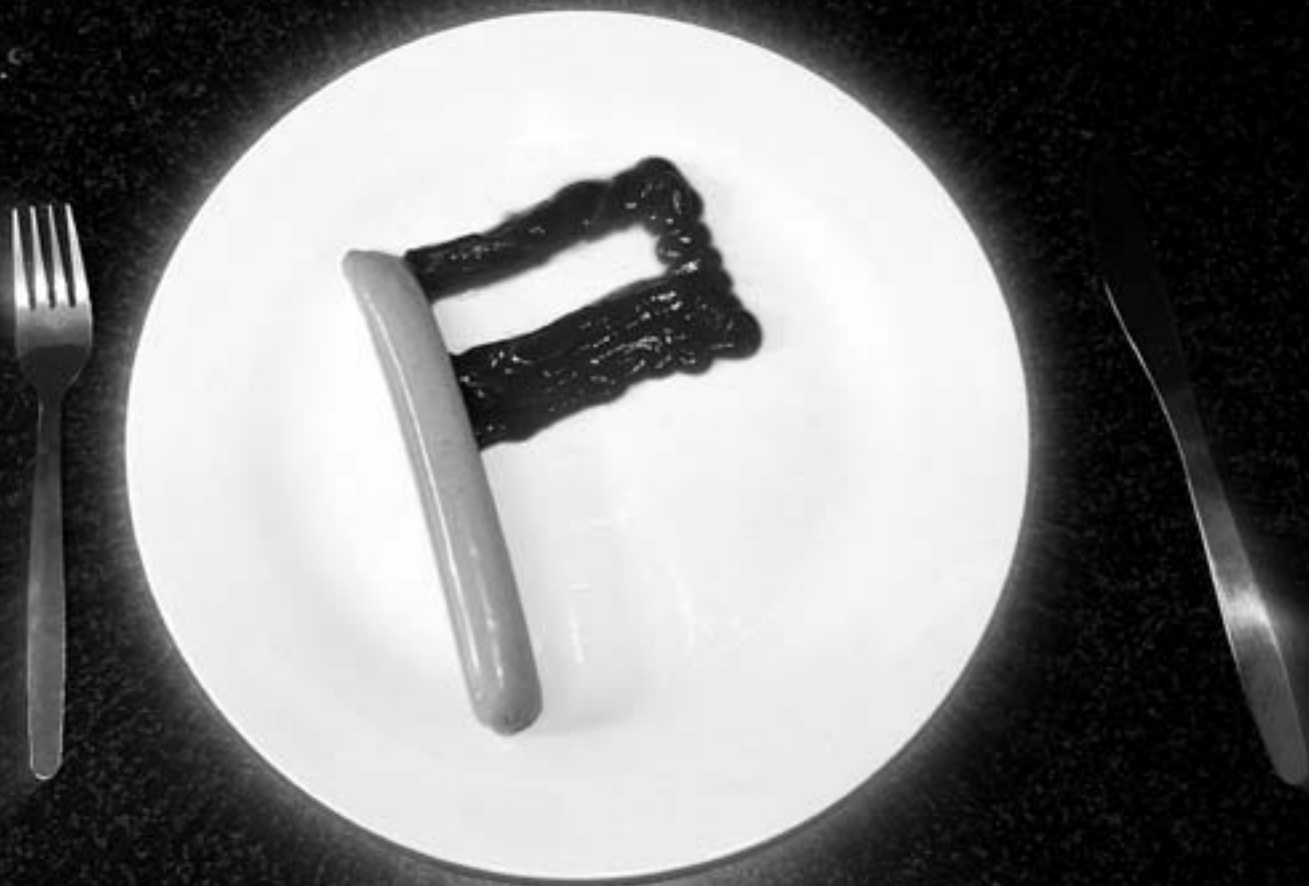
Oto pierwsza część opowieści o patriotyzmie konsumenckim – idei ważnej, lecz w Polsce zaniedbanej. Poświęcony jest diagnozie sytuacji, podczas gdy część druga, w kolejnym numerze, zawierać będzie konkretną „receptę” i projekt działania.

Z sumieniem w koszyku

„Zwykły” konsument podczas zakupów kieruje się indywidualną racjonalnością ekonomiczną. Bierze pod uwagę wyłącznie cenę i jakość nabywanych produktów i usług. Idea świadomej konsumpcji zakłada natomiast uwzględnianie także wybranych czynników natury etycznej/światopoglądowej. Bazuje ona na odwołaniu się do przeświadczenia lub wiedzy o dalekosiężnych konsekwencjach, jakie decyzja konsumenta będzie miała dla środowiska naturalnego czy społeczeństwa.

W ostatnich dwudziestu latach światowy ruch świadomych konsumentów koncentrował się na różnych wymiarach konsekwencji ekologicznych (tzw. ślad węglowy, eksploatacja lasów, ochrona zwierząt itp.). Drugim ważnym polem jego aktywności była refleksja na temat wpływu, jaki nabywanie określonych produktów ma na warunki życia w krajach Trzeciego Świata (konceptcja sprawiedliwego handlu, potępienie zjawiska *sweatshopów* czy sprzedaży tzw. krwawych diamentów). Można powiedzieć, że część konsumentów w krajach Centrum zaczęła przekładać swoją wiedzę na temat następstw współczesnego kolonializmu na codzienne decyzje zakupowe.

I tak, niektóre społeczeństwa zachodnie stopniowo uczyły się, że przywożenie cukru z plantacji w Ameryce Południowej zwiększa emisję CO₂ do atmosfery, albo że kupowanie kawy określonych firm pogłębia słabość społeczności lokalnych w krajach Afryki. To oczywiście tylko wybrane przykłady. Konsumenti z Europy i Ameryki Północnej chcą na drodze świadomych zakupów dokonać *de facto* pewnego zadośćuczynienia wobec społeczeństw, które eksploatowali do tej pory, oraz wobec środowiska naturalnego, które okazało się być znacznie bardziej połączone w skali globalnej, niż się tego spodziewali. Można zaryzykować stwierdzenie, że w obszarze świadomej konsumpcji wymiary „Fair”



© eisenbahner, flickr.com/photos/eisenbahner/3598274494/

oraz „Eko” przyjęły się dobrze, przy czym oczywiście ta kategoria postaw konsumenckich stanowi nadal ułamek ogółu decyzji rynkowych.

Konsumpcja Eko i Fair odwołuje się do wiedzy (czy wiesz, ile CO₂ emituje TIR wiozący pomidory z Włoch), emocji (czy możesz pozwolić, by twoje dzieci bawiły się lalkami produkowanymi w strasznych warunkach przez ich rówieśników?) i poczucia winy (czy wiesz, jak okrutnie traktowano ludzi produkujących kawę, którą rozkoszujesz się codziennie rano?). Naturalnie w dużym stopniu ten typ świadomej konsumpcji nadal bazuje na odwołaniu do interesów jednostki. „Zwykły” konsument odczuwa subiektywną satysfakcję, bo kupił bułki w Lidlu tańsze o 5 groszy. „Świadomy” buduje pozytywny obraz samego siebie, nabywając koszulkę uszytą z ekobawełny. Na najbardziej podstawowym poziomie mamy tu więc do czynienia z egoizmem: mój portfel - moja satysfakcja płynąca z użycia wiedzy¹. Rzecz jasna, w tym drugim zachowaniu można dopatrywać się także wymiaru altruistycznego, jednak nadal można je sprowadzić do kupowania dobrego samopoczucia.

Biało-czerwone zakupy

Trzeci typ świadomej konsumpcji, tzw. patriotyzm konsumencki (dalej - PK) w założeniu ma mocniej

odwoływać się do wspólnotowości niż interesów jednostkowych. PK to postawa wobec codziennych decyzji zakupowych, polegająca na kierowaniu się pochodzeniem produktów i usług, w wyniku czego jednostka nabywa głównie te, które pochodzą z jej ojczystego kraju. O PK możemy mówić, gdy element związku między miejscem wyprodukowania towaru a miejscem określonym przez daną osobę jako „ojczyzna” jest kluczowy w krytycznym momencie decyzji o wydatkowaniu pieniędzy - chociaż oczywiście jego jakość i cena również mają na nią wpływ. W tym sensie PK jest przykładem świadomej konsumpcji.

Trzeba jednak przyznać, że idea ta jest rozwijana nieco inaczej niż wspomniane typy postaw wobec zakupów. Po pierwsze, ma ona zawsze charakter lokalny, skupiając uwagę konsumenta na jego kraju. Po drugie, w konsumpcji Eko i Fair mamy wiedzę, emocje i poczucie winy jako motory motywujące do działania. W przypadku PK ma być nim raczej idea bliskiej wspólnoty (regionalnej, narodowej, etnicznej) i jakaś wizja przyszłości, która realizować się będzie w oparciu o odpowiedzialne wybory konsumentów (*kupuję fińskie pomidory zamiast hiszpańskich, bo wiem, że dzięki temu gospodarka fińska będzie rosła w siłę*). W obu przypadkach mamy oczywiście do czynienia z przekonaniem o dalekosiężnych konsekwencjach

naszych decyzji, wpływających na pewną wspólnotę – odpowiednio ludzkość (Eko i Fair) oraz naród/kraj (PK).

Zawsze jednak kluczowa jest wiedza. Konsument kierujący się PK musi opierać decyzje na informacji o kraju pochodzenia produktu. **Istnieje tu założenie, że producent płaci podatki w kraju, w którym działa, zatrudnia tu ludzi, płaci za nich składki i korzysta z usług innych miejscowych firm, kreując efekt tzw. *spillover*.** Taka wiedza jest w stanie mobilizować do określonych wyborów nawet wbrew doraźnemu rachunkowi ekonomicznemu (*fińskie pomidory są droższe niż hiszpańskie, ale i tak je wybieram*²). Oczywiście PK bazuje na przekonaniu o słuszności wspierania swojej wspólnoty, jaką jest naród czy społeczeństwo żyjące w granicach danego państwa.

Jednym z kluczowych elementów funkcjonowania PK jest wiedza o markach. Współczesny konsument orientuje się na marki. To do nich się przywiązuje, ceniąc często bardziej niż same produkty. To one budzą emocje i kształtują nawyki. Współczesny kapitalizm utrudnia jednak rozpoznanie właściwej relacji między marką a krajem pochodzenia. Czy kupione przez Chińczyków Volvo to nadal marka szwedzka? Czy polski Wedel jest nadal polski, skoro jego właścicielem jest japoński koncern Lotte?

Jeszcze innym problemem jest złożoność wielu produktów. Samochód, którego podzespoły powstawały w różnych krajach, telewizory składane w Polsce, ale

z materiałów wyprodukowanych w Tajlandii – jak ocenić kraj pochodzenia podobnych produktów i marek je reprezentujących? Ten między innymi kłopot powoduje, że konsumenci, którzy chcą kierować się PK, często ograniczają się do branży spożywczej, jako tej, w której prostota produktu i jego specyfika mogą ułatwiać identyfikację kraju pochodzenia. Z pewnością zatem idea PK nie ma sensu, jeżeli nie stoi za nią zaufanie i uczciwość. Tak jak w przypadku konsumpcji Eko i Fair – producenci uczciwie ujawniają, jak produkują, a klienci ufając tej informacji wybierają ich produkty.

Czy jesteście gotowi?

Hasła nawołujące do PK pojawiają się dziś w warunkach rosnącej współzależności gospodarczej i narastającej konkurencji w globalnym kapitalizmie. Odwołania do tej idei pojawiają się wszędzie tam, gdzie elity gospodarcze nie mają charakteru kompradorskiego, a kraj nie jest „obszarem kłusowniczym” (używając metafory Andrzeja Żybertowicza). A więc tam, gdzie właściciele firm i przedsiębiorcy nie działają w myśl zasady *hit and run*, lecz wiążą własny długotrwały sukces ekonomiczny z sukcesem gospodarczym państwa, i gdzie politycy – dostrzegając ową postawę – tworzą warunki sprzyjające funkcjonowaniu takich przedsiębiorców.

W zasadzie we wszystkich krajach tzw. starej UE mamy do czynienia z różnymi formami działań nawołujących do PK. W Wielkiej Brytanii – kraju o najdłuższych w Europie tradycjach świadomej konsumpcji (już w XIX w. bojkot konsumencki objął tam plantatorów trzciny cukrowej wykorzystujących pracę niewolników) – obywatel otrzymuje szereg komunikatów informujących o słuszności kupowania tego, co brytyjskie, czy wręcz np. szkockie. W Niemczech urzędy państwowe mają obowiązek zakupu w pierwszej kolejności samochodów marki Volkswagen, a więc spółki z udziałem skarbu państwa. W Finlandii rozdaje się w sklepach magnesy na lodówki z napisem „Kupuję fińskie”.

W takiej sytuacji należy postawić pytanie – czy jesteśmy jako społeczeństwo gotowi do przyjęcia idei PK i wdrażania jej w życie? Aby odpowiedzieć na m.in. takie pytanie, odwołam się do części wyników badania, które przeprowadziłam w woj. kujawsko-pomorskim w grudniu 2010 i styczniu 2011 r.³ Zostało ono zrealizowane na próbie kwotowej, uwzględniającej parametry demograficzne typowe dla regionu. Wywiady kwestionariuszowe poruszały problem PK, analizując go w kilku wymiarach. Obok próby rozpoznania, na ile idea i sam termin są znane badanym, wywiady sprawdzały także, na wybranych przykładach, wiedzę konsumentów o krajach pochodzenia firm/marek i ich postawę względem koncepcji odpowiedzialności biznesu wobec społeczeństwa. Celem było zatem określenie pewnego – wycinkowego z racji ograniczeń badania i próby – stanu wiedzy, a także postaw w odniesieniu do działań i zjawisk związanych ze świadomą konsumpcją i PK.



©©©)h (withbonef), flickr.com/photos/withbonef/2419345283/

Prawie połowa, bo 43% badanych, stwierdziła, że nie zna pojęcia patriotyzmu konsumenckiego. Ci, którzy zadeklarowali jego znajomość, w następujący sposób tłumaczyli, co według nich znaczy:

- dla 50% PK to „kupowanie polskich produktów”,
- dla 17% to „popieranie polskich producentów”,
- dla 13% to „kupowanie produktów regionalnych/lokalnych”,
- dla 9% to „przywiązanie do polskich marek/produktów”,
- dla 8% to „kupowanie produktów wyprodukowanych w Polsce”,
- dla 1% to „kupowanie polskich marek”,
- 2% miało problem ze sprecyzowaniem tego pojęcia.

Idea PK rozciąga się zatem w polu skojarzeń z decyzjami zakupowymi opartymi o pochodzenie produktów/marek, z tradycyjnym (i może nawet emocjonalnym) przywiązaniem do pewnych produktów oraz z gotowością do wspierania lokalnych/krajowych firm. Jak widać, wśród osób deklarujących znajomość pojęcia PK ujawnia się pewien ważny problem – mianowicie rozbieżności pomiędzy ideą wspierania produktów, a wspierania marek. Jeśli przyjmiemy, że w świadomej konsumpcji kluczowa jest wiedza, to w przypadku PK nie jest ona klarowna. Przykład: *Czy kupując przyprawy starej polskiej marki Winiary, wyprodukowane w fabryce w Kaliszu, nadal kieruję się PK? Czy też wiedza o kapitale zagranicznym, posiadającym obecnie firmę/markę Winiary, powinna mnie skłonić do wycofania się z zakupu?*

Okazuje się, że gdy zapytaliśmy badanych, jakie atrybuty są kluczowe dla określenia, iż marka jest polska, wskazywano przede wszystkim na prowadzenie produkcji w Polsce. Na drugim miejscu jest fakt powstania marki w naszym kraju. Dopiero trzecim pod względem ważności atrybutem jest to, że właściciel firmy jest polski. Natomiast reklamowanie się jako produkt polski jest zdecydowanie na samym dole hierarchii konsumentów. Zgodnie z nią, na pytanie z akapitu powyżej należałoby zatem udzielić odpowiedzi twierdzącej: *Winiary to polska marka, bo firma produkuje u nas w kraju.*

Co ciekawe, w wywiadach pogłębionych, przeprowadzonych w ramach wspomnianego badania z kadrą zarządzającą dużych i średnich polskich przedsiębiorstw, uzyskiwałam w większości odpowiedzi, że najważniejsze jest pochodzenie kapitału, który kontroluje firmę! Na drugim miejscu wskazywano zaś fakt prowadzenia produkcji w Polsce, na trzecim historię marki, czyli to, że powstała ona nad Wisłą. Dla producentów, jak widać, hierarchia kryteriów polskości marki jest trochę inna.

Nie rozwijając tego wątku, można powiedzieć, że stwierdzony wśród konsumentów rozkład atrybutów polskości marki jest efektem dwóch dekad zmian w krajowej gospodarce. Gdy firmy i marki powstałe

w PRL lub wcześniej, były sprzedawane, ich kapitał symboliczny (renoma, rozpoznawalność itp.) przechodził w ręce zagranicznych koncernów. I dziś przeciętny konsument będzie miał pewien problem z diagnozą, które marki są lub nie są polskie – i dlaczego.

W tym samym czasie większość respondentów w tym badaniu (aż 85%) uważa siebie samych za „świadomych konsumentów” – jedynie 13% miało wątpliwości, czy zaklasyfikować się do tej grupy, a 2% powiedziało, że na pewno nie są takimi konsumentami. Wiemy już, że konsumenci świadomi muszą kierować się jakąś wiedzą. Jak na razie jednak badani raczej orientują się na marki, czyli na wiedzę pochodzącą od firm i z ich reklam.

Mocne marki

Respondenci wskazywali, że posiadają ulubione marki w zaproponowanych w badaniu kilku branżach. Najczęściej mieli ulubione marki kosmetyczne i spożywcze, a najrzadziej potrafili je podać dla branży budowlanej. Takie deklaracje nie muszą przekładać się na rzeczywiste decyzje. Co prawda 35% deklaruje, że nie lubi kupować produktów bez wyraźnej marki, ale pewną przewagę (43%) stanowią osoby, które twierdzą, że gdy dokonują zakupów, nie nastawiają się z góry na kupno produktów markowych⁴. Zobaczmy jednak, jakie są korelacje pomiędzy uważaniem się za świadomego konsumenta a kierowaniem się krajem pochodzenia produktu.

Wśród osób, które mają ulubione marki spożywcze i jednocześnie uważają się za świadomych konsumentów, 20% wybierało je ze względu na to, że są polskie. W przypadku branży kosmetycznej było to 23%. Wśród osób posiadających ulubione marki odzieżowe, 18% wybierało je ze względu na polskość firmy/marki, natomiast w przypadku branży obuwniczej już tylko 7%. W niektórych branżach ważniejsza jest dla konsumentów dostępność lub to, że marka pasuje do ich stylu życia.

Należy jednak podkreślić, że w przypadku osób uważających się za świadomych konsumentów, gdy pytaliśmy ich o motyw wyboru ulubionej marki w podziale na branże, dominująca część nie umiała wskazać żadnego powodu, dla którego wybiera właśnie ją. A zatem można zakładać, że tak naprawdę osoby te nie są świadomymi konsumentami. Najwyraźniej widać to w odniesieniu do takich branż, jak finanse, RTV/AGD czy branża budowlana, w przypadku których średnio ok. 70% respondentów nie potrafiło podać powodów, dla których wybrało konkretne marki.

Wydawać by się mogło, że coś w tym zakresie może zmienić edukacja poprzez różne kampanie. Znałe akcje, takie jak „Teraz Polska” czy „Dobre bo polskie”, okazują się jednak nie mieć dużego wpływu na konsumentów. Aż 31% naszych respondentów nie zwraca w ogóle uwagi na takie znaki na opakowaniach, 38% zna owe znaki i certyfikaty, ale się nimi nie kieruje,



© Photography King, flickr.com/photos/philhearing/5445683241/

a tylko 17% uważa, że są one dowodem wysokiej jakości produktu, co może skłaniać ich do zakupów. Dość wyraźnie widać zatem, że dotychczasowe kampanie straciły moc mobilizacyjną.

W sytuacji, gdy rodzime produkty nie są szczególnie często wybierane, poprosiliśmy badanych o wskazanie, czego ich zdaniem brakuje polskim markom. Najwięcej z nich stwierdziło, że mogłyby mieć lepszą reklamę - być może więc Polacy odczuwają niedostatek informacji o krajowych wyrobach oraz zachętę ze strony ich producentów. Według 20% ankietowanych, polskie produkty mogłyby mieć lepszą jakość i być „bardziej solidne”. Co ciekawe, mała grupa (3%) wskazała, że nasze marki potrzebują wsparcia ze strony państwa, niewiele osób zwróciło też uwagę, że krajowym produktom brakuje lepszego oznakowania, informującego o tym, iż są to marki polskie.

Podsumowując, część badanych wydaje się być gotowa do odgrywania roli świadomych konsumentów. Wykazują oni jednak brak praktycznej wiedzy o kraju pochodzenia produktów. Na przykład 29% twierdziło, że szwedzki koncern odzieżowy H&M to polska firma, a 66% uznało pieluszki Happy - produkowane przez TZMO w Toruniu - za produkt zagraniczny. Widać też u badanych, że często kierują się dawną wiedzą o marce i na tej podstawie określają polskość produktów - np. 79% myśli, że Pekao SA to polski bank.

Diagnoza powszechności PK nie jest więc optymistyczna, przynajmniej jeśli chodzi o województwo

poddane badaniu. Tym niemniej z racji istnienia pewnego gruntu - jak wyraźna chęć bycia poinformowanym konsumentem czy fakt, że 64% badanych zadeklarowało, iż wiedza o nieetycznych działaniach firmy bądź niekorzystnym wpływie na lokalne społeczeństwo i środowisko mogłaby ich zniechęcić do zakupu jej produktów - należy przyjąć, że PK ma szanse rozwoju w polskim społeczeństwie. Wyraźnie trzeba jednak zmienić strategię propagowania tej idei.

Od diagnozy w kierunku recepty

Zastanówmy się, dlaczego konsumpcja Eko i Fair przysięła się w wielu krajach. Na pewno dzięki dekadom kampanii społecznych, reklam oraz istnieniu firm gotowych zaangażować się w podobne działania. Ale także dlatego, że mimo bazowania na wiedzy, tak ważnej dla świadomej konsumpcji, trendy te opierają się również na bardzo silnych emocjach - głównie na poczuciu winy oraz na chęci podbudowy własnego ego i wizerunku, w mniejszym stopniu na miłych skojarzeniach z przyrodą, szczęśliwymi dziećmi, miłymi misiami panda itp. Dlaczego zatem - można zapytać - Eko i Fair nadal nie udało się zostać dominującymi kierunkami konsumpcji?

Przyczyn jest oczywiście wiele. Wśród nich na pewno znajduje się wyższa cena, jaką często trzeba zapłacić za takie produkty. Ale również to, że świadoma konsumpcja to wysiłek sprzeczny z naszymi automatyzmami. Jak pokazują badania psychologiczne, nawyki

są silniejszym bodźcem niż informacja przyjmowana świadomie. Krótko mówiąc, gdy od dziecka segregujesz śmieci, to wydaje ci się to naturalne – ręka z plastikową butelką „sama” wędruje w stronę odpowiedniego kosza. Gdy jako 30-latek masz zacząć to robić, trudno zwalczyć automatyzm wrzucania śmieci do jednego worka. W przypadku świadomej konsumpcji wymaga się od konsumentów dodatkowego wysiłku – mają wyszukiwać informacje, budować indywidualne bazy wiedzy, a potem jeszcze szukać odpowiednich produktów.

Jak zatem nakłonić do takiego wysiłku? Czynniki wiedzy jest istotny (w końcu zdecydowana większość z nas chce być „świadomymi” konsumentami, a nie sterowanymi marionetkami!), ale trzeba ją połączyć z odpowiednimi emocjami. Być może pewne niepowodzenia Eko i Fair biorą się stąd, że zbyt mocno bazują na poczuciu winy. Negatywne emocje nie są bowiem dobrym „wehikułem sprzedaży”. Z kolei dotychczasowe kampanie nawiązujące do PK miały dość wąski i może niezbyt trafnie dobrany wachlarz emocji wspierających informację, która na dodatek bywała myląca (*vide* przyznanie niemieckiej sieci marek Lidl znaku „Teraz Polska”). Wiele można w tym zakresie poprawić – ale o tym będzie kolejna część

opowieści o PK. Teraz postawmy sobie tylko pytanie: czy społeczeństwo polskie zasługuje na takie samo emocjonalne i konsumenckie wsparcie, jak kraje Trzeciego Świata i misie panda? Czy jesteśmy tego warci? Zadbajmy o siebie.

DR JOANNA SZALACHA

Przypisy:

1. Przypomina mi się odcinek serialu „South Park”, gdzie przesadne samozadowolenie (ang. *smug*) ludzi jeżdżących ekologicznymi Lexusami zaczęło generować zanieczyszczenie środowiska, takie jak rzeczywisty smog ze spalin.
2. To być może skrajna postawa, ale akurat w Finlandii nierzadko spotykana, bazując na osobistej obserwacji żyjącego tam znajomego.
3. Badanie zostało sfinansowane w ramach grantów badawczych Wyższej Szkoły Bankowej w Toruniu (z dofinansowaniem z UE – projekt nr POKL.04.01.01-00-126/09).
4. Tu pewne wyjaśnienie – respondenci we wcześniejszym, otwartym pytaniu poruszającym kwestię ulubionych marek w danej branży, wyraźnie uważali za „markowe” te produkty, które są powszechnie reklamowane. Oto kilka przykładów: dla branży spożywczej ulubione marki to m.in. Amino, Bakoma, Coca-Cola, Danone, Delecta, dla kosmetyków – Rexona, Soraya, Chanel, dla odzieży – Solar, Wrangler, Puma.

REKLAMA

Wojtyła Kaczyński Woleński Łuczewski
Mazur Czabanowski Skrzypolec Przychodzeń

PRESSJE

JP2: antykapitalista, straussista, mesjanista

Pierwsza rozmowa z JP2 po beatyfikacji

Starcie Kaczyński-Woleński

www.pressje.org.pl

ZABILIŚMY PROROKA

Do nabycia przez pressje.org.pl, w empikach i w siedzibie redakcji: Rynek Główny 39/9

Dokąd zmierzasz, biblioteko?

ANNA SOBÓTKA · KRZYSZTOF WOŁODŹKO

Według danych Biblioteki Narodowej, jedynie 44% Polaków w ciągu ostatniego roku (2010) miało jakikolwiek kontakt z dowolną książką. W podobnych badaniach w Czechach i Francji wskaźnik ten wyniósł odpowiednio 83 i 69%. Jednym z podmiotów, które mogą pomóc zmienić niepokojącą tendencję, są przyzwoicie finansowane i nowocześnie zorganizowane biblioteki publiczne.

Na pomoc (finansową)

W 2009 r. istniało w Polsce 8392 bibliotek publicznych oraz ich filii - 2888 w miastach oraz 5504 na wsiach. Od 1989 r. ubyło ich 1921, z czego aż 1467 na terenach wiejskich. Tymczasem, jak podkreśla Bronisława Woźniczka-Paruzel, profesor bibliotekoznawstwa UMK w Toruniu, *biblioteki odgrywają bardzo ważną rolę w środowiskach lokalnych, zwłaszcza na terenach wiejskich i małomiasteczkowych. Nierzadko są tam jedynymi instytucjami kultury, które nie tylko współtworzą życie miejscowych społeczności, ale również kształtują społeczeństwo wiedzy i informacji.*

Te, które przetrwały, zazwyczaj gnębią poważne niedobory finansowe. Wynika to m.in. ze stereotypowego podejścia decydentów różnego szczebla. Mają oni niewielkie pojęcie, jakie zadania stawia się dziś przed księżnicami. - *Wójt, sołtys czy prezydent miasta, którzy*

zresztą zwykle czytają mało lub niechętnie, mają w głowie obraz siermiężnej biblioteki szkolnej z czasów własnej młodości. Dlatego np. automatyzację bibliotek uważają za fanaberię - podkreśla pani profesor.

Rozbudowa dróg szybko przynosi widoczne skutki, natomiast inwestycja w instytucje czytelnicze daje efekty po latach i nie każdy uważa, że jest konieczna. - *Bardzo ciekawe było, kiedy przeanalizowaliśmy 16 regionalnych programów rozwoju, tworzonych przez województwa w celu wykorzystania środków unijnych. Tylko w dwóch padło słowo „biblioteka”* - zauważył na łamach prasy Grzegorz Gauden, dyrektor Instytutu Książki, powołanego przez resort kultury m.in. do popularyzacji czytelnictwa.

Jak wynika m.in. z oceny dokonanej na potrzeby Narodowej Strategii Rozwoju Kultury na lata 2004-2013, wydatki na tę dziedzinę życia społecznego

w przeliczeniu na mieszkańca są u nas wyjątkowo niskie. Podczas gdy za międzynarodową normę zakupów nowości książkowych do bibliotek uznaje się 30 woluminów na 100 mieszkańców rocznie, w Polsce do 2004 r. współczynnik ten wynosił nieco ponad... 5 woluminów. Po okresie wzrostu nakładów budżetowych na ten cel, w 2009 r. Polska ponownie znalazła się w ogonie Europy (7,5 woluminów/100 mieszkańców/rok). W obliczu ogromnych rokrocznych ubytków (zagubienia, zniszczenia) w latach 2008 i 2009 księgozbiór nie tylko nie powiększył się, ale zmalał - o ponad 300 tys. woluminów.

W tej sytuacji niebagatelnym wsparciem dla bibliotek, zwłaszcza w małych gminach, stają się duże projekty pomocowe, jak Biblioteka+. Ten program Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego, realizowany pod auspicjami Instytutu Książki, ma na celu *przekształcanie bibliotek gminnych w nowoczesne centra dostępu do wiedzy, kultury oraz ośrodki życia społecznego*. Biblioteki mogą ubiegać się m.in. o środki na internetyzację. - *To przełamanie bariery cywilizacyjnej* - podkreśla Gauden.

Wsparcie dla czytelnictwa przychodzi także czasem ze strony prywatnych darczyńców. Fundacja Billa i Melindy Gatesów we współpracy z Polsko-Amerykańską Fundacją Wolności powołała Program Rozwoju Bibliotek. Dzięki niemu ponad 3300 prowincjonalnych przybytków książki ma szansę m.in. wzbogacić się o sprzęt informatyczny i multimedialny. Wdrażaniem pięcioletniego programu (2009-2013), o łącznym budżecie 28 mln dolarów, zajmuje się Fundacja Rozwoju Społeczeństwa Informacyjnego (FRSI). Oprócz wyposażania instytucji w sprzęt, organizuje praktyczne szkolenia, dotyczące np. planowania rozwoju biblioteki, organizacji klubów filmowych, dokumentacji historii regionu, motywowania młodzieży do współpracy. Dodatkowo, placówkom które nie korzystały dotąd z oferty „Biblioteki z Internetem TP” (Grupa TP SA), zaoferowano darmowe podłączenie do Sieci.

Program uwzględnia element bardzo istotny z punktu widzenia budowy aktywnej „sieci społecznej”: integrację bardzo różnych podmiotów wokół podobnych celów. Przykładowo, w jego ramach Polskie Towarzystwo Bibliologiczne rozpoczęło współpracę z dziewięcioma uniwersytetami nad nowymi programami kształcenia bibliotekarzy, przygotowującymi do prowadzenia małej lokalnej biblioteki. We wszystkich województwach powstały Regionalne Partnerstwa na rzecz Rozwoju Bibliotek.

Wspólnota wokół książek

Zdaniem Małgorzaty Dąbrowskiej z FRSI, idealna instytucja czytelnicza łączy dotychczasowe funkcje z zupełnie nowymi. - *Powinna być pomostem między światem słowa drukowanego a światem multimedialnym, z których w coraz większym stopniu czerpiemy wiedzę o rzeczywistości* - przekonuje.

Jednak wykraczanie poza standardowe udostępnianie książek nie musi się opierać na nowych technologiach - bardzo wartościowe bywają także inicjatywy „staroświeckie”. Dobry przykład stanowią Dyskusyjne Kluby Książki (DKK), zainspirowane działalnością British Council. Można je określić jako inicjatywę oddolną, której formę nadaje jednak Instytut Książki. Z wysokości szczebla centralnego obserwuje on i wspiera kluby, m.in. przekazując specjalne pozycje książkowe. Jednak życie w ramy stworzone przez instytucję włąć muszą sami wielbiciele literatury, którzy spotykają się, żeby wymienić wrażenia po lekturze.

Od 2007 r. na terenie całej Polski wyrosło ok. 700 takich klubów. Łączy je idea delektowania się literaturą w większym gronie, ale sposoby „przyrządzania głównego dania” bywają rozmaite. Wiele zależy od osobowości moderatora, pełniącego funkcję swobodnego „mistrza ceremonii”. Elżbieta Kalinowska, koordynująca program z ramienia Instytutu, wyjaśnia, że za jego sprawą spotkanie może przybrać formę tradycyjnej rozmowy, ale także stać się zaczątkiem bogatego życia kulturalnego - bywania na koncertach, w kinie itp. Jak zaznacza, *okazało się, że dla wielu osób, zwłaszcza w małych miejscowościach, spotkanie w DKK to bardzo często jedyna okazja, żeby wyjść z domu w innym celu niż zakupy*. I dodaje nie bez satysfakcji: *Myszę, że to powoli przeradza się w jakiś ruch społeczny*.

Rozwój bibliotek tworzy w danym miejscu pewnego rodzaju „wspólnotę kultury”. Dlatego pomysł na świątynię książki powinien uwzględniać potrzeby i ambicje danej społeczności. Przykładem ośrodka, który chce i potrafi przyciągnąć odbiorców w swoje mury, jest Miejska Biblioteka Publiczna w Opolu. Działa od 1947 r., w 2008 r. rozpoczęto budowę gmachu przy ul. Minorytów 4, w którym dziś znajduje się główna siedziba, gromadząca oprócz książek m.in. filmy, muzykę oraz tzw. audiobooki. O atrakcyjności dla różnych grup odbiorców przesądza nie tylko nowoczesność placówki, ale także jej oferta.

W ramach biblioteki działa DKK, od 2004 r. organizowany jest Ogólnopolski Konkurs na Esej, początkowo skierowany tylko do uczniów szkół ogólnokształcących i zawodowych, a obecnie także do studentów. Odbywa się tu także konkurs dla opolan „Miasto Potów czyta wiersze”. W grudniu 2010 r. ruszył cykl spotkań „Świat wokół nas”, adresowany do uczniów Zespołu Szkół Specjalnych. Ośrodek współtworzy również cykliczną Opolską Jesień Literacką - wydarzenie gromadzi zarówno lokalnych twórców, jak i artystów z całej Polski i świata. Uczestniczy też jako partner Instytutu Książki w Festiwalu „4 Pory Książki”, a w ramach warsztatów „SPOKOjnie to MATURA” pomaga uczniom przygotować się do egzaminu dojrzałości.

Opolska biblioteka to także miejsce przyjazne rodzinom. Działa tu „Klub Mam”, w ramach którego co

czwartek matki z dziećmi mogą poznawać się, rozmawiać ze sobą i specjalistami z różnych dziedzin, wreszcie - zapewnić swoim pociechom kontakt z książką jako czymś naturalnym. Młodym odbiorcom książnica poświęca szczególną uwagę. Jest „Sobota z mamą i tatą w bibliotece” - zabawy plastyczne i literackie w specjalnym „Pokoju Bajek”. Co tydzień odbywają się „Słucham, czytam, tworzę” - spotkania z książką dla przedszkolaków. Ciut rzadziej: „Z książką na walizkach. Opolskie spotkania pisarzy z młodymi czytelnikami” - impreza organizowana z łódzkim wydawnictwem „Literatura”, łącząca spotkania autorskie z warsztatami literackimi, plastycznymi). Do tego „Rozczytane soboty” - cykl w ramach ogólnopolskiej akcji „Cała Polska czyta dzieciom”. Biblioteka organizuje również konkurs literacki „Legenda o Opolu” oraz „Dni Literatury Dziecięcej”.

To „zwykli odbiorcy” mogą najpełniej ocenić ofertę danego ośrodka. Arkadiusz Pieniążek z Opola, ojciec czteroletniej Alicji, mówi: *Od otwarcia nowej biblioteki dość regularnie wstępuję tam podczas spacerów z córką, zwykle by mogła wybrać sobie nową płytę z bajkami. W zbiorach filmowych przeważa kino ambitne, lubię sięgniąć po moje ulubione animowane historie ze studia Ghibli albo nadrobić zaległości we współczesnej polskiej kinematografii, które powstały, gdy mieszkalem zagranicą. Poniżej mediateki znajduje się sala, gdzie dzieci mogą się bawić, grać w gry planszowe, korzystać z komputerów. A tamtejsza czytelnia oferuje spory wybór tytułów,*



w tym także prasy zagranicznej, które są zwykle trudno dostępne, przynajmniej w wersji papierowej.

O tym, że również na prowincji biblioteka nie musi być miejscem nudnym czy schematycznym świadczy też inicjatywa z Wisznic k. Lublina. Alina Maniowiec, dyrektor tamtejszej Gminnej Biblioteki Publicznej, jest pomysłodawcą akcji „Odkurzyć zapomniane – młodzi reporterzy odkrywają historię małej ojczyzny”. Dzięki zbiorowemu wysiłkowi, zebranie materiałów zdjęciowych, wywiadów i pamiątek zaowocowało „Słownikiem nazw fizjograficznych gminy Wisznice”. – *Noszę w sobie poczucie misji, że powinnam zbierać te wszystkie materiały, które gdzieś tam nam uykają, i gromadzić je w bibliotece, bo to miejsce między innymi do tego służy, żeby kiedyś, w przyszłości, każdy mógł do nich zajrzeć. W ten sposób rozwijamy regionalia* – tłumaczy p. Maniowiec.

Piętnastu uczniów gimnazjum podjęło się wędrówki po miejscowościach gminy śladem przeszłości. Przede wszystkim tej niezapisanej, niknącej wraz z odchodzeniem starszego pokolenia. Wolontariusze nagrali wiele rozmów z mieszkańcami, stworzyli zasób przekazów ustnych, dotyczących zwłaszcza pochodzenia nazw własnych miejsc – lasów, łąk, pól. Udokumentowali zabytki dawnego języka, dzięki czemu mogli potem odczuwać dumę jako współautorzy słowniczka. Od tego czasu minęło parę lat i biblioteka w Wisznicach zorganizowała jeszcze kilka podobnych akcji, np. gromadzenie

tekstów piosenek ludowych z okolicznych miejscowości, również uwieńczone wydaniem publikacji.

Przykłady te pokazują, jak różnym celom kulturalnym i społecznym może służyć „staroświecka” instytucja biblioteki. Gdy działa dobrze, może bez uszczerbku dla tradycyjnych celów pobudzać „wyobraźnię kulturową”, nastawioną na współuczestnictwo, oraz ożywiać działalność publiczną.

Biblioteka obywatelska

W biuletynie Instytutu Spraw Publicznych, pt. „Analizy i Opinie” (nr 116, styczeń 2011) opublikowano tekst Grzegorza Makowskiego i Filipa Pazderskiego „Biblioteki publiczne jako przestrzeń nieformalnej edukacji obywatelskiej”. Edukacja taka jest intencjonalna, ale nie musi być częścią jakiegoś systemu, ani być prowadzona w ramach statutowej działalności konkretnych podmiotów. Zdaniem autorów, wobec niedostatków edukacji systemowej daje ona często pogłębioną możliwość zdobywania wiedzy i kompetencji pozwalających na *utrzymanie więzi z państwem i innymi członkami społeczeństwa*.

Wedle Makowskiego i Pazderskiego, biblioteki są potencjalnymi miejscami oddziaływania tego rodzaju edukacji. Biblioteka jest wciąż w większości przypadków instytucją publiczną, dostępną dla każdego, ponadto przez swój instytucjonalny charakter reprezentuje państwo. Autorzy postulują przede wszystkim



stosowne programy i regulacje prawne, szkolenia zapewniające umocnienie lub nabycie niezbędnych kompetencji, głównie z zakresu animowania lokalnych społeczności, zapewnienie wymaganej infrastruktury w ramach „przestrzeni bibliotecznej”, a także odpowiednie wynagradzanie pracowników.

Za bardzo ważną uznana została kwestia *skonsolidowania środowiska bibliotekarzy i budowy platformy ich współpracy także z przedstawicielami innych podmiotów działających na poziomie lokalnym. Brakuje szerokiego, przekrojowego, poziomego kontaktu między różnymi aktorami lokalnego życia społecznego – organizacjami pozarządowymi, szkołami i innymi instytucjami publicznymi świadczącymi usługi publiczne*. Tymczasem obywatelski potencjał bibliotek wydaje się znaczny. Makowski i Pazderski wskazują na możliwe formy skutecznej działalności tych placówek we wspomnianym zakresie, jak *przekazywanie członkom lokalnych wspólnot wiedzy o ich prawach i obowiązkach czy tworzenie neutralnej przestrzeni dla debat i sporów, np. o charakterze samorządowym*.

Zarzucanie sieci

Wszystkie te zadania mogą być realizowane jedynie przez dobrze przygotowane kadry. W 2008 r. wśród pracowników bibliotek kwalifikacje bibliotekarskie posiadało 68,9%, w tym 34,4% wyższe wykształcenie kierunkowe. Jednak często nawet absolwenci

specjalistycznych studiów podczas pracy w bibliotece ograniczają się do wypożyczania książek. Nie aktywizują lokalnych społeczności, nie włączają dzieci i dorosłych do żadnych działań kulturalnych.

Aby bibliotekarze nie zapomnieli, że obcowanie z książką może być żywym i ciekawym doświadczeniem, organizowane są specjalne programy doszkalające i motywujące do aktywności. Centrum Edukacji Obywatelskiej stworzyło w ramach Programu Rozwoju Bibliotek właśnie taki projekt. Bibliotekarze pod opieką mentorów – zawodowych szkoleniowców wspierających ich działania, otrzymają możliwość realizacji wybranego pomysłu z udziałem młodzieży.

W programie chodzi o dwustopniową edukację. Z jednej strony rozwój intelektualny i interpersonalny młodzieży poszukującej literackich czy historycznych śladów w rodzinnych stronach, zakładającej kluby filmowe itp.; z drugiej – kształtowanie różnorodnych kompetencji bibliotekarzy. Zuzanna Michalska, koordynatorka programu z ramienia CEO, ma również nadzieję, że dzięki niemu pracownicy bibliotek bardziej uwierzą w siebie, w przydatność swego zawodu i wykształcenia. – *Praca z młodzieżą przy projektach tego rodzaju wymaga przede wszystkim wiedzy, gdzie szukać różnych informacji, a tę posiada każdy bibliotekarz* – stwierdza.

Program ma również wspomagać **powstawanie sieci relacji między instytucjami edukacyjnymi i wychowawczymi w obrębie społeczności lokalnej**.

Podać pomocną książkę

Nie samym chlebem żyje człowiek. Gdybym był głodny i chory, nie zebrałbym na ulicy o chleb, lecz o pół chleba i książkę – powiedział hiszpański poeta Federico García Lorca, przemawiając podczas otwarcia biblioteki w swoim rodzinnym mieście w 1931 r.

Wśród pomysłów na twórcze wykorzystanie mocy oddziaływania literatury znalazła się koncepcja wspomagania dzieci i młodzieży borykających się z różnego rodzaju problemami. Odpowiednio skomponowane zajęcia terapeutyczne, których sedno stanowi opowieść, pozwalają zmierzyć się z trudnościami w kontaktach międzyludzkich, przepracować rozmaite traumy.

Jednak spotkanie ze słowem drukowanym uzdrowia także w sensie społecznym: włącza do wspólnoty, zaprasza do refleksji i dyskusji, a więc przełamuje wykluczenie. Taka „biblioterapia społeczna” uaktywnia się dzięki ludziom gotowym podjąć niecodzienną inicjatywę i „podać pomocną książkę”.

Idea „bibliotek podwórkowych” narodziła się w końcu lat 60. we Francji. Książka opuściła wtedy hermetyczne czytelnie oraz pachnące nowością księgarnie i z pomocą wolontariuszy „zeszła na ziemię” – do slumsów, blokowisk, zaniedbanych dzielnic całego

globu – aby dać zamieszkującym je dzieciom szansę na odkrycie dla siebie świata literatury, wiedzy, nauki.

Ruch ATD Czwarty Świat, który prowadzi taki projekt, od ponad trzech lat również w Polsce „otwiera” uliczne biblioteki. Obecnie działają one w Warszawie, Kielcach, Lidzbarku, w 2010 r. powstały także w Międzyrzeczynie (woj. kujawsko-pomorskie) i Strzelcach Opolskich. Wolontariusze, najczęściej młodzi ludzie, przeprowadzają „rozpoznanie terenu”, szukają odpowiedniej lokalizacji, by „założyć” bibliotekę. – *Wybieramy miejsca, gdzie mieszkają rodziny z dziećmi, z którymi chcielibyśmy się poznać i którym chcielibyśmy pomóc zaprzyjaźnić się z książkami* – mówi Agnieszka Kaszkur z Ruchu. – *Miejsce zajęć przygotowuje się prosto i szybko. Rozkładamy kocyki, stawiamy stołeczki, otwieramy walizkę z książkami – i już*. Następuje czas na głośne czytanie, ale również zabawę, różne zajęcia – plastyczne, sportowe, muzyczne, zależnie od upodobań podopiecznych i opiekunów, oraz rozmowy – także o ważnych i trudnych sprawach.

Niezwykle istotne jest wprowadzanie w życie pomysłów młodych czytelników, ale w pierwszej kolejności docenianie wszystkich ich osiągnięć. – *Dla wielu*

Bibliotekarz nawiązałby współpracę z osobami zajmującymi się młodzieżą, a ta związałaby się silniej z przybytkiem książki, bo kontakt z nim wykroczyłby poza prostą wymianę kolejnych tytułów. – *Chcemy, żeby bibliotekarz poznał nauczyciela, harcmistrza; pozna też lepiej dzieci, gdy będzie z nimi coś robił. Celem jest wywoływanie fermentu w okolicy: szumu i aktywizacji obywatelskiej* – podkreśla Michalska.

Marzenia do spełnienia

Należy jeszcze wiele zrobić, żeby działalność bibliotek przynosiła społecznościom lokalnym wszystkie wspomniane korzyści. Niezbędne będzie realne wsparcie władz samorządowych i centralnych, i to w postaci długoterminnych planów, a nie jednorazowych akcji.

Bez tego niemożliwe będzie choćby zmniejszenie dysproporcji między miastem i wsią oraz między poszczególnymi województwami jeśli chodzi o zakup nowych książek czy wyposażenia. Przykładowo, w roku 2008 biblioteki w woj. mazowieckim na każdych 100 mieszkańców kupiły 10,4 woluminu, natomiast w woj. pomorskim jedynie 5,4. Według raportu o stanie książki, opublikowanego na potrzeby Kongresu Kultury Polskiej w 2009 r., szczególną bolączką jest problem lokalowy. *Jednym z istotniejszych problemów, z jakimi boryka się większość bibliotek publicznych, jest zły stan pomieszczeń i budynków [...] Wielu bibliotekom publicznym trudno nadążyć za zmianami w zakresie organizacji*

z nich chlebem powszednim są niepowodzenia, fundowane przede wszystkim przez szkołę. Sukcesem biblioteki jest każdy sukces, który odnosi dziecko uczestniczące w zajęciach – podkreśla Kaszukur. Spotkania odbywają się regularnie, w tych samych miejscach – *to ważne, bo pozwala budować zaufanie i tworzyć więzi*. Biblioteki podwórkowe nie są zwykłą akcją dobroczynną. – *To działanie wpisane w walkę Ruchu ATD o respektowanie praw człowieka, małego i dużego, niezależnie od jego sytuacji życiowej*. Jednym z nich jest przywilej korzystania z dóbr kultury.

„Biblioterapia społeczna” jest także pewną szansą dla osadzonych, których tysiące odsiadują wyroki w polskich więzieniach. Są zamknięci nie tylko w strzeżonym budynku, ale często i w sposobie odbioru rzeczywistości. Znalazł się jednak ktoś, kto zechciał „przerzucić za mury dynamit” – była to dziennikarka, krytyk sztuki i performerka, Agnieszka Kłós.

Zbierając w zakładzie penitencjarnym w rodzinnym Rawiczu materiały do tekstu o sztuce więźniów, odnalazła zaniedbaną bibliotekę, zaopatrzoną głównie w stare podręczniki do chemii i fizyki. Zbliżało się Boże Narodzenie (była zima 2006 r.) i Agnieszka Kłós postanowiła dać więziennej bibliotece szansę na zmianę oblicza. Dokonała przeglądu swoich zbiorów i przygotowała paczkę, można by powiedzieć, „z innego świata”:

i przestrzennego zagospodarowania lokali bibliotecznych, które wynikają z przeobrażeń zachodzących w samych bibliotekach (zmiany realizowanych przez nie funkcji, poszerzający się zakres usług, wdrażanie nowych technologii komputerowych). Dotychczas prowadzone badania pokazały, że budownictwo biblioteczne jest dziedziną niedoinwestowaną. Sytuacja lokalowa w poszczególnych województwach jest bardzo zróżnicowana, przy czym różnice te nie wynikają z żadnych uchwytnych uwarunkowań społeczno-demograficznych czy struktury potrzeb – czytamy w opracowaniu.

Jeśli biblioteka ma dobrze funkcjonować, zwłaszcza na wsiach i w małych miasteczkach, jeśli ma odpowiadać na nowe potrzeby społeczności – jej potrzeby nie mogą być marginalizowane. Kluczowa jest tutaj zmiana myślenia: uznanie bibliotek za ważne instytucje, w których toczy się życie obywatelskie i wspólnotowe. Tak jak w modelu skandynawskim, który przywołał Grzegorz Gauden: *W Szwecji w jednej z miejscowości biblioteka była głównym budynkiem, dumą władz. Dla mieszkańców powodem, by uznać, że władze dobrze pracują, było to, że biblioteka dobrze działa. Stojąca w centrum nowoczesna biblioteka, służąca ludziom przez 8-10 godzin dziennie, otwarta dla nich – to jest najlepsza rzecz, którą oni, pochodzący z wyboru społecznego, mogą dać głoszącej na nich społeczności*.

ANNA SOBÓTKA · KRZYSZTOF WOŁODŹKO

książki poszerzające horyzonty bardziej niż 50-letnie podręczniki nauk ścisłych.

Co więcej, jako osoba posiadająca, jak sama to określiła, „talent do wynajdywania nisz i braków społecznych”, postanowiła nie poprzestać na jednostkowym wsparciu, lecz zaapelowała o pomoc do szerszego grona. – *Napisałam tekst, w którym wyjaśniłam, czemu należy zebrać książki, wysłałam go do portali księgarskich, redakcji literackich i komercyjnych, ludzi sztuki, recenzentów, nauczycieli akademickich i intelektualistów. Ludzie ruszyli jak lawina* – mówi p. Agnieszka. W ramach akcji „Książka za kraty” biblioteka więzienia w Rawiczu otrzymała książkowe wsparcie ze strony muzeów, redakcji pism (w tym „Obywatela”), osób publicznych, a także rodzin czy studentów.

Jak zaznacza Adam Piórkowski, specjalista Biura Penitencjarnego Centralnego Zarządu Służby Więziennej, *popularyzacja czytelnictwa wśród osób pozbawionych wolności daje szansę na eliminowanie negatywnych skutków wynikających z faktu długotrwałego przebywania w warunkach izolacji. Jednocześnie, jest jednym z ważniejszych czynników kształtujących postawy prospołeczne, przez co przyczynia się bezpośrednio do skuteczniejszej realizacji procesu wtórnej socjalizacji osoby uwięzionej*.

Udział na niby

KRZYSZTOF OKRASIŃSKI • AGNIESZKA WASILEWSKA

Prawo gwarantuje społeczeństwu udział w decyzjach dotyczących środowiska naturalnego. Niestety, głównie w teorii.

Zadaniem oceny oddziaływania na środowisko (OOŚ) jest analiza wpływu planowanego przedsięwzięcia na ludzi, zabytki i przyrodę. Przygotowywana na jej potrzeby dokumentacja zawiera m.in. szczegóły techniczne inwestycji oraz inwentaryzację warunków środowiskowych w jej otoczeniu. Po zapoznaniu się z oceną, odpowiedni organ wydaje (lub nie) zgodę na realizację, często obwarowaną obowiązkiem podjęcia działań minimalizujących stwierdzone zagrożenia. Przepisy wymagają przeprowadzania OOŚ dla każdej większej inwestycji, np. przed wydaniem pozwolenia na budowę drogi, zapory czy spalarni odpadów.

Integralną częścią OOŚ są konsultacje społeczne. Poprzedzone mają zostać publicznym powiadomieniem o planowanej inwestycji lub projekcie dokumentu. Stosowna informacja powinna zostać zamieszczona w internetowym Biuletynie Informacji Publicznej urzędu prowadzącego sprawę, wywieszona w pobliżu miejsca przygotowywanej inwestycji (przy siedzibach ludzkich) oraz nagłośniona „w sposób zwyczajowo przyjęty” na danym terenie. Jednym z założeń konsultacji społecznych jest zasada czynnego udziału społeczeństwa, a więc m.in. zapewnienie możliwości wyrażenia krytyki danego projektu.

Nikt nic nie wie

Pod koniec lipca 2010 r. ogłoszono wyniki kontroli wykonywania w Polsce postanowień Konwencji z Aarhus o dostępie do informacji, udziale społeczeństwa w podejmowaniu decyzji oraz o dostępie do wymiaru sprawiedliwości w sprawach dotyczących środowiska. Najwyższa Izba Kontroli wzięła pod lupę 51 instytucji:

Ministerstwo Środowiska, 7 urzędów marszałkowskich, 5 regionalnych dyrekcji ochrony środowiska, 12 starostw powiatowych, 9 urzędów miast na prawach powiatu oraz 17 gmin.

Według Izby, zdecydowana większość skontrolowanych urzędów (42) bezprawnie ograniczyła zakres informowania społeczeństwa o postępowaniach w sprawach dotyczących środowiska. NIK nie oszczędza nawet resortu środowiska, któremu zarzuca brak odpowiedniego powiadamiania obywateli przy wydawaniu zezwoleń na użycie organizmów genetycznie zmodyfikowanych.

Publiczny wykaz dokumentów zawierających informacje o środowisku, który urzędy powinny prowadzić na stronach internetowych, funkcjonował wadliwie w niemal 60% przypadków. Organ administracji powinien zamieszczać w nim np. powiadomienia o trwających OOŚ. – *W większości miejsc ciągle funkcjonuje jedynie tablica ogłoszeń. Żeby z niej się czegoś dowiedzieć, trzeba się do urzędu wybrać osobiście i jeszcze trafić na taki moment, aby mieć czas na złożenie uwag* – komentuje dr Marta Wiśniewska z organizacji ekologicznej WWF, redaktorka raportu „Jakość konsultacji społecznych w Polsce”.

Nieprawidłowości stwierdzone przez NIK polegały m.in. na całkowitym braku publicznie dostępnego wykazu, prowadzeniu go w sposób niepełny lub niezrętelny oraz wprowadzaniu danych z wielomiesięcznym opóźnieniem. Na skontrolowanych stronach internetowych zabrakło powiadomień aż o 29% „ekologicznych” postępowań administracyjnych. – *Pierwszą instytucją, która nie przestrzega obowiązków w tym zakresie, jest*

Generalna Dyrekcja Ochrony Środowiska, na końcu są gminy. Zaletą samorządów jest szybka edukacja, gdy przytaczamy paragraf wskazujący, że brak informowania społeczeństwa grozi więzieniem – mówi dr Paweł Pawlaczyk z Klubu Przyrodników.

Często informacje publikowane są w sposób sprawiający wrażenie, że urzędnikom zależało, aby nikt do nich nie dotarł. – *Gmina Wierchosławice kamuflowała je w BIP, np. umieszczała obwieszczenie o rozpoczęciu procesu inwestycyjnego, po czym po kilku miesiącach jedynie doklejała do niego link o nazwie zawiadomienie.pdf, prowadzący do pliku z nowym zawiadomieniem, o możliwości składania uwag* – podaje przykład takiego procederu Robert Wawręty, prezes Towarzystwa na rzecz Ziemi (TnZ).

NIK stwierdziła także, iż w przypadku 16,4% postępowań w sprawie wydania decyzji nie przestrzegano wymaganych terminów składania uwag i wniosków. Prawo łamano również przy konsultacji dokumentów. Na przykład określony ustawą co najmniej 21-dniowy termin na składanie do resortu środowiska uwag do „Polityki ekologicznej państwa w latach 2009-2012” skrócono do 14 dni. Kontrolerzy zarzucili ponadto urzędowi uchybienia w zakresie braku zapewnienia obywatelom czasu na zapoznanie się z dokumentacją.

Uwagi skierowane przez społeczeństwo do zbadanych przez Izbę urzędów miały wpływ na treść 73,5% dokumentów, do których zostały wniesione, a także na tok 53,4% zakwestionowanych postępowań. Liczby mogą się wydać imponujące, ale cień na nie rzuca m.in. fakt, że w 81% przypadków nie dokonano właściwego powiadomienia o toczących się postępowaniach. Co więcej, większość organów administracji utajnia procedury.

Prawo? Dobrze sobie...

Współautorka tego tekstu przeszła szkolenie z dostępu do informacji o środowisku; resztę uczestników stanowili urzędnicy. Jeden z nich, przy aprobacie pozostałych, spytał, jak udzielić informacji, by nie odpowiedzieć na pytanie, nie narażając się przy tym na zarzut niedopełnienia obowiązku. TnZ w kilku naddunajskich gminach nie uzyskało danych, o które prosiło, gdyż zdaniem wójtów nie mieściły się one w kategorii objętych ustawą o udostępnianiu informacji o środowisku. Wszystkie sprawy trafiły do Samorządowych Kolegiów Odwoławczych, które uchyliły decyzje samorządowców. W większości przypadków wójtowie nadal nie wydawali stosownych dokumentów, tym razem w ogóle tego nie uzasadniając. Z kolei dr Przemysław Chylarecki z Ogólnopolskiego Towarzystwa Ochrony Ptaków (OTOP) wspomina, że zdarzały mu się odmowy udostępnienia dokumentacji motywowane... ochroną praw autorskich. – *To dość powszechny trik* – przekonuje.

Chylarecki zauważa, że *idea BIP było zamieszczanie w Sieci m.in. konsultowanych dokumentów. – Niestety najczęściej sprowadza się on do tablicy ogłoszeń. To*



© Piotr Świderek, bardzofajny.net

nie ma sensu, zwłaszcza gdy trzeba jechać 300 km, by móc zapoznać się z dokumentami bezpośrednio w pokoju „pań”, w godzinach 10-15. Zaś Wiśniewska uzupełnia: Owe „panie” często nie chcą ich kopiować, a o wydobyciu od nich wersji elektronicznej nawet nie ma mowy. Oczywiście jest to łamaniem prawa, nakazującego udostępnianie zainteresowanym kopii wszystkich jawnych dokumentów.

Co więcej, polscy obywatele mają ograniczone możliwości interwencji w przypadku potencjalnie szkodliwych przedsięwzięć. Prawo do zaskarżania decyzji administracyjnych przysługuje u nas tylko stronom postępowania (najczęściej – sąsiadom inwestycji), a także organizacjom ekologicznym. Jeśli lokalna społeczność chce wyrazić sprzeciw wobec planowanej inwestycji, musi założyć stowarzyszenie i zarejestrować je w sądzie, co bywa długą procedurą. Tymczasem unijna dyrektywa o ooś mówi nie o organizacjach ekologicznych, lecz o „zainteresowanej społeczności”, co jest pojęciem dość szerokim. Prof. Marek Górski z Zakładu Prawa Ochrony Środowiska Uniwersytetu Łódzkiego zastrzega jednak: *W dyrektywie jest mowa o działaniu w interesie publicznym. Osoby, których prywatny interes jest zagrożony, nie mieszczą się w tej definicji.*

Warto śledzić strony internetowe urzędów, tablice ogłoszeń i obwieszczenia w prasie, aby zdążyć założyć stowarzyszenie lub zainteresować już istniejące organizacje. – *O działaniach drogowców i lokalnych urzędników wiedzieliśmy z monitorowanych stron WWW* – wyjaśnia

Małgorzata Górską z OTOP, zaangażowaną w walkę w obronie Doliny Rospudy, wyróżnioną Nagrodą Goldmanów, „ekologicznym Noblem”. - *O sprawach trudnych często informują nas mieszkańcy* - mówi dr Andrzej Kepel, prezes Polskiego Towarzystwa Ochrony Przyrody „Salamandra”. Jednak ten system ma wady. - *Wielokrotnie próbowano nas „wpuścić” w prywatne interesy, toteż zanim podejmiemy się pomocy, najpierw sprawdzamy, kto o nią prosi* - wyjaśnia Jakub Szumin, prezes Federacji Zielonych GAJA.

W słusznej sprawie

Prawo do zaskarżania decyzji zezwalających na inwestycję jest niebezpieczną bronią, zwłaszcza w rękach pieniaczy. Kluczowe organizacje ekologiczne idą ze skargą do sądu tylko, gdy istnieją solidne przesłanki merytoryczne i formalne, a nie ma już możliwości skorzystania z innych narzędzi prawnych. Dlatego wygrywają niemal wszystkie sprawy - choć dochodzenie do ostatecznego rozstrzygnięcia często trwa latami.

Przykładem jest słynna sprawa obwodnicy Augustowa, która miała przeciąć torfowiska Rospudy. Podobnie wyglądała trwająca dekadę walka z rozbudową kolei linowej na Kasprowy Wierch. Wojewódzki Sąd Administracyjny w Warszawie przyznał, że przy wydawaniu decyzji zezwalającej na nią doszło do nadużycia władzy przez ówczesnego Ministra Ochrony Środowiska. Nakazał on dyrektorowi Tatrzańskiego Parku Narodowego pozytywne zaopiniowanie inwestycji. Tymczasem proces ten powinien być autonomiczny - tym bardziej, że od decyzji dyrektora można się było odwołać jedynie do ministra, co czyniło tę możliwość fikcją. Ostatecznie kolej została rozbudowana bez zezwolenia resortu środowiska i pozwolenia na użytkowanie, przy milczącej akceptacji wszystkich organów administracji. Wydana wcześniej decyzja o warunkach zabudowy została uchylona przez Naczelny Sąd Administracyjny. Oznacza to, że dla tej inwestycji nigdy nie przeprowadzono wymaganej prawem unijnym oceny oddziaływania na środowisko, w tym na przyrodę obszaru Natura 2000.

Obroncy przyrody są oskarżani o awanturnictwo, mimo że stoją za nimi argumenty prawne, wsparte racjami naukowymi. Skarga do sądu jest wezwaniem do przestrzegania prawa. WSA w Warszawie w 2005 r. rozpatrywał skargę organizacji ekologicznej, która zarzucała inwestorowi i urzędowi rażące uchybienia merytoryczne i formalne. Stowarzyszenie wysłuchało tradycyjnych oskarżeń o „blokowanie inwestycji”. Sąd uznał jednak, że organizacja słusznie wskazała na uchybienia, więc powyższy zarzut jest nieuprawniony, a *zapewnienie podstawowych zasad postępowania i staranności w przygotowaniu inwestycji na pewno usprawniłoby cały proces inwestycyjny*.

Zbywane społeczeństwo

Dyrektiva w sprawie OOŚ stwierdza, że konsultacje społeczne powinny być rozpoczynane na tyle wcześniej,

żeby wszystkie warianty inwestycji były możliwe do realizacji. Unijne wymogi nie wskazują terminu 21 dni na konsultacje społeczne (minimalny wymóg polskich przepisów), podkreślając, że należy przewidzieć „rozsądne ramy czasowe dla różnych faz”.

- *Nigdy się nie spotkałam, by ktokolwiek zastosował termin dłuższy niż 3 tygodnie* - zauważa Wiśniewska. Absurd tej sytuacji najlepiej ukazują duże dokumenty, np. Krajowy Program Budowy Dróg, liczący... 10 tys. stron. Udział społeczny jest w ich przypadku właściwie niemożliwy - człowiek pracujący, posiadający rodzinę, nie znajdzie przecież czasu na błyskawiczną analizę tak obszernej dokumentacji. - *Zwłaszcza jeśli koniec terminu przypada w okresie świąt Bożego Narodzenia* - podsumowuje Wiśniewska. Podobnie było z polityką atomową państwa, mającą na kilka pokoleń określić model energetyki i bezpieczeństwa ekologicznego. Początek konsultacji przypadł na święta bożonarodzeniowe, a koniec pierwotnie podczas ferii zimowych - ostatecznie w tym przypadku, pod wpływem protestów, rząd nieco wydłużył czas na składanie uwag.

W Polsce prowadzenie konsultacji zazwyczaj nie wynika z rzeczywistego zainteresowania głosem społecznym, lecz z... dotacji unijnych. Każda większa inwestycja dofinansowana z funduszy wspólnotowych musi być poprzedzona OOŚ i konsultacjami społecznymi. - *Niestety, w praktyce to tylko „odhaczanie” kolejnej uciążliwości* - wzdycha Wiśniewska. I dodaje: *Nikt nie myśli, że to przynosi korzyści również inwestorowi czy podejmującemu decyzje. Inwestycja lepiej funkcjonuje w otoczeniu mieszkańców, którzy mieli na nią wpływ. Jeśli społeczność lokalna ma jakieś uwagi, inwestor może zmodyfikować projekt i uniknąć konfliktów*.

Często mają wręcz miejsce próby wyeliminowania głosów przeciwników inwestycji w jej planowanym kształcie. Istnieje kilka typowych scenariuszy takiego postępowania.

Najpowszechniejszym jest zbieranie uwag, ale puszczanie ich mimo uszu, maskowane rzekomą powagą i nieomyślnością instytucji prowadzącej OOŚ. - *Urzędnikom przyświeca zasada, że nawet jeśli pojawią się uwagi, to i tak je zignorują* - ubolewa dr Wiśniewska. Klasyczne uzasadnienia decyzji odrzucających zastrzeżenia społeczne brzmią tak: „organ nie podziela opinii” i „organ uznaje argument za bezzasadny”. - *Właśnie otrzymałam odpowiedź na uwagi do harmonogramu ochrony przeciwpowodziowej górnej Wisły. Dominują „odpowiedzi” typu „uwaga całkowicie niesłuszna”* - irytuje się Wiśniewska.

- *Formalnie organ nie musi uwzględnić uwag czy opinii zgłoszonych w ramach konsultacji, przy czym uważa się, że powinien udzielić szerszej odpowiedzi. Od decyzji organu odwołać się mogą tylko strony biorące udział w postępowaniu administracyjnym* - przypomina prof. Górski. W tym podejściu zasadą jest traktowanie obywateli jako „niemych widzów”. - *W wielu przypadkach*

urząd prowadzący konsultacje społeczne wydawał potem decyzję nie uwzględniając żadnych naszych propozycji, nawet najbardziej konstruktywnych. W takiej formie konsultacje są całkowicie bezsensowne – uważa Szymon Bzoma z Grupy Badawczej Ptaków Wodnych „Kuling”.

Doświadczone organizacje nie pozwalają sobie jednak dmuchać w kaszę. – *Na przypadki brutalnego traktowania naszych działań przez urzędników reagujemy równie brutalnie, z reguły skutecznie. Urzędnicy szybko się edukują. W naszym przypadku problemem jest tylko ilość spraw i ograniczone „moce przerobowe” organizacji* – wyjaśnia dr Pawlaczyk.

Niech sobie pogadają

Kolejnym wybiegiem jest „dialog kreowany”: stwarzamy pozory ustępstw i wykazujemy się „dobrą wolą”, tymczasem ostateczny rezultat rozmów jest z góry założony. Stronę społeczną pozostawia się w przekonaniu, że coś „ugrała”, jednak to coś było od początku przewidziane w scenariuszu.

Istotę „brania na dialog” dobrze oddają konsultacje projektów budowy spalarni odpadów w kilku miastach. Po stronie inwestycyjnej stoją ci sami ludzie, a oos dla poszczególnych zakładów różnią się jedynie w niewielkich szczegółach, dotyczących konkretnych lokalizacji. W „spalarniowych” miastach modne jest organizowanie tzw. okrągłych stołów, podczas których daje się mieszkańcom prawo wyrażenia obaw, uwag, a niekiedy frustracji. To rodzaj „wentyla bezpieczeństwa”, którego istnienie pozwala na zachowanie pozorów dialogu społecznego, a tym samym wykazanie się przed Komisją Europejską.

Praktyczny instruktaż tego rodzaju manipulacji ze strony inwestora w Krakowie przeciekł do organizacji społecznych i został opublikowany w Internecie. W dokumencie znalazły się m.in. takie wskazówki:

- należy unikać publicznych debat i polemik, ponieważ stanowi to wyłącznie reklamę protestu,
- utworzenie obywatelskiej grupy wsparcia projektu,
- nie należy przyjmować zaproszeń na żadne zebrania mieszkańców organizowane przez komitet protestacyjny [...] [lub] należy oddelegować na nie pracownika technicznego niższego szczebla,
- w przypadku spotkań z mieszkańcami: należy zapewnić sobie udział części obecnych nastawionych przychylnie,
- konsultacje z organizacjami ekologicznymi: zaangażowanie niektórych z nich do wsparcia działań projektu oraz nawiązanie przez niektóre z nich kontaktów z komitetem protestacyjnym i podjęcie próby zbadania jego aktualnego stanowiska,
- nie należy przywiązywać zbytnej wagi do uchwał samorządu lokalnego sprzeciwiających się budowie spalarni, np. w okresie poprzedzającym wybory,
- zaproszenie do negocjacji znanej i szanowanej osoby publicznej.

W inwestorskich scenariuszach konsultacji przewiduje się niekiedy wprowadzanie w szeregi przeciwników „swoich ludzi” w celu pozyskiwania informacji o planowanych działaniach czy „oddolnego” demontażu inicjatyw. **Niepokojące jest również „tworzenie obywatelskich grup wsparcia projektów”, czyli hodowla kłaków.** Mamy wiele przykładów takiego postępowania: stowarzyszenie z Bytomia propagujące rozbudowę ośrodka sportowo-rekreacyjnego „Sportowa Dolina” na terenie rezerwatu przyrody czy nowo powstałe lokalne stowarzyszenie działające na rzecz realizacji kompensacji przyrodniczych dla inwestycji narciarskich w Beskidach.

Kim pan jest, panie obywatel?

Wreszcie trzeci sposób „konsultacji” – ośmieszanie. Przeciwników inwestycji obdarza się epitetami. To już nie osoby zaniepokojone zagrożeniami dla ludzi i przyrody, lecz „ekoterrorysty”, dla których „żabki i motylki są ważniejsze niż rozwój gospodarczy”. – *Podczas spotkań nikt nie stara się zapamiętać naszych nazwisk, nie mówiąc już o tytułach naukowych – chyba się nie doczekam, by powiedziano do mnie „pani doktor”, tak jak do innych osób na sali mówi się „panie profesorze”. Jesteśmy zawsze „ekologami” – wyznawcami jakiejś „religii”, za którymi nie stoi żadna wiedza* – zauważa Marta Wiśniewska.

Podczas konsultacji dotyczących przebiegu autostrady A1 przez woj. łódzkie dyrektorka jednej z rządowych agend zapytała szefa rady osiedla Andrzejów w Łodzi: *Jakie masz pan wykształcenie, że się pan odzywasz?* Po kolejnych tego rodzaju wywodach starszy pan, wskazujący na błędnie zaprojektowane rowy melioracyjne (woda zaleje okoliczne domy), odparł: *Od 40 lat wykładam meliorację na Politechnice, mam tytuł doktora inżyniera.* Żadne uwagi zgłoszone przez obecnych na sali nie zostały jednak uwzględnione, a kilkustronowa opinia zawodowego przyrodnika nie zasłużyła nawet na mantre, iż *organ nie podziela opinii.*

Antyeko-szantaż

Ze strony inwestorów „konsultacjom” towarzyszy nie raz wręcz zastraszanie i szantaż. Przykładem może być pismo kancelarii prawnej, działającej w imieniu firmy Green Power Polska. Przedsiębiorstwo chce wybudować park elektrowni wiatrowych w gminie Ustka.

W liście z 12 czerwca 2009 r. do przeciwników inwestycji spółka nie kwestionuje ich *prawa do korzystania ze [...] środków prawnych.* Przypominamy jednak, iż *uprawnienie to [...] ograniczone jest zasadami współżycia społecznego, dobrej wiary i ochrony praw nabytych.* Następnie kancelaria informuje, że naruszeniem prawa jest sytuacja, *gdy obywatel, wykorzystując procedury administracyjne, utrudnia innej osobie realizację jej zamiarów albo nęka organy administracji, składając różnego rodzaju skargi, zarzuty, pisma itp. i przyczyniając się wydawnie do przedłużenia postępowania.*

Uzasadnia to pozbawienie takiego obywatela ochrony prawnej. Prawnicy inwestora wskazują, że nadużyciem prawa mogłoby być opóźnianie realizacji inwestycji poprzez ich zdaniem „sztuczne” wszczęcie procedur odwoławczych.

W dalszej części listu pada ostrzeżenie, że w przypadku skierowania skargi lub odwołania, firma *zmuszona będzie niezwłocznie wystąpić [...] na drogę sądową, z roszczeniem o odszkodowanie z tytułu opóźniania realizacji inwestycji. [...] udokumentowane wydatki z tego tytułu już teraz sięgają milionów euro. I podkreśla: roszczenie odszkodowawcze będzie obejmowało także utracone korzyści [...], czyli kolejne dziesiątki milionów. Po wszystkim nadawca uprzejmie informuje mieszkańców, że ewentualne odszkodowania będą egzekwowane przez komornika z majątku osobistego.*

Podobną strategię obrała firma Żywiec Zdrój S.A. w Jeleśni (Beskid Żywiecki) wobec przeciwników budowy nowych ujęć i wodociągów przemysłowych. Obawy mieszkańców o negatywne skutki inwestycji zostały potraktowane przez spółkę jako działania prowadzone na jej szkodę, podważające wiarygodność i godzące w dobre imię. Pierwotnie inwestor subtelnie poinformował społeczność, iż wobec kilku protestujących podjął odpowiednie kroki prawne i ma nadzieję, że pozostali nie podzielą ich losu. Następnie, wynajęta przez przedsiębiorstwo kancelaria wystosowała do aktywnych uczestników protestu *ostateczne przedsądowe wezwanie do zapłaty*, w którym wzywa ono do przelania na swoje konto 20 tys. zł odszkodowania za krytykowanie inwestycji.

Efekt zastraszenia udało się osiągnąć np. w gminie Walce (woj. opolskie), gdzie nikt nie chciał z nami rozmawiać; w innych mieszkańcy zgadzali się tylko pod warunkiem zachowania anonimowości. Naciski nie ominęły też organizacji ekologicznych. *- Prawnik wynajęty przez firmę, której nadepnęliśmy na odcisk, rozesłał paszkwile na nasz temat, po których musieliśmy się tłumaczyć m.in. w naszym starostwie, że nie jesteśmy wielbłądami. Mielśmy też telefony z „pytaniami”, czemu blokujemy ekologiczne inwestycje, z ministerstwą gospodarki i... ambasady Niemiec - relacjonuje Wawręty.*

Wpływ obywateli na decyzje dotyczące środowiska modyfikuje także presja ekonomiczna. Spółka Murillo, planująca otworzyć drugi kamieniołom w miejscowości Rybnica Leśna w powiecie wałbrzyskim, zaproponowała, że po zakończeniu formalnej procedury, niezbędnej do rozpoczęcia inwestycji, przekaze wsi 200 tys. zł na cele społeczne. Oferta finansowa została skierowana również do lokalnej organizacji pozarządowej oraz do właściciela schroniska turystycznego „Andrzejówka”. Już wcześniej istniejący kamieniołom systematycznie dotował budowę Gminnego Centrum Edukacyjno-Sportowego, przekazując na ten cel 850 tys. zł.

Jednocześnie firma przez wiele lat działała niezgodnie z planem zagospodarowania przestrzennego

oraz bez decyzji o środowiskowych uwarunkowaniach inwestycji. Czy zatem wręczenie policjantowi 100 zł w zamian za przymknięcie oka na złamanie przepisu ruchu drogowego będzie łapówką, czy może tylko aktywnym dialogiem społeczeństwa z władzą?

Konieczne są zmiany

Najgorsze jest to, że obecny system zniechęca do korzystania ze swoich praw. *- Jeśli ktoś raz został źle potraktowany, drugi raz się nie zaangażuje, a to niszczy społeczeństwo obywatelskie - smutno konkluduje Wiśniewska. Działacze ekologiczni zwracają uwagę, że wiele spraw powinno znaleźć finał przed wymiarem sprawiedliwości, niestety prokuratury często odmawiają wszczęcia postępowania z uwagi na rzekomo niską szkoldliwość czynu. Jeden z mieszkańców Jeleśni, mówiąc o zmęczeniu swoim i sąsiadów, zakończył: Prawo w Polsce nie jest złe, tylko nie działa.*

Często w obliczu zagrożenia mieszkańcy „na szybko” skrzykują stowarzyszenie. *- Zazwyczaj podejmują wiele nietrafionych działań, np. składają pisma do niewłaściwych urzędów lub źle formułują postulaty. Marnują w ten sposób wiele czasu i energii, co powoduje wypalenie - dzieli się refleksjami Górka. - Wiele by nam dało, gdybyśmy w całej Polsce mieli setkę dobrze wyszkolonych osób, które zajmowałyby się takimi przypadkami - dodaje Pawlaczyk. Natomiast Kepel zauważa, że udział nawet dużych organizacji we wszystkich postępowaniach jest niemożliwy, choćby z powodów kadrowych. - Stąd tak ważne, żeby społeczności lokalne były zorientowane w tym, co mają i mogą utracić, i na tej podstawie interweniowały - podkreśla.*

Są jednak i pierwsze jaskółki zmian. *- Zdarza się, że inwestor aktywnie szuka stowarzyszeń do konsultacji, ale to nadal pojedyncze przypadki - zauważa Wiśniewska. Zaś szef „Salamandry” dodaje, że sporadycznie spotyka się z sytuacją, gdy urzędy proszą o konsultację części przyrodniczej OoŚ. Niestety jest wiele firm i instytucji, którym takie postępowanie przeszkadza. - Zrazą pytają, na jakiej podstawie jest marnowany czas pracownika urzędu - wyjaśnia Pawlaczyk.*

Zmiany zaczęły się po wygranej batalii o Dolinę Rospudy. *- Na początku starań o zmianę trasy Via Baltica nie traktowano poważnie OTOP-u i innych organizacji - wyjaśnia Górka. - Kontrargumenty były banalne, więc odwoływaliśmy się do sądów i tam wygrywaliśmy. W ten sposób działacze społeczni niejako „wychowali sobie” budowniczych dróg. Obecnie przedstawiciele OTOP regularnie spotykają się w grupach roboczych z Generalną Dyrekcją Dróg Krajowych i Autostrad jeszcze przed etapem projektowania, co pozwala uniknąć późniejszych konfliktów i zoptymalizować przebieg drogi. - Zmienia się podejście drogowców do nas i nasze do nich, a relacje można uznać za partnerskie - podsumowuje Górka.*

Podobne zmiany zaszły wśród energetyków. Przy budowie wiatraków i zabezpieczaniu infrastruktury przesyłowej konsultują się z przyrodnikami, żeby

uniknąć strat wśród ptaków i nietoperzy. Na przeciwnym końcu skali współpracy leży branża „wodna”. – Niedawno przedstawiałam przed Komisją Europejską i Krajowym Zarządem Gospodarki Wodnej swój referat. „Chłopcy” z KZGW nie wytrzymali, ze łzami w oczach pytali, gdzie jest w tym wszystkim człowiek, nie dostrzegając, że rozwiązania ekologiczne chronią ludzi – opowiada Wiśniewska. Polska do 2015 r. musi przygotować plany zarządzania ryzykiem powodziowym. Z pewnością nie będą one mogły wyglądać tak, jak to sobie wyobraża lobby hydrotechniczne. – Wszystko wskazuje na to, że będziemy musieli z nimi przejść przez tę samą gehennę, co z drogowcami – przewiduje Górka.

Jest jeszcze jeden aspekt otworzenia się części urzędników na dialog: rodzące się wzajemne zaufanie, które skutkuje nieformalną współpracą. Kilku działaczy społecznych opowiadało nam o sytuacjach, gdy pracownicy administracji zmuszeni są wydać, pod wpływem nacisków „z góry”, pozytywne decyzje dla

inwestycji ewidentnie szkodliwych. Wówczas urzędnicy, zazwyczaj ze ścisłego kierownictwa, po cichu pytają ekologów: „Uwalicie?”. – *I uwalamy* – mówi jeden ze znanych działaczy ruchu ekologicznego.

Konsultacje społeczne bywają nieczystą grą pozorów. Wiele sił i środków poświęca się, żeby wykazać ich szeroki zasięg i zgodność z wszelkimi standardami. Łatwo w tym wszystkim o uśpienie czujności. Rynek firm specjalizujących się w umiejętnym prowadzeniu konsultacji społecznych w interesie inwestorów jest coraz większy, coraz lepiej wykorzystują one metody marketingowe i narzędzia psychologiczne. Oczywiście odbywają się także konsultacje będące faktyczną platformą dyskusji, której rzetelne konkluzje mają realny wpływ na rzeczywistość. Na razie jednak stanowią one zdecydowaną mniejszość.

KRZYSZTOF OKRASIŃSKI
AGNIESZKA WASILEWSKA



Rosja bez mitów – wczoraj i dziś

z dr. hab. Mikołajem Iwanowem

rozmawiają Michał Juszcak i Michał Sobczyk

- **Polacy kojarzą co najwyżej pojedyncze nazwiska obrońców praw człowieka w ZSRR, tymczasem miały tam miejsce bardzo zróżnicowane formy oporu wobec władzy komunistycznej.**
- **Mikołaj Iwanow:** Był to niezwykle szeroki wachlarz grup dysydenckich – komunistów, którzy chcieli naprawić ustrój, socjalistów, nacjonalistów, syjonistów, Tatarów Krymskich, Czeczenów itd. Praktycznie każdy naród radzieckiego imperium miał swój własny ruch dysydencki. Od czasów rewolucji październikowej środowiska opozycyjne wobec władzy bolszewików nigdy nie zaprzestały działalności. Nie było w Związku Radzieckim żadnego „wczesnego Gomułki”, kiedy kierownictwo partyjne cieszyłoby się względnie szerokim zaufaniem społecznym, zaś aktywność opozycyjna praktycznie ustała.

Ruch dysydencki w Sowietach raz był większy, raz mniejszy, niekiedy także zbrojny – dość wspomnieć Armię Własową. Nie wszyscy w Polsce wiedzą, że niechęć wobec komunizmu była tak wielka, że podczas wojny po stronie Niemców-agresorów walczyło prawie milion obywateli sowieckich! Przy czym należy podkreślić, że w ruchach opozycyjnych rdzenni Rosjanie zawsze byli w mniejszości. Trzeba pamiętać, że stanowili w ZSRR tylko połowę ludności; również w rewolucji bolszewickiej, którą Sołżenicyn nazywa „śmiertelnym złamaniem kręgosłupa narodowi rosyjskiemu”, stanowili oni mniejszość. Z kolei wśród „białych”, walczących



przeciwko oddziałom rewolucyjnym, praktycznie nie było przedstawicieli mniejszości narodowych.

Do dziś, gdy rozmawiam z przyjaciółmi w Moskwie, często słyszę: to, że w 1612 r. zajęliście nam Kreml, możemy Wam wybaczyć; to, że wraz z Napoleonem wkroczyliście do Moskwy 200 lat później – również; jednego Polaka, który przelał najwięcej krwi rosyjskiej – Dzierżyńskiego – wybaczyć Wam nie możemy. Ale czy ktokolwiek w Polsce, będąc przy zdrowych zmysłach, szczydzi się Dzierżyńskim?

Od 20 lat działa w Moskwie organizacja „Memoriał”, która za jeden z celów przyjęła propagowanie wiedzy o ofiarach komunistycznego terroru – większość z nich do dzisiaj pozostaje anonimowa. Jest to – jak przyznają członkowie „Memoriału” – praca na dziesiątki lat. Polski Ośrodek „Karta” wydaje kilkutomową encyklopedię ruchu dysydenckiego w Związku Radzieckim, której redaktorem jest Natasza Gorbaniewska. Jeśli weźmiemy własowców, trockistów, powojennych opozycjonistów rosyjskich, to każdy, kto choćby tylko opowiadał kawał czy wznosił toast przeciwko Stalinowi, prędzej czy później lądował w więzieniu, był rozstrzeliwany lub skazywany na 25 lat.

Dopiero w 1965 r. pojawił się fenomen grupy dysydenckiej, składającej się z dwóch pisarzy, Andrieja



©©© Andrey Krashenitza, www.flickr.com/photos/fiziki0/4112169214/

Siniawskiego i Julija Daniela, którzy odważyli się publikować swe utwory na Zachodzie – i oto raptem władza ani ich nie rozstrzelała, ani nawet nie wsadziła do więzienia. Zamiast tego, członkom grupy urządzono w Moskwie proces, w którym przyznano obrońców z urzędu. Obrońca to było wówczas w Związku Radzieckim coś absolutnie nie do pomyślenia. Datę tę można uznać za narodziny współczesnego ruchu dysydenckiego.

Władimir Bukowski, Natasha Gorbaniewska i kilka innych osób urządziło wówczas manifestację w obrobie sądzonych, która nie spotkała się z represjami. Daniel i Siniawski dostali wyroki zadające się 5 i 7 lat – w porównaniu z czasami stalinowskimi były one śmieszne. Pojawiło się więzienie dla „politycznych” we Włodzimierzu, gdzie dawano im gazety i traktowano już nieco inaczej. Przed rewolucją więzień polityczny miał prawo dostępu do prasy, nie musiał pracować, nie wolno było go bić – Związkowi Radzieckiemu (jak również i dzisiejszej Rosji) do czasów carskich pod tym względem było jeszcze daleko, ale nastąpił wielki postęp.

W 1968 r. stała się kolejna rzecz, wydawałoby się nie do pomyślenia – 7 osób urządziło na Placu Czerwonym protest przeciwko inwazji ZSRR na Czechosłowację. Od tego momentu organizacje opozycyjne powstają jak grzyby po deszczu. Litwini zakładają ciesząc się

prawie powszechnym poparciem komitet obrony Kościoła katolickiego. W Moskwie działało wiele grup dysydenckich. W latach 70. należałem do grupy Młodych Socjalistów – robiliśmy to, co w Polsce w latach 60. Modzelewski z Kuroniem, tylko w ścisłej konspiracji i bez poparcia społecznego. Nie byliśmy co prawda członkami partii, lecz komsomolcami i chcieliśmy „komunizmu z ludzką twarzą”.

Co ciekawe – Żydzi, którzy zawsze w Rosji siedzieli cicho z powodu antysemityzmu, zaczęli zakładać organizacje emigracyjne i władza pod naciskiem Zachodu zmuszona była wypuszczać ich z kraju. Na Białorusi zaczęło się odradzanie narodowej kultury, podobnie na Ukrainie. W latach 70. powstał w ZSRR „drugi obieg” – *samizdat*. Ja i moi przyjaciele z uczelni, z których wielu było dziećmi członków KC KPZR, czytaliśmy tę literaturę, np. „Archipelag Gułag” Sołżenicyna, a także powielaliśmy ją na maszynie. Zacząłem wtedy wydawać w Mińsku czasopismo, które nazywało się „Nowaja Nasza Niwa”. W Moskwie moi koledzy wydawali czasopismo „Na Lewo Zwrot”, nawiązujące do Komuny Paryskiej, która była dla nas świętością. Ruch dysydencki powoli robił się masowy, chociaż oczywiście nie na skalę polskiej „Solidarności”. W latach 70. ludzie powoli, ale nieuchronnie zaczęli tracić wiarę w komunizm. Łagodniejsze represyjność ustroju. Większość osób, które przeszły przez tzw. psychuszki, wyszło z nich z jakimś uszczerbkiem na zdrowiu, ale praktycznie nikogo nie

zabito - władze raczej nie stosowały już represji, które stanowiłyby zagrożenie dla życia. Ustrój zaczynał rdzewieć.

- Czy istniały jakieś kanały komunikacji dysydentów ze społeczeństwem, czy też było to zjawisko elitarne?

- W zasadzie nie istniały. Gdy drukowałem w Mińsku swoje pismo, zawsze wiedziałem, komu je dam - tylko zaufanym osobom. Ruch dysydencki był absolutnie elitarny, angażujący niemal wyłącznie inteligencję, i stąd też wzięła się przepaść między narodem a jego elitą. Inteligentów nie przyjmowano do partii komunistycznej, natomiast robotników wręcz zmuszano do tego. Ta praca władzy radzieckiej, izolująca elitę intelektualną od reszty społeczeństwa, nie poszła na marne - do dzisiaj w wielu kręgach słowa „inteligent” i „demokrata” mają negatywny wydźwięk. I na tym gra dzisiejsza władza na Kremlu. Dlaczego prawdopodobnie ponad 70% najwyższych urzędników państwowych stanowią w Rosji byli pracownicy KGB? Dzisiejsze państwo rosyjskie wywodzi się w prostej linii z tej służby. Ale nie zaryzykuję stwierdzenia, że podobny układ władzy jest czymś negatywnym dla kraju. Pamiętajmy: KGB od lat jakby wysysało z własnego narodu siliwki intelektualne, odbierało najzdolniejszych, aby ratować to, czego w końcu nie dało się uratować...

- Czy działania radzieckich dysydentów były nagłaśniane przez zachodnie media?

- W 1975 r., gdy Breżniew podpisał porozumienia helsińskie, przez jakiś czas zagraniczne rozgłoszenie przestały być zagłuszane. Opozycjoniści wyjeżdżający na Zachód zyskiwali trybunę, z której ich głos mógł być słyszany w ZSRR. Sołżenicyn był tutaj wyjątkiem - zaszył się w USA w stanie Vermont, który mu przypominał Syberię [śmiech], by skończyć jako nacjonalista rosyjski.

Trzeba wspomnieć, że niemal wszystkie najważniejsze europejskie rozgłoszenie radiowe nadawały wówczas także w języku rosyjskim. Władza często organizowała protesty przeciwko „ingerencji w sprawy ZSRR”, lecz wtedy, pod koniec lat 70., prawie nic nie można było już przemilczeć. Zachodnie media odegrały ogromną rolę w upadku komuny.

- A czy działalność opozycji wewnątrzradzieckiej miała istotne znaczenie dla zaważenia się systemu?

- Nie ulega wątpliwości, że tak. Ale też nie była to, rzecz jasna, przyczyna najważniejsza. O ile w przypadku Polski można powiedzieć, że „Solidarność” odegrała jedną z kluczowych ról w upadku reżimu, to radziecki ruch dysydencki był, o czym wspominałem, elitarny. Przyczyna upadku komunizmu w ZSRR była bardziej prozaiczna: po prostu nie było tam czego jeść. Państwo, które wydaje na zbrojenia 50% budżetu (lub, jak twierdzą niektórzy, prawie 70%), nie ma racji bytu. Gdy przyjechałem do Polski 30 lat temu, był to dla mnie szok cywilizacyjny. W ZSRR na święta dostawaliśmy

od władzy np. puszkę konserw mięsnych. W latach 80. nawet te symboliczne prezenty robiły się coraz rzadsze. Gdy rozpoczęła się pierestrojka, jej ruchem napędowym byli komuniści.

- Czym był Komitet Założycielski Wolnych Związków Zawodowych w ZSRR, którego był Pan członkiem? Ten rozdział historii radzieckiego ruchu dysydenckiego jest w Polsce zupełnie nieznany.

- Była to grupa studentów, wychowanków wydziału historycznego Uniwersytetu Moskiewskiego, którzy już na trzecim roku studiów narazili się władzom, robiąc jakąś gazetkę ścienną. Nieformalnym przywódcą tej grupy był późniejszy znany dysydent, nieżyjący już Andriej Fadin, który po upadku komuny nie zaprzestał działalności opozycyjnej i protestował np. przeciwko wojnie czeczeńskiej (zginął w wypadku samochodowym po powrocie z Kaukazu - mało kto w Rosji wierzy, że faktycznie był to wypadek). Był on synem kierownika



© Brandon Atkinson. www.flickr.com/photos/atkinson000/5282096962/in/photostream/

Wydziału Ameryki Łacińskiej Komitetu Centralnego KPZR, wychowywał się w tym samym domu, w którym mieszkał Breżniew. Drugim liderem był Paweł (Pasza) Kudiukin, który później, w epoce Jelcyna, był ministrem pracy w rządzie Gajdara. Uważaliśmy siebie za prawdziwych „leninowców”, wydawaliśmy wspomniane „Na Lewo Zwrot”.

Pewnego dnia w 1978 r., gdy przyjechałem do Moskwy z Mińska, gdzie mieszkałem, spotkaliśmy się w parku (nigdy nie konspirowaliśmy w prywatnych mieszkaniach). „Idę w lud” – zadeklarował wtedy Fadin, wzorem tzw. narodowolców, którzy pod koniec XIX w. praktykowali *choźdzenie w narod*. Grupa została jednak rozbita przez KGB i do „wejścia w lud” nie doszło... Idea założenia w Rosji radzieckiej wolnych związków zawodowych, która narodziła się w kręgu lewicowych moskiewskich inteligentów, nigdy nie wyszła poza komitet założycielski – w systemie totalitarnym nie było na to szans.

W 1979 r. ożeniłem się z Polką, rok później urodził mi się syn. Przypadek zdecydował, że przez żonę, która pracowała we Wrocławskich Zakładach Elektronicznych „Elwro” – prawdopodobnie największym w Układzie Warszawskim przedsiębiorstwie produkującym komputery – nawiązałem pierwsze kontakty z Kornelem Morawieckim. Przed I Zjazdem „Solidarności” Andriej zaproponował, byśmy napisali własną odezwę na Zjazd, którą następnie – zapamiętaną – „przywiozłem” do Polski.

– Jakie były w Związku Radzieckim reakcje na powstanie „Solidarności”? Czy to wydarzenie znalazło jakiś oddźwięk w społeczeństwie?

– Stosunek do ówczesnych wydarzeń w Polsce był dwójaki. Z jednej strony – zachwyt i ogromne zainteresowanie wśród rosyjskich inteligentów; Fadin uważał, że to początek końca komuny. A jednocześnie 80-90% społeczeństwa odnosiło się wobec „Solidarności” bardzo niechętnie, i ten stosunek niestety przetrwał do dzisiaj. Władza włożyła wiele wysiłku w skompromitowanie tego ruchu jako organizacji zdradzieckiej.

Byliśmy wtedy przekonani, że Polskę czeka podobny los jak Czechosłowację w 1968 r., że ta pokojowa rewolucja nie może się udać. Ale przekonaniu towarzyszyła euforia spowodowana tym, że szerokie rzesze Polaków powiedziały władzy „nie”.

– Czy Pana zdaniem istniała jakakolwiek realna alternatywa dla modelu transformacji, który ostatecznie został przyjęty tak w ZSRR, jak i w PRL? „Solidarność Walcząca” od początku krytycznie oceniała kierunek przemian ustrojowych.

– „Solidarność Walcząca” pozostała na marginesie przemian głównie dlatego, że tworzyli ją – włącznie ze mną – ludzie „nawiedzeni”, idealisci o często skrajnych poglądach, którym o wiele łatwiej przychodzi walczyć z kłamstwem i niesprawiedliwością niż budować



IWA NOW

Mikołaj Iwanow (ur. 1948 w Brześciu) – historyk, politolog i dysydent rosyjski; naukowo zajmuje się przede wszystkim historią najnowszej Europy Środkowej i problemami narodowościowymi. Absolwent Białoruskiego Uniwersytetu Humanistycznego w Mińsku, w latach 1973-85 w Instytucie Historii Białoruskiej Akademii Nauk. Od 1978 r. okresowo zatrudniany w Polsce w ramach radziecko-polskiej współpracy naukowej, głównie na Uniwersytecie Wrocławskim, gdzie w 1989 r. uzyskał habilitację. Profesor w Instytucie Historii Uniwersytetu Opolskiego, były członek Prezydium Polskiej Akademii Nauk. Od lat 70. związany ze środowiskiem dysydenckim Moskwy, od 1980 r. współpracownik polskiej opozycji, m.in. „Biuletynu Dolnośląskiego” (publikował pod ps. Polak zza Bugu) i Kornela Morawieckiego. W latach 1988-1989 w Paryżu, współpracował z Instytutem Literackim, publikował na łamach „Kultury”; w latach 1992-2004 pracownik Radia Wolna Europa (sekcje: białoruska i kaukaska). Opublikował m.in. „Pierwszy naród ukarany: Polacy w Związku Radzieckim w latach 1921-1939” (1991), „Białoruś: trudna droga do demokracji” (2006, red.), „Powstanie Warszawskie widziane z Moskwy” (2010).

w warunkach transformacji nowe państwo, co wymaga nieraz kompromisów moralnych. Ludziom, którzy ich nie uznają, zawsze trudno żyć.

Uważam jednak, że Polska uzyskała optimum tego, co mogła uzyskać. PRL była prawdopodobnie jedynym krajem bloku wschodniego, w którym nie została doszczętnie zniszczona przedsiębiorczość. W Rosji powiada się czasem: „Tam, gdzie Polak przeszedł, Żyd nie ma co robić”. Za czasów radzieckich nawet polscy „komsomolcy”, wizytując ZSRR, handlowali czym popadnie – przywozili spodnie, kosmetyki czy choćby prezerwatywy (których też brakowało). Ten duch przedsiębiorczości pomógł Polsce wyjść z transformacji obronną ręką.

W odróżnieniu od Polski, w Rosji zmysł przedsiębiorczości został całkowicie zniszczony. Natomiast biorąc pod uwagę doświadczenie dziesiątków lat komunistycznego terroru, uważam, że to, jak Rosja się dziś rozwija, stwarza nadzieję, że już następne pokolenie zbuduje normalny kraj, nie zaś rządzony według zasad „chicagowskich”. Zresztą wszyscy ci oligarchowie czy mafiosi rosyjscy wysyłają dzieci na najlepsze uczelnie na świecie; to pokolenie zbuduje nową Rosję.



© Boris SV, www.flickr.com/photos/borisv/4450478505/in/photostream/

- Tymczasem demokracja w tym kraju nadal odbiega od standardów zachodnich, np. istnieją tam „więźniowie sumienia”. Jaka jest w Rosji kondycja opozycji politycznej, skala jej poparcia w społeczeństwie?

- Za czasów Jelcyna mieliśmy co prawda więcej demokracji, ale niestety wielkim kosztem. Znakomita większość Rosjan wspomina ten okres jako czas chaosu, zaś na rosyjskiej ulicy „demokrata” nadal jest epitetem negatywnym. Politycy opozycyjni często słyszą: rządziście już za czasów Jelcyna i jaka była wówczas inflacja? Ugrupowania liberalne, demokratyczne, są w Rosji elitarne i uważane za partie inteligenckie, mając prawdopodobnie ok. 5% poparcia. Najwyższe wyniki wyborcze osiągają w ośrodkach uniwersyteckich, zaś na prowincji praktycznie zerowe. Rozmawiając z prostymi Rosjanami, często słyszę: „Co pan nam tu mówi o demokracji, przecież my już przechodziliśmy tę demokrację, gdy przez pół roku nie dostawaliśmy pensji, a teraz na nasystko nas stać”.

Nie wierzę w konflikt między Miedwiediewem i Putinem - uważam, że jest on pozorowany. Obaj przywódcy rozgrywają spektakl, w którym jeden wciela się w rolę złego, drugi zaś dobrego policjanta. I to działa. Podejrzewam, że wspomniany tandem rzeczywiście ma poparcie większości społeczeństwa. Czy jest to - jak wskazywałyby wyniki wyborów oraz sondaży - 70%, czy może raczej 50%, trudno powiedzieć. Na pewno wybory nie są w pełni transparentne, bez wątpienia zdarzają się przypadki fałszowania wyników, ale skalę tych zabiegów bardzo trudno ocenić.

Dzisiejsza Moskwa jest miastem wielkiego luksusu i przepychu, dochód na mieszkańca sytuuje się tu na poziomie Niemiec zachodnich, a zarobki rzędu 3-4 tys. euro są na porządku dziennym; „zachodnie” są także ceny. Na prowincji czy w centralnej Rosji żyje się

oczywiście znacznie gorzej, jednak i tam tak dobrze jak teraz nigdy nie było. I dlatego obecna ekipa władzy ma realne, wysokie poparcie społeczeństwa. Przy czym trzeba też pamiętać, że z kraju wraz z oligarchami wyjeżdża rocznie ponad 100 mld dolarów - jedna czwarta całego polskiego PKB.

Rosja ma inne problemy niż deficyty demokracji, poczynając od tego, że kraj wymiera. Putin wprowadził becikowe rzędu 25 tys. zł za jedno dziecko, ale pojawił się inny problem - ludzie zaczęli rodzić dzieci, aby otrzymać to olbrzymie becikowe, a następnie się ich pozbywać... Rosja to trudny kraj, o wielkich dysproporcjach między centrum a prowincją, a także między elitą kulturalną czy intelektualną a resztą społeczeństwa. Przemierzając środkową Rosję mija się setki opuszczonych wsi, widzi się ogromne połacie nieuprawianej ziemi. Rosja carska kontrolowała 50% światowego handlu zbożem, głównie pochodzącym z Wołynia, gdzie uprawiali je Polacy w wielkich latyfundiach. Za Chruszczowa, a następnie Breżniewa, Rosja musiała kupować nawet 60-70 mln ton ziarna rocznie. Dzisiaj kraj znów eksportuje zboże. Trzymam kciuki za Rosjan, ale przed nimi nadal bardzo duże trudności.

- A młode pokolenie - nie buntuje się przeciwko obecnym władzom?

- Istnieje choćby ruch anarchistyczny czy nacjonal-bolszewicki, tzw. limonowcy. Przy czym Limonow, *enfant terrible* opozycji, odgrywa w dzisiejszej Rosji rolę podobną do Żyrinowskiego - często opowiada zupełnie bzdury, lecz niekiedy mówi to, co rząd myśli, lecz czego sam nie może lub nie wypada mu powiedzieć. Co może być wspólnego między neobolszewikiem Limonowem a Niemcowem, byłym wicepremierem Rosji, i jego nową prawicą? Pozornie nic, a jednak pojawiają się wspólnie na każdej manifestacji. Wydaje mi się, że jest to powtórka z czasów radzieckich ruchów dysydenckich, kiedy obok siebie działali i prawicowcy, i ukraińscy nacjonałści, i neoleniniści. W obecnym ruchu antyrządowym są po prostu wszyscy, co z kolei ułatwia władzom antyopozycyjną propagandę.

- W Polsce znacząca część dawnych działaczy opozycji uczestniczy w życiu publicznym, często piastując ważne stanowiska w polityce czy odgrywając istotną rolę w życiu intelektualnym, z drugiej strony - część historycznych liderów ruchu „Solidarności” znalazła się na marginesie.

- W przeciwieństwie do Polski, gdzie ludzie „Solidarności” stanowią elitę rządzącą i opozycyjną, nikt albo prawie nikt z dysydentów radzieckich nie jest u władzy. Wołodia Bukowski był co prawda namawiany do kandydowania na stanowisko mera Moskwy, ale się nie zgodził. Mój kolega, Paweł Kudiukin, był przez krótki czas wiceministrem. Nie potrafiłbym chyba wymienić bodaj jednego innego opozycjonisty z czasów

sowieckich, który w nowej Rosji piastowałby ważne stanowisko. Ludzie byłej opozycji nadal walczą z ustrojem, np. w ramach „Memoriału” czy Komitetu Helsińskiego, pozostając cały czas na politycznym marginesie. Jeżeli ktokolwiek w Polsce liczyłby na to, że ci niezłomni, walczący z ustrojem komunistycznym dojdą w Rosji do władzy, byłby człowiekiem naiwnym.

- Czy w dzisiejszej Rosji istnieje realny pluralizm mediów?

- Zdecydowanie tak. Nie ulega wątpliwości, że nie ma w Rosji państwowego terroru wobec dziennikarzy. Przypadki ich pobić czy nawet zabójstw łączy się z zwyczajem z przestępczą działalnością grup biznesowych. Jest za to inny problem - za odpowiednie pieniądze można w Rosji napisać o każdym praktycznie wszystko. Na przykład Borys Bieriezowski opłacał audycję wymierzoną w swoich przeciwników. Media rosyjskie są wolne politycznie, ale nie są wolne od „dyktatu” pieniądza. Przed wyborami prezydenckimi na Białorusi chcieliśmy wydrukować w jednej z czołowych gazet rosyjskich wywiad z Aleksandrem Milinkiewiczem. Zadzwońmy w tej sprawie do redaktora naczelnego. Otrzymaliśmy zgodę, ale pod warunkiem wpłacenia 50 tys. dolarów... O ile w Polsce niektórzy dziennikarze piszą teksty na zamówienie i biorą za to pieniądze, o tyle w Rosji jedynie niektórzy tego nie robią.

- Wykłada Pan na polskim uniwersytecie stosunki polsko-rosyjskie, wiele lat mieszkał Pan w obu krajach, zakładał organizację Straż Mogił Polskich na Wschodzie, działającą na rzecz ocalenia polskiego dziedzictwa narodowego na terenie b. ZSRR. Jak z perspektywy historyka, ale także osobistych doświadczeń ocenia Pan dzisiejszy stan oraz przyszłość wzajemnych relacji naszych narodów? Rosnąca siła wschodniego sąsiada wywołuje u nas zrozumiały niepokój, jednak

np. przy okazji katastrofy smoleńskiej widać było, że sami Rosjanie są raczej życzliwi Polakom.

- Polacy i Rosjanie to bardzo bliskie kulturowo narody. Zajmuję się obecnie prowadzonym przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych programem „Z Warszawy z miłością” - wydajemy w języku rosyjskim książki, które mówią prawdę o Polsce i Polakach. Program ten spotyka się w Rosji z dużym zainteresowaniem i zrozumieniem. Owszem, istnieją tam także polakożercy, podobnie na Ukrainie czy na Białorusi, ale jestem absolutnie przekonany, że to zdecydowana mniejszość. Rosjanie chcą być Europejczykami. Tak więc w kwestii relacji polsko-rosyjskich jestem optymistą.

- Czy jednak oba narody wiedzą o sobie nawzajem dostatecznie dużo, aby móc budować poprawne, a nawet przyjazne stosunki?

- Wiedza wzajemna jest wypaczona przez wiele lat kłamstwa komunistycznego. W Rosji nadal nie brakuje ludzi twierdzących, że w Katyniu zabijali Niemcy. Z kolei w Polsce prawie nikt nie wie o tym, jak Rosjanie oceniają odejście Armii Andersa z „niehumanitarnej ziemi” - przypomnijmy, że działo się to podczas bitwy stalingradzkiej, gdy np. uwolnieni z łagrów Czesi poszli wraz z Rosjanami na front. Sikorski za wszelką cenę próbował przekonać Andersa, żeby został; uważał, że Polska nie będzie wyzwolana z Zachodu, lecz przez Armię Czerwoną. Z drugiej strony, Andersa można zrozumieć - katowali go na Łubiance, zamknęli w łagrze... Polska i tak stała się „najweselejszym barakiem w obozie socjalistycznym”, ale niewykluczone, że na skutek tamtej decyzji straciła swoją szansę na tzw. finlandyzację. Ale wracając do pytania - oba narody mają tutaj do wykonania dużą pracę. Najważniejsze, że istnieje świadomość jej konieczności.

Dziękujemy za rozmowę.

Oborniki Śląskie, 13 kwietnia 2011 r.

POLECAMY

Portal www.koniczynka.org

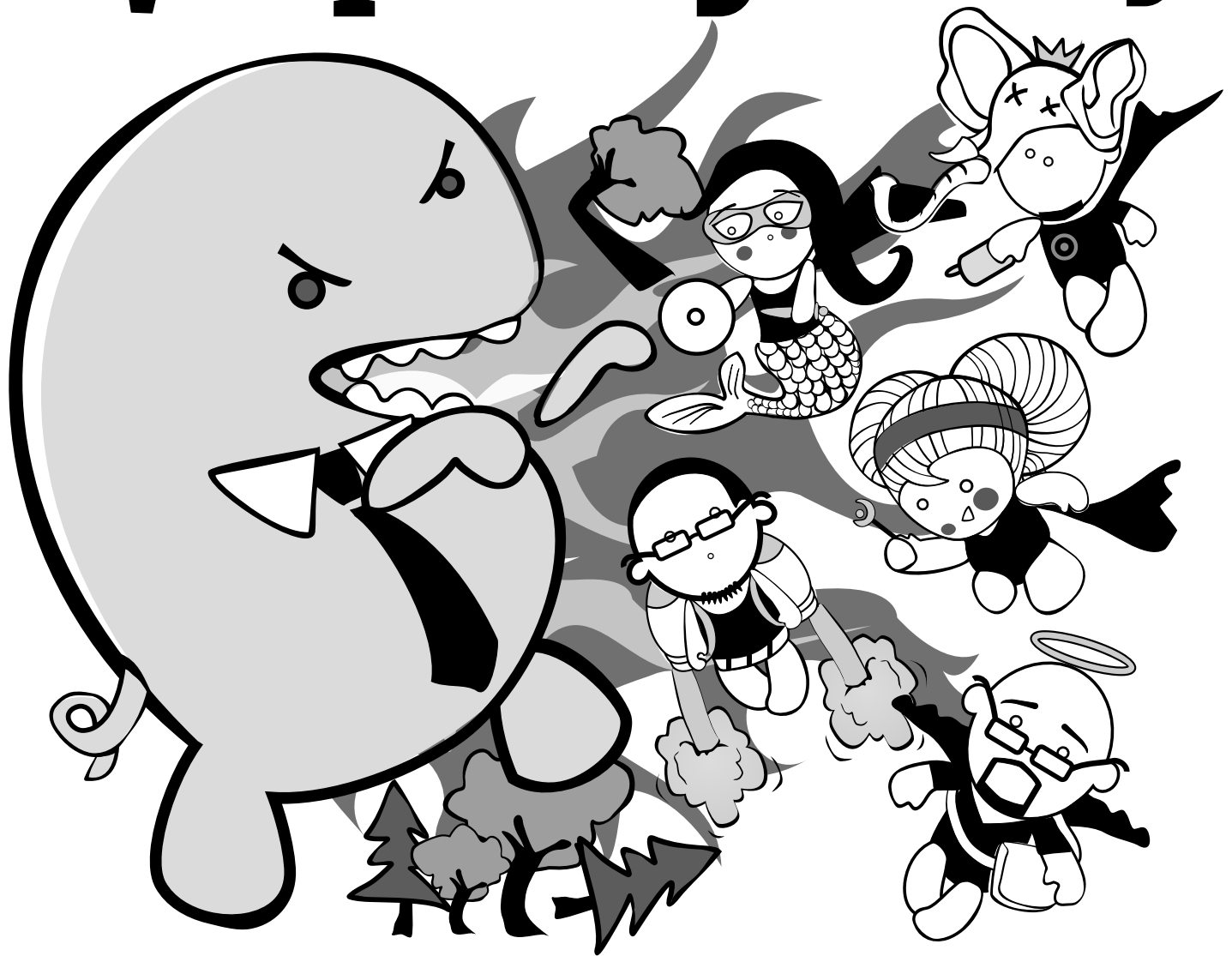
to zebrane w jednym miejscu najważniejsze wydarzenia, inspirująca publicystyka i najciekawsze nowiny naukowe z dziedzin takich, jak:

- ochrona środowiska
- ochrona przyrody
- zrównoważony rozwój
- ekologiczny styl życia



koperatywa.org

niezła agencja kreatywna



Kooperatywa.org to spółdzielnia dobrego dizajnu, forpocztą skrzydlatych idei.

Specjalizujemy się w obsłudze marketingowej i poligraficznej organizacji pozarządowych i biznesu odpowiedzialnego społecznie. Mamy mózgi i doświadczenie pracowników agencji reklamowych i serca społeczników. To rzadkie połączenie.

Tworzymy identyfikacje wizualne projektów, plakaty, ulotki, estetyczne i proste w obsłudze serwisy internetowe, gry edukacyjne, filmy animowane...

Opracowujemy kompleksowe strategie marketingowe, składamy książki (te poważne i te szalone) i inne publikacje.



Czyńmy dobro. Razem.

Jesteśmy częścią Organizacji Pożytku Publicznego. Cały nasz dochód zasila działalność statutową Stowarzyszenia.

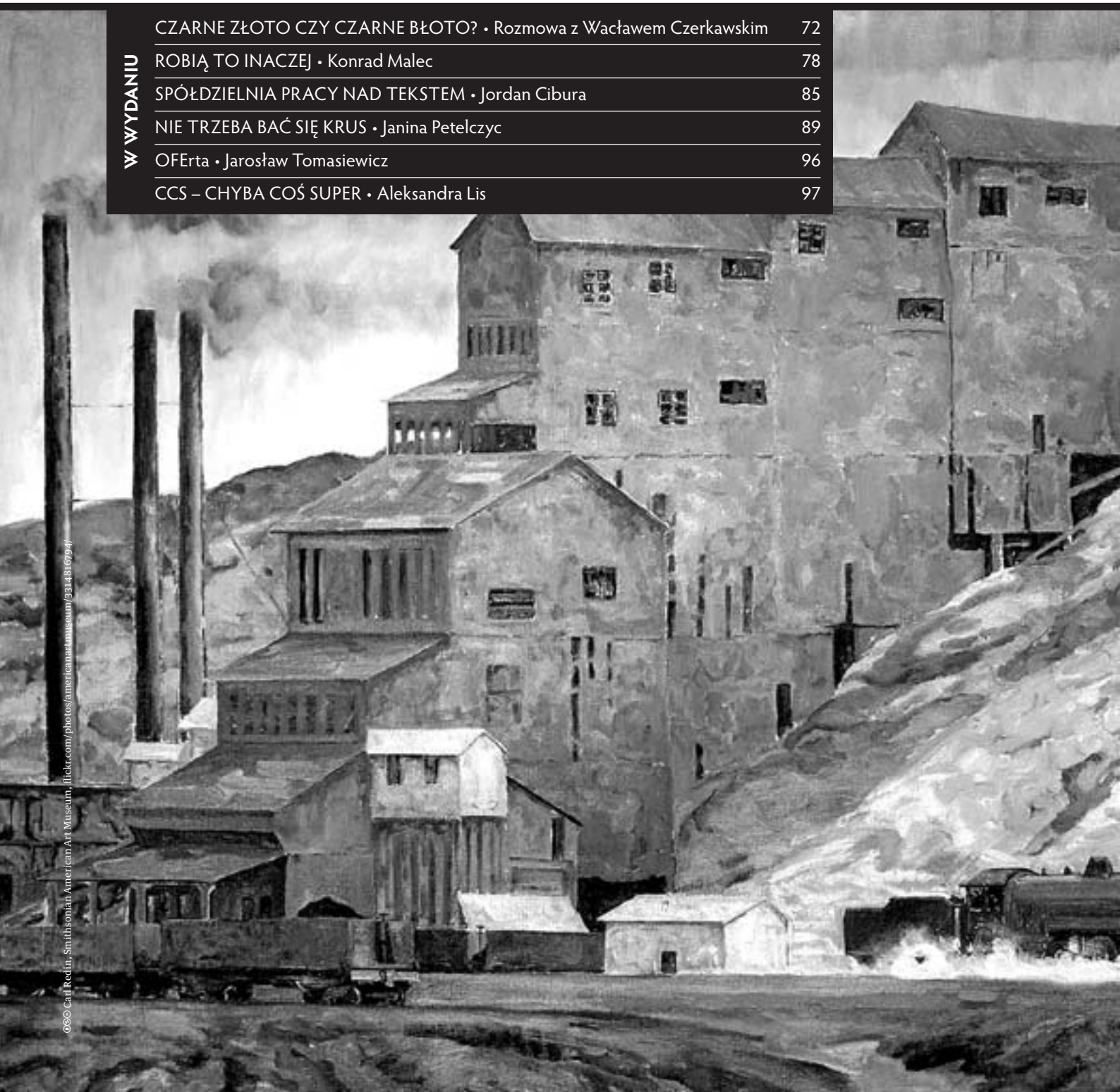
GOSPODARKA SPOŁECZNA

Nr 10
MMXI

DODATEK EKONOMICZNY DO KWARTALNIKA „NOWY OBYWATEL”

W WYDANIU

CZARNE ZŁOTO CZY CZARNE BŁOTO? • Rozmowa z Wacławem Czerkawskim	72
ROBIĄ TO INACZEJ • Konrad Malec	78
SPÓŁDZIELNIA PRACY NAD TEKSTEM • Jordan Cibura	85
NIE TRZEBA BAĆ SIĘ KRUS • Janina Petelczyc	89
OFErta • Jarosław Tomasiewicz	96
CCS – CHYBA COŚ SUPER • Aleksandra Lis	97



Czarne złoto czy czarne błoto?

z Wacławem Czerkawskim
rozmawia Michał Sobczyk

- **Wielu Polaków postrzega górnictwo jako obciążenie dla gospodarki.**

- Wacław Czerkawski: Górnictwo jest z wielu powodów bardzo ważną branżą. Podstawowym jest bezpieczeństwo energetyczne. W Polsce, o czym nie wszyscy wiedzą, aż 95% energii powstaje z węgla, dlatego nie musimy się obawiać, że jej zabraknie - mamy własną. Warto też przypomnieć, że istnieją technologie umożliwiające przetwarzanie węgla na paliwo. Było o tym dość głośno, potem jednak z niejasnych powodów prace znikły. Być może wpłynął na to lobbing sektora gazowego lub naftowego, dla których węgiel mógłby stać się zbyt dużą konkurencją.

Po drugie, 29 kopalń zatrudnia bezpośrednio prawie 115 tys. górników, a każde miejsce pracy w górnictwie generuje średnio 3-4 kolejne w jego zapleczu. Ostatnio złożyli nam wizytę stoczniowcy, którzy mieli problemy, ponieważ utrudniono im przeładunek polskiego węgla podczas kryzysu węglowego. Dzięki górnictwu pracę mają ludzie od Śląska do Pomorza. Przemysł chemiczny w dużej mierze opiera się na węglu, z kolei koksownie produkują z niego wysokiej jakości koks, który jest następnie wykorzystywany przez huty. Wiele osób znajduje również zatrudnienie w sferze usługowej wokół kopalń, w małych i dużych zakładach, produkujących choćby odzież czy środki ochronne.

Gdy w ramach wielkiej restrukturyzacji górnictwa zlikwidowano 24 kopalnie, górnikom wypłacano odprawy na założenie własnego biznesu. Okazało się, że w gminach, które zostały bez swojego „głównego

żywiciela”, po kolei wszyscy bankrutowali. W lokalnych społecznościach kopalnie zatrudniające 3-4 tys. ludzi są bardzo ważnymi zakładami pracy.

Co najważniejsze, wbrew obiegowej opinii, że do górników wszyscy dopłacają, górnictwo od lat generuje zyski. Rok w rok odprowadza do Skarbu Państwa 7-8 mld zł w postaci różnego rodzaju danin i podatków. Jak obliczyliśmy, jest ich łącznie 23, a w kwietniu Sejm uchwalił nowe Prawo geologiczne i górnicze, które wprowadza kolejny podatek, od wyrobisk podziemnych. Już 35% dochodu górnictwa jest odprowadzane do budżetu państwa i samorządów.

- **Kolejne obiegowe skojarzenie z górnictwem to zacieranie tej branży.**

- Z wydobywaniem węgla ściśle łączą się prace badawcze, nowe technologie, fabryki produkujące na jego potrzeby wszelkiego rodzaju maszyny. Najnowocześniejsze z nich, jak zdalnie sterowane strugi, można porównywać do technologii kosmicznych. Nauka ma także duży udział w opracowywaniu rozwiązań z zakresu bezpieczeństwa górnictwa, przeciwdziałania naturalnym zagrożeniom, od tąpnięć, poprzez metan, aż po pożary i wodę. Część powyższych osiągnięć znajduje zastosowanie także w innych gałęziach przemysłu.

Polska jest ważnym producentem bardzo nowoczesnego sprzętu górniczego, jednak w dużej mierze trafia on na eksport - nas po prostu nie stać na te maszyny. Sprzęt wykorzystywany w polskich kopalniach jest bardzo zdekapitalizowany, wiele maszyn ma już 30 lat,



© Emma Danielsson (nostalgfabriken), flickr.com/photos/nostalgfabriken/4299475217/

co woła o pomstę do nieba i np. w Niemczech byłoby nie do pomyślenia.

- Następne utrwalone przekonanie: węgiel jest „brudnym” źródłem energii.

- Przetwarzania węgla jeszcze nie mamy na takim poziomie, jak byśmy chcieli. Przepisy unijne spowodują, że produkcja energii w polskich elektrowniach na węgiel będzie szalenie droga. Tutaj otwiera się duże pole do popisu dla środowisk naukowych. Już teraz istnieją technologie tzw. czystego spalania węgla, które nie emituje tyle CO₂.

Pod warunkiem stosowania nowoczesnych technologii, produkcja energii z węgla nie szkodzi środowisku. Nauka poszła bardzo do przodu i na Śląsku już widać tego efekty. Gdy dawniej wracałem znad morza, od razu wiedziałem, że jestem u siebie, bo było czarno i ciemno. To się bardzo zmieniło, bo technologie są zupełnie inne.

Rozmawiałem z działaczami ekologicznymi i okazało się, że jest dużo niezrozumienia, na czym polega spalanie węgla czy działalność kopalń. Doszliśmy już prawie do konsensusu, że węgiel nie jest tak szkodliwy, jak niektóre organizacje ekologiczne próbują go przedstawiać. Mało tego, nawet elektrownie wiatrowe mogą być od niego bardziej szkodliwe, gdyż same potrzebują energii produkowanej z węgla, a ponadto zniekształcają krajobraz.

Zatem jeśli chcemy sobie dokopać, ekolodzy i górnicy, to możemy. Pytanie - po co, skoro można szukać wspólnego mianownika, jakim są technologie czystego

spalania węgla. Niestety, są one bardzo kosztowne. Polskiego przemysłu i górnictwa nie stać na odpowiednie finansowanie ich rozwoju, jeśli przy obecnym obciążeniu daninami publicznymi mają w gospodarce rynkowej „wychodzić na plus”.

- Rozwój energetyki odnawialnej również wymaga znacznych nakładów, jednak jej zwolennicy przekonują, że zwrócą się one z nawiązką, m.in. w postaci nowych miejsc pracy. Z kolei rząd wyraźnie stawia na rozwój energetyki jądrowej.

- Energia wiatrowa, słoneczna czy biopaliwa są na razie wykorzystywane w niewielkim stopniu i nie zagrażają dominującej roli węgla. Przy czym ja bym w ogóle nie patrzył na to w kategoriach rywalizacji, gdyż górnictwo i energetyka odnawialna mogą istnieć i rozwijać się równolegle.

Mam sceptyczny stosunek do energetyki jądrowej, a ostatnia tragedia w Japonii pokazała, że nie jest to bezpieczna technologia. Do tego dochodzi problem odpadów radioaktywnych. Jednak jeśli powstaną w Polsce elektrownie atomowe, również mogą funkcjonować obok węglowych, nie zagrażając górnictwu. Niedawno sprowadzaliśmy z zagranicy 11 mln ton węgla rocznie, gdyż nasze kopalnie nie były w stanie zaspokoić całości krajowego zapotrzebowania. Zamiast importować węgiel, lepiej rozwijać alternatywne sposoby produkcji energii.

Podsumowując, nie ma potrzeby traktować węgla i pozostałych źródeł energii jako śmiertelnych wrogów,

gdyż mogą one wzajemnie się uzupełniać. Zapotrzebowanie na energię rośnie i wcale niekoniecznie musi być zaspokajane wyłącznie siłami kopalń.

- Jednak kopalnie już mamy, natomiast energetykę jądrową musielibyśmy zbudować od podstaw.

- Gdyby środki, o jakich jest mowa w kontekście elektrowni atomowych, skierowano na rozwój górnictwa węgla kamiennego, można by produkować dodatkową energię dużo bezpieczniejszą, taniej, z pożytkiem dla środowiska i gospodarki. Znając jednak życie i patrząc na to, co się dzieje w polityce, nie widzę możliwości, żeby jakiegokolwiek większe środki publiczne zainwestowano w górnictwo.

Należy się spodziewać, że elektrownie atomowe, mające zdecydowanych zwolenników, prędzej czy później u nas powstaną. Górnictwu w niczym to nie zaszkodzi, szkoda tylko, że ogromne środki pójdą na technologię powodującą powstawanie niebezpiecznych odpadów, zamiast na bezpieczne wydobywanie i czyste spalanie surowca z polskich kopalń.

- Polityka państwa wobec górnictwa jest od lat krytykowana przez związki zawodowe.

- W 2007 r. związki zawodowe, pracodawcy i strona rządowa wspólnie opracowali strategię dla górnictwa do 2015 r. Mówimy w niej, że nie ma przeszkód, by przedsiębiorstwa tego sektora wchodziły na giełdę, jeśli tylko spełnione zostaną pewne warunki. Są one następujące: zachowanie pakietu większościowego w rękach Skarbu Państwa, podpisanie porozumień społecznych, 15% akcji dla pracowników prywatyzowanego podmiotu. Już w 2010 r. złamano pierwszą zasadę, prawie w całości sprzedając „Bogdankę”.

Przykład tej kopalni, która osiąga świetne wyniki finansowe, często podaje się jako argument za prywatyzacją. To kłamstwo: zmiany własnościowe w żaden sposób nie wpłynęły na jej kondycję ekonomiczną. „Bogdanka”, w której nie zmienił się ani zarząd, ani załoga, była przed prywatyzacją tak samo dobrym przedsiębiorstwem, m.in. dzięki korzystnym warunkom górniczo-geologicznym.

Mało kto natomiast wspomina, że był okres, gdy „Bogdanka” była przeznaczona do likwidacji - uratowano ją dzięki determinacji związków zawodowych. Mówię o tym, bo o wielu kopalniach słyszy się, że są „trwale nierentowne”. My nie uznajemy tego terminu, dla nas kopalnie dzielą się na takie, które mają zasoby węgla oraz takie, które ich nie mają. Tym pierwszym zdarza się nieraz trudna sytuacja geologiczna i mogą przez rok, dwa czy trzy osiągać gorsze wyniki. Potem jednak wchodzi w dobre pokłady i generują zyski. Właśnie dlatego są skupione w spółkach węglowych typu Katowicki Holding Węglowy czy Kompania Węglowa, że kiedy są w słabszej kondycji, wtedy te, które mają dobry okres, mogą zrównoważyć ich straty.

- Źródłem rozczarowania związkowców był także brak budżetowego wsparcia dla tzw. inwestycji początkowych w górnictwie.

- Przepisy unijne zezwalały na pomoc publiczną dla inwestycji umożliwiających eksploatację nowych złóż. Polska nie korzystała jednak z tego prawa, argumentując, że nasze górnictwo świetnie sobie radzi. Dopiero w ubiegłym roku udało nam się, brutalnie mówiąc, wyrwać z budżetu środki na udostępnienie nowych pokładów węgla. Te pieniądze bardzo szybko się zwrócą w formie różnego rodzaju podatków.

Niestety, od 2011 r. taka pomoc jest już zabroniona. W międzyczasie, przy okazji tego jednorazowego wsparcia wrócił mit całej Polski dopłacającej do górników. Tymczasem wystarczy zestawić 7 mld zł corocznych wpływów do budżetu w postaci danin z wspomnianą pomocą, która wyniosła zaledwie 400 mln zł. To dobitnie świadczy o tym, że górnictwo nie jest dotowane przez państwo, jak myślą niektórzy.



© Kris D (Ahorcado), flickr.com/photos/ahorcado/3235027422/

- Niechęć do górnictwa budowały również medialne doniesienia o licznych patologiach w tej branży, związanych np. ze spółkami pośredniczącymi w obrocie węglem.
- Patologie dotyczą górnictwo w takiej samej skali jak inne branże, jednak wszelkie afery są w jego przypadku o wiele bardziej nagłaśniane.

Największe przestępstwa czy podejrzenia nadużyć miały miejsce, gdy górnictwo było fatalnie zarządzane, nieskonsolidowane, a jednocześnie istniała presja, aby poszczególne kopalnie były dochodowe. Różni pośrednicy w sprzedaży węgla mieli wówczas ułatwione zadanie. Kryminogenny był zwłaszcza system kompensat, tj. płacenia węglem za usługi i materiały, na czym kopalnie często traciły, natomiast pośrednicy dorabiali się majątków. Mówiliśmy wówczas, że na węglu zarabiają wszyscy oprócz samych górników.

Górnictwo generuje kilkadziesiąt miliardów obrotu rocznie. Wszędzie, gdzie są takie pieniądze, w nieunikniony sposób pojawiają się ludzie nieuczciwi. Nie znaczy to, że można im dać przyzwolenie na taką działalność, a przynajmniej ze strony związków zawodowych nie ma żadnej taryfy ulgowej dla zachowań niezgodnych z prawem. Powiem więcej: jak dotąd to właśnie związki najczęściej ujawniały różnego rodzaju nieprawidłowości, co często spotykało się z lekceważeniem albo niedowierzaniem.

Na szczęście mamy to za sobą, jednak pojawił się nowy problem. Luka pokoleniowa spowodowała, że w kopalniach zaczęto najmować dużo firm zewnętrznych. Jak się szacuje, zatrudniają już 20% pracowników górnictwa. Wśród nich znalazły się liczne „firmy w walizkach”, mające zdecydowanie najniższe koszty, gdyż zatrudniające emerytów, pracowników bez umowy (którym nieraz nie płacili) itp. Wielokrotnie sygnalizowaliśmy, że ci ludzie pracują w skandalicznych warunkach. Do legendy przechodzą opowieści o górnikach zjeżdżających na dół w trampkach. To zauważono, także dzięki związkom zawodowym.

- **Medialny stereotyp przedstawia górnicze związki jako skupione na wąsko rozumianym interesie własnej grupy zawodowej, gotowe walczyć o kolejne podwyżki bez oglądania się na interesy ogólnospołeczne.**
- Jeżeli np. walka o bezpieczeństwo pracy w górnictwie jest partykularnym interesem górniczych związków zawodowych, to rzeczywiście walczymy o partykularne interesy.

Trzeba sobie zdać sprawę, że uzwiązkowienie w kopalniach sięga 100%, co jest ewenementem w skali kraju, gdzie średnio nie przekracza 15%. Jesteśmy bardzo dobrze zorganizowani, więc stać nas na więcej. Jeśli my decydujemy się wyjść na ulice, robimy to w konkretnym celu i w taki sposób, że nie da się nas nie zauważyć. Tak jak ostatnio, gdy przez Katowice przemaszowało 7 tys. górników, skandując hasła nie tylko górnicze. Mówiliśmy m.in. o prawach pielęgniarek.



CZERKAWSKI

Wacław Czerkawski (ur. 1954) - od 1995 r. wiceprzewodniczący Związku Zawodowego Górników w Polsce, zrzeszonego w Ogólnopolskim Porozumieniu Związków Zawodowych. Współprzewodniczący Zespołu Trójstronnego ds. Bezpieczeństwa Socjalnego Górników, członek Rady Ochrony Pracy. Przez piętnaście lat pracował jako górnik dołowy w kopalni „Jowisz” w Wojkowicach w Zagłębiu Dąbrowskim. Bierze udział w pracach komitetu koordynacyjnego Polskiego Forum Społecznego. Przez kilka lat był spikerem na stadionie Górnika Wojkowice.

Często wspieramy inne grupy, jak np. właśnie pielęgniarki. Prowadzimy także działalność w sferze międzynarodowej, jesteśmy silnie umocowani w europejskich strukturach związkowych. Górnicy nie myślą tylko o sobie, lecz starają się współdziałać z całym społeczeństwem.

- **Przeciętnemu telewizzowi górnik raczej nie kojarzy się z dialogiem społecznym, prędzej z paleniem opon.**
- Oczywiście zdarzają się sytuacje ekstremalne, jak podczas demonstracji w Warszawie, gdzie dochodziło do regularnych walk. Również niedawno grupa protestujących wybiła kilka szyb w siedzibie Katowickiego Holdingu Węglowego. Mamy o to do nich pretensje, gdyż w ten sposób zniweczyli wysiłek kolegów, którzy przyszli z konkretnymi postulatami, a media pokazały tylko wybite szyby. Próbuje walczyć z takimi ekscesami, które psują nam opinię i dają pretekst do sięgania po stereotyp górnika-zadymiarza.

Jesteśmy dobrze zorganizowani i właśnie o to największe pretensje mają do nas politycy, którzy stale kombinują, jak nas podzielić, oczernić, zrobić z nas awanturników. Tymczasem związkowcy nieustannie, w cywilizowanym trybie, rozmawiają z pracodawcami i rządem, np. na forum Zespołu Trójstronnego ds. Bezpieczeństwa Socjalnego Górników. Organizują także ze środków unijnych szkolenia dotyczące dialogu społecznego czy wiedzy o prawie pracy. Nikt o tym jednak nie mówi.

Gdy w imieniu swojej centrali załatwię coś pozytywnego, prawie nigdy nie spotyka się to z jakimkolwiek oddźwiękiem. Jednak kiedy któryś z górników wybije szybę, wtedy jestem popularny i mogę udzielać

wywiadów. Niestety, nie na temat problemów górnictwa, tylko o zadymie i palonych oponach...

- O co obecnie walczą górnicze związki zawodowe?

- Jednym z priorytetów zawsze będzie dla nas bezpieczeństwo pracy. Górnicy nierzadko pracują ponad 1000 m pod ziemią, są narażeni na tąpnięcia, wybuch metanu i inne zagrożenia. Cały czas staramy się, aby zwiększyć ich bezpieczeństwo, co wymaga spełnienia wielu warunków, np. sprzętu, który odpowiada światowym standardom.

Mimo różnego rodzaju działań, mimo deklaracji pracodawców o coraz większych nakładach na bezpieczeństwo, nadal jest ono niewystarczające. Statystycznie rzecz biorąc, rok 2010 był lepszy niż 2009, jednak dopóki będą ofiary, będziemy to nagłaśniać, apelować, podejmować wszelkie działania zmierzające do poprawy bezpieczeństwa. Wciąż daleko nam do standardów niemieckiego przemysłu wydobywczego. Dyrektor jednej z tamtejszej kopalni chwalił się nam, że w minionym roku nie wydarzył się w niej ani jeden wypadek. Dało nam to dużo do myślenia, bo u nas nie zdarzają się lata bez wypadków.

Poza postulatami związanymi z bezpieczeństwem, w tej chwili skupiamy się na ustawie, która zakłada przeniesienie nadzoru właścicielskiego z Ministerstwa Gospodarki do Ministerstwa Skarbu, co grozi nam szybką, dziką, bolesną prywatyzacją. Nadal toczą się

dyskusje na temat optymalnej organizacji polskiego górnictwa. Naszym pomysłem jest utworzenie Polskiego Węgla, w ramach którego spółki węglowe mogłyby się wspierać kapitałowo. Czy to idealne rozwiązanie - nie mnie oceniać. Ważne, że my jakiś pomysł mamy, w przeciwieństwie do rządu, który nie ma żadnego. Premier Tusk, podobnie jak nikt z Platformy w ogóle z nami nie rozmawia, czego dowodem jest nasz apel o spotkanie z posłami, na który odpowiedziały jedynie PiS i SLD. Trudno z kimś prowadzić dialog nie rozmawiając, dlatego nie ma się co dziwić, że ludzie wychodzą na ulice.

Wobec podwyżek cen cukru, benzyny itd. doszły do tego kwestie płacowe. Od ładnych paru lat górnicy nie otrzymali podwyżek, jedynie waloryzację płac o wartość inflacji, której wysokość jest zresztą bardzo różnie oceniana. Weszliśmy w spory zbiorowe, chcemy wzrostu wynagrodzeń o 10%. To ważny postulat, bo podwyżki to inwestycja w ludzi. Muszą oni wiedzieć, że co pracują i narażają życie. Obecnie średnia płaca pracownika kopalni wynosi ok. 4750 zł brutto.

- Pracownikom dużych, państwowych przedsiębiorstw jest bez porównania łatwiej się organizować.

- Nie ma się co dziwić, że górnicy boją się prywatyzacji. Widzą, jak pracują ich koledzy z firm zewnętrznych, dlatego obawiają się, że gdy „przyjdzie prywatny”, nie będą mieli żadnych praw. Choć ustawa o związkach

©©© Tyrone Comfort, foto: Chris Tank (ctankcycles), flickr.com/photos/ctankcycles/3684877903



zawodowych działa zarówno w firmie państwowej, jak i prywatnej, to jednak rzeczywistość nie jest tak różowa. Niejednokrotnie spotykamy się z sytuacją, gdy pracownicy chcący założyć związki zawodowe słyszą od prezesa, że on tu jest związkiem zawodowym, a jak się nie podoba, to znajdą się inni na ich miejsce.

W firmach takich jak Przedsiębiorstwo Robót Górniczych czy Przedsiębiorstwo Budowy Szybów – z tradycjami, powstałych na bazie przedsiębiorstw państwowych – istnieją związki zawodowe, a prawa pracownicze są przestrzegane. W pozostałych firmach zewnętrznych nie ma wielkich szans na powstanie związków. W prywatnej kopalni próbowaliśmy inicjować tworzenie struktur związkowych, jednak odpuściliśmy, by nie narażać zatrudnionych na szykany.

Pracodawcy boją się powstawania związków, panuje bowiem opinia, że działają one na niekorzyść zakładu pracy. To nieprawda. W ramach realizowanych przez związki projektów szkolimy się razem z pracodawcami. Okazuje się, że niejednokrotnie znajdujemy wspólny język, bo i dla nich, i dla nas priorytetem jest dobro firmy. Nie będzie pracodawcy bez związkowców, tak jak nie będzie pracowników bez kadry zarządzającej. Wszyscy oni muszą współdziałać, ale na razie są to jedynie pobożne życzenia.

- Nie będzie również górnictwa bez zaplecza edukacyjnego, które w toku transformacji znacznie zredukowano.

- Gdy zamykano kopalnie, przy okazji zlikwidowano szkoły górnicze. Wydawało się wtedy, że przemysł górniczy jest schyłkowy. Nikt się nie garnął do pracy na kopalni, bo i po co, skoro i tak zaraz zostanie zlikwidowana. Szybko się okazało, że bez górnictwa Polska się nie obejdzie. Sytuacja zmieniła się diametralnie, otwarto wiele szkół. Dwie wyższe uczelnie nadal kształcą na wysokim poziomie inżynierów górnictwa. Wymaga jednak czasu, zanim kolejne roczniki wypełnią braki kadrowe.

Zmienił się stosunek młodych ludzi do górnictwa. W każdej spółce węglowej jest po kilka tysięcy podań osób, które chcą w niej podjąć pracę. Jak się okazało, górnictwo jest jednym z ostatnich bastionów, gdzie można uzyskać co prawda mało bezpieczną, ale za to stabilną pracę, gdzie pracownicy mają możliwość samoorganizacji, a ich prawa są w miarę przestrzegane. Związki zawodowe każdego dnia prowadzą ciężką walkę, żeby nadal tak było.

Dziękuję za rozmowę.

Katowice, 22 marca 2011 r.

POLECAMY

Czy lewica to PZPR, UB, łagry, Stalin, „dzieła Marksa i Lenina”? • Czy socjalizm to ZSRR, Bierut, Gomułka i Moczar? • Czy „polska droga do socjalizmu” to cukier na kartki, cenzura i strzelanie do robotników?



POZNAJ INNĄ LEWICĘ!

LEWICOWO.pl

Pierwszy i jedyny portal internetowy poświęcony tradycjom i dorobkowi polskiej lewicy demokratycznej, patriotycznej i niekomunistycznej

www.lewicowo.pl

• Abramowski • Daszyński • Limanowski • PPS • spółdzielczość • związki zawodowe • Moraczewski • Mickiewicz • Brzozowski • Thugutt • Sempołowska • Żeromski • Krahelska • Hołówko • Ossowski • Zaremba • Ciołkoszowie • Próchnik • Pragier • Zygielbojm • Barlicki • Perl • Niedziałkowski • Krzywicki... i wiele innych materiałów. Kilka razy w tygodniu nowe teksty, w tym unikatowe, nie wznawiane od kilkudziesięciu lat.

Robią to inaczej

KONRAD MALEC

Związek zawodowy to strajk, zadyma, zablokowany ruch w Warszawie. Takie skojarzenia nie obejmują jednak coraz bardziej istotnych – a co więcej, skutecznych – form działalności związkowej.

Mądry związkowiec po szkoleniu

Organizacje pracodawców oraz większe firmy mają do dyspozycji całe sztaby ekonomistów, prawników i innych specjalistów. W razie sporu, pracownicy zazwyczaj zmuszeni są liczyć na własne umiejętności i wiedzę. Aby Dawid mógł się zmierzyć z Goliatem, musi umieć dobrze wymierzyć cios. W tym celu związki zawodowe regularnie organizują szkolenia dla swoich członków.

– Mają one na celu lepszą organizację pracowników i ich siły. Uczą, jak tej siły użyć – wyjaśnia Elżbieta Wielg, kierownik Biura Szkoleń i Programów Europejskich NSZZ „Solidarność”. – Komisje Zakładowe są często niewielkie. Uczymy, jak organizować pracowników, żeby poczuli potrzebę bycia w związku. Tłumaczymy też, dlaczego bez nich Komisja nie jest w stanie niczego zrobić – informuje p. Elżbieta. – Zdarza się, że po szkoleniach działacze czują taką moc, iż uważają się za gotowych do negocjacji z pracodawcą. Uczulamy ich, że sama wiedza nie wystarczy, trzeba mieć wokół siebie ludzi, którzy będą kibicowali, gdy zaczną się rozmowy.

Kursy innego rodzaju uczą działaczy, w jaki sposób przedstawiać postulaty, aby stać się równorzędnym partnerem pracodawcy. – Szkolimy z prowadzenia negocjacji i sztuki kształtowania wizerunku, które w działaniach związkowych są niezbędne – wyjaśnia Leszek Miętek, szef Związku Zawodowego Maszynistów Kolejowych w Polsce.

Choć niektóre szkolenia, np. z dialogu społecznego, organizuje większość związków, prawie każdy dodaje do nich „coś od siebie”. – Ogólnopolskie Porozumienie Związków Zawodowych prowadzi szkolenia z komunikacji społecznej nie tylko z załogą i pracodawcą, ale też ze społecznością lokalną, na którą składają się również związkowcy – podkreśla wiceprzewodniczący centrali, Andrzej Radzikowski. – Jako reprezentatywny związek zawodowy opiniujemy nie tylko ustawy ogólnokrajowe, ale także prawo lokalne – dodaje.

Coraz częstsze są także zajęcia z rachunkowości i finansów oraz z prawa. – Omawiamy wszystkie przepisy, które dotyczą pielęgniarek, np. ustawę o działalności leczniczej. Tak, byśmy wiedziały np. jak nie dać się zmusić do przejścia na kontrakt – informuje Dorota Gardias, do czerwca 2011 r. przewodnicząca Ogólnopolskiego Związku Zawodowego Pielęgniarek i Położnych. Związek Nauczycielstwa Polskiego robi podobne szkolenia dla nauczycieli, górnicy zaś doksztalają społecznych inspektorów pracy i... aktywizują kobiety. – Przez „męską dominację” w branży członkinie naszej organizacji są słabo zauważalne. Chcemy, żeby ich głos był również brany pod uwagę w naszych działaniach – wyjaśnia Edyta Piórkowska ze Związku Zawodowego Górników w Polsce (ZZGWP).

Choć „Solidarność”, która liczy niemal 700 tys. członków, zatrudnia wielu specjalistów, często sięga również po szkoleniowców z zewnątrz. – Najczęściej



© Chris (Oblong), flickr.com/photos/oblongpictures/3518594635/

prowadzą oni zajęcia dla naszych trenerów, prawników, osób odpowiadających za wizerunek związku czy jego politykę informacyjną - wyjaśnia p. Wielg. Podnoszenie kwalifikacji związkowców odbywa się w sposób nowoczesny, obejmuje zarówno przyswajanie teorii, jak i warsztaty umiejętności praktycznych. Działacze „eski” coraz częściej biorą także udział w konferencjach i seminariach.

Wielokrotnie mniejsza Konfederacja Pracy świetnie potrafi wykorzystywać wiedzę o obowiązkach szkoleniowo-prewencyjnych różnych instytucji, czym znacząco obniża koszty edukacji. - Przy szkoleniach dotyczących mobbingu poprosiliśmy o pomoc inspektorów pracy, którzy przeprowadzili je za darmo, w ramach swoich obowiązków. My zapewniliśmy salę i catering - wyjaśnia Michał Lewandowski, skarbnik związku.

Dzięki zabiegom OPZZ wprowadzono prawną możliwość tworzenia w zakładach funduszu szkoleniowego, służącego zwiększaniu umiejętności załogi. - Niestety nie jest on obligatoryjny - ubolewa Radzikowski. Co więcej, w obliczu nieudolności urzędów pracy związki podjęły się organizowania szkoleń zawodowych, pozwalających na przekwalifikowanie pracowników. Aby było to możliwe, lokalne struktury największych central ubiegają się m.in. o pieniądze z funduszy europejskich. - W Małopolsce przeprowadziliśmy szkolenia fryzjerskie, manicure, pedicure, w Szczecinie uczyliśmy organizowaliśmy kursy dające uprawnienia kierowców

zawodowych, w jeszcze innych miejscach - uczyliśmy obsługi urządzeń biurowych - wymienia wiceszef Porozumienia.

Środki uświęcają cel

Wzorem firm i organizacji pozarządowych, związkowcy szybko uczą się sięgać po środki unijne, np. z Programu Operacyjnego Kapitał Ludzki. Najczęściej pozyskują je na wzmacnianie dialogu społecznego. OPZZ prowadzi duży projekt „Kompetentny uczestnik dialogu społecznego”, ZNP - „Dialog społeczny”, zaś ZZGWP - „Profesjonalnego związkowca”.

Ponadto pierwszy z wymienionych związków zorganizował za wspólnotowe dotacje obserwatorium regionalnych rynków pracy. - Podobne rzeczy robią urzędy pracy, ale one opisują tylko stan zastany, który każdy widzi. My staramy się prognozować przyszłą sytuację, co daje możliwość działania, by zmniejszyć bezrobocie - wyjaśnia Grażyna Rózanek z Zespołu ds. Funduszy Europejskich. Co istotne, obserwatorium nadal działa pomimo zakończenia finansowania. Z kolei Konfederacja Pracy wykorzystuje fundusze unijne, żeby przybliżyć członkom nowe zjawiska prawno-pracownicze czy społeczne.

Tego rodzaju inicjatywy są okazją do udowodnienia, że dla dobra pracowników związki potrafią współpracować także z oponentami. - Szkolenia z efektywnych narzędzi komunikacji prowadzimy wspólnie



z organizacjami pracodawców - mówi Radzikowski. Podobnie postępują górnicy. - *W naszym projekcie udział biorą nie tylko związkowcy, ale także przedstawiciele Związku Pracodawców Górnicztwa Węgla Kamiennego* - mówi Karina Pater, koordynator Biura Szkoleniowego ZZGWP. - *Przełamujemy stereotypy pracodawców o związkowcach, i odwrotnie. Pokazujemy, że związkowiec nie tylko krzyczy i żąda. Na pierwszym seminarium związkowcy usiedli po jednej stronie, pracodawcy po drugiej. Podobnie było w przerwach. Podczas kolejnych grona coraz bardziej się mieszały, a rozmowy były konstruktywne.*

Mimo to Leszek Miętek zauważa pewien brak zaufania do działaczy społecznych. - *W Unii organizacje pracowników zarządzają funduszami - tylko w Polsce dystrybuują je urzędnicy. Gdyby te środki znajdowały się pod zarządem związków, z pewnością szybciej byłyby rozdzielane i wykorzystane w całości, jak w pozostałych krajach UE.*

Eksperci świata pracy

„Solidarność” dawno dostrzegła, że samymi protestami wiele nie zdziała. - *Rozmowom z pracodawcą nie towarzyszy walenie pięści w stół, lecz merytoryczna*

wymiana argumentów - przekonuje Małgorzata Benc, szefowa biura terenowego związku w Zawierciu. Z tego powodu zarówno na szczeblu centralnym, jak i w regionach organizacja stara się pozyskiwać do współpracy ekspertów z różnych dziedzin, szczególnie ekonomistów i prawników, którzy będą w stanie np. wykazać, że pracownicy powinni otrzymać podwyżkę. „Solidarność” dorobiła się nawet własnego Biura Ekspertckiego, działającego przy Komisji Krajowej.

„Eska” od lat współpracuje także z S. Partner, jedyną w Polsce firmą dostarczającą ekspertyzy dla związków zawodowych. Efektem kooperacji „Solidarności” i S. Partner jest np. opracowanie „Praca Polska 2010” - stustronicowa analiza sytuacji pracowników i dostępu do pracy, w odniesieniu do ogólnej sytuacji gospodarczej. Świetnie przygotowany raport, któremu zorganizowano premierę w błysku fleszy, został znakomicie przyjęty, a zawarte w nim treści, jak np. dowody na spadek płac realnych - trafiły do mediów. - *Od 30 lat przygotowujemy ekspertyzy, które pomagają nam formułować postulaty* - podkreśla Jacek Rybicki z Komisji Krajowej. Jednak takie opracowania, nawet jeśli były skuteczne w poszczególnych negocjacjach, nie wpływały na ton debaty publicznej.

Zmiana nastąpiła w 2007 r., gdy „Solidarność” w kampanii „Niskie płace barierą rozwoju Polski” publicznie podpierała się stosowną ekspertyzą. – *Uprzedziliśmy zarzuty, że związkowcy chcą, aby „nalewano z pustego”. Raport pokazywał czarno na białym, że niskie pensje są nie tylko dotkliwe dla pracowników, ale także hamują rozwój gospodarczy kraju* – wyjaśnia Rybicki. W kolejnych latach podobnie przeprowadzono kampanie „Polska przyjazna pracownikom” i „Solidarność na kryzys”.

Z tych działań zrodził się pomysł na swego rodzaju podsumowanie dotychczasowych prac właśnie za pomocą „Pracy Polskiej 2010”. – *To nasza odpowiedź na słowa premiera Tuska, że Polska jest „zieloną wyspą”. Z punktu widzenia pracowników nasz kraj zasłużył na zupełnie inny kolor* – żyma się Rybicki. O profesjonalnym przygotowaniu raportu może świadczyć doskonałe przyjęcie go przez środowiska akademickie. Po takim sukcesie związkowcy przygotowują drugą część, poświęconą polityce przemysłowej. **Ważnym impulsem do takiej aktywności był brak autentycznej debaty nad kierunkami rozwoju Polski. „Solidarność” postanowiła przełamać medialną jednomyślność i pokazać możliwe alternatywy.**

Obywatel związkowiec

Efektom działań eksperckich są obywatelskie projekty ustaw. W 2005 r. udało się przeforsować przygotowaną przez „Solidarność” nowelizację przepisów o emeryturach i rentach. W kwietniu 2011 r. „eska” rozpoczęła zbiórkę podpisów pod projektem ustawy o podniesieniu płacy minimalnej do wysokości połowy średniej krajowej (obecnie jej wysokość jest corocznie ustalana przez rząd, w 2010 r. wynosiła 42% przeciętnego wynagrodzenia). – *Projekty przygotowuje nasze Biuro Ekspertkie. Czasem, gdy zachodzi konieczność, korzystamy także z usług zewnętrznej kancelarii* – wyjaśnia Henryk Nakoneczny z Prezydium Komisji Krajowej.

Również ZNP, aby skuteczniej walczyć o równy dostęp obywateli do edukacji, postanowił odwołać się do inicjatywy ustawodawczej. – *Zebraliśmy wymaganą liczbę podpisów pod projektami ustaw mających upowszechnić edukację przedszkolną, by każde dziecko mogło z niej skorzystać. Po raz pierwszy taki projekt, z 200 tys. podpisów, złożyliśmy w Sejmie w 2008 r. Niestety ustawa nie przeszła pomyślnie przez parlament, dlatego w ubiegłym roku zgłosiliśmy podobny, poparty przez 150 tys. osób* – wyjaśnia Magdalena Kaszulanis, rzecznik prasowy związku.

Zakłada on finansowanie przedszkoli z subwencji oświatowej, a więc z budżetu centralnego. O ile początkowo koalicja rządząca była temu rozwiązaniu przeciwna, dziś samo MEN proponuje podobną zmianę, co daje dużą szansę powodzenia inicjatywy. – *Podpisy zbieraliśmy w środowisku nauczycielskim i za jego pośrednictwem, ale też wychodziliśmy ze stolikami do obywateli i zachęcaliśmy ich do poparcia naszego przedsięwzięcia,*

co cieszyło się dużym uznaniem. Wiele osób opowiadało nam, jak ciężko zapisać dziecko do przedszkola – relacjonuje Kaszulanis.

Do ustawodawczej mobilizacji społeczeństwa sięgnęło też OPZZ, które przy poparciu niemal 300 tys. obywateli zaproponowało wprowadzenie możliwości przejścia na emeryturę dla kobiet po 35 oraz mężczyzn po 40 latach pracy, niezależnie od wieku. – *Projekt ustawy stworzyliśmy z myślą o osobach, które rozpoczęły pracę przed 18. rokiem życia lub niewiele później. W tej chwili są dość mocno wyeksploatowane, a przez te lata już dawno wypracowały swoje emerytury* – wyjaśnia Grzegorz Ilka, sekretarz prasowy Porozumienia oraz przewodniczący Konfederacji Pracy. – *Podobny dezyderat zaistniał już wśród 21 postulatów w sierpniu 1980 r. PO jest temu projektowi przeciwna, jednak trafił do prac w podkomisjach.*

Grosz do grosza, a będzie... 6 milionów

Niemal każdy nosi w portfelu karty uprawniające do zniżek. Mają służyć lojalności klientów wobec np. sieci handlowej. Dlaczego podobne rozwiązanie miałyby się nie sprawdzić jako sposób wzmocnienia identyfikacji ze związkiem zawodowym?

Piotr Gołąb, koordynator ds. rozwoju w podbeskidzkiej „Solidarności”, długo zastanawiał się, jak wcielić w życie statutowy zapis o pomocy członkom związku w różnych sferach życia. W 2003 r. wymyślił „Grosik” – kartę oferującą osobom zrzeszonym w „esce” możliwość tańszych zakupów w wybranych sklepach i punktach usługowych. Początkowo program objął Podbeskidzie, po czym stopniowo rozszerzał zasięg na inne regiony.

Równolegle w Wielkopolsce i Zagłębiu Miedziowym związkowcy z zakładów Volkswagena zainicjowali przedsięwzięcie opierające się na identycznej filozofii, które szturmem zdobyło oba regiony. – *Nasz program jest efektem kontaktów ze związkami z krajów skandynawskich i z Niemiec* – wyjaśnia Dariusz Dąbrowski, przewodniczący „Solidarności” w Volkswagen Motor Polska i koordynator Programu Rabatowego „Twój Partner” w Zagłębiu Legnickim. Gdy „Grosik” objął całą Polskę, związkowcy z wspomnianych regionów pozostali przy swoim programie, ponieważ był on już dobrze znany lokalnym kupcom.

W 2008 r. związkowcy posiadający kartę „Grosik” mogli liczyć na zniżki w ponad 2 tys. obiektów na terenie kraju. Rabatem objęto zarówno podstawowe produkty spożywcze, jak i usługi tak wyszukane, jak nauka języków obcych, ubezpieczenia czy wycieczki turystyczne. – *Nie samą pracą człowiek żyje, dlatego dbamy o rozrywkę. Oferta obejmuje m.in. zniżki na bilety do aquaparków, kin i teatrów. To daje oszczędności całej rodzinie* – wyjaśnia Małgorzata Benc, która wdrażała program w Regionie Śląsko-Dąbrowskim. Podobnie działa „Twój Partner”, który liczy 15 tys. uczestników, mogących kupować z rabatem od ok. 5% w sklepach

spożywczych do nawet 40% w punktach z techniką grzewczą.

- *Zdarza się, że gdy w zakładzie panuje dobra sytuacja, ludzie zaczynają się zastanawiać, po co w ogóle płacić składki* - wyjaśnia pomysłodawca „Grosika”. Zaś Dariusz Dąbrowski dodaje: *Chcieliśmy w jakiś sposób wyróżnić naszych członków, że chce im się należeć do związku. Tym bardziej, że wielu z nas zarabia naprawdę grosze, zdarzają się nawet czasowe zawieszenia płacenia składek. Używanie naszej karty pozwala pracownikom zrekomensować sobie związkową „daninę”, i to wielokrotnie. W 2008 r. program pozwolił członkom „Solidarności” zaoszczędzić łącznie 6 mln zł.*

„Grosik” cieszy się dobrą opinią specjalistów ds. biznesu i marketingu. Akcentują oni **nie tylko ekonomiczny wymiar programu, ale i jego potencjał w promocji związku, którego logo znajduje się na karcie i naklejkach wskazujących, że dany punkt ją honoruje.**

O podobnej inicjatywie myślał związek maszynistów, jednak z uwagi na duże rozproszenie członków oraz znacznie mniejszą ich ilość zrezygnowali z tej koncepcji. Udało im się za to zorganizować korporacyjną sieć telefoniczną u jednego z głównych operatorów w Polsce. - *Byliśmy pierwsi wśród związków zawodowych - nie kryje dumy Rafał Zarzecki z ZZM. Dzięki temu zrzeszeni maszyniści mają co dwa lata możliwość otrzymania atrakcyjnego telefonu w dobrej cenie, przy tanich połączeniach. - To nie tylko oszczędność dla naszych członków, ale też wymiar praktyczny. Jeśli jest nagła sytuacja, np. akcja strajkowa, mamy możliwość wysłać do wszystkich grupowego SMS-a -* zauważa Zarzecki.

Związkowcy wszystkich narodów, współpracujcie!

Dzięki temu, że „Solidarność” i OPZZ są członkami Europejskiej Konfederacji Związków Zawodowych, mogą łatwiej korzystać z wiedzy i umiejętności pracowników z innych państw. Także współpraca największych central z S. Partner, będącą polską filią grupy konsultingowej Syndex, która na całym świecie udziela wsparcia związkom zawodowym, daje dostęp do międzynarodowych doświadczeń.

- *Mamy 450 ekspertów, wśród nich np. 70 specjalizujących się w sektorze metalurgicznym, 40 ekspertów sektora finansowego, 60 specjalistów ds. branży chemicznej. Stanowimy cenne i stale aktualizowane - przez 40 lat działalności! - źródło informacji na temat przedsiębiorstw i sektorów, w całości do dyspozycji pracowników -* zapewnia dr Stéphane Portet, socjolog i ekonomista, który w przeszłości był ekspertem m.in. Międzynarodowej Organizacji Pracy oraz Programu Narodów Zjednoczonych ds. Rozwoju. Z usług S. Partner coraz częściej korzystają również organizacje branżowe i regionalne, a nawet zakładowe.

OPZZ bierze aktywny udział w pracach MOP. Poza byciem członkiem EKZZ oraz Międzynarodowej Federacji

Związków Zawodowych, współpracuje w ramach porozumień regionalnych, np. Związkowej Sieci Morza Bałtyckiego czy Związkowej Grupy Wyszehradzkiej. Doświadczeniami wynikającymi z kryzysu gospodarczego wymienia się m.in. z organizacjami z Hiszpanii, Portugalii i Bułgarii. Porozumienie ma też przedstawiciela w Europejskim Komitecie Ekonomiczno-Społecznym - ciele doradczym Komisji, Parlamentu i Rady Unii Europejskiej. Druga co do wielkości polska centrala prowadzi wreszcie współpracę z konkretnymi związkami zawodowymi w innych krajach. Najlepiej jest ona rozwinięta z brytyjskim UNISON (Związek Pracowników Usług Publicznych), przy którym Porozumienie ma od trzech lat oddelegowanego przedstawiciela. - *Stara się on namawiać pracujących tam Polaków do wstąpienia do UNISON, a następnie koordynować ich działania oraz udzielać bieżącej pomocy* - wyjaśnia dr Piotr Ostrowski z Zespołu ds. Międzynarodowych i Integracji Europejskiej OPZZ.

Współpracę międzynarodową prowadzą też związki branżowe. - *Współpracujemy w ramach ALE - Międzynarodowej Federacji Maszynistów - ze związkowcami z 16 krajów Europy. Warte podkreślenia jest to, że do ALE wstąpiliśmy jeszcze przed akcesją do UE -* nie ukrywa zadowolenia Leszek Miętek, będący obecnie wiceprezydentem federacji. Ambicją ponad stutysięcznej ALE jest skupienie maszynistów ze wszystkich, nie tylko unijnych, państw Europy. Należą do niej związkowcy z Chorwacji czy Szwajcarii. - *W świecie znikających granic problemy maszynistów w różnych krajach stają się podobne. Dążymy do ujednolicenia, przynajmniej w obrębie Unii, przepisów dotyczących naszej grupy zawodowej, by móc lepiej bronić jej interesów* - wyjaśnia Miętek. Już dziś maszynista przekraczający granicę i napotykający tam na problemy może liczyć na skuteczną pomoc kolegów ze sfederowanego związku, znającego miejscowe realia.

Politykę międzynarodową prowadzą również nauczyciele, budowlańcy i inne duże związki. Dobrym przykładem branżowej współpracy jest porozumienie Związku Zawodowego „Budowlani” z jego ukraińskim odpowiednikiem, podpisane przy okazji przygotowań do Euro 2012. - *To wspólna inicjatywa na rzecz wzrostu bezpieczeństwa pracy na budowach w obu krajach* - wyjaśnia Ostrowski. ZNP współpracuje z niemieckimi kolegami z GFF, m.in. w ramach edukacji antydyskryminacyjnej. Poza obszar wąsko rozumianej międzynarodowej działalności związkowej wychodzą też górnicy, których przedstawiciel w EKES zajmuje się tematyką energetyki.

„Solidarność”? Lubię to!

- *Polacy, zwłaszcza młodzi, postrzegają „Solidarność” przez pryzmat historii, składania kwiatów pod pomnikami i trzech „najazdów” na Warszawę rocznie. Mało kto wie, że prowadzi ona setki działań będących codziennością „pracę u podstaw”* - zauważa Norbert Kilen z agencji



© © © Kaprain Kobold, flickr.com/photos/kaprainkobold/5181464194/

kreatywnej Think Kong. Realizuje ona na zlecenie związku nowoczesne kampanie społeczne, które pomagają przełamać wspomniane stereotypy.

Jak wyjaśnia Krzysztof Zgoda, były szef Działu Rozwoju Związku, zachodnie organizacje pracowników oprócz bezpośrednich nacisków na pracodawców często kierują działania w stronę obywateli wrażliwych społecznie. Chcąc skłonić koncern IKEA, aby zainteresował się wyzyskiem ochroniarzy zatrudnianych przez jego podwykonawcę, firmę Solid Security, „Solidarność” zwróciła się do klientów meblowego giganta z prostym pytaniem: „Czy IKEA jest OK?”

Akcja, o której mowa, jest modelowym przykładem, jak powinno się walczyć z międzynarodowymi molochami. Polscy aktywiści przy wsparciu miejscowych związków przeprowadzili pikietę przed sklepem IKEA w Sztokholmie. Poświęcono jej kilkuminutową relację w głównym wydaniu tamtejszych wiadomości! Wydarzenie było zaskoczeniem dla miejscowej opinii publicznej, wobec której IKEA prezentuje się jako firma odpowiedzialna społecznie. - *Tego samego dnia w największym szwedzkim dzienniku ukazało się półstronicowe ogłoszenie z opisem ciężkiego losu pracowników ochrony w polskich oddziałach koncernu* - relacjonuje Zgoda. Co ważne, solidarność pracowników zadziałała nie tylko w macierzystym kraju firmy. - *Podobne pikiety*

zorganizowały związki zawodowe w Korei, Niemczech, USA, Szwajcarii, Australii i Wielkiej Brytanii - wspomina działacz. Pracownicy Solid Security otrzymali także ogromne wsparcie od polskich internautów.

Głównie w Sieci prowadzona była inna kampania, „UśmiechniętaKasjerka.pl”, mająca zwrócić uwagę klientów hipermarketów na warunki pracy kasjerek. Ciężki los pracowników handlu „Solidarność” nagłaśniała także w grudniu 2010 r., gdy przed sklepami wielkich sieci kolportowane były ulotki z dołączonym opłatkiem, stylizowane na list pisany rączką dziecka, martwiącego się, że mama pracująca w markecie znowu spóźni się na Wigilię.

Wymienione akcje przyniosły nie tylko uświadomienie części społeczeństwa w zakresie problemów wybranych grup zawodowych, ale i bardzo wymierne efekty. Solid Security stworzyło fundusz dla pracowników w potrzebie, w Tesco i Kauflandzie powstały związki zawodowe, z kolei nagłośniony w mediach list, jak się wydaje, stanowił dla wielu sieci handlowych argument przesądzający o skróceniu czasu pracy w Wigilię.

Los pracowników ochraniających urzędy miała z kolei poprawić akcja „NaciśnijUrzędnika.pl”. W jej ramach opisywano nadużycia, jakich dopuszczają się firmy opłacane ze środków publicznych. Za pośrednictwem

strony internetowej kampanii obywatele mogą w prosty sposób zwracać się do wybranych ministrów z żądaniem, aby podlegający im urzędnicy wymagali od wynajmowanych firm przestrzegania czasu pracy ochroniarzy.

Mniej „elektroniczne”, ale równie dobre i pomysłowe kampanie społeczne prowadzi ZNP. Przykładem może być „Dobra szkoła” czy „Nie dajmy popsuć naszej szkoły”, stanowiące głos w obronie publicznej edukacji na wysokim poziomie. – *W ich ramach w szkołach pojawiły się plakaty, ulotki, a na budynkach zawisły banery* – wyjaśnia Kaszulanis. Tego typu kampanie są tańsze niż działania medialne, a mają szansę być nawet bardziej skuteczne – póki co rodzice częściej mają ze szkołą kontakt bezpośredni, niż elektroniczny.

Podobnie jak „Solidarności”, również związkowcom z Konfederacji Pracy leży na sercu tzw. społeczna odpowiedzialność biznesu. Niestety, jak przyznaje Michał Lewandowski, zainteresowanie projektem z tego zakresu było mniejsze niż oczekiwane przez związek. – *Chcieliśmy trafić do pracowników i pracodawców, by zwiększyć świadomość społeczną oraz chęć wdrażania wysokich standardów w zakładach pracy* – wyjaśnia. – *Niestety pracodawcy nie są chętni, by wprowadzać w życie cokolwiek, czego nie muszą, a dla związkowców zmuszonych do walki o to, co tak naprawdę należy się pracownikom choćby na mocy zapisów Kodeksu pracy, społeczna odpowiedzialność biznesu to zbyt duża abstrakcja.*

To nie jedyna nowatorska „działka”, którą zajęła się organizacja. Wcześniej związkowcy z Konfederacji jako pierwsi podjęli temat mobbingu. Uczyli pracowników, w jakich sytuacjach dochodzi do nadużyć i kiedy mogą wystąpić na drogę prawną. – *Jeśli „wchodzi” coś nowego, to zależy nam, żeby wiedza możliwie szybko trafiła do pracowników* – podsumowuje pionierskość swego związku Lewandowski.

Każda z opisanych kampanii „Solidarności” ma stronę na Facebooku, związek nagłaśnia też ogół swoich inicjatyw na tym popularnym portalu. W jego ślady coraz częściej idą kolejne organizacje. – *Konfederacja jest kadrowo młodym związkiem i wielu jej członków korzysta z Internetu jako źródła informacji* – uzasadnia Ilka. – *Chcieliśmy tym sposobem przyciągnąć do nas młodych. Ponadto portale społecznościowe oferują szybką i łatwą możliwość spojrzenia na to, co się dzieje w związku, często mimochodem* – odsłania motyw maszynistów do „wejścia w Sieć” Zarzecki. U górników pomysł wyszedł od związkowej młodzieży, informuje wiceprzewodniczący ZZGWP Wacław Czerkawski, który wskazuje też, że dzięki nowoczesnym mediom pracownicy w zakładach rozrzuconych po całej Polsce wiedzą, co dzieje się w innych częściach kraju. Z kolei ZNP podkreśla, że wykorzystuje Internet nie tylko z myślą o własnych

członkach. – *Staramy się za jego pośrednictwem dotrzeć również do osób spoza związku, zwłaszcza do rodziców – wyjaśnia Kaszulanis.*

OPZZ i ZZM założyły profile na YouTube. Zaletą kilkunastominutowych filmów umieszczanych w Sieci jest nie tylko potencjalnie nieograniczona liczba osób, do których można dotrzeć bez ponoszenia dodatkowych kosztów. – *Odbiór oglądanego człowieka jest łatwiejszy niż np. wywiadu z nim w związkowym biuletynie* – zauważa Ilka. Klipy wideo i w ogóle ekspansja w Internecie mają być też dla związków sposobem „ucieczki do przodu”. – *Gazety, nie tylko związkowe, zmniejszają nakłady, coraz mniej osób po nie sięga* – wyjaśnia sekretarz prasowy OPZZ. Działacze Porozumienia podkreślają, że filmy na YouTube to krok w stronę własnej telewizji internetowej, jakkolwiek droga do niej jeszcze daleka.

Zaprzyjaźnić się ze społeczeństwem

Działania PR znacząco ociepliły wizerunek związkowców. – *Miałem liczne sygnały, że ludzie lepiej nas postrzegają, gdy organizujemy kampanie takie jak ta na rzecz pracowników handlu, niż gdy palimy opony. PR wzbogaca nasze działania* – uważa Krzysztof Zgoda. Zastrzega jednocześnie, że podstawą aktywności związków powinna pozostać samoorganizacja pracowników i odwaga w walce o swoje. Zaś Kilen dodaje: *Bardzo się cieszę, że takie akcje docierają do młodych i nowoczesnych osób. To pomaga związkowcom zaprzyjaźnić się ze społeczeństwem.*

To „zaprzyjaźnianie się” obejmuje nie tylko działania wizerunkowe. OPZZ i Konfederacja Pracy uczestniczą w Polskim Forum Społecznym, mającym być platformą wymiany myśli i poglądów między związkami zawodowymi, partiami i organizacjami społecznymi. – *Pracownicy to też obywatele. Jest coraz więcej oddziaływań różnych grup na siebie, współpraca staje się koniecznością* – zauważa Radzikowski.

Związkowcy starają się trafiać „pod strzechy” z informacjami na temat swoich inicjatyw oraz samą ideą pracowniczej samoorganizacji. Wielkopolska „Solidarność” nawiązała współpracę ze stowarzyszeniem kibiców Lecha Poznań, a także z samym klubem. Wśród związkowców jest wielu kibiców „Kolejorza”, którzy chcieliby promować zarówno związek, jak i ukochaną drużynę. Dzięki współpracy trybuny mają być pełniejsze, a ideały związkowe docierać do nowych osób.

Protesty, blokady i strajki niewątpliwie pozostaną ważnym orężem związków zawodowych, jednak jest to broń ostateczna. Na co dzień aktywiści pracownicy posługują się innymi metodami – zazwyczaj mniej spektakularnymi, ale nierzadko bardzo skutecznymi.

KONRAD MALEC

Spółdzielnia pracy nad tekstem

JORDAN CIBURA

„Klasyczna” firma składa się z szefa oraz z podwładnych, którzy mają do wyboru wykonywać jego polecenia albo pożegnać się z posadą. Tymczasem w Zurychu od prawie 30 lat istnieje gazeta, która funkcjonuje na zupełnie innych zasadach.

WOZ, czyli po prostu „Wochenzeitung” (niem. „tygodnik”), bo tak się ona nazywa, należy do spółdzielni Infolink. Każda osoba zatrudniona w gazecie na co najmniej pół etatu, jest jednocześnie członkiem kooperatywy i ma prawo współdecydowania o jej losach. Postanowiłem przyjrzeć się, w jaki sposób podejmowane są decyzje w przedsiębiorstwie, gdzie każdy jest szefem. Miałem przyjemność rozmawiać z prawie jedną trzecią załogi i uczestniczyć w kilku zebraniach.

Jakość, równość, niezależność

Lata 70. w Szwajcarii obfitowały w lewicowe ruchy społeczne, jak choćby protesty przeciw elektrowniom atomowym. Jako platforma intelektualna służyły im dwa miesięczniki, jednak zapotrzebowanie było zdecydowanie większe. W 1981 r. grupa idealistów, w tym studentów, założyła spółdzielnię i rozpoczęła wydawanie nowego lewicowego tygodnika.

– Od początku chcieliśmy działać w formie spółdzielni. Tylko ludzie, którzy tutaj pracują, są jej członkami i mają prawo współdecydowania o losach przedsięwzięcia – opowiada Jürg Fischer, jeden z założycieli Woz. – *Chcieliśmy być niezależni od wszelkich nacisków z zewnątrz,*

przede wszystkim ze strony sponsorów i reklamodawców oraz polityków; zarządzać swoim miejscem pracy zupełnie samodzielnie. Wszyscy na równych prawach – bez względu na to, czy ktoś pracuje jako redaktor, w dziale sprzedaży czy przy druku gazety.

Minęły już niemal trzy dekady od wydania pierwszego numeru, a w Woz nadal konsekwentnie przestrzega się zasady równości. Praktykant i dziennikarz z dziesięcioletnim stażem wracają do domów z identyczną wypłatą, a podczas podejmowania decyzji dotyczących przyszłości przedsiębiorstwa głos każdego pracownika ma jednakową wagę.

Drugą zasadą, której tygodnik hołduje od lat, jest nacisk na jak najwyższą jakość tekstów. Zanim trafi do druku, każdy artykuł jest starannie czytany przez co najmniej pięć osób, dlatego literówki i błędy stylistyczne zdarzają się w Woz niezwykle rzadko. Jednak nie styl czy interpunkcja sprawiają, że dany tytuł można zaliczyć do *Qualitätszeitungen*, czyli gazet o wysokiej jakości. Kluczowa jest wnikliwość w ustalaniu faktów i rzetelne ich przedstawianie, czemu tygodnik poświęca szczególną troskę. Jako jedna z niewielu gazet daje dziennikarzom dość czasu, by mogli

naprawdę gruntownie zgłębić temat, nie narzuca też sposobu jego ujęcia. – *Mamy swobodę, jakiej nie spotka się prawdopodobnie nigdzie indziej w Szwajcarii. Nikt nam nie mówi, co mamy myśleć* – z nieskrywaną dumą oznajmia Yves Wegelin, dziennikarz działu zagranicznego.

Długie poszukiwania, potwierdzone dane, obszerne teksty, dające czytelnikowi pełniejszy obraz sytuacji – wszystko to wiąże się ze znacznymi kosztami. Dlatego niezależnie od spółdzielni wydającej gazetę, funkcjonuje stowarzyszenie „ProWoz”, które wspomaga finansowo jej edycję. Zrzesza ono obecnie ok. 800 osób, które zdecydowały się płacić co najmniej podwójną kwotę za prenumeratę. Dzięki zebrany pieniądzy, Woz jest w stanie finansować także bardziej kosztowne projekty z zakresu niezależnego dziennikarstwa.

Opłaca się mieć zasady

Ostatnie lata były bardzo ciężkie dla szwajcarskiej prasy. W 2008 r. rynek ogłoszeń skurczył się o prawie 6%, a w 2009 r. – o ponad 21%. Wielu dziennikarzy straciło pracę wskutek programów oszczędnościowych i restrukturyzacji. Przykładowo, w roku 2009 grupa NZZ (wydaje dziennik „Neue Zürcher Zeitung”) zmniejszyła liczbę pełnych etatów o prawie 100, pomimo przejęcia kilku pomniejszych konkurentów. Sprzedaż prawie wszystkich tytułów spadła. Wśród nielicznych szczęśliwców, którzy zdołali uchronić się przed kryzysem, znalazł się również Woz. Udało mu się w tym czasie nawet nieznacznie zwiększyć sprzedaż.

Można jedynie spekulować, co bardziej przyczyniło się do wzrostu liczby czytelników – lewicowy profil gazety, który w czasach kryzysu bez wątpienia cieszył się większym zainteresowaniem, czy nienaganne dziennikarstwo? Faktem jest, że Woz, jako jeden z nielicznych tytułów, nie był zmuszony do cięć finansowych ani kompromisów w dziedzinie jakości.

Duży wpływ na utrzymanie pozytywnego bilansu finansowego podczas kryzysu miał fakt, że tygodnikowi od lat udaje się utrzymać bardzo nietypowe proporcje przychodów z reklam do wpływów ze sprzedaży gazety. Wynoszą one mniej więcej 1:2, choć w branży medialnej są zazwyczaj odwrotne. Woz chce pozostać niezależny od reklamodawców, mimo że oznacza to m.in. niskie płace. Taka jest jednak wola większości spółdzielców, w pełni świadomych konsekwencji swojej decyzji. Nikt im jej nie narzucił, gdyż nie ma szefa, który mógłby kogokolwiek do czegoś zmusić.

Odpowiedzialność za słowo

Brak szefa nie oznacza oczywiście braku organizacji ani rezygnacji z podziału zadań według kompetencji. – *Nie mamy hierarchii w powszechnym znaczeniu tego słowa. Oczywiście posiadamy komisję rewizyjną, komisję kierowniczą itp. Mamy swoje struktury* – wyjaśnia Roman Schürmann, członek wewnętrznego gremium kontrolnego. – *Działamy zgodnie z zasadami demokracji*

uczestniczącej, gdzie naprawdę każdy może wyrazić swoje zdanie, jeśli tylko chce. Nie jest to jednak demokracja rozumiana tak, że każdy może wszystko. Musimy utrzymać się na rynku. Trzeba funkcjonować w tym kapitalistycznym świecie i nie możemy sobie pozwolić, by gazeta przynosiła straty.

Dlatego kompetencje poszczególnych organów spółdzielni są jasno zdefiniowane. Najważniejszym z nich jest *plenium*, czyli zebranie ogółu członków. W zależności od potrzeby, zwoływane jest kilka razy do roku i rozstrzyga się na nim za pomocą głosowania kwestie dotyczące całego przedsiębiorstwa lub takie, które wykraczają poza kompetencje poszczególnych organów. Te ostatnie to Rada Kierownicza (Geschäftsleitung), Komisja Rewizyjna (Geschäftsausschuss), Redakcja, w ramach której funkcjonują osobne działy (np. Kraj, Zagranica, Kultura), Rada ds. Kadrowych, Dział Wydawniczy (tu m.in. reklamy, prenumeraty, rachunkowość) oraz grupy robocze, tworzone na potrzeby bieżących projektów.

Choć każdy pracownik może swobodnie wyrazić zdanie w dowolnej kwestii, to jednak poszczególne działy „rządzą się” zupełnie autonomicznie. Jeśli ktoś zauważy, że coś jest „nie tak”, zawsze może poruszyć temat na *plenium*, które kolektywnie rozstrzygnie sprawę. Decyzje nie zapadają jednak bez przygotowania. Zazwyczaj najpierw odbywa się tzw. Infoplenum, na którym wszyscy są informowani o danym problemie, następnie mają czas, aby się zastanowić, co można zrobić z daną kwestią. Gasch, bo tak zdrobniale nazywa się wewnętrzną komisję rewizyjną, zbiera te przemyslenia i przygotowuje głosowania. Jest to bardzo ważny organ, który umożliwia sprawne podejmowanie decyzji bez zbędnego tracenia czasu. W jego skład wchodzi 5 osób, po jednej z głównych działów. W węższym gronie łatwiej przedyskutować i w razie potrzeby wykluczyć scenariusze niemożliwe do zrealizowania (np. ze względów finansowych).

Niedawno pracownicy Woz podnieśli sobie pensje. Jak wygląda proces podejmowania podobnych decyzji opowiedział mi Martin Clalüna, informatyk. – *Place są u nas chronicznie niskie. Właściwie od lat 80. ciągle oscylują wokół płacy minimalnej i rosły jedynie porównywalnie ze wzrostem cen. Jak na Zurych, to bardzo mało* – podkreśla. W tej sytuacji, gdy po kilku latach wymuszonych oszczędności udało się trwale zbić wydatki, a jednocześnie zwiększyć sprzedaż pisma, Gasch poddała pod dyskusję kwestię podwyżki wynagrodzeń. – *Wyglądało to mniej więcej w ten sposób: „Chcemy podwyżki – tak czy nie?”, „Jeśli tak, to o 100 czy 200 franków?”. Nigdy nie dyskutowaliśmy na temat podniesienia płac np. o 1000 franków. Gasch wszystko przeanalizowała, sformułowała budżet i przedstawiła nam trzy warianty do wyboru. Dzięki temu mieliśmy pewność, że żadna z możliwych decyzji nie doprowadzi do katastrofy. Wszystko było oczywiście transparentne i mogliśmy na bieżąco otrzymywać dodatkowe informacje.*

1



2



3

1-3. - z życia redakcji.

Plakaty promocyjne:

4. „WOZ robi się na bóstwo. Nowa makieta 16 września”

5-6. „Pozwól sobie na własne zdanie. Woz”

Clalüna zwraca uwagę, że nie wszyscy w takim samym stopniu rozumieją rachunkowość. Dlatego dane finansowe są przedstawiane tak, żeby każdy był w stanie ocenić, czy spółdzielni idzie na tyle dobrze, że możliwy jest wzrost płac lub inwestycje. – *Ostatecznie zdecydowaliśmy, że podniesiemy pensje o 200 franków. Kto nie mógł przyjść na plenum, mógł zagłosować listownie.*

Podjmowanie takich decyzji wymaga gruntownej wiedzy o kondycji finansowej przedsiębiorstwa. Dlatego Gasch stale kontroluje finanse gazety i co miesiąc przedstawia stosowny raport. Jego kopia znajduje się na wewnętrznym serwerze i każdy z pracowników może go przeczytać w dowolnej chwili. Ponadto kluczowe dane finansowe są na bieżąco aktualizowane i wywieszane obok automatu z kawą, czyli miejsca, gdzie każdy zagląda. Oprócz raportów, do wglądu są także protokoły ze wszystkich ważniejszych zebrań – można w ten sposób „podejrzeć”, czym zajmują się inni.

Nauczki z kryzysu

Jak widać, w Woz bardzo się dba, aby wszyscy znali dane finansowe. Nie zawsze tak było. W 2005 r. gazeta stanęła na skraju bankructwa. Główną przyczyną był właśnie niedostateczny i mało profesjonalny *controlling*. W atmosferze euforii, której powodem była rosnąca popularność gazety, po prostu zapomniano o rzetelnej kalkulacji kosztów.

W 2003 r. zmieniono szatę graficzną, zwiększono zatrudnienie i rozpoczęto nowe, ambitne projekty.

4



5



6

Wydatki wzrosły nieproporcjonalnie do przychodów, co dwa lata później nieomal skończyło się katastrofą. Do tego doszły jeszcze problemy w rachunkowości, w efekcie czego bomba z opóźnionym zapłonem, jaką był przesadny wzrost kosztów, została wykryta dopiero pięć minut przed wybuchem. Nie było czasu na zbędne dyskusje; należało działać bardzo szybko, aby uchronić spółdzielnię przed upadkiem.

W niesamowitym tempie ok. dwóch tygodni, pracownicy zupełnie zrestrukturyzowali przedsiębiorstwo. Bettina Dytrich, której wraz z innymi udało się uratować Woz, zdradziła mi kilka szczegółów operacji. – *Musieliśmy bardzo oszczędzać. Na pewien czas gazeta skurczyła się o kilka stron, zmniejszyliśmy sobie zarobki, a nawet zwróciliśmy pewną część już wypłaconych pensji. Wielu z nas musiało odejść. To był niezwykle dramatyczny okres, ale też bardzo dużo się nauczyliśmy. W tej chwili jest już niemożliwe, aby podobna sytuacja*

się powtórzyła. Od tamtej pory ludzie, których zatrudniamy w Dziale Wydawniczym, nader dokładnie patrzą na nasze wydatki. Patrząc z perspektywy czasu, dobrze się stało, że przytrafił nam się ten kryzys. Kooperatywa zyskała na profesjonalizmie, finanse są na bieżąco monitorowane, a informacje na ich temat przekazywane w przystępnej formie reszcie zespołu.

Co dwie głowy...

Przyglądając się działaniu tej spółdzielni, można się pokusić o wyciągnięcie bardziej ogólnych wniosków. Byłem ciekaw, jakie zdaniem pracowników są wady i zalety prowadzenia działalności w formie firmy, gdzie nie ma szefa lub – jeśli ktoś woli – wszyscy są szefami.

Zdaniem Bettiny Dytrich, model partycypacyjny ma same zalety w porównaniu z klasycznymi, hierarchicznymi organizacjami. – *Typowym przesądem jest, że w takich organizacjach jak nasza dyskusje ciągną się miesiącami, jeden wtrąca się w sprawy drugiego i nie można podjąć żadnej decyzji. Tak było może 20 lat temu. W tej chwili mamy różne grupy, które zajmują się swoimi sprawami. Jeśli coś dotyczy wszystkich, Gasch przeprowadza wewnętrzną dyskusję na ten temat, a następnie informuje o jej wynikach. Rozważamy wtedy sprawę na plenum i podejmujemy odpowiednią decyzję. Uważam to za bardzo efektywny model zarządzania. Nie tracimy przy tym wiele czasu – zapewnia dziennikarka.* – W sytuacjach kryzysowych decyzje są podejmowane bardzo sprawnie. Wszystkie siły koncentrowane są na jednym zadaniu, dopóki nie zostanie wykonane – wyjaśnia Camille Roseau, specjalistka ds. marketingu.

Faktem jest, że źle przygotowane zebrania mogą być frustrujące i mało produktywne. WOZ przez 30 lat istnienia miał dość czasu, aby wypracować mechanizmy zapobiegające takim przypadkom. W zasadzie wszyscy, z którymi rozmawiałem, zgodnie twierdzili, że zdarzają się one obecnie niesłychanie rzadko. Należy jednak pamiętać, że nawet przy bardzo sprawnych procedurach, tak jak to ma miejsce w WOZ, kolektywne podejmowanie decyzji wymaga więcej czasu, niż gdyby robiła to jedna osoba (szef). Ludzie muszą zostać poinformowani, musi odbyć się dyskusja, muszą zostać udzielone odpowiedzi na zgłaszane pytania. Mimo to, gra jest warta świeczki. Więcej osób zaangażowanych w wypracowanie rozwiązania oznacza, że na problem patrzy się z wielu perspektyw. Prawdopodobieństwo, że podjęte postanowienie będzie lepiej przemyślane, jest bardzo duże. Co więcej, jego realizacja przebiega potem bardzo płynnie. Nikt przecież nie będzie sabotował własnych decyzji.

Z kolei wśród zagrożeń związanych z modelem spółdzielczym warto wspomnieć o delegowaniu osób na poszczególne stanowiska. W WOZ kompetencje kierownicze czy kontrolne pracowników są demokratycznie potwierdzane przy pomocy wyborów. Jeśli kandydatów jest więcej niż funkcji do obsadzenia, wiąże się to z pewnym niebezpieczeństwem. Przegrana

w wyborach nie należy do najprzyjemniejszych. – *WOZ zebrał bardzo negatywne doświadczenia związane z tego typu głosowaniami. Jeśli do wyboru były dwie osoby, wówczas ta, której nie wybrano, najczęściej opuszczała gazetę. Nie jesteśmy politycznymi mandatariuszami, którzy w razie przegranej mogą wrócić do swego zawodu. Po wyborach trzeba dalej pracować z ludźmi, którzy w jakimś sensie okazali nam brak zaufania, a to po prostu boli – tłumaczy Camille Roseau. Dlatego zdecydowano się na pragmatyczne rozwiązanie: w wyborach do poszczególnych organów startuje zawsze tylu kandydatów, ile jest stanowisk do obsadzenia.*

To działa!

Według raportu opublikowanego w lutym 2011 r. przez Instytut Gallupa, dwie trzecie niemieckich pracowników nie czuje się związanych z pracodawcą, a co piąty mentalnie już podjął decyzję o wypowiedzeniu umowy. Gdyby przeprowadzono analogiczne badania w Polsce czy Szwajcarii, wynik zapewne wyglądałby podobnie. Jednak kooperatyści z WOZ bez wątpienia znaleźliby się wśród 1/3 zadowolonych. W spółdzielni więź z „pracodawcą” jest ogromna, co niejednokrotnie podkreślali moi rozmówcy. Bardzo obrazowo ujął to Jan Jirat, jeden z dziennikarzy: *Tutaj jest się człowiekiem... Gdyby WOZ był spółką akcyjną, wtedy pieniądź, nie człowiek, byłby jego esencją. WOZ to my – jako ludzie.*

Zatrudnieni w WOZ cenią sobie wolność, jaką daje im firma. Nie tylko elastyczny czas pracy, wyrozumiałość, jeśli ktoś zachoruje czy musi odebrać dziecko z przedszkola, lecz również dziennikarską niezależność. – *W porównaniu z innymi gazetami WOZ jest bardzo nietypowy. Możemy pisać dłuższe teksty, na które mamy więcej czasu, aby zebrać większą ilość rzetelnych informacji. Do tego mamy swobodę w pisaniu na tematy polityczne. Jak to się mówi – możemy każdemu bez obaw nasikać na nogę – dodaje Jirat.*

W przeciwieństwie do reszty gazet, które muszą dbać o reklamodawców, WOZ nie boi się także otwartej krytyki pod adresem bogatych koncernów. Trudno się nie zgodzić z Bettiną Dytrich, która dodaje, że *to, co i jak piszą dziennikarze „Wochenzeitung” bezpośrednio wypływa z tego, jak są zorganizowani: Gdybyśmy mieli szefa i zróżnicowane zarobki, pisałibyśmy zupełnie inaczej. To przecież oczywiste.*

Dynamicznie zarządzana firma, która dostosowuje się do stale zmieniającego się otoczenia. Sprawnie podejmowane, ale i przemyślane decyzje. Nieskrywana duma, z jaką zadowoleni i zmotywowani pracownicy opowiadają o pracodawcy i owocach wspólnych wysiłków. Czy takie miejsce pracy mogłoby być rzeczywistością dla większej liczby ludzi? Według Bettiny Dytrich – jak najbardziej. *Uważam, że dużo więcej przedsiębiorstw we wszystkich możliwych branżach mogłoby funkcjonować na podobnych zasadach, jak my. Bo to działa!*

JORDAN CIBURA

Nie trzeba bać się KRUS

JANINA PETELCZYC

Kwestia ubezpieczeń społecznych rolników wzbudza kontrowersje, ponieważ dotowanie ich powoduje poważne obciążenie finansów państwa. „Zacznijcie od reformy KRUS!” – słyszymy w niemal każdej dyskusji o oszczędnościach budżetowych.

Co mamy?

Całościowy system ubezpieczenia społecznego rolników powstał w Polsce dopiero w 1977 r. Wcześniej, na początku lat 70. około 60% ludności zatrudnionej w rolnictwie objęte było ubezpieczeniami z różnych tytułów. Pracownicy PGR posiadali ubezpieczenie pracownicze, od 1962 r. prawo do emerytury mieli członkowie rolniczych spółdzielni pracowniczych, a 2 mln właścicieli drobnych gospodarstw rolnych było ubezpieczonych z tytułu zatrudnienia w charakterze robotników poza rolnictwem. Pozostali prowadzący własne gospodarstwa w ogóle nie mieli prawa do ochrony ubezpieczeniowej. Zmiany prawne w latach 60. i na początku 70. umożliwiały rolnikom otrzymanie dożywotniej renty, ale wyłącznie pod warunkiem zrzeczenia się gospodarstwa na rzecz państwa.

W 1977 r. przyjęto ustawę o zaopatrzeniu emerytalnym rolników oraz innych świadczeniach dla rolników i ich rodzin. Z kolei w 1982 r. weszła w życie ustawa o ubezpieczeniu społecznym rolników. Obie odchodziły od idei uspołecznienia rolnictwa. Świadczenia mogli uzyskiwać zarówno ci, którzy zrzekali się gospodarstwa na rzecz państwa, jak i przekazujący je następcom z kręgu rodziny. Warunkiem było opłacanie składek i osiągnięcie wieku emerytalnego lub

zakwalifikowanie do I lub II grupy inwalidzkiej. Początkowo renty i emerytury przyznawano wyłącznie na gospodarstwo, niezależnie od liczby osób w nim, co zostało zmienione ustawą z 1982 r. Mankamentem tych uregulowań był obowiązek sprzedaży produktów rolnych jednostkom gospodarki uspołecznionej.

W okresie transformacji reformę systemu zabezpieczenia socjalnego rolników rozpoczęła ustawa z 20 grudnia 1990 r. Na jej mocy utworzono Kasę Rolniczego Ubezpieczenia Społecznego. Uniezależniono wówczas prawo do emerytury od przekazania gospodarstwa rolnego. Jedynym warunkiem uzyskania świadczenia było osiągnięcie 60 lat w przypadku kobiet i 65 u mężczyzn. **System miał przede wszystkim charakter osłonowy, wieś bowiem mocno odczuła ciężar społecznych kosztów transformacji. Wielu chłoporobotników, którzy utracili pracę w przemyśle i powracali do gospodarstw, otrzymało możliwość uzyskania świadczenia.**

We wspomnianej ustawie wyodrębniono dwie grupy ubezpieczeń. Pierwszą stanowiły ubezpieczenia wypadkowe, chorobowe i macierzyńskie, drugą – emerytalno-rentowe. Rolnik płaci więc dwie miesięczne składki. Ubezpieczeniem objęty jest zarówno on, jak i domownicy. Za domownika uważa się bliską osobę,

która ukończyła 16 lat i mieszka z rolnikiem lub w jego najbliższym sąsiedztwie, nie będącą z nim związaną stosunkiem pracy. Należy podkreślić, że osoba taka musi pracować w danym gospodarstwie – sam fakt zamieszkania nie wystarczy, żeby być ubezpieczonym w KRUS.

Wysokość składki na ubezpieczenie emerytalno-rentowe wynosi 10% emerytury podstawowej (w II kwartale 2011 r. – 73 zł). Osoby, które równolegle prowadzą pozarolniczą działalność gospodarczą, płacą podwójną wysokość składki emerytalnej. Ponadto dodatkową składkę opłacają rolnicy z gospodarstw od 50 ha wzwyż. Składka na ubezpieczenie macierzyńskie, chorobowe i wypadkowe wynosi dla wszystkich rolników tyle samo i jest to obecnie 42 zł na miesiąc. Ubezpieczenie zdrowotne jest natomiast finansowane z budżetu. Sumaryczne obciążenia poszczególnych kategorii ubezpieczonych przedstawia tab. 1.

Obecnie świadczenia kształtują się na następującym poziomie: podstawowa emerytura wynosi 728,18 zł, zasiłek chorobowy za 1 dzień – 10 zł, zasiłek macierzyński – 2912,72 zł miesięcznie¹. Rolnicy otrzymują minimalne emerytury bez względu na wysokość składek. Warto wspomnieć, że od 2005 r. liczba ubezpieczonych jest wyższa niż świadczeniobiorców².

Dostępne są w Polsce również renty strukturalne. Mają na celu poprawę struktury agrarnej i przyspieszenie procesu wymiany pokoleniowej wśród prowadzących gospodarstwa rolne. Poprawiają też konkurencyjność gospodarstw, ponieważ przejmują je osoby dobrze przygotowane do zawodu rolnika. Zakłada się, że w latach 2007–2013 z tego rozwiązania skorzysta ponad 50 tys. rolników. W zamian za rentę strukturalną należy przekazać gospodarstwo następcy lub włączyć swoje grunty na rzecz powiększenia innego gospodarstwa. Podstawowa wysokość renty strukturalnej

wynosiła w 2010 r. 1013 zł, a dodatek na małżonka – 646 zł. Przekazanie powyżej 10 ha użytków rolnych osobie w wieku poniżej 40 lat podwyższa świadczenie o 102 zł. Rentę wypłaca się co miesiąc, nie dłużej niż do osiągnięcia przez beneficjenta 65. roku życia³.

Obecny system nie odpowiada zasadom ubezpieczenia społecznego, ponieważ jest w przeważającej mierze finansowany przez państwo, a nie samych rolników. Do tego Trybunał Konstytucyjny w wyroku z dn. 26 października 2010 r. uznał, że niezgodny z ustawą zasadniczą jest przepis, który zobowiązuje budżet państwa do opłacania w całości składki zdrowotnej rolników bez względu na wysokość ich dochodów. Ze składek pokrywa się ledwie 8% wydatków na rolnicze emerytury i renty. Ich dofinansowanie będzie w 2011 r. kosztować państwo 15,1 mld zł, natomiast ubezpieczenia zdrowotne rolników – 1,86 mld. Zanim zastanowimy się, jak reformować ten system, przyjrzyjmy się zabezpieczeniu tej grupy społecznej w innych krajach⁴.

Starość nad Sekwaną

Historia ubezpieczeń rolniczych we Francji jest znacznie dłuższa niż w Polsce. W 1889 r. istniało już 557 lokalnych towarzystw ubezpieczeniowych. Ustawa z 1900 r. uprawomocniła tworzenie rolniczych kas wzajemnych ubezpieczeń społecznych, uprościła formalności administracyjne, uwolniła od obciążeń fiskalnych i wprowadziła liczne zachęty, co spowodowało gwałtowny rozwój towarzystw. W okresie międzywojennym rolnictwo objęto także ochroną socjalną, gdyż uregulowano kwestię ochrony przed ryzykiem wypadku przy pracy, śmierci oraz trwałej niezdolności do pracy. W 1936 r. wprowadzono rolnicze zasiłki rodzinne.

W 1940 r. rozpoczęto unifikację instytucji ubezpieczeniowych rolników. Polityka społeczna wobec tej

Tab. 1. Wysokość składki na ubezpieczenie rolników w zł

Wielkość gospodarstwa lub status ubezpieczonego	Ubezpieczenie emerytalno-rentowe		Ubezpieczenie macierzyńskie, chorobowe i wypadkowe	Suma
	Podstawowa składka miesięczna	Dodatkowa składka miesięczna	Składka miesięczna	
Do 50 ha	73	0	42	115
50-100 ha	73	87	42	202
100-150 ha	73	175	42	290
150-300 ha	73	262	42	377
Powyżej 300 ha	73	350	42	465
Domownik	73	0	42	115

Źródło: opracowanie własne na podstawie KRUS.

grupy została poddana kompetencji ministra rolnictwa, a wypłacanie jej świadczeń socjalnych powierzone wyłącznie kasom wzajemnych ubezpieczeń. W 1945 r. system kas, uwzględniający specyfikę zawodu, oparł się próbom włączenia go do powszechnego systemu ubezpieczeń społecznych.

W okresie powojennym rozszerzano zakres rolniczych ubezpieczeń. W 1952 r. utworzono ubezpieczenie emerytalne, którym zarządzanie powierzono MSA (Mutualité Sociale Agricole, Kasa Wzajemnych Ubezpieczeń Społecznych Rolników). W 1961 r. utworzono dla rolników ubezpieczenie chorobowe, macierzyńskie i inwalidzkie. Stali się oni pierwszą grupą wśród wykonujących wolne zawody, korzystającą z ochrony przed tymi rodzajami ryzyka.

MSA to podstawowa agencja odpowiedzialna za obowiązkowe ubezpieczenia społeczne rolników i osób zatrudnionych w rolnictwie. Poza Kasą Centralną posiada 82 kasy na poziomie departamentów. **System jest zarządzany w sposób zdecentralizowany i demokratyczny. Każdy, kto podlega pod rolniczy system ubezpieczeniowy, uczestniczy w wyborach. Dzięki temu kasy są reprezentatywne dla ogółu populacji rolniczej.**

We francuskim systemie emerytalnym, zarówno powszechnym, jak i rolniczym, istnieją dwie granice wieku uprawniającego do świadczeń. Osiągnięcie pierwszej uprawnia do emerytury w pełnym wymiarze wyłącznie wówczas, gdy świadczeniobiorca wykaże się odpowiednim stażem składkowym. Natomiast druga daje prawo do pełnej emerytury niezależnie od liczby lat opłacania składek. Wiek uprawniający do przejścia na emeryturę, który do końca 2010 r. wynosił 60 lat, będzie wskutek reformy emerytalnej stopniowo podnoszony do 62 lat od 1 stycznia 2018 r. Obecnie, aby otrzymać świadczenie w pełnym wymiarze, należy - oprócz skończonych 60 lat - mieć 163 kwartały opłacanych

składek. Liczba ta będzie rosła wraz z podwyższaniem wieku uprawniającego do przejścia na emeryturę. Z kolei wiek osiągnięcia prawa do emerytury w pełnym wymiarze niezależnie od liczby kwartałów opłacanych składek wynosi obecnie 65 lat i 4 miesiące - również on będzie wzrastał, do 67 lat w 2018 r.

We Francji rolniczym systemem zabezpieczenia społecznego objęci są współmałżonkowie i członkowie rodziny właściciela lub użytkownika gospodarstwa rolnego. Zakłada się, że uczestniczą oni w pracach rolnych bez wynagrodzenia. Jeśli natomiast praca osoby żyjącej w obrębie danego gospodarstwa rolnego jest wynagradzana, może ona również być objęta systemem rolniczym, jednak musi wykazać udział w pracach na rzecz tego gospodarstwa. Wśród ubezpieczonych można zatem wyróżnić dwie podstawowe kategorie: osoby prowadzące samodzielnie lub wspólnie działalność rolniczą (użytkownicy rolni) i osoby pracujące w rolnictwie na podstawie umowy zawartej z rolnikiem (pracownicy rolni).

MSA obejmuje następujące ryzyka socjalne⁵: choroba i macierzyństwo, dożycie wieku emerytalnego, trwała lub okresowa niezdolność do pracy oraz śmierć żywiciela rodziny. Świadczenia na rzecz rolników należy podzielić na dwie grupy. Są to z jednej strony emerytury, renty i renty zdrowotne, a z drugiej - zasiłki dla repatriantów i odprawa dożywotnia, przysługująca wyłącznie rolnikom przyczyniającym się do odmłodzenia struktury wieku na wsi i powiększenia gospodarstw.

Wysokość składek uzależniona jest od dochodów katastralnych lub wyliczana na podstawie dochodu teoretycznego, ustalanego w oparciu o wskaźniki dla poszczególnych upraw i hodowli. Natomiast dla przedsiębiorstw rolnych podstawę naliczania składek stanowi zryczałtowane wynagrodzenie kierownictwa

Tab. 2. Wysokość i rozkład stawek ubezpieczenia społecznego rolników we Francji

Składki	Stawki procentowe					
	Od całego wynagrodzenia			W limicie pułapu zabezpieczenia społecznego (2010 r. do 34 620 €).		
	Pracodawca	Pracownik	Suma	Pracodawca	Pracownik	Suma
ubezpieczenia na wypadek choroby, macierzyństwa, niepełnosprawności, śmierci	12,8	0,75	13,55	-	-	-
ubezpieczenie społeczne na wypadek starości	1,6	0,1	1,7	8,3	6,65	14,95
na świadczenia rodzinne	5,4	-	5,4	-	-	-
na ubezpieczenie wypadków przy pracy	1,1 - 10,6, w zależności od rodzaju pracy					

Źródło: opracowanie własne na podstawie MSA.

przedsiębiorstwa i jego pracowników. Fundusz ubezpieczeń społecznych tworzony jest z obowiązkowych składek pracowników i pracodawców na ubezpieczenie chorobowe i emerytalne. Natomiast wyłącznie ze składek pracodawców finansowane są ubezpieczenia wypadkowe, od chorób zawodowych i świadczenia rodzinne. Wysokość i rozkład składek prezentuje tab. 2.

W 2010 r. emerytowany francuski rolnik otrzymywał minimum 3122,08 € emerytury rocznie, czyli 260,17 € na miesiąc. Jest to pierwsza, bazowa część emerytury. Oprócz tego istnieje druga, opierająca się na systemie punktów emerytalnych, która w zależności od wysokości płaconych składek pozwala osiągnąć maksymalnie dodatkowe 3739 € rocznie⁶. Istnieją duże dysproporcje pomiędzy liczbą osób opłacających składki a emerytami. Obecnie tych pierwszych jest 1 259 800, a świadczeniobiorców – 428 840⁷.

Właśnie ze względu na nierównowagę demograficzną oraz niskie dochody **do funkcjonowania systemu nie wystarczają przychody ze składek. 65% jego kosztów musi pokryć dotacja państwowa – w 2009 r. dofinansowanie rolniczych ubezpieczeń z budżetu wyniosło we Francji 32,7 mld euro⁸.**

Za miedzą

Również w Niemczech tradycja ubezpieczeń rolniczych sięga XIX w. Jako jedno z pierwszych państw dostrzegły one zagrożenia zawodowe występujące w gospodarstwach rolnych. Pierwsze akty prawne dotyczące ochrony od następstw wypadku i choroby, obejmujące całą rodzinę rolnika, zostały wydane już w 1886 r. Powstawały wówczas stowarzyszenia rolnicze i leśne, zapewniające ubezpieczenia od wypadków przy pracy.

Ustawę o ubezpieczeniu emerytalnym wprowadzono w 1957 r. Niemcy stały się drugim po Francji krajem, w którym rolnicy uzyskali prawo do emerytury. Warunkiem otrzymania świadczenia było ukończenie 65 lat, opłacanie składek co najmniej do 60. roku życia przez minimum 180 miesięcy oraz przekazanie gospodarstwa następcy. W 1969 r. wprowadzono rentę za oddanie ziemi dla tych rolników, którzy nie mieli następców.

Co ciekawe, była ona wyższa niż renta starcza, jak nazywano to świadczenie przed wprowadzeniem określenia „emerytura”. Do ubezpieczenia wypadkowego i na starość, dodano w 1972 r. ubezpieczenie chorobowe. W 1995 r. do Kodeksu Socjalnego dopisano Ustawę o ubezpieczeniu pielęgnacyjnym, czyli świadczenia w postaci usług pielęgnacyjnych i opieki stacjonarnej.

Zabezpieczenie społeczne rolników w Niemczech składa się zatem z czterech części: ubezpieczenia od wypadków przy pracy, emerytalnego, na wypadek choroby oraz pielęgnacyjnego. Są one na poziomie regionalnym zorganizowane w samorządowe korporacje, które na szczeblu krajowym tworzą Główny Związek Rolniczy Ubezpieczenia Społecznego (Spitzenverband der landwirtschaftlichen Sozialversicherung, LSV-SPV). Członkowie danej kasy wybierają przedstawicieli w tajnym głosowaniu. Reprezentanci decydują np. o powierzchni gospodarstwa rolnego, poniżej której użytkownik jest zwolniony z płacenia składki emerytalnej.

Obok ustawowych uregulowań ubezpieczenia rentowego istnieje w rolnictwie dodatkowe zaopatrzenie – Zusatzversorgung für Arbeitnehmer in der Land- und Forstwirtschaft (ZLA/ZLF). Oparte jest na umowach zbiorowych, a obowiązuje w starych landach federalnych (dawne RFN) i w Turynii. Zastrzeżone jest ono dla pracowników leśnictwa i rolnictwa.

Obecnie obowiązek opłacania składek ciąży na każdym rolniku indywidualnym. Jeśli gospodarstwo jest prowadzone przez małżeństwo, wówczas składki opłaca tylko jeden z partnerów. Składka dla każdego ubezpieczonego jest w Niemczech jednakowa, lecz rolnicy otrzymują dopłaty do składek w zależności od sytuacji dochodowej – nawet do 80% kwoty składki. Po 15 latach płacenia składek każdy kolejny rok zwiększa przyszłe świadczenie emerytalne o 1%. Warunkiem uzyskania prawa do emerytury jest skończenie 65 lat (wiek ten będzie systematycznie podnoszony do 67 lat) i co najmniej 180-miesięczny (15-letni) okres składkowy. Niekorzystna struktura demograficzna wsi sprawia, że obecnie na 256 tys. opłacających składki

Tab. 3. Wydatki na ubezpieczenia społeczne rolników w Niemczech finansowane ze składek i budżetu państwa

Wydatki na świadczenia społeczne dla rolników			
Rodzaj ubezpieczenia	Wydatki ogółem (mln €)	W tym z funduszy federalnych (mln €)	% dofinansowania państwowego
wypadkowe	860	300	35%
emerytalne	2922	2280	78%
zdrowotne	2499	1250	50%
dodatkowe	43	26	60%
Suma	6340	3877	61%

Źródło: opracowanie własne na podstawie „Soziale Sicherheit in der Landwirtschaft”, październik 2010.



©©© samzie2006, flickr.com/photos/samzie/364536823/

emerytalne przypadają aż 622 tys. świadczeniobiorców⁹. Niemiecki system zabezpieczenia społecznego rolników wymaga dużego dofinansowania ze strony państwa (tab. 3).

Średnia składka na ubezpieczenie emerytalne rolników wynosiła w 2010 r. 212 € dla landów zachodnich i 179 € dla wschodnich (b. NRD).

Na północy

Finlandia uznawana jest za najbardziej rolniczy kraj Unii Europejskiej, ponieważ według danych OECD populacja rolnicza stanowi tam aż 45% mieszkańców. Przyczyną tego stanu rzeczy jest fakt, że fiński system był w stanie zapewnić edukację i zabezpieczenie zdrowotne na najwyższym poziomie nawet w przypadku najodleglejszych obszarów wiejskich¹⁰. Jednak z rolnictwa lub leśnictwa utrzymuje się obecnie mniejszość ludności prowincji. Obszary wiejskie stały się raczej miejscem konsumpcji, rekreacji i wypoczynku niż produkcji, a często stanowią tylko „sypialnię” dla pracujących w mieście.

Jeszcze w roku 1960 istniał w Finlandii powszechny system emerytalny, opierający się na rentach państwowych, przyznawanych wszystkim na jednakowych zasadach. W 1962 r. wprowadzono system rent pracowniczych, opartych na składkach, a w 1970 r. wyodrębniono system rentowy farmerów. Na przełomie lat 60. i 70. Finlandia borykała się z nadprodukcją w rolnictwie i problemem ze zbytem nadwyżek na rynkach zagranicznych. Jednocześnie gospodarstwa rolne były niewielkie, a w populacji rolniczej dominowali ludzie

starsi. Restrukturyzacji i „odmłodzenia” wsi próbowano dokonać za pomocą dwóch ustaw: W sprawie zamykania farm i Renta związana z wymianą pokoleń.

Pierwsza umożliwiała otrzymanie dodatkowej renty za oddanie ziemi bliskiemu sąsiadowi lub jej zalesienie. Druga natomiast przyznawała świadczenia rolnikom decydującym się na sprzedaż ziemi bliskim krewnym przed osiągnięciem wieku emerytalnego, tj. przed 65. rokiem życia. Do tej pory głównym przedmiotem działań jest zwiększanie średniej powierzchni gospodarstw kosztem drobnych oraz obniżanie średniego wieku ludności rolniczej.

Celem fińskiej polityki społecznej jest zapewnienie wszystkim obywatelom minimum socjalnego oraz dodatku zależnego od osiągniętych dochodów. Dlatego system emerytalno-rentowy rolników opiera się na dwóch filarach. Pierwszy, bazowy system podlega Krajowej Instytucji Ubezpieczenia Społecznego (Kansaneläkelaitos, Kela) i gwarantuje minimalną emeryturę wszystkim obywatelom. W ramach Kela otrzymać też można świadczenia chorobowe, rodzinne, dla bezrobotnych i inne. W przypadku rolników system ubezpieczeń w ramach II filaru istnieje od 1970 r. i jest obsługiwany przez Instytucję Ubezpieczenia Społecznego Rolników (Maatalousyrittäjien eläkelaitos, Mela). Obejmuje farmerów, rybaków i właścicieli reniferów, a także członków ich rodzin. Obowiązek przynależności do systemu i opłacania składek ustalono dla osób, które ukończyły 18 lat. Od 2009 r. Mela zapewnia również zabezpieczenie społeczne artystom i pracownikom naukowym, którzy otrzymali dotację lub stypendium.

Prawo do emerytury rolniczej nie wyklucza otrzymywania renty pracowniczej, ponieważ wielu rolników w okresie aktywności zawodowej wykonywało też działalność pozarolniczą. **Ważną cechą fińskiego systemu jest wdrażanie rozwiązań w drodze trójstronnych negocjacji pomiędzy pracodawcami, związkami zawodowymi i rządem.** Pozwala to na uzyskanie szerokiej aprobaty dla wprowadzanych zmian.

Emerytura i inne świadczenia na rzecz farmerów są takie same, jak w systemie pracowniczym. Wiek emerytalny jest elastyczny i kształtuje się pomiędzy 62 a 68 lat. Wysokość emerytury zależy od czasu, przez jaki przynależało się do systemu. Każdy rok zatrudnienia powoduje wzrost świadczenia o 1,5% średniej zarobków przez całe życie danej osoby, tj. pełen 40-letni okres składkowy daje emeryturę w wysokości 60% średniej zarobków. Dochód w ramach emerytury rolników w 2011 r. nie może być niższy niż 3448,34 € rocznie (287,36 €/miesiąc)¹¹, przy czym średnia emerytura rolnika w 2006 r. kształtowała się na poziomie 748 €/miesiąc¹².

Wysokość składki zależy od wieku i dochodu ubezpieczonego. W 2011 r. dla osób przed 53. rokiem życia wynosiła 10,6% dla osiągniętych poniżej 24 160,65 € rocznie. Powyżej tego progu poziom składki stopniowo

wzrasta, by osiągnąć 21,6% dla zarabiających od 37966,79 €/rok. Wyższe składki są pobierane od osób starszych niż 53 lata. Ich składka wynosi od 11,22 do 22,9%. Średni poziom składek w 2011 r. jest szacowany na 11,3%¹³. Dochody rolników, od których naliczana jest składka, są określone na podstawie posiadanej powierzchni upraw rolnych i obszarów leśnych. Natomiast dochody rybaków i hodowców reniferów - na podstawie ich czasu pracy i zarobków, a w przypadku hodowców reniferów również liczby zwierząt.

Ubezpieczonych rolników jest w Finlandii 84 tys., natomiast osób otrzymujących świadczenia z systemu - 162 tys.¹⁴ **Składki nie wystarczają do samofinansowania systemu, pokrywają bowiem 27% wydatków, a pozostałe 73% jest dotowane przez państwo¹⁵.**

Co z tego wynika?

Przyglądając się rozwiązaniom z innych państw, można wyciągnąć kilka wniosków dotyczących Polski. We wszystkich analizowanych krajach stworzono odrębne systemy zabezpieczenia emerytalnego rolników. Jest to decyzja słuszna - istnienie jakiejś formy oddzielnego systemu dla tej grupy uzasadniają specyficzne uwarunkowania zawodowe. Dochody rolników są niepewne i zależą od wielu czynników, nie tylko

Tab. 4. Porównanie systemów zabezpieczenia społecznego rolników w wybranych krajach europejskich

	Polska	Francja	Niemcy	Finlandia
Historia	Pierwsze rozwiązania dla rolników - 1977 r., obecny system od 1991 r.	Pierwsze rozwiązania już w XIX w., obecny system od 1945 r.	Ubezpieczenie wypadkowe - 1886 r., emerytalne - 1957 r., zdrowotne - 1972 r., pielęgnacyjne - 1995 r.	Od 1970 r.
Struktura	KRUS - instytucja państwowa	MSA - system zarządzany w sposób demokratyczny i zdecentralizowany	LSV-SpV, 9 samorządowych korporacji na poziomie regionalnym	Mela - system sprywatyzowany, ale państwo posiada duże uprawnienia kontrolne
Zakres podmiotowy	Rolnicy indywidualni i ich rodziny	Rolnicy indywidualni, pracownicy w rolnictwie i ich rodziny	Rolnicy indywidualni, leśnicy i ich rodziny	Rolnicy indywidualni, leśnicy, rybacy, właściciele reniferów wraz z rodzinami, artyści i pracownicy naukowcy, którzy otrzymali dotację lub stypendium
Rodzaje świadczeń	W razie wypadków przy pracy i choroby zawodowej, zdrowotne, rodzinne, emerytury i renty	W razie wypadków przy pracy i choroby zawodowej, zdrowotne, rodzinne, emerytury i renty	W razie wypadków przy pracy i choroby zawodowej, zdrowotne, emerytury i renty	W razie wypadków przy pracy i choroby zawodowej, rodzinne, emerytury i renty
Wiek emerytalny	Kobiety 60, mężczyźni 65	Od 2018 r. - 62 lata i pełen okres składkowy lub 67 lat	65, docelowo 67	62-68
Liczba ubezpieczonych/beneficjentów (% populacji kraju)	1 180 000 (3,5%)/1 440 000 (3,7%)	1 260 000 (2%)/4 288 840 (6,8%)	Emerytalne: 265 000 (0,3%)/622 000 (0,8%)	84 000 (1,57%)/162 000 (3%)
Dofinansowanie (dotacja państwa)	67% (w tym 92% do emerytur)	65%	61% (w tym 78% do emerytur)	73%

Źródło: opracowanie własne.

rynkowych, ale także np. od pogody. W przypadku likwidacji KRUS wielu rolników trzeba by skierować do systemu opieki społecznej, ponieważ nie będą w stanie sami zaspokoić podstawowych potrzeb. Wynika to z faktu, że zaledwie 7% z 2 mln polskich gospodarstw rolnych ma powierzchnię przekraczającą 20 ha. Przeważają małe, niewydajne gospodarstwa, nastawione na samozatrudnienie.

Wiele osób postrzega ubezpieczenia dla rolników jako niesprawiedliwe wobec uczestników systemu powszechnego. Obecny system jest jednak niekorzystny zarówno dla finansów publicznych, jak dla rolników, których przywileje są wątpliwe. Emerytura rolnicza wynosi zaledwie 706,29 zł. Od 2008 r. zmienił się sposób naliczania składek, które uzależniono od wielkości gospodarstwa, lecz mimo to rolnicy otrzymują minimalne emerytury bez względu na ich wysokość.

System powinien zostać uszczelniony. Nie powinien móc z niego korzystać osoby, które nabyły ziemię jedynie w celu ucieczki przed ZUS i OFE. Składki do ZUS powinny obowiązywać również osoby, dla których praca w rolnictwie jest dodatkowym źródłem przychodu. Dobrym rozwiązaniem mogłoby być zróżnicowanie wysokości składek wedle uzyskiwanych dochodów, przy jednoczesnym powiązaniu z nimi wysokości przyszłych emerytur. Obecnie właściciel 300-hektarowego gospodarstwa z maszynami za kilka milionów płaci składkę równą ¼ składki pracownika Biedronki. Można wydzielić osobną kasę dla wspomnianych 7% największych gospodarstw. Inną ewentualnością jest stworzenie indywidualnych kont emerytalnych. Rolnicy chętniej będą płacić więcej, jeśli w efekcie wzrośnie ich przyszłe świadczenie.

Można także wprowadzić stopniowanie składek rolników zarabiających również poza rolnictwem. Jeśli rolnik nadal byłby ubezpieczony w KRUS, ale osiągał dochody zbliżone do dochodów osób prowadzących działalność gospodarczą, płaciłby składki takie, jak ubezpieczeni w ZUS, tyle że na rzecz ubezpieczalni rolniczej.

Nie można zmienić systemu ubezpieczeń rolniczych w oderwaniu od realiów polskiej wsi. Reforma nie może ograniczać się wyłącznie do instytucji KRUS. Konieczne jest m.in. ułatwienie młodzieży z rodzin rolniczych dostępu do dobrej edukacji. Dzisiaj, z powodu niskiego poziomu szkół średnich w małych miejscowościach, ich absolwenci mają mniejsze szanse na bezpłatne studia na uczelniach publicznych. Młodzież wiejska trafia najczęściej do płatnych szkół wyższych o niskiej jakości nauczania, które nie zwiększają istotnie jej szans na pracę poza rolnictwem. Ponadto, dla zwiększenia dostępu do przyzwoitej edukacji na poziomie średnim niezbędna jest lepsza komunikacja zbiorowa. Należy zatem równolegle przeprowadzać reformę infrastruktury transportowej, na czym skorzystają nie

tylko uczniowie – dziś wielu rolników nie szuka pracy w mieście, ponieważ po prostu nie może tam dojechać. Zmiana struktury wsi wymaga też odpowiedzialnej polityki rynku pracy. W przeciwnym wypadku rzesze rolników szukające zatrudnienia w mieście nie znajdą go lub będą pracować na czarno.

Potrzebna jest zatem publiczna dyskusja o kierunkach i zasadach reform w systemie ubezpieczeń społecznych rolników, tak aby dokonując zmian pamiętać zarówno o finansach państwa, jak i o bezpieczeństwie socjalnym wszystkich obywateli. Należy przeprowadzić pogłębione badania nad dochodami rolników, łącznie z wyliczeniem wartości ich pracy. To przyczyniłoby się m.in. do wykrycia ogromnego rynku pracy na czarno. Układając plany reformy systemu, nie można stracić z oczu najważniejszego celu – ekonomicznej i socjalnej ochrony społeczności rolniczej.

JANINA PETELCZYC

Przypisy:

1. Zestawienie podstawowych wysokości świadczeń z ubezpieczenia społecznego rolników, <http://www.KRUS.gov.pl/zadania-KRUS/swiadczenia/kwoty-swiadczen/>, 20.03.2011 r.
2. KRUS w liczbach, <http://www.KRUS.gov.pl/KRUS/KRUS-w-liczbach/>, 21.03.2011 r.
3. Renty strukturalne – warunki, <http://dopłaty-unijne.eu/dotacje-dla-rolnikow/renty-strukturalne-warunki.html>, 03.05.2011 r.
4. Poza omawianymi w artykule, wśród krajów unijnych osobne systemy ubezpieczeniowe dla rolników posiadają także Austria i Grecja; wszystkie sześć krajów wchodzi w skład ENASP – Europejskiej Sieci Rolniczych Systemów Zabezpieczenia Społecznego.
5. Ryzykiem socjalnym jest niebezpieczeństwo wystąpienia w przyszłości zdarzenia niepewnego, przynoszącego straty i niezależnego od człowieka (J. Jończyk).
6. Calculer la retraite d'un agriculteur, <http://www.linternaute.com/argent/epargne/calculer-sa-retraite/agriculteur.shtml>, 28.03.2011 r.
7. <http://www.msa.fr/>, 28.03.2011 r.
8. Ministère de l'Agriculture, de l'Alimentation, de la Pêche, de la Ruralité et de l'Aménagement du territoire, <http://agriculture.gouv.fr/>, 28.03.2011 r.
9. Auf einen Blick, „Soziale Sicherheit in der Landwirtschaft”, październik 2010, http://www.lsv.de/spv/02_lsv/statistiken/aufeneinblick_2010.pdf, s. 5, 02.04.2011 r.
10. Międzynarodowe badania PISA wskazują, że poziom wykształcenia fińskich uczniów ze wsi jest niemal tak wysoki jak tych z miast, a przeważnie wyższy od uczniów ze wsi i miast innych państw OECD.
11. The farmer's insurance, <http://www.etk.fi/Page.aspx?Section=41877>, 3.04.2011 r.
12. Finland's response to questionnaire on social protection of older persons, <http://www.ohchr.org/Documents/Issues/EPoverty/older/Finland.pdf>, 03.04.2011 r.
13. The farmer's...
14. Insured wellbeing from Mela, http://www.mela.fi/Esitteet/Insured_wellbeing_from_Mela.pdf, 03.04.2011 r.
15. Pension expenditure by pensions act and mode of financing, <http://www.mela.fi>, 03.04.2011 r.

OFERTA

JAROSŁAW TOMASIEWICZ

Gdy przed laty zmieniałem pracę, przenosząc się ze szkoły podstawowej do liceum, kierowały mną bardzo prozaiczne pobudki. Otóż obliczyłem sobie, że w ciągu kilku lat na skutek malejącej liczby klas w podstawówce zabraknie godzin na etat dla historyka. Dlatego nie potrafię wyjść ze zdumienia postawą „eksper-tów”, którzy dopiero niedawno zauważyli, że Polsce nie tyle grozi, co już trwa w niej zapaść demograficzna. Naprawdę nie dało się tego wcześniej przewidzieć i podjąć kroków zaradczych?

Dało się. Ale to była pieśń przyszłości – dopóki kryzys demograficzny nie uderzył bezpośrednio w Święte Świętych, czyli w równowagę budżetową. Podejmuje się więc teraz gorączkowe działania, mające doraźnie uratować sytuację: podwyższa się wiek przejścia na emeryturę (łamiąc przy tym bez skrępułów rzymską zasadę *lex retro non agit*), reformuje się system ubezpieczeń społecznych.

Z tym ostatnim akurat trudno się nie zgodzić: konstrukcja OFE to jeden z największych skandali transformacji. Obywatele zostali przez państwo opodatkowani na rzecz prywatnych korporacji, które do niczego nie są zobowiązane. Gdyby operując moimi pieniędzmi wypracowywały zysk, którym dzielilibyśmy się – uznałbym to za uczciwe. Ale z mojej składki najpierw potrącana jest prowizja – za nic, za łaskę pobierania moich pieniędzy! – a zysk może będzie, a może nie. Tym niemniej desperackie ruchy rządu Tuska to tylko półśrodki, tymczasem potrzebny jest plan globalny.

Pozwolę sobie takowy zaproponować. Niestety zgodzić się musimy, że zasada solidarności międzypokoleniowej – ów fundament *welfare state* – jest nie do utrzymania w warunkach zapaści demograficznej. Zarazem jednak system kont indywidualnych, w którym każdy sobie rzepkę skrobie, w praktyce spycha znaczną część emerytów w nędzę, zgodnie z duchem wilczego neoliberalizmu.

Uważam, że system emerytalny powinien z jednej strony zapewnić możliwość godnej egzystencji emerytom, z drugiej jednak – sprzyjać polityce pronatalistycznej, bez której niemożliwe jest odbudowanie państwa opiekuńczego. Te dwa cele można pogodzić na zasadzie „indywidualizowanej solidarności międzypokoleniowej”, która zerwałaby z charakterystycznym dla obecnego systemu premiowaniem egoizmu.

Mówiąc najprościej: emerytura składałaby się z dwóch lub trzech części – pierwszą gwarantowałoby państwo na poziomie minimum socjalnego, druga tworzona byłaby ze składek płaconych przez dzieci konkretnego emeryty; ewentualna trzecia to konto indywidualne. Dzięki temu im więcej emeryt miałby dzieci i im wyższe byłyby ich zarobki, tym wyższa byłaby jego emerytura. Nie tylko sprzyjałoby to wzrostowi liczby urodzin, ale też skłaniałoby rodziców do dbałości o wykształcenie i właściwe wychowanie potomstwa. A dzieci, rzecz można, zwracałyby po latach rodzicielom koszty swego utrzymania.

Oczywiście to tylko ogólna idea, dopracowania wymagają różne kwestie szczegółowe, np. rekompensaty dla osób bezpłodnych czy ludzi, którzy utracili dzieci. Wątpliwości może też budzić pośrednictwo państwa przy przekazywaniu pieniędzy. Wydaje się ono jednak być niezbędne ze względu na – spojrzmy prawdzie w oczy – osłabienie więzi rodzinnych. **Ideąlem byłaby sytuacja, w której ludzie pomagają sobie nawzajem z dobrej woli, nie wyręczając się państwem – dziś niestety to utopia.**

Inny problem to podwyższanie wieku emerytalnego. Jest to uzasadnione o tyle, że wydłużyła się średnia długość życia. Ale zarazem zmuszanie ludzi do pracowania wciąż i wciąż dłużej wydaje się niehumanitarne – człowiek powinien mieć prawo do odpoczynku jeszcze zanim zupełnie zniedołężnieje. Rozwiązaniem mógłby być system, w którym osoba osiągająca wiek dotychczas uprawniający do emerytury, przechodziłaby na nią połowicznie: otrzymywałaby połowę świadczenia, pracując zarazem na pół etatu. Byłoby to swoiste „miękkie lądowanie”, zapewniające ludziom w podeszłym wieku możliwość aktywności zawodowej i dzielenia się doświadczeniem z młodszymi, ale jednak nie wyciskające z nich ostatka sił.

Pozostaję pesymistą w kwestii możliwości zrealizowania tych propozycji. Jakakolwiek polityka pronatalistyczna może przynieść pierwsze pozytywne skutki dla gospodarki najwcześniej po dwudziestu latach – a to dla polityków perspektywa równie abstrakcyjna jak epoki geologiczne. W końcu, jak wiadomo: „Po nas choćby potop”.

JAROSŁAW TOMASIEWICZ

CCS – Chyba Coś Super?

ALEKSANDRA LIS



CCS to trzy litery, za którymi kryje się wielka ekonomiczna, społeczna i ekologiczna niewiadoma. Zastrzeżenie za kulisy finansowania tej technologii pozwala zrozumieć, kto wyznacza kierunki rozwoju Unii Europejskiej.

Mowa o nowoczesnej technologii wychwytywania i składowania dwutlenku węgla (ang. Carbon Capture and Storage), emitowanego głównie przez elektrownie. W Europie istnieje już 16 pilotażowych instalacji CCS, ale nadal nie wiadomo, czy technologia ta przyjmie się na skalę przemysłową. Bełchatowski projekt CCS, przygotowywany przez Polską Grupę Energetyczną (PGE) oraz francuski koncern Alstom, ma być jej kolejnym testem. Zakłada wychwytywanie ok. 1,8 mln ton CO₂ rocznie ze spalin najnowszego bloku energetycznego bełchatowskiej elektrowni. Ten gaz ma następnie znaleźć miejsce „wiecznego spoczynku” w pokładach solankowych, położonych poniżej 1000 m pod ziemią.

Gdyby polskich obywateli poprosić o opinię na temat CCS, większość z nich nie miałaby żadnej, ponieważ nigdy o tej technologii nie słyszała. W mediach brak jakiegokolwiek debaty na jej temat. Jednak od 2009 r. także w Polsce odbywają się coraz liczniejsze konferencje poświęcone CCS, w dziedzinie którego Unia Europejska miałaby się stać światowym liderem. Choć technologia ta nie od razu podbiła unijne salony negocjacyjne, stopniowo zdobywała przychylność polityków, co pod koniec 2008 r. doprowadziło do ustanowienia mechanizmu finansowania demonstracyjnych projektów CCS – NER300. Wielkim zwolennikiem wychwytywania i podziemnego składowania CO₂ jest

prof. Jerzy Buzek, który ponadto gorąco kibicuje polskiemu udziałowi w rozwijaniu tej technologii. CCS ma wedle entuzjastów stanowić szansę na zmniejszenie emisji gazów cieplarnianych bez potrzeby rezygnacji z węgla w energetyce oraz stać się atrakcyjnym produktem eksportowym.

Obawy...

Brukselski sen o potędze rzadko sni się mieszkańcom terenów potencjalnego składowania CO₂. Dominują raczej obawy o skażenie wód gruntowych substancjami towarzyszącymi pompowanemu pod ziemię dwutlenkowi, o możliwość jego niekontrolowanego wycieku oraz o spadek wartości gruntów w okolicach składowisk. CCS wkracza do woj. łódzkiego jako potencjalne zagrożenie dla inwestycji w geotermię, od lat propagowanej przez lokalną organizację, Centrum Zrównoważonego Rozwoju. Nikogo też nie cieszy wysoki koszt inwestycji, który przełoży się na wzrost cen prądu. Obawy łagodzi nieco wizja korzyści finansowych dla gmin składujących CO₂, na razie nie wiadomo jednak, o jakich kwotach mowa.

PGE wraz z Państwowym Instytutem Geologicznym, głównym partnerem naukowym przedsięwzięcia, starają się rozwiewać wątpliwości, rozdając kolorowe ulotki na spotkaniach informacyjnych. Jednak mimo uspokajających zapewnień, mieszkańcy Pabianic

i Lutomierska w kwietniu i maju 2010 r. ostro protestowali przeciwko pracom Geofizyki Toruń, wykonującej odwierty badawcze na zlecenie PGE. Nie chcieli wpuścić pracowników na swoje działki, a na płotach wywieszali transparenty z napisem „Precz z CO₂” lub „CO₂ to drugi Czarnobyl”.

Obawom towarzyszy zasadnicze pytanie: po co nam ten projekt? Kto wymyślił CCS i dlaczego PGE spośród dziesiątek innowacyjnych projektów technologicznych wybrała właśnie ten?

...i nadzieje

Technologia zatłaczania CO₂ od lat wykorzystywana jest w przemyśle wydobywczym jako EOR (Enhanced Oil Recovery), czyli intensyfikacja wydobywania ropy naftowej. Gdy eksploatowane złoża jest prawie puste, pompuje się sprężony gaz, który wypycha resztki ropy na powierzchnię. Jednak metoda ta nie zakłada trwałego więzienia CO₂ w strukturach geologicznych. Uzasadnieniem dla rozpoczęcia prac nad technologią, która to umożliwi, była chęć redukcji przemysłowych emisji gazu, oskarżanego o powodowanie zmian klimatu.

Obecnie głównym instrumentem owej redukcji w Unii Europejskiej jest handel uprawnieniami do emisji [więcej o tym w tekście autorki w „Obywatelu” nr 47 - przyp. red.], przy czym nie jest on celem samym w sobie, lecz narzędziem wspomagającym przechodzenie do „gospodarki zeroemisyjnej”. Początkowo, według pomysłu Komisji Europejskiej, europejski rynek dwutlenku węgla (Emission Trading Scheme, ETS) miał być „technologicznie neutralny”. Firmy oraz kraje członkowskie wybierałyby, w które technologie zainwestują w celu uniknięcia wysokich opłat za zakup uprawnień do emisji CO₂. Mogłyby to być wiatraki, fotowoltaika, spalanie biomasy, geotermia, czy też - po wydarzeniach w Japonii znów kontrowersyjna - energetyka jądrowa.

Jednak Dyrektywa 2009/29/WE, ustanawiająca nowe zasady handlu uprawnieniami do emisji po 2012 r., powiązała go m.in. z rozwojem technologii CCS: *Do 300 milionów uprawnień [tj. pozwoleń na emisję łącznie 300 mln ton dwutlenku węgla] z rezerwy dla nowych instalacji jest dostępne do dnia 31 grudnia 2015 r. w celu wsparcia budowy i uruchomienia nie więcej niż 12 komercyjnych projektów demonstracyjnych, których celem jest bezpieczne dla środowiska wychwytywanie i geologiczne składowanie CO₂ (CCS), oraz projektów demonstracyjnych w zakresie innowacyjnych technologii energetyki odnawialnej na terytorium Unii. Uprawnienia zostają udostępnione dla wsparcia projektów demonstracyjnych, przewidujących rozwój szeregu technologii CCS oraz innowacyjnych technologii energetyki odnawialnej, które nie są jeszcze ekonomicznie opłacalne, w równomiernie rozmieszczonych pod względem geograficznym lokalizacjach. Przyznanie uprawnień jest uzależnione od zweryfikowanego zapobiegania emisjom CO₂.*

Dwutlenek na platformie

Pierwsze inicjatywy badawcze w zakresie wychwytywania i składowania (tzw. sekwestracji) CO₂ przewidziano już w Trzecim Europejskim Programie Ramowym z lat 1990-1994. Kolejne unijne programy ramowe coraz intensywniej wspierały projekty CCS. W roku 2005 pojawiły się pierwsze próby usankcjonowania tej technologii jako ważnego narzędzia ochrony klimatu.

Przełomowym momentem było wskazanie na nią przez Międzyrządowy Zespół ds. Zmian Klimatu (IPCC) jako rozwiązanie, które może znacząco przyczynić się do redukcji emisji z przemysłu. W tym samym roku KE powołała platformę technologiczną, mającą na celu rozwój metod sekwestracji dwutlenku węgla - Platformę Zeroemisijną (Zero Emission Platform, ZEP). Rok później Komisja opublikowała „Europejską strategię na rzecz zrównoważonej, konkurencyjnej i bezpiecznej energii”. Zapisano w niej, że CCS jest jedną z istotnych technologii, możliwych do zastosowania w celu redukcji emisji CO₂.

ZEP zrzesza ok. 40 firm, organizacji pozarządowych oraz instytucji badawczych i rządowych. Świat biznesu reprezentują koncerny energetyczne, jak BP, Shell, RWE, E.ON, GDF, Vattenfall, EDF czy Endesa, a od stycznia 2009 r. również PGE oraz Tauron. W 2007 r. Elektrownia Bełchatów, obserwując działalność ZEP jeszcze z zewnątrz, zaczęła pierwsze przymiarki do realizacji własnego projektu CCS. W platformie aktywni są również dostawcy technologii energetycznych, jak Alstom czy Siemens, oraz instytucje naukowe, m.in. IPSE, NTUA czy TNO.

Organizacje pozarządowe zaangażowane w prace ZEP to m.in. norweska Bellona i rodowodem brytyjska E3G (Third Generation Environmentalism). Łątwo docierają do europosłów i skutecznie lobbują na rzecz poszczególnych pomysłów, często narodzonych w firmach typu Shell. Mają też odpowiednie do tego środki. Na stronie internetowej wśród swoich sponsorów E3G wymienia m.in. od lat promujący handel emisjami, amerykański think tank Environmental Defense, Esmée Fairbairn Foundation czy działającą od kilku lat, ale bardzo zamożną European Climate Foundation. Bellona do 2008 r. była finansowana głównie przez Statoil, obecnie trudniej znaleźć informacje o jej sponsorach.

W 2006 r. ZEP wydała swój pierwszy dokument określający strategię dla CCS. W tamtym okresie głównym celem było stworzenie ogólnej wizji rozwoju tej technologii i jej wprowadzania w Europie. Obecnie do tych celów doszło skomercjalizowanie CCS do 2020 r. poprzez unijny program demonstracyjny oraz przyspieszenie badań nad technologiami sekwestracji i ich szerokie rozpowszechnienie po wspomnianej dacie. Z tymi celami wiążą się działania na rzecz ustanowienia nowego mechanizmu technologicznego w ramach kolejnego po Protokole z Kioto międzynarodowego porozumienia klimatycznego. **Mechanizm promowany m.in. przez**

koncern Shell ma tworzyć dla CCS światowy rynek zbytu.

Od słów do... pieniędzy

Gdy na początku 2008 r. KE przedstawiła projekt tzw. pakietu klimatyczno-energetycznego, okazało się, że dyrektywie regulującej zatłaczanie CO₂ pod ziemię nie towarzyszą propozycje finansowania rozwoju CCS. Brytyjski europoseł Chris Davies, główny sprawozdawca dyrektywy, w owym roku stał się również czołowym rzecznikiem utworzenia mechanizmu finansowania projektów demonstracyjnych CCS, które w marcu 2007 r. postanowiła stworzyć Rada Unii Europejskiej. Bez takiego mechanizmu - jak mówił - dyrektywa nie ma sensu.

Jednym z możliwych rozwiązań, zaproponowanym przez organizację ekologiczną WWF, jest zmuszenie europejskich elektrowni do inwestowania w CCS poprzez wprowadzenie dla nich norm poziomu emisji (Emission Performance Standards, EPS). Davies szybko zdobył poparcie Komisji Ochrony Środowiska Naturalnego, Zdrowia Publicznego i Bezpieczeństwa Żywności Parlamentu Europejskiego i EPS zaczęłyby obowiązywać od 2015 r., gdyby Francja, sprawująca wówczas przewodnictwo w UE, nie powiedziała im kategorycznego „nie”. Jedynym rządem, który zdecydowanie popierał ten pomysł, był holenderski.

W 2007 r. ZEP zamówiła raport w Climate Change Capital - brytyjskim banku wspierającym ekologiczne inwestycje. Platforma oczekiwała konkretnych pomysłów i nie zawiodła się. W listopadzie raport był gotowy, a w nim propozycja przeznaczenia kilkuset milionów pozwoleń na emisję, z rezerwy dla nowych instalacji wchodzących do ETS - na potrzeby instalacji CCS. Według mojego rozmówcy, pomysł ten nie pochodził bezpośrednio z Climate Change Capital, lecz z koncernu Shell. Po otrzymaniu raportu kilku najbardziej zmotywowanych członków ZEP (Bellona, Climate Change Capital, Shell, Alstom, E3G i Vattenfall) utworzyło specjalną grupę zadaniową, CCS Leadership Group. Jej celem było przekonanie Parlamentu Europejskiego, Komisji Europejskiej i w końcu Rady UE do mechanizmu finansowania CCS. Najbliższym, a zarazem niezwykle skutecznym współpracownikiem grupy stał się właśnie Davies. Propozycja Shella/Climate Change Capital stała się więc drugim rozwiązaniem promowanym przez niego w 2008 r.

Mimo że Davies był sprawozdawcą Dyrektywy CCS, zaproponował mechanizm finansowania CCS jako poprawkę do Dyrektywy ETS, nowelizującej dyrektywę o handlu emisjami z 2003 r. Mając poparcie głównej sprawozdawczynie Dyrektywy ETS, irlandzkiej europosłanki Avril Doyle, udał się 7 października do Komisji Ochrony Środowiska PE na głosowanie nad poprawkami zgłoszonymi do owego aktu. Wynik był trudny do przewidzenia. Noc przed głosowaniem, według moich

rozmówców z europejskich organizacji ekologicznych, to noc „linczu na Doyle”, której „zielone” poglądy były nie do przełknięcia dla wielu jej kolegów z Europejskiej Partii Ludowej. Najwięcej przeciwników miała wśród niemieckich europosłów, którzy starali się ratować rodzimy przemysł przed wysokimi kosztami rozwiązań popieranych przez Irlandkę. Przedstawiciel Bellony, obserwujący wspomniane głosowanie z boku, wspomina, że nie spodziewał się niekorzystnego obrotu sprawy. Co prawda proponowany mechanizm nie miał zbyt wielu zwolenników, ale też nie miał w Komisji zawziętych przeciwników. Wynik głosowania nad tzw. poprawką kompromisową był jednak zaskoczeniem: 33:33 i jedna osoba wstrzymująca się od głosu. Poprawka nie została przyjęta, niemal półroczna praca grupy – zmarnowana, tymczasem Komisja Ochrony Środowiska miała być tylko pierwszym, łatwym krokiem na drodze do ustanowienia mechanizmu finansowania projektów CCS.

Jednak procedura nie została całkiem zakończona. Po rozpatrzeniu poprawek kompromisowych nadzedł czas na poprawki pierwotne. W przypadku mechanizmu finansowego obie poprawki proponowane przez Daviesa były praktycznie takie same, ale szansa na przejście pierwotnej jest zazwyczaj mniejsza. Podczas głosowania nie prowadzi się dyskusji, lecz Brytyczyk poprosił o możliwość zabrania głosu w sprawie porządku obrad. Wstał i powiedział: *Wiem, że wielu moich kolegów z nowych krajów członkowskich obawia się, iż zmniejszenie rezerwy dla nowych instalacji przez przeznaczenie kilkuset milionów pozwoleń na inwestycje w CCS będzie dla nich niekorzystne. Chciałbym jednak zapewnić, że podczas negocjacji z Radą Unii Europejskiej udowodnimy, że tak się nie stanie.* Przewodniczący Komisji zganił europosła za złamanie regulaminu i ogłosił przejście do głosowania. Wynik: dwie trzecie

za poprawką. Mechanizm finansowy CCS został wprowadzony do Dyrektywy ETS poprawką Komisji Ochrony Środowiska PE.

Następnym bastionem do zdobycia była Komisja Europejska. Tu największy opór napotkano w Dyrekcji Generalnej ds. Środowiska. Komisarz Stavros Dimas zdecydowanie sprzeciwił się idei, by system handlu emisjami współfinansował technologię, dzięki której węgiel będzie można spalać przez kolejne setki lat, podczas gdy istnieje tyle różnych alternatyw. Natomiast w Dyrekcji Generalnej ds. Energii i Transportu pomysł się spodobał, nie było jednak woli bezpośredniego lobbowania za nim.

W Radzie UE nikt oprócz Brytyjczyków i Holendrów nie był specjalnie zainteresowany kwestią finansowania CCS. Davies zaczął więc od przekonywania osób, które byłyby w stanie wywrzeć wpływ na innych uczestników negocjacji. Taką osobą był Mogens Peter Carl, były szef Dyrekcji ds. Środowiska, a w drugiej połowie 2008 r. doradca Prezydencji Francuskiej w Radzie UE ws. pakietu klimatyczno-energetycznego. Dzięki niemu pozyskano ważnego sojusznika – Francję. Jednak francuscy negocjatorzy nie mieli ochoty prezentować pomysłu, który natychmiast zostałby odrzucony, a wszystko na to wskazywało.

Pod koniec października KE przysłała z pomocą. Daviesowi i CCS Leadership Group udało się ją namówić, żeby dała wyraźny sygnał poparcia dla tzw. poprawki Doyle-Daviesa. 10 listopada 2008 r. Komisarz ds. Energii, Andris Piebalgs, w przemówieniu na forum ZEP zapowiedział, że jeśli proponowany mechanizm nie zakłóci funkcjonowania ETS, Komisja Europejska udzieli mu wsparcia. W tym czasie Chris Davies podjął wysiłek promowania mechanizmu w Madrycie, Paryżu, Berlinie i Warszawie – stolicach krajów, w których węgiel ma nadal znaczący udział w produkcji energii



©© Vattenfall, flickr.com/photos/vattenfall/3581059315/



©© The Department of Energy and Climate Change, flickr.com/photos/deccgovuk/5351836208/

elektrycznej. Powtarzał tam jedno fundamentalne pytanie, na które praktycznie nikt nie potrafił odpowiedzieć: „Jaka jest alternatywa wobec naszej propozycji finansowania CCS?”.

Davies wspomina nasz kraj jako najgorszego rozmówcę: *Polska dostanie pieniądze na projekt demonstracyjny, ale ministrowie w kółko powtarzali „nie” na moją propozycję. To były najtrudniejsze, najbardziej bezproduktywne spotkania. Pytaliśmy ich – skąd weźmiecie pieniądze? A oni wymyślali różne bezsensowne odpowiedzi, np. ze Wspólnej Polityki Rolnej, z Dyrekcji ds. Badań i Rozwoju. Odpowiadałem: dobrze, ale tam są tylko miliony euro, a nam potrzebne są miliardy na sfinansowanie tych inwestycji. To nie miało absolutnie żadnego sensu, zwłaszcza, że oni chcieli mieć w Polsce swój projekt CCS.*

Hiszpania stanowczo domagała się objęcia takim samym mechanizmem finansowania technologii z dziedziny energetyki odnawialnej – co w końcu zostało przyjęte przez Radę. Davies wspomina, że zarówno Czesi, jak i Niemcy byli przychylni jego pomysłowi, przynajmniej do czasu: *Z Niemcami dobrze się rozmawiało w ich biurach, ale potem w Radzie Unii Europejskiej zmieniali zdanie i byli przeciwni.* W końcu nadszedł grudzień i szczyt Rady UE, na którym miały zapadnąć ostateczne decyzje w sprawie pakietu klimatyczno-energetycznego. Nadszedł też czas, gdy prawie roczna praca Daviesa oraz całej CCS Leadership Group miała zaowocować konkretnym przepisem w prawie UE. Francuscy negocjatorzy rzucili na stół 200 mln „wolnych” pozwoleń na emisję pod przyszłe finansowanie demonstracyjnych projektów CCS oraz innowacyjnych technologii energetyki odnawialnej.

Nie była to kwota, o którą walczyli Davies i spółka: zdecydowanie za mało, żeby sfinansować 12 projektów demonstracyjnych. Pod koniec obrad Sarkozy wyszedł z sali, by wziąć udział w konferencji prasowej. Wtedy padła propozycja przeznaczenia na wspomniane dwa cele 300 mln pozwoleń z rezerwy dla nowych instalacji. Mechanizm nazwano NER300.

Kto definiuje polską modernizację?

Zerkanie za kulisy pozwala poznać mechanizmy, które zazwyczaj pozostają dla nas ukryte. Kto w Unii ustala, jak będą się modernizować europejskie społeczeństwa? Jak to się dzieje, że państwo takie jak Polska – o znacznym dorobku w dziedzinie nowoczesnych metod zgazowania węgla oraz o wielkich zasobach wód termalnych – zaczyna inwestować w rozwój technologii, której produktem końcowym jest składowisko dwutlenku węgla pod ziemią? Czy jest to technologia przyszłości? Raczej nie, bo składowiska nie da się przerobić na towar, a zgazowany węgiel – tak. A rozwój w dzisiejszym kapitalistycznym świecie polega na kolonizacji coraz to nowych obszarów i tworzeniu z nich towarów.

Opowieści Chrisa Daviesa oraz moich pozostałych rozmówców słuchałam z lekkim niedowierzaniem – przede wszystkim dlatego, że otwarcie i z dumą dzielili

się informacjami o działalności lobbującej. Czy to nie niepokojące, że mała grupa osób powiązanych z wielkimi firmami, takimi jak Shell, Alstom czy Vattenfall, skutecznie lobbuje w Brukseli za przekierowaniem miliardów euro na projekty, które następnie będą przez nie realizowane? Dlaczego państwa unijne podczas głosowania w Radzie UE faktycznie sankcjonują interesy wielkiego biznesu?

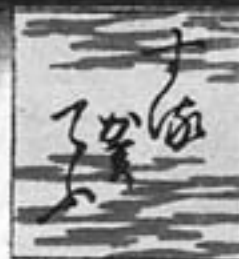
Mój rozmówca nie miał takich rozterek. Myślę, że kierowała nim szczerza wiara w konieczność ochrony klimatu oraz pewność przyszłych zysków Europy ze sprzedaży technologii CCS w innych częściach świata. Czy brak tej wiary i pewności to główne różnice pomiędzy rządami „starej Europy”, promującej CCS, a Polską? Czy brak kapitału oraz mechanizmów gwarantujących naszemu krajowi udział w zyskach z promowania tej technologii na innych kontynentach skazały rząd na bierność w czasie negocjacji?

Nie tylko Chris Davies, ale również inny rozmówca, wysoki urzędnik Dyrekcji ds. Środowiska, wspominał, że zainteresowanie polskiego rządu Dyrektywą CCS oraz mechanizmem finansowania tej technologii było znikome. Tymczasem wydawałoby się, że obie sprawy powinny mieć dla Polski wielkie znaczenie – zważywszy, że w 2008 r. bardzo mocno walczyła ona o miejsce węgla w „zeroemisyjnej Europie przyszłości”. Nastawienie do CCS zmieniło się u nas po uchwaleniu mechanizmu finansowania. Polska zaczęła aktywniej uczestniczyć w pracach toczących się wokół CCS w Komisji Europejskiej. Bełchatowski projekt został wraz z pięcioma innymi zakwalifikowany do otrzymania dotacji w kwocie 180 mln euro. Umowa dotacji pomiędzy Elektrownią Bełchatów i Komisją Europejską została podpisana 5 maja 2010 r. W lutym 2011 r. Elektrownia Bełchatów złożyła kolejny wniosek o dofinansowanie.

Dlaczego tak niewiele mówi się o tym projekcie? Może dlatego, że rząd nie ma ochoty przyznać się, iż rozwijamy CCS, ponieważ bierzemy się za to, co podaje się nam w Brukseli na talerzu – choć i w takiej sytuacji potrzebny jest nam „Dżerzi” Buzek, żeby ten talerz odszukał i podsunął pod sam nos. Rząd mógłby być również zmuszony powiedzieć obywatelom, że w Brukseli ustala się technologiczną przyszłość Europy bez naszego większego udziału, a nawet bez większego zainteresowania przedstawicieli naszego rządu tymi tematami. Łatwo jest nas przy tym do różnych rzeczy przekonać, bo sami nie potrafimy przekonywać Europy do technologii, które od lat są w Polsce rozwijane. Nie potrafimy też generować mechanizmów zmieniających wysiłki polskich naukowców w chodliwe towary oraz podczepiać ich pod wielkie ideologie. Rząd musiałby potwierdzić, że to nie polskie państwo definiuje polską modernizację, choć bezpośrednio do niej dopłaca.

ALEKSANDRA LIS

Gospodarcze jest polityczne



DR BARTOSZ PIELIŃSKI

Japonia to kraj, który najdobitniej pokazał, że amerykańska wersja kapitalizmu nie musi być „tą jedyną”.



W grudniu 2010 r. zmarł mało znany w Polsce naukowiec i intelektualista Chalmers Johnson. Jego prace łączyły wysoki poziom warsztatu naukowego ze znacznym zaangażowaniem politycznym. Postawę Johnsona można nazwać lewicowym republikanizmem – troskę o losy swojej ojczyzny, Stanów Zjednoczonych, łączył z niechęcią wobec środowisk neo-konserwatywnych i neoliberalnych. Jego ostatnie dzieło to trylogia „Blowback”¹, będąca wnikliwym opisem kondycji współczesnej Ameryki Północnej, która według niego chyli się ku upadkowi. Zdaniem Johnsona, chęć utrzymania dominacji na arenie międzynarodowej przez USA doprowadzi kraj do bankructwa, a być może nawet spowoduje zmianę wewnętrznego systemu politycznego.

W środowisku naukowym Johnson zasłynął jako błyskotliwy badacz krajów Azji Wschodniej. Swoją pozycję zawdzięczał m.in. wydanej w 1982 r. książce pt. „MITI and the Japanese Miracle: The Growth of Industrial Policy, 1925–1975”². Formalnie jest to monografia japońskiego Ministerstwa Handlu Zagranicznego i Przemysłu, tytułowego MITI (Ministry of International Trade and Industry). Jednak naprawdę praca ta stanowi wnikliwą i rozbudowaną analizę rozwoju japońskiej polityki gospodarczej.

Johnson wprowadza czytelników w wydarzenia, które ukształtowały współczesne japońskie myślenie o gospodarce. Rozpoczyna analizę od czasów rewolucji Meiji, a kończy na latach 70. dwudziestego stulecia. Tak rozległa perspektywa jest o tyle zaskakująca, że samo ministerstwo powstało dopiero kilka lat po II wojnie światowej. Johnson dowodzi jednak, że skuteczność ministerstwa w pobudzaniu rozwoju gospodarczego kraju wynikała z wielu dekad japońskich doświadczeń związanych z procesem modernizacji.

Polityka gospodarcza Japonii rozwijała się na styku dwóch środowisk: gospodarczego i politycznego. Johnson pokazuje, jak zaraz po przewrocie pałacowym 1868 r., który dał początek tzw. rewolucji Meiji, nikt nie wiedział, jak należy unowocześnić gospodarkę, a także kto ma tego dokonać.

Pierwsze lata po przewrocie to dość chaotyczny proces formowania nowych elit politycznych i gospodarczych. Rozwijały się one w symbiozie, czego najdobitniejszym przykładem była karna wyprawa na Formozę (dzisiejszy Tajwan) w 1874 r. Przed jej rozpoczęciem japońska armia, nie mająca wielu okrętów, wypożyczyła część statków od niejakiego Iwasaki Yatarō, pozostała część floty kupując od innych armatorów. Zaraz po zakończeniu konfliktu Iwasaki nie tylko otrzymał z powrotem okręty, ale także nabył po okazjnej cenie statki zakupione wcześniej przez armię. Dzięki takim transakcjom położył podwaliny pod istniejący do dzisiaj koncern Mitsubishi.

Jednak rozwój relacji świata gospodarki i polityki nie opierał się jedynie na korupcyjnych powiązaniach. Zarówno po stronie bogacących się potentatów

przemysłowych, jak i nowych elit politycznych istniała potrzeba profesjonalizacji działania. Dlatego też od początku XX w. w środowiskach gospodarczych coraz silniejszą grupę zaczęli stanowić zawodowi menedżerowie, zaś w sferze polityki na znaczeniu zyskiwali wysoko wykwalifikowani urzędnicy. Pomiędzy tymi dwoma środowiskami zaczęła się toczyć dyskusja, w jaki sposób unowocześniać japońską gospodarkę oraz jak łączyć patronat państwa nad gospodarką z jej efektywnym rozwojem.

Ostatecznie dylemat ten został rozstrzygnięty w dość nieoczekiwany sposób. Wskutek przegranej przez Japonię II wojny światowej zanikły dawne polityczne, militarne i gospodarcze elity, a ich miejsce zajęli wspomniani menedżerowie i biurokraci. To im, dzięki wsparciu Amerykanów, udało się stworzyć system pozwalający na skoordynowany przepływ informacji między administracją państwową a środowiskami gospodarczymi. Jednym z elementów tego systemu było opisane przez Johnsona Ministerstwo Handlu Zagranicznego i Przemysłu.

Praca Johnsona była ważna z tego powodu, że bodaj jako pierwsza dała tak głęboki i systematyczny wgląd w to, jak zarządzana jest gospodarka japońska, a także pośrednio gospodarki Korei Południowej czy Singapuru. Johnson za pomocą tej książki spopularyzował pojęcie *developmental state*. Opisuje ono **model rozwoju, w którym gospodarka rozwija się pod kuratelą państwa, ale jednocześnie procedury administracyjne nigdy nie zastępują mechanizmów wolnorynkowych**.

Książka ukazała się w momencie szczególnym dla Stanów Zjednoczonych – na początku pierwszej kadencji Ronalda Reagana. W tym czasie debata publiczna była w coraz większym stopniu zdominowana przez Nową Prawicę. Dla tych środowisk rozwój gospodarczy, jak też istnienie kapitalistycznej gospodarki były nierozzerwalnie związane z powstrzymaniem ingerencji państwa w procesy ekonomiczne: rynek miał być wolny od wpływu polityki. Książka Johnsona pokazywała, że tak nie musi być. Uświadamiała, że na początku lat 80. Stany Zjednoczone za największych konkurentów gospodarczych mają państwa, które opierają fundamenty rozwoju jednocześnie na mechanizmach wolnorynkowych oraz na administracyjnym nadzorze nad nimi. Krajem, który najdobitniej w owym czasie ilustrował to, że kapitalizm może objawiać się w bardzo różnych formach – a więc jego amerykańska wersja nie musi być „tą jedyną” – była właśnie Japonia.

Polityczny szkielet gospodarki

Obecnie doskonale wiemy, że gospodarka rynkowa może funkcjonować pod kuratelą państwa. Pokazała to Japonia, ale przede wszystkim Chiny ośwoiły nas z takim obrazem współczesnego kapitalizmu. To one są obecnie najbardziej dynamicznie rozwijającą się gospodarką, udowadniając tym samym, że kapitalizm może kwitnąć nawet pod rządami partii komunistycznej.



Wydaje się więc, że współcześnie kwestią zasadniczą nie jest to, czy gospodarką wolnorynkową można politycznie zarządzać, lecz w jaki sposób to robić – w jakich proporcjach łączyć samostereowność rynków z ich zewnętrzną, polityczną kontrolą.

To pytanie bardzo istotne w kontekście obecnego załamania gospodarczego. Oto bowiem kryzys przeżywają nie tylko nadmiernie (wedle standardów neo-liberalnych) regulowane gospodarki europejskie, ale także ciesząca się znaczną autonomią gospodarka USA. Trwający od 2007 r. kryzys gospodarczy nie tyle obnażył słabość niezależnych od instytucji publicznych mechanizmów rynkowych, ale przede wszystkim ukazał fikcyjność owej niezależności. Pokazał, że **szkielet nawet najbardziej liberalnych gospodarek opiera się na polityce, że u podstaw każdego systemu ekonomicznego istnieje polityczna wola, aby gospodarka działała w ten, a nie inny sposób.**

Z tych też zapewne powodów sięga się coraz częściej do napisanej podczas II wojny światowej książki Karla Polanyiego pt. „The Great Transformation”³. Polanyi usiłuje wytłumaczyć pojawienie się europejskich totalitaryzmów, a za głównego winnego uznaje XIX-wieczny kapitalizm. Jego zdaniem, rozwój kapitalizmu był niczym innym jak realizacją niebezpiecznej utopii. Utopii, która w przekonaniu ówczesnych elit intelektualnych odzwierciedlała naturalną kondycję człowieka, w rzeczywistości zaś narzucała całym narodom nie dające się znieść warunki życia. Owa utopijna wizja społeczeństwa opierała się zdaniem Polanyiego na dwóch fałszywych przesłankach. Pierwsza dotyczyła sposobu, w jaki funkcjonuje społeczeństwo, druga odnosiła się do utowarowienia pracy, ziemi i pieniądza.

Wedle autora „Wielkiej transformacji”, czołowi XIX-wieczni filozofowie społeczni doszli do błędnego przekonania, że społeczeństwo może podlegać samo-regulacji. Pomimo wszystkich dzielących ich różnic, Adam Smith, William Townsend czy Edmund Burke podobnie uważali, że prawa natury na tyle sprawnie regulują zachowania jednostek, że nie ma konieczności celowego zarządzania nimi. Równowagę w relacjach między ludźmi zapewniają bowiem np. ograniczone zasoby żywności.

Implikacje takiej tezy były dość znaczące. Uznanie samoregulacji za podstawowy mechanizm kierujący społeczeństwem skłaniało do ograniczania roli państwa, którego jedynym zadaniem powinna być troska, aby naturalny porządek społeczny mógł rozwijać się w sposób harmonijny. Państwo zatem nie powinno np. wspierać ani w żaden dodatkowy sposób kontrolować ludzi biednych. Naturalne prawa wolnego rynku tworzą z nich bowiem zdyscyplinowaną przez głód siłę roboczą.

Drugą przesłanką utopii społeczeństwa rynkowego było przeświadczenie o możliwości utowarowienia pracy, ziemi i pieniądza, co Polanyi nazywa fikcją utowarowienia. Jego zdaniem, ani praca, ani ziemia, ani też pieniądze nie powstały, żeby być przedmiotem obrotu handlowego. Praca jest po prostu jedną z form naturalnej aktywności ludzkiej. Ziemia to z kolei jeden z wielu wytworów natury. Pieniądze zaś są jedynie symbolem siły nabywczej; nie są produkowane, lecz kreowane przez system bankowy. Jednak ponieważ dla poprawnego funkcjonowania rynku konieczne jest, aby praca, ziemia i pieniądz zostały utowarowione, cały XIX wiek można opisać jako nieustanny

wysiłek podtrzymywania fikcji komodyfikacji tych trzech dóbr.

Ów wysiłek z kolei można opisać jako niekończącą się obronę stanu naturalnego. Wszelkie próby zwiększenia roli państwa w gospodarce były postrzegane jako nienaturalne, gdyż zaprzeczające odkrytemu dzięki nauce mechanizmowi kierującemu życiem społecznym. A zatem w odtwarzanych przez Polanyiego XIX-wiecznych społeczeństwach **polityka była wykorzystywana przeciw polityce. Siła państwa była używana do tego, aby nie pozwalać ludziom działać we wspólnocie, tylko spychała ich do roli zatamizowanych jednostek, walczących o własne przetrwanie.**

Taka sytuacja wytwarzała zdaniem Polanyiego dwa rodzaje napięć. Pierwsze polegało na tym, że poszczególne państwa próbowały przerzucić na siebie nawzajem koszty utrzymywania wolnorynkowej utopii. Drugie – na tym, że coraz więcej ludzi szukało schronienia przed nią w jeszcze bardziej niebezpiecznych utopiach systemów totalitarnych. Utopia wolnego rynku miała zostać zamieniona na utopię wszechwładnego państwa.

Aby do tego nie dopuścić, Polanyi postulował ograniczenie mechanizmów rynkowych. Należy przywrócić właściwą rangę polityce, czyli intencjonalnym działaniom nakierowanym na określony cel. Należy zakończyć politykę przeciwstawiającą się polityce i przestać oczekiwać, że społeczeństwo będzie samodzielnie i nieintencjonalnie dążyć do naturalnego stanu równowagi. Konieczne jest podjęcie świadomego, zbiorowego wysiłku politycznego, zmierzającego do stworzenia takiego ładu instytucjonalnego, który zapewni sprzyjające warunki dla rozwoju społecznego. W tym systemie jest miejsce na gospodarkę wolnorynkową, ale nie może być ona wzorem dla funkcjonowania całego społeczeństwa. Potrzebne jest stworzenie demokratycznego systemu, opartego na zasadzie przynajmniej częściowego odtowarowienia m.in. pracy ludzkiej. **Dla ratowania demokracji w świecie zachodnim należy, zdaniem Polanyiego, podejmować działania, które dzisiaj nazwalibyśmy programami polityki społecznej.**

Drugi krach

Książka Polanyiego stała się znów aktualna. Kolejny raz bowiem kończy się okres, w którym dominowało przekonanie, że wolny rynek jest nie tylko optymalnym modelem działania gospodarki, ale także najlepszym modelem funkcjonowania społeczeństwa. Ponownie też odkrywamy ze zdziwieniem polityczne fundamenty ponoć apolitycznego świata gospodarki. **Krach na rynkach finansowych odsłonił polityczne uwarunkowania instytucji, które wydawały się neutralnymi aktorami, działającymi w obrębie samoregulującej się gospodarki.**

W kontekście USA warto przywołać choćby przypadek Fannie Mae⁴. Instytucja ta, stworzona z myślą o ułatwianiu mniej zamożnym Amerykanom dostępu

do mieszkań, stała się stopniowo, pod wpływem działań administracyjnych, katalizatorem *boomu* na rynku kredytów mieszkaniowych. Fannie Mae, działając jako instytucja autonomiczna, a jednocześnie mająca wszelkie gwarancje finansowe rządu federalnego, doprowadziła do niebezpiecznego połączenia spekulacyjnego rynku finansowego z rynkiem kredytów mieszkaniowych dla niższej klasy średniej. Dzięki temu mariażowi kredyty mieszkaniowe zwykłych Amerykanów stały się pożądanym towarem na tamtejszych giełdach. To spowodowało z kolei, że dostępność kredytów mieszkaniowych niesłychanie wzrosła. Cały ten system, sprawiający wrażenie samoregulującego się, funkcjonował dobrze do momentu, w którym nad Fannie Mae zawisło widmo bankructwa. Wtedy rynki finansowe uznały, że większość kredytów mieszkaniowych jest bezwartościowych, gdyż nie poręcza już za nie w pełni wypłacalna instytucja publiczna. Nastąpił wówczas trwający do dziś głęboki kryzys rynku mieszkaniowego w USA.

Przykład Fannie Mae dobrze obrazuje współczesne próby ukrywania polityki i tworzenia systemów z pozorów samoregulujących. Historia tej instytucji pokazuje również, jak duże mogą być koszty konserwowania utopii w pełni wolnego rynku – ok. 700 mld dolarów zostało wydanych przez Departament Skarbu tylko w pierwszych miesiącach kryzysu, aby podtrzymać istnienie amerykańskiego rynku kredytów mieszkaniowych.

Ex oriente lux?

Czy zatem krytykując ukrytą politykę samoregulujących się rynków powinniśmy podążać drogą państw Azji Wschodniej i promować rozwiązania jawnie odwołujące się do interwencji politycznych w gospodarce? Pokusa jest silna. Tym bardziej, że wspomniane państwa nie tylko wykształciły dość oryginalny model polityki gospodarczej, ale i równie swoisty model polityki społecznej.

Inny badacz Azji Wschodniej, Ian Holliday, w nawiązaniu m.in. do pracy Johnsona zauważa, że polityka społeczna w wielu krajach regionu była lub jest podporządkowana polityce gospodarczej. „Produktywistyczny” reżim dobrobytu charakteryzuje się uzależnieniem zakresu praw socjalnych jednostki od wielkości jej wkładu w rozwój gospodarczy kraju. W tym modelu polityki społecznej wspierane są te grupy społeczne, które najlepiej wpisują się w promowany przez rząd program rozwoju kraju, zaś relacje pomiędzy państwem, rynkiem a rodziną są kształtowane tak, aby odpowiadały potrzebom realizowanej w danym momencie polityki gospodarczej. Zdaniem Hollidaya, w Azji Wschodniej mamy do czynienia nie tyle z jednym modelem polityki społecznej, co wręcz z odrębnym „światem” państw stawiających przed polityką społeczną ten sam cel – sprzyjanie dynamicznemu wzrostowi gospodarczemu.

Czy istnieje jakiś złoty środek pomiędzy światem opisanym przez Polanyiego i tym przedstawionym przez Johnsona? Czy można znaleźć alternatywę pomiędzy samoregulującym się rynkiem a wszechobecnym państwem? W moim przekonaniu – tak, i jest ona podobna do tej, którą Polanyi zarysował pod koniec II wojny światowej. Stanowi ją demokratyzacja gospodarki.

Problem w tym, że żyjemy w czasach, w których polityka uzyskała nad wyraz wiele form artykulacji. Dzieje się tak, ponieważ nie tylko przeżywamy dzisiaj kryzys neoliberalnej gospodarki, ale także kryzys demokracji. Nie polega on jednak, w moim przekonaniu, na deficycie demokratycznych instytucji, lecz raczej na współistnieniu bardzo różnych form instytucjonalizacji ideału demokracji.

Najlepiej widać to na przykładzie Unii Europejskiej. Wewnątrz niej ścierają się instytucje, które bez wyjątku odwołują się do demokratycznego mandatu. Parlament Europejski, Komisja Europejska, rządy narodowe, krajowe parlamenty, lokalne samorządy, a wreszcie większe lub mniejsze organizacje pozarządowe, działające w skali lokalnej, krajowej lub międzynarodowej – wszystkie te instytucje w jakimś stopniu opierają działania na procedurach, które można uznać za demokratyczne. Jednocześnie widać, że te demokratyczne instytucje bardzo często wchodzą ze sobą w konflikt, usiłując realizować projekty nawzajem się wykluczające.

Świadomość problemów wynikających ze zderzenia różnych instytucjonalnych form demokracji jest może szczególnie silna w krajach skandynawskich. Jednym z elementów przekształceń, jakie zachodzą w tamtejszym modelu polityki społecznej, jest bowiem zwiększona rola organizacji pozarządowych. Ich pojawienie się jest jednak interpretowane w bardzo rozmaity sposób. Jedni widzą w tym szansę na zwiększenie roli obywateli w silnie scentralizowanym państwie dobrobytu, inni z kolei – zagrożenie dla polityki społecznej, opierającej się na szerokim porozumieniu społecznym. Być może najtrafniej ową sprzeczność wyraziła Eva Sørensen⁵ z Uniwersytetu Roskilde. Wprowadziła ona w nawiązaniu do prac innych autorów rozróżnienie na demokrację zorganizowaną terytorialnie i demokrację zorganizowaną funkcjonalnie. Demokracja zorganizowana terytorialnie to ta część narodowego systemu politycznego, w obrębie której toczy się spór między różnymi grupami społecznymi. To charakterystyczny dla demokracji reprezentatywnej mechanizm sporu politycznego, który prowadzi do wyłonienia z wielu poglądów różnych grup społecznych – jednego dominującego. Z kolei demokracja

zorganizowana funkcjonalnie opiera się na zaangażowaniu obywateli w rozwiązywanie konkretnych problemów i świadczenie określonych usług. Obywatele jako finalni odbiorcy działań instytucji publicznych, komercyjnych czy społecznych organizują się, aby kształtować ostateczny efekt działania tych instytucji.

Sørensen uważa, że współcześnie coraz wyraźniej zarysowują się napięcia pomiędzy mechanizmami demokracji terytorialnej i funkcjonalnej. Upraszczając wnioski Sørensen, można powiedzieć, że opisuje ona zderzenie instytucji demokracji przedstawicielskiej z instytucjami demokracji partycypacyjnej, wyrażanej współcześnie w formie działania różnych organizacji pozarządowych.

Obecnie zatem wiemy, że kapitalizm można budować odgórnie, przy wykorzystaniu instrumentów administracyjnych, co Johnson pokazał na przykładzie Japonii. Wiemy także, iż kapitalizm nawet w swojej najbardziej wolnorynkowej formie opiera się zawsze na działaniach politycznych, co udowodnił Polanyi. Nie wiemy jednak dzisiaj, jak w sposób harmonijny wpleść demokratyczną polityczność w proces gospodarczy. Możemy opierać się na wielkich projektach gospodarczych, realizowanych przez Unię Europejską, możemy odwołać się do narodowych polityk gospodarczych, możemy wreszcie włączać polityczność do gospodarki na poziomie mikro – choćby przez promocję rozwoju gospodarki społecznej. Możliwości jest bardzo wiele. Polityczność w gospodarce wydaje się bowiem czymś oczywistym. To, co nie jest oczywiste, to ile w tej polityczności ma być demokracji, oraz jakie formy owa demokracja ma przyjmować.

DR BARTOSZ PIELIŃSKI

Przypisy:

1. Chalmers Johnson, *Blowback: The Costs and Consequences of American Empire*, Holt Paperbacks 2001; idem, *The Sorrows of Empire: Militarism, Secrecy, and the End of the Republic*, Owl Books 2005; idem, *Nemesis: The Last Days of the American Republic*, Metropolitan Books 2007.
2. Chalmers Johnson, *MITI and the Japanese Miracle: The Growth of Industrial Policy, 1925-1975*, Stanford University Press 1982.
3. Książka została w końcu przetłumaczona na polski: Karl Polanyi, *Wielka transformacja. Polityczne i ekonomiczne źródła naszych czasów*, Warszawa 2010.
4. Bartosz Pielński, *Od kryzysu do kryzysu. Przypadek Federalnego Narodowego Stowarzyszenia Hipotecznego*, [w:] M. Książkowski, B. Rysz-Kowalczyk, C. Żołędowski (red.), *Polityka społeczna w kryzysie*, Warszawa 2009, ss. 243-259.
5. Eva Sørensen, *New forms of democratic empowerment: Introducing user influence in the primary school system in Denmark*, „Statsvetenskaplig Tidskrift” 1998, nr 2, ss. 129-143.

Z miłości do ziemi

WENDELL BERRY

Rolnik działający na rzecz ochrony przyrody ma dość bycia na podwójnie przegranej pozycji.

Jestem rolnikiem i działaczem na rzecz ochrony przyrody (*conservationist*), rzecznikiem Matki Natury i agrarystą¹. Działam na rzecz ochrony dzikiej przyrody nie tylko dlatego, że czuję z nią osobistą więź - po prostu uważam to za konieczne z punktu widzenia życia na Ziemi oraz życia człowieka. Z tych samych względów pragnę również chronić naturalną równowagę i integralność ekosystemów użytkowanych przez człowieka: chciałbym, aby rolnicy, hodowcy i leśnicy na całym świecie mogli dobrze żyć i prosperować w społecznościach stabilnych, dostosowanych do lokalnych warunków i rozsądnie gospodarujących zasobami.

Oznacza to, że spędzam życie, broniąc interesów dwóch przegrywających stron. Odkąd pamiętam, światłe idee agraryzmu i ochrony przyrody odnoszą - mimo zwycięstw w niektórych sprawach - nieustanne porażki, z których wielu nie sposób zrekompensować. Trzecią stronę, tę, która wydaje się coraz bardziej zdecydowanie wygrywać, tworzą korporacje bezwzględnie eksploatujące środowisko. Celowo napisałem „wydaje się” - uważam bowiem, że złudna jest potęga takich przedsięwzięć. Wersja kapitalizmu przez nie kultywowana, w ostatecznym rozrachunku opiera się nie na zasobach naturalnych, które lekkomyślnie niszczy, lecz na pielęgnowaniu iluzji. Całkiem niedawno pewien ekonomista zasygnalizował problem, mówiąc: „Gdyby konsumenci przestali żyć ponad stan, kryzys gospodarczy byłby nieunikniony”². Kiedy trzecia strona ostatecznie pokona dwie pierwsze, przyrodę i tradycyjne społeczności wiejskie, oznaczać to będzie także jej koniec.

W ostatnim czasie jej przedstawiciele - być może świadomi niedorzeczności, na której opiera się ich działalność - bronią swoich interesów wyjątkowo zaciekle, dążąc do podporządkowania sobie polityki, mediów i nauki, ze szczególnym uwzględnieniem biotechnologii, którą gorączkowo komercjalizują z zamiarem przejścia całkowitej kontroli nad światową produkcją żywności. **Rosnąca przewaga wpływów korporacji nad mechanizmami demokratycznymi to bodaj najbardziej niepokojący proces od czasów wojny secesyjnej, a znakomita większość współczesnego świata nie widzi w nim nic nadzwyczajnego.**

Smutek wypływający z wieloletniego obserwowania porażek dwóch bliskich mi stron jest tym większy, że konflikt istnieje nie tylko między każdą z nich a ich wspólnym wrogiem, ale także - i to niejako „z definicji”, jak się przyjęło - między nimi nawzajem. Jeszcze większy ból sprawia mi świadomość, że obie moje strony są głęboko uwikłane w różnego kalibru grzechy tej trzeciej.

Próbując konstruktywnych dróg wyplątania się z tego położenia, postanowiłem niedawno, że nie poprę już żadnej inicjatywy na rzecz ochrony dzikiej przyrody, jeśli jej celem nie będzie jednocześnie poprawa kondycji pobliskich obszarów wiejskich: zdrowia ich ekosystemów i jakości życia ich mieszkańców. Niezależnie od wynikających z tego trudności praktycznych, decyzja, by przeciwstawić się podziałowi na „dzikie” i „udomowione”, pozwoliła mi z większą wyrazistością dostrzec komplementarność czy nieledwie jednię spraw, o które walczę. Rozgraniczenie między naturą a kulturą

jest w istocie zwodnicze – odwraca uwagę od faktu, że nawet w przypadku dzikich zwierząt należy mówić o swoistym „udomowieniu”, a przede wszystkim o całkowitej zależności tego, co udomowione, względem dzikiej przyrody, która w ostatecznym rozrachunku stanowi fundament dla wszelkich ludzkich poczynąń. Wysuwając popularny obecnie zarzut, że ludzkość jest antropocentryczna (coż za okropne określenie), łatwo zapomina się, że w takim razie dzikie owce są „owicentryczne”, a wilki – „lupocentryczne”. Można by rzec, że to świat jest dziki, a wszystkie zamieszkujące go stworzenia instynktownie dążą do tego, by „zadomowić się” w nim – w tym celu łączą się w pary, opiekują potomstwem, szukają pożywienia i wygodnego schronienia. Zupełnie zapominamy też, że chociaż pod pewnymi względami dzikie owce istotnie różnią się od hodowlanych, to w sytuacji, gdy udomowione rasy całkiem zatracają swą dziką naturę, jak to się czasem zdarza, ich chów okazuje się dla rolnika nieopłacalny – pojawiają się wówczas np. problemy z płodnością. **Wbrew pozorom, dzikość i udomowienie pozostają ze sobą w najściślejszym związku. W zasadniczej opozycji do obu stoi natomiast zinstytucjonalizowany, korporacyjny przemysł – gospodarcza rzeczywistość pozbawiona zakorzenienia w naturalnym środowisku i szacunku wobec surowców, które wykorzystuje.**

Zagadnieniem, z którym musimy się zmierzyć, nie jest pytanie, czy to, co pierwotne, da się oddzielić od tego, co udomowione – istotne jest, w jaki sposób ten nierozzerwalny związek powinien być pielęgnowany w ramach ludzkiego gospodarowania. Uznanie, że „dzikość” i „udomowienie” są ze sobą powiązane, i że my – ludzie – jesteśmy w dużym stopniu odpowiedzialni za stan tej relacji, wiąże się z przyjęciem na siebie konkretnych, ciężkich obowiązków. Przychodzą mi tutaj na myśl co najmniej dwie zasadnicze kwestie praktyczne. Po pierwsze: dlaczego każdy prawdziwy obrońca natury powinien aktywnie interesować się rolnictwem? Powodów jest wiele, z których najprostszy brzmi: on też musi coś jeść. Interesować się jedzeniem, nie interesując się jednocześnie zagadnieniami związanymi z jego produkcją, to czysty absurd. Ekolodzy mieszkający w miastach prawdopodobnie czują się tutaj usprawiedliwieni w swojej ignorancji z uwagi na fakt, że nie są rolnikami. Nie mogą jednak tak łatwo zostać zwolnieni z odpowiedzialności – nie mogliby jeść, gdyby nie to, że w ich imieniu, w konkretnym miejscu ktoś uprawia ziemię według określonych reguł. Gdyby zdecydowali się wziąć odpowiedzialność za swoje potrzeby żywieniowe, odkryją, że przywiedzie ich to prosto do tradycyjnych obszarów troski o naturę.

Zatem, czy „ochroniarze” chcieliby jadać dobrze, czy byle jak? Czy zależy im, by ciągłość zaopatrzenia w żywność była zagwarantowana? Czy woleliby, żeby to, co jedzą, było wolne od toksyn, antybiotyków i innych zanieczyszczeń, w tym genetycznych? Czy życzyliby sobie, by w ich diecie przeważały produkty

naprawdę świeże? Czy chcieliby, żeby produkcja żywności trafiającej na ich talerze wiązała się z jak najmniejszym obciążeniem dla środowiska naturalnego? Jeśli poważnie zastanowimy się nad odpowiedziami na te pytania, będą one miały istotny wpływ na przemysł, sposób użytkowania gruntów, zdrowie ekosystemów. Obrońcy natury, którzy są gotowi zjeść wszystko, co oferują supermarkety, wspierają swoimi portfelami skrajnie uprzemysłowioną produkcję żywności: wielkie fermy tuczu zwierząt; zubożenie zasobów wód płynących i podziemnych; uprawy monokulturowe, prowadzące do stopniowej utraty różnorodności biologicznej i genetycznej; wzajemnie ze sobą powiązane zanieczyszczenie środowiska, zatrucia i faszerywanie zwierząt hodowlanych lekami; system dystrybucji oparty na długodystansowym transporcie, pochłaniającym niezliczone ilości paliwa i przyczyniającym się do rozprzestrzeniania szkodników i chorób; zastępowanie rodzinnych gospodarstw wiejskich przez coraz większe kombinaty rolne, w których jest coraz mniej miejsca na miłość do ziemi. Gdyby miłośnicy przyrody zaczęli się domagać, by w sklepach powszechnie dostępne były produkty spożywcze wysokiej jakości, wytwarzane w możliwie najbliższej okolicy z zachowaniem najwyższych standardów; gdyby poświęcili więcej uwagi krytycznej ocenie tego, co trafia na ich stoły – wówczas automatycznie wsparliby całkiem odmienny model gospodarki rolnej, zupełnie inaczej kształtujący charakter wsi. Na takiej wsi na jednego rolnika-opiekuna przypada znacznie mniejsza powierzchnia, dzięki czemu uprawy mogą być otoczone większą troską. Krajobraz takiej wsi jest o wiele bardziej zarówno „udomowiony”, jak i naturalnie dziki niż krajobraz przemysłowy. Czy wzrost liczby gospodarstw i pracujących w nich rolników może pozytywnie wpłynąć na jakość krajobrazu wiejskiego jako siedliska dla dzikiej flory i fauny, sprawiając, że miejscowa przyroda stanie się „bardziej pierwotna”? Niewątpliwie, a tym, co umożliwiłoby taką zmianę, byłby wzrost różnorodności. Nie zapominajmy, że mówimy o zmianach, których motorem miałyby być rosnący popyt na lokalnie produkowaną żywność. Wyobraźmy sobie teraz współczesny amerykański krajobraz rolniczy, zdominowany przez wielkoobszarowe uprawy soi i kukurydzy oraz fermy przemysłowego chowu zwierząt. A teraz zastanówmy się, co by się stało, gdyby w pobliskim mieście istotnie wzrósł popyt na wytwarzane przez lokalnych producentów artykuły spożywcze wysokiej jakości. Aby odpowiedzieć na potrzeby konsumentów, miejscowe rolnictwo będzie musiało stać się bardziej różnorodne.

Gdyby popyt tego typu był znaczący w obu znaczeniach tego słowa – gdyby pochodził od świadomych i konsekwentnych w swoich wyborach konsumentów, zapewniając rolnikom wystarczające zaplecze ekonomiczne – wówczas skrajnie ujednolicony krajobraz rolniczy mógłby ulec zmianie. Jednogatunkowe uprawy i wielkie fermy ustąpiłyby miejsca gospodarstwom



©©© Christopher Harrison, flickr.com/photos/christopherharrison/4673664006/

mieszanym, nastąpiłby powrót do wypasania stad zwierząt hodowanych z przeznaczeniem na mięso oraz do bydła mlecznego, a także do tradycyjnej hodowli drobiu, co wiązałoby się z koniecznością przekształcenia części gruntów w łąki i pastwiska. Gdyby nowa świadomość konsumenta objęła swoim zasięgiem również gospodarkę leśną i bogactwo darów lasu, możliwa byłaby analogiczna poprawa warunków naturalnych na terenach zalesionych i zwiększenie ich powierzchni. Nie zapominajmy przy tym, że rolnicy mogą z różnych względów, w tym po prostu dla przyjemności, rezygnować z eksploatacji części zalesionych przez siebie gruntów, pozostawiając je „dzikimi”. Gdyby krajobraz wsi urozmaiciły dodatkowe łąki i lasy, zwiększyłaby się także różnorodność ptaków i innych zwierząt. Rozległe uprawy kukurydzy i soi, wykorzystywanych przede wszystkim jako pasza dla zwierząt lub surowiec dla przemysłu, ustąpiłyby owocom i warzywom, trafiającym na stoły mieszkańców pobliskich miast.

Wraz ze wzrostem powierzchni pokrytej roślinnością wieloletnią zwiększyłaby się zdolność magazynowania wody przez glebę i zmniejszyło nasilenie

procesów erozji. Woda w potokach i rzekach uległaby oczyszczeniu, ustabilizowały się ich przepływy. Kolejną korzyścią z większej różnorodności produkcji na terenach wiejskich byłoby zmniejszenie przeciętnej wielkości gospodarstw i wzrost liczby osób mogących się utrzymać z uprawy ziemi. To z kolei przyczyniłoby się do obniżenia ilości środków chemicznych w rolnictwie, jako że stosuje się je po to, by zadośćuczynić biologicznym skutkom ubocznym upraw monokulturowych oraz jako zastępstwo dla rąk do pracy. W zdecentralizowanej gospodarce rolnej zwierzęce odchody nie stanowią skoncentrowanego źródła zanieczyszczeń, więcej – wykorzystuje się je jako nawóz. Reasumując, wskutek takiej transformacji krajobraz rolniczy, dziś niebezpiecznie ujednolicony, miałby szanse zmienić się w system zdrowy zarówno pod względem ekonomicznym, jak i ekologicznym.

O mieście, które funkcjonowałoby w dużej mierze w oparciu o to, co zapewniają pobliskie pola i lasy, należy myśleć w kontekście całego lokalnego systemu gospodarczego, na który składałyby się także niewielkie, nie zanieczyszczające środowiska zakłady przetwórcze i sklepy wkomponowane w krajobraz tak, by maksymalnie ograniczyć koszty ekologiczne i społeczne. Taki model gospodarki promować będzie małe, niezależne firmy oraz „pracę na swoim”, a ponadto pozwoli ograniczyć ilość paliwa zużywanego na transport, a (jak się wydaje) nawet tego niezbędnego do produkcji towarów.

Taki model jest możliwy do osiągnięcia, nie ma co do tego wątpliwości – dysponujemy odpowiednimi rozwiązaniami i zapleczem technicznym. Liczne historyczne przykłady z różnych zakątków świata udowodniły również, że przyroda jest w stanie dostosować się, a nawet czerpać korzyści z tak rozumianej symbiozy z gospodarką. Warto przywołać choćby modele wypracowane przez Indian Ameryki Północnej – niektóre przeszły już do historii, inne praktykowane są do dziś – lub wciąż kultywowane np. we wspólnotach amiszów tradycje osadników amerykańskich. A przecież podobne praktyczne przykłady odnaleźć można także wśród współczesnych rozwiązań; jak widać, nie są to wszystko tylko mgliste rojenia.

Nieco większe wątpliwości budzi natomiast zdolność współczesnego człowieka do świadomego wyboru proponowanego modelu oraz do utrzymania go. Co najmniej od półwiecza **byliśmy przyzwyczajani, że rozwiązania stosowane w uprawie ziemi są determinowane przez procesy przemysłowe, a „opłacalność rolnictwa” ocenia się z perspektywy korporacji.** Nadeszła najwyższa pora, by zerwać z takim myśleniem: społeczne, ekologiczne, a nawet ekonomiczne koszty tego paradygmatu stały się zbyt wysokie i nieustannie rosną na całym świecie.

Nadszedł czas, by nauczyć się myśleć kategoriami rolnictwa opartego o prawa biologii, a nie logikę przemysłu. Sześćdziesiąt lat temu [niniejszy tekst powstał w 2002 r. – przyp. red. „Obywatela”] Sir Albert

Howard, prekursor współczesnego rolnictwa ekologicznego, postulował taką zmianę standardów; obecnie podobne poglądy głosi m.in. Wes Jackson, reformator z Kansas. Według nich, aby można było mówić o zrównoważonym rozwoju w rolnictwie, konieczne jest dopasowanie upraw i hodowli do zasad, którymi rządzi się miejscowy ekosystem; konieczne jest utrzymywanie możliwie największej różnorodności biologicznej, dbałość o zachowanie żyzności gleb i ich ochrona przed erozją, wtórne wykorzystywanie odpadów powstających w gospodarstwie itp. Jak wyłożył to 70 lat temu geograf ekonomiczny J. Russel Smith, trzeba w pierwszym rzędzie „dostosować rolnictwo do roli”, a nie do dostępnych technologii czy oczekiwań rynku, przy całej świadomości ich ogromnego znaczenia. Konieczne jest, mówiąc krótko, utrzymywanie równowagi między „udomowionym” a „dzikim”. Nadrzędnym standardem, pozwalającym ocenić efekty tej pracy, należy uczynić kondycję obszaru, na którym jest ona wykonywana.

Trzeba podkreślić, że taka transformacja to nie gotowy schemat, który możemy przyjąć tak, jak przyjmuje się – a potem porzuca – chwilową modę. Nie ma też co liczyć, że z czasem wymusi ją kryzys ekologiczny na wielką skalę. Będzie ona możliwa jedynie wtedy, gdy duże grupy – konsumenci i producenci, mieszkańcy miast i wsi, ci, którzy chcą środowisko chronić, i ci, którzy żyją z eksploatacji jego zasobów – połączą siły i zaczną działać.

Oto część z powodów, dla których obrońcy przyrody powinni żywo zainteresować się problematyką rolnictwa i razem z mieszkańcami wsi działać we wspólnej sprawie. A teraz pora na drugą z zasadniczych kwestii praktycznych.

Dlaczego rolnik miałby zacząć działać na rzecz ochrony przyrody? Choć może lepiej byłoby zapytać: dlaczego jedynie działacz na rzecz przyrody może być dobrym rolnikiem? Rolnicy żyją i pracują na styku natury i gospodarki – tam, gdzie potrzeba ochrony przyrody jest najpilniejsza i najbardziej oczywista. W swojej pracy mogą „dostosować rolnictwo do roli”, podporządkować się prawom natury, pozostawiając jej potencjał nienaruszonym. Mogą też przeciwstawić się im, przyczyniając się do pogłębienia długu ekologicznego, który w przyszłości trzeba będzie spłacić (nie o takim rolnictwie myślę, gdy zachęcam obrońców przyrody do popierania rolników).

Odpowiedzialni rolnicy, którzy poważnie podchodzą do swoich powinności względem Stworzenia oraz spadkobierców własnych gospodarstw, przyczyniają się do budowania społecznego dobrobytu w znacznie większym stopniu, niż zwykliśmy to przyznawać, a wręcz uświadamiać sobie. Dostarczają wartościowe produkty, co dla każdego oczywiste, ale ponadto pomagają chronić glebę, wody, dzikie rośliny i zwierzęta oraz krajobraz.

Tym właśnie powinni zajmować się rolnicy godni tego miana. Tymczasem we współczesnym społeczeństwie, w którym miarą wszechrzeczy uczyniono zysk, a „realia ekonomiczne” odmienia się przez wszystkie przypadki – tak postępujący gospodarze nie otrzymują za swoje produkty godziwej zapłaty, a za działania na rzecz środowiska nie są wynagradzani w ogóle. **Rolnik może w dzisiejszych czasach oferować wysokiej jakości artykuły spożywcze i wyświadczać społeczeństwu wszystkie wymienione przysługi, a mimo to nie będzie go stać na opłacenie ubezpieczenia zdrowotnego, a dla**



© Christopher Harrison, flickr.com/photos/christopherharrison/467395598/

mediów pozostanie prostaczkiem z prowincji, „wsio-kiem” bądź „burakiem”. I jeszcze będzie słyszał od „ekonomicznych realistów”: „Kombinuj, jak stworzyć kombinat, albo sprzedaj ziemię i się zwijaj. Dostosuj się lub giń”. Co udało się osiągnąć po pięćdziesięciu latach dyktatury tak rozumianego „realizmu”? Uprawy monokulturowe na wielką skalę, fermy hodowlane przypominające fabryki i coraz wyższe koszty tego stanu rzeczy – społeczne, ekologiczne, a koniec końców także gospodarcze.

Co sprawia, że tyłu rolników dochowuje wysokich standardów produkcji, choć za swój wysiłek wynagradzani są tak nędznie, oraz że dobrze dbają oni o przyrodę, mimo iż nie są za to wynagradzani w ogóle? Wszystko to, dodajmy, bez oglądania się na to, czy mają komu przekazać gospodarstwa, a przecież wielu z nich wie już, że nie znajdą następców.

Cóż, pochodzę z rolniczej rodziny, sam uprawiam ziemię, podobnie wychowana przeze mnie dwójka dzieci – co ośmiela mnie do stwierdzenia, że mam przy najmniej ogólne wyobrażenie o rolnikach. Przez całe lata razem z rzeszą podobnych mi osób zastanawiałem się: dlaczego właściwie to robimy? Wszak trudna sytuacja ekonomiczna jest, w obliczu wszystkich innych przeciwności i frustracji typowych dla tego rzemiosła, zaledwie wierzchołkiem góry lodowej. Odpowiedź może być tylko jedna: miłość. To dla niej rolnicy trwają przy swoich gospodarstwach. Pracują z zamiłowania do rolnictwa: z pasją doglądają upraw, uwielbiają pracę na świeżym powietrzu i życie w otoczeniu zwierząt. Pragną mieszkać tam, gdzie pracują i pracować tam, gdzie mieszkają. W mniejszych gospodarstwach we wspólną pracę mogą zaangażować się całe rodziny. Względna niezależność, jaką nadal może zapewnić posiadanie własnego gospodarstwa, jest dla ich właścicieli ukochaną wartością. Jestem przekonany, że wielu rolników jest gotowych znosić liczne niedogodności właśnie ze względu na możliwość samostanowienia, choćby tylko przez część życia.

A zatem tym, co jako ochroniarze przyrody rolnicy muszą chronić w pierwszej kolejności, jest pasją wobec własnego rzemiosła i umiłowanie niezależności. Oczywiście wartości te uda się zachować tylko wówczas, gdy możliwe będzie przekazanie ich swoim następcom. Być może największym wyzwaniem dla każdego z nas – ludzi, którzy pragną „prawdziwego” jedzenia – jest przekonanie dzieci dorastających na terenach wiejskich, by w przyszłości przejęły gospodarstwa rodziców. Musimy mieć świadomość, że będzie to możliwe tylko wtedy, gdy uwarunkowania ekonomiczne będą sprzyjać takim decyzjom. Obecnie trudno się dziwić, że dzieci rolników marzą o innym życiu, skoro obserwują swoich rodziców zawożących zbiory do hurtownika tylko po to, by im je ukradziono, tj. zakupiono po cenie niższej niż koszty produkcji.

Jednak nie tylko o przekazanie umiejętności i pasji tu chodzi – rolnicy są odpowiedzialni za dużo więcej.

Była już powyżej mowa o tym, dlaczego w równym stopniu jak aktywiści ekologiczni powinni oni zabiegać o ochronę dzikiego życia: w sposób nieunikniony zależy od niego ich własny los. Ktoś, o kim myślę jako o „dobrym rolniku”, potrafi instynktownie rozpoznać podstawową różnicę między tym, co naturalne a tym, co wytworzone przez człowieka – wie, że traktowanie gospodarstwa jako fabryki z żywymi istotami zamiast maszyn albo akceptacja inżynierii genetycznej w rolnictwie, prędzej czy później spowoduje nieszczęście, a także dodatkowe koszty. Traktowanie żywych istot jak automatów jest błędem o ogromnych konsekwencjach praktycznych.

Dobrzy rolnicy wiedzą także, iż natura może być sprzymierzeńcem gospodarki. Sir Albert Howard i Wes Jackson pokazali, że jeśli będziemy ją uważnie naśladować, zachowamy zdrowie i żyzność gleby – na dłuższą metę to jedyny sposób. Co więcej, „naturalne” znaczy „tanie”. Stosowanie nawozów naturalnych, zwłaszcza w perspektywie długoterminowej, jest tańsze niż zakup sztucznych. Dbanie o zdrowie zwierząt opłaca się bardziej niż faszeringowanie ich antybiotykami. Energia słoneczna, jeśli ją umiejętnie wykorzystywać – w tym np. wychwytywać za pomocą pastwisk, które następnie służą zwierzętom roboczym – jest tańsza niż ropa naftowa. Wysoko uprzemysłowione gospodarstwa są w pełni zależne od „środków produkcji”, w które muszą zaopatrywać się na zewnątrz. Gospodarstwo tradycyjne natomiast, działając w harmonii z otaczającą je przyrodą, korzysta z jej bogactwa, co pozwala na większą samowystarczalność i znaczące oszczędności.

Mamy zatem uznać, że dobry rolnik dąży do tego, by być bliżej natury jedynie z przyczyn praktycznych i oszczędnościowych? Nie sądzę.

Przyjmuje się, że od momentu, kiedy ludzkość zaczęła uprawiać ziemię i hodować bydło, zrezygnowała ze zbieractwa i polowań. A jednak przetrwały one do dziś jako nieodłączna i wciąż żywa część tradycyjnego stylu życia na wsi w moim regionie. Okoliczni mieszkańcy od wieków polowali, łowili ryby w stawach i strumieniach; wiosną zbierali zioła, jesienią orzechy, w lasach szukali jagód i innych owoców, wybierali dzikim pszczołom miód. Nie ma wątpliwości, że takie zabiegi były ważnym uzupełnieniem produkcji w gospodarstwie, były jednak również źródłem przyjemności doświadczanej podczas obcowania z naturą – bardzo podobnych uczuć doświadczają wszyscy miłośnicy przyrody, z aktywistami ekologicznymi włącznie. Większość rolników, których poznałem, a z pewnością najbardziej interesujący z nich, czerpie niekłamaną radość z wędrówek po okolicy, podczas których mogą zachwycić się widokiem polującego lisa czy też poczuć dreszcz ciekawości, widząc tajemnicze tropy na śniegu.

Wraz z wyludnianiem się wsi i nadejściem ciężkich czasów dla rolników te „dzikie” rozrywki zeszyły na

dalszy plan, ale nie zostały całkiem poniecane; symbolizują istotę najlepszych tradycji rolnictwa i zasługują na to, by ocalić je od zapomnienia i spontanicznie kultuwować. Między innymi dlatego właśnie uważam, że dobry rolnik jest jednocześnie działaczem na rzecz ochrony przyrody oraz że każdy rolnik powinien nim być.

Moim celem była próba wykazania, że istnieje wspólnota dążeń i interesów między rolnikami a aktywistami ekologicznymi. Identyfikacja owych wspólnych interesów oraz uświadomienie sobie tego, o czym pisałem na początku – że obie grupy mają tych samych wrogów – nasuwa naglące pytanie: dlaczego otwarcie i zdecydowanie nie zaakcentują one kwestii, co do których się zgadzają, i nie dadzą szansy współpracy?

Nie mam zamiaru umniejszać różnic między tymi środowiskami – dostrzegam je i zdaję sobie sprawę, że nie są błahie. Jednak pomimo tego uważam, że współdziałanie jest potrzebne i możliwe. Skoro plantatorzy tytoniu ze stanu Kentucky potrafili usiąść do stołu z grupami antynikotynowymi, określić „wartości podstawowe”, co do których wszyscy byli zgodni, i zacząć wspierać się nawzajem³ – to coś podobnego mogłoby nastąpić także w relacjach między „ochroniarzami” a rolnikami prowadzącymi gospodarstwa rodzinne, lokalnymi właścicielami lasów i tartaków etc. Na dobrą sprawę podobny proces już ma miejsce, ale jak dotąd na małą, lokalną skalę. Konieczne jest zainteresowanie i aktywny udział większych organizacji reprezentujących każdą ze stron.

A jednak póki co te dwa środowiska, które powinny ze sobą współpracować, trwają w konflikcie. W czym tkwi problem? Wydaje mi się, że odpowiedzi należy szukać w sferze ekonomicznej. Właściciele małych gospodarstw robią wszystko, by przetrwać w świecie gospodarki kontrolowanej przez wielkie korporacje, a to oddala ich od natury, która jest przecież fundamentem gospodarki rolnej. Często nie poświęcają też należytej uwagi dysproporcjom między nieustająco balansującymi na granicy załamania lokalnymi systemami ekonomicznymi a nieustająco kwitującym systemem wielkich korporacji, który na nich żeruje.

Z drugiej strony, większość obrońców przyrody mieszka w miastach i przejawia głęboką ignorancję w kwestii trudności ekonomicznych, z jakimi borykają się na co dzień właściciele gospodarstw rodzinnych. Zdecydowanie zbyt mało uwagi poświęcają analizie związków między „miejską” gospodarką a degradacją środowiska naturalnego. Trudno im dostrzec, że nieodpowiedzialne praktyki w rolnictwie i leśnictwie, wobec których deklarują sprzeciw, odbywają się niejako w ich imieniu i za ich przyzwoleniem – dzięki wsparciu ekonomicznemu, które oferują korporacjom jako konsumenci.

To bez wątpienia bardzo poważne problemy, pokazujące, że ekonomia nie kończy się na gospodarce przemysłowej, choć tej ostatniej znakomicie udaje się

kreować takie fałszywe wyobrażenia. Zbyt wielu rolników i zbyt wielu ekologów bezrefleksyjnie przyjmuje pogląd, że dostępność dóbr zależy wyłącznie od zasobności portfela i od mechanizmów rynkowych. Innymi słowy wierzą w to, do czego między wierszami starają się ich przekonać korporacje: że można bezpiecznie oddzielić ekonomię od ekologii, a to, co wytworzone przez człowieka od tego, co naturalne. Uprzemysławiający się rolnicy zbyt łatwo przyjęli, że ziemia, którą gospodarują, może bez protestów podporządkować się technologii, a ochronę przyrody można z powodzeniem zostawić aktywistom. Ci ostatni natomiast zbyt pochopnie uznali, że prawidłowe funkcjonowanie Przyrody można zabezpieczyć poprzez wyłączenie z użytkowania dziewiczych zakątków kraju, a dbałość o kondycję terenów wiejskich można z powodzeniem zostawić agrobiznesowi, przemysłowi drzewnemu, zadłużonym rolnikom i sezonowo najmowanym pracownikom rolnym.

Wygląda na to, że u podstaw konfliktu między wspomnianymi grupami leży kurczowe przywiązanie każdej z nich do własnych interpretacji. Co można z tym zrobić? Myślę, że niewiele, dopóki obie strony nie otworzą się na dialog i nie spróbują wypracować wspólnego języka. Aktywiści ekologiczni muszą się gruntownie zapoznać z problematyką gospodarki rolnej, rolnicy natomiast uświadomić sobie, że istnieją ważne powody, również ekonomiczne, dla których należy poważnie traktować kwestie związane z ochroną przyrody.

Nie podejmując współpracy, obie strony pozwolą na łatwe zwycięstwo ich wspólnego wroga – totalistycznych korporacji, które coraz sprawniej jednoczą się pod szyldem „globalnej gospodarki”, by całkiem zdominować zarówno przyrodę, jak i żyjące w niej ludzkie wspólnoty.

WENDELL BERRY

tłum. Magdalena Gorzak

Tekst pierwotnie ukazał się w „Sierra Magazine”, maj – czerwiec 2002. Strona pisma: www.sierraclub.org/sierra

Przypisy:

1. Tj. zwolennikiem doktryny głoszącej, że podstawą rolnictwa, mającego stanowić ekonomiczny i moralny fundament społeczeństwa, powinny być niewielkie, samodzielne gospodarstwa (przyp. tłum.).
2. Warto zwrócić uwagę, że tekst ten napisany został kilka lat przed wielkim kryzysem na amerykańskim rynku finansowym, który „rozlał się” na cały świat (przyp. red. „Nowego Obywatela”).
3. W 1998 r. kilkadziesiąt organizacji rolniczych, prozdrowotnych i religijnych opracowało katalog wspólnych postulatów, jak przeznaczenie wpływów z akcyzy od produktów tytoniowych na zdrowie publiczne oraz wsparcie społeczności lokalnych uprawiających tę roślinę, czy obowiązek podawania na etykiecie udziału krajowego surowca w danym wyrobie (przyp. red. „Nowego Obywatela”).

Demokracja i jej wrogowie

DR JAROSŁAW TOMASIEWICZ

Demokracja jest dziś czymś więcej niż tylko ustrojem politycznym. Stała się religią, której dogmaty nie podlegają kwestionowaniu. Uznanie kogoś za przeciwnika demokracji jest równoznaczne ze średnio-wieczną ekskomuniką. Politycy i dziennikarze spierają się tylko, kto jest bardziej prawdziwym demokratą. Często cytowane słowa Churchilla, że nikt nie wymyślił lepszego ustroju, sprawiają, iż nawet nie próbujemy sobie wyobrazić alternatywy. Co więcej, pojęcie demokracji cały czas ulega zawężaniu – zostało zarezerwowane dla jej szczególnego modelu: demokracji liberalnej i przedstawicielskiej.

Spróbujmy wypunktować tu dogmaty Nowej Religii Panującej:

- społeczeństwo jako wyraz umowy społecznej równych i wolnych jednostek
- społeczeństwo źródłem władzy
- poszanowanie praw człowieka – praworządność
- demokracja przedstawicielska oparta na mandacie wolnym
- pluralizm polityczny i wolność mediów
- podział władzy
- konstytucjonalizm

Fakt, że demokracja panuje dziś niepodzielnie, nie oznacza, że nie ma ona przeciwników. Jest ich więcej, niż się nam wydaje – spróbujemy ich usystematyzować.

„Poganie”: pozaeuropejskie ruchy antydemokratyczne

Gdybyśmy zapytali, kto jest współcześnie największym wrogiem demokracji, to prawdopodobnie najczęściej wskazywany byłby islamski fundamentalista – śniady, odziany w burnus, z kałasznikowem w ręce i pasem z materiałami wybuchowymi na biodrach. Takim obrazem karmią nas media.

To wróg bardzo wdzięczny, bo ogromnie się od nas różniący, a przez to łatwy do zidentyfikowania i odrzucenia. Rzeczywiście: fundamentaliści muzułmańscy spod znaku Al-Kaidy czy Hizb ut-Tahrir jasno i otwarcie odrzucają demokrację, tak jak każde inne rządy człowieka – także dyktaturę czy monarchię. Ich zdaniem, suwerenność przynależy wyłącznie Bogu, który objawił nam swe prawo (szariat), a rolą ludzi jest tylko



poznawanie i interpretowanie boskich zasad. Dziedzictwo Oświecenia jest im obce jako przynależne do innej cywilizacji.

Ale choć polscy żołnierze walczą w górach Hindukuszu, to fundamentaliści muzułmańscy nie zagrażają bezpośrednio Rzeczypospolitej. Trudno sobie wyobrazić, by afgańscy talibowie dotarli pod Warszawę – dlatego możemy ich pominąć w naszych rozważaniach. Darujmy sobie też zwolenników konfucjańskiej teorii państwa. Zajmijmy się raczej tymi przeciwnikami liberalnej demokracji, których zrodziła nasza cywilizacja.

„Heretycy”: ruchy antydemokratyczne Zachodu

Przeciw demokracji występują z powodów zasadniczych anarchiści, zwłaszcza anarchoindywidualiści. Demokracja to wszak władza ludu – a oni odrzucają każdą władzę człowieka nad człowiekiem. Bardziej umiarkowana część anarchistów opowiada się za skrajnie zdecentralizowaną formą demokracji bezpośredniej – rządami permanentnych zgromadzeń ludowych – ale i ta wizja sprzeczna jest z parlamentaryzmem.

Większość ruchów antydemokratycznych nie neguje jednak władzy jako takiej, lecz tylko jej demokratyczną postać. Najczęściej kwestionują samą zasadę suwerenności ludu (społeczeństwa). Do kogo więc ta suwerenność miałaby należeć?

Najdalej idą tu reakcjonisci-legitymiści, którzy uważają, że wszelka władza pochodzi od Boga, ten zaś sprawuje ją – i tu jest różnica z fundamentalistami islamskimi – za pośrednictwem bożego pomazańca, czyli monarchy. Monarcha nie jest jednak władcą absolutnym, zmuszony bowiem pozostaje do poszanowania tradycji i prawa naturalnego. Legitymiści to margines marginesu, w Polsce reprezentowany przez niewielki Klub Zachowawczo-Monarchistyczny. W złagodzonej wersji podobne idee głoszą jednak integraliści katolicki spod znaku Radia Maryja, którzy akceptując zasady demokracji, nie dopuszczają jednocześnie, by działania demokratycznych władz naruszały prawo naturalne w ich wykładni.

Inaczej uzasadniają odrzucenie demokracji nowocześni „naukowi” elitaryści. Nie odwołują się do Boga, lecz do nauki, a ściślej do praw przyrody, które objawił im Darwin i jego uczniowie. Ich zdaniem, istotą natury jest nierówność, dlatego wszelka demokracja to w najlepszym razie fikcja – zawsze rządzą elity. Otwarcie takie idee głosi francuska Nowa Prawica (np. Klub Zegarowy), w Polsce nie mająca swego odpowiednika. Warto jednak zwrócić uwagę, że w formie zakamuflowanej takie koncepcje głoszą różnej maści technokraci, dla których wciąż ubezwłasnowolniany parlamentaryzm jest tylko parawanem dla „rządów fachowców”. Ludzi tego pokroju spotkamy w każdej partii. Pewnym wariantem „technokratyzmu oświeconego” jest też projekt Unii Europejskiej, w ramach którego referendum powtarza się tak długo, aż zmęczone społeczeństwa



© Pascal (pasukaru76), flickr.com/photos/pasukaru76/5231503407/

zagłosują „właściwie”. Demokratyczna legitymizacja jest tu zaledwie listkiem figowym merytokracji.

Niewątpliwie przeciwnikami demokracji są też ekstremiści ekologiczni, którzy odrzucają panowanie człowieka nad przyrodą. Oczywiście nie dotyczy to wszystkich obrońców środowiska naturalnego, a tylko tych najbardziej skrajnych: wyznawców fińskiego ekofilozofa Pentti Linkoli, ekoterrorystów z grup takich jak Wyzwoliciele czy Front Wyzwolenia Ziemi. Linkola otwarcie mówi, że środowisko naturalne może uratować przed człowiekiem tylko „zielona dyktatura”. Choć od fundamentalistów religijnych różnią się prawie pod każdym względem, to łączy ich jedno – nie uznają człowieczeństwa, ludzkości za najwyższą wartość. Idą jednak dalej od fundamentalistów religijnych, gdyż człowiek nie jest dla nich koroną wszelkiego Stworzenia, najdoskonalszym z bożych dzieł, lecz planetarną chorobą, którą należy usunąć. Rzec można, że rozszerzają oni zasady demokracji na całą przyrodę ożywioną, a ludzkość zostaje wtedy „przegłosowana” przez inne gatunki.

„Schizmatycy”: ruchy alterdemokratyczne

Inna grupa przeciwników obecnego ustroju to ruchy nie tyle antydemokratyczne, co – przez analogię do alterglobalistów – „alterdemokratyczne”. To ruchy, które nie kwestionują samych fundamentów demokracji, tj. zasady suwerenności ludu, krytykują zarazem jej realizację, czyli liberalną demokrację parlamentarną. Twierdzą, że ta forma demokracji nie spełnia swych obietnic, tj. nie wyraża rzeczywistej woli ludu, lecz deformuje ją. Zgadzając się w aspekcie negatywnym,

różnią się diametralnie w zakresie proponowanych rozwiązań.

Faszyści i bonapartyści uważają, że wola narodu najpełniej wyrażana jest poprzez genialną jednostkę: Wodza. Zarazem naród postrzegają jako wspólnotę pokoleń, co pozwala Wodzowi podejmować decyzje sprzeczne z wolą aktualnej większości - wszak to on „wie lepiej”, co jest w interesie narodu.

Od koncepcji skrajnej prawicy odcinają się komuniści. Pomimo jednak formalnego uznania równości obywateli, głoszą wyższość mas ludowych nad klasami posiadającymi, proletariatu nad resztą pracujących, wielkoprzemysłowej klasy robotniczej nad robotnikami z małych zakładów, partii komunistycznej nad klasą robotniczą, kierownictwa partii nad szeregowymi członkami. Klasyczny system komunistyczny - władza rad w Rosji bolszewickiej - zorganizowany był na tej zasadzie, np. 1 delegata wybierało 10 robotników, ale 50 chłopów. Okazuje się tu, że jedynie komunistyczna awangarda uprawniona jest do artykułowania woli ludu.

Na pierwszy rzut oka pułapkę tę ominęli korporacjoniści, postulujący „demokrację organiczną”, w której podmiotem nie są jednostki, lecz grupy społeczne, zorganizowane w korporacje. W myśl tej koncepcji, przedstawicielstwo narodowe pochodzi nie z wyborów, a z delegacji, co pozwala lepiej odzwierciedlić skład społeczeństwa i zarazem związać posłów z wyborcami. Wizja ta jest jednak trudna do realizacji w warunkach mobilności społeczeństwa: zanim jednostka zdąży poczuć się związana z jakąś grupą zawodową czy terytorium - już zmienia miejsce pracy lub zamieszkania. W świecie koczowników korporacjonizm stałby się fikcją zdominowaną przez faktycznie niekontrolowanych biurokratów korporacyjnych.

Najpełniejszymi demokratami są populiści. Chcą demokracji rozumianej dosłownie - jako bezpośrednia władza wszystkich obywateli, realizowana poprzez referenda. Słabością ich koncepcji jest jednak to, że taka forma demokracji łatwo może przerodzić się w tyranie większości, nie wspominając już o podatności mas na demagogię. Plebiscyt w warunkach nieograniczonych możliwości manipulowania opinią publiczną przez media ma taki sam sens, jak w III Rzeszy.

„Zeloci”: minorytarianie

Wszystkie opisane tu ideologie to przeciwnicy demoliberalizmu rzecz można odwieczni. Ale w ostatnich latach pojawił się przeciwnik nowy, który wyewoluował z demokracji jako hiperliberalizm. Demokracja została zredefiniowana: to już nie władza większości, szanująca prawa mniejszości, lecz prymat interesów mniejszości nad większością. Atomizacja społeczeństwa sprzyja nielicznym, ale głośnym i dobrze zorganizowanym *lobbies*. Ich działalność sprawia, że niejednokrotnie współczesna demokracja okazuje się zaprzeczeniem demokracji klasycznej.

„Kapłani”: politycy

Przysłuchując się argumentom przeciwników demokracji nie sposób odmówić słuszności niektórym z nich. Demokracja rzeczywiście jest często nieefektywna, słaba, skorumpowana. Polska demokracja jest tu niezbyt budującym przykładem. Wszyscy potrafimy podać przykłady niekompetencji polityków. Nie zawsze jest to tylko niekompetencja - często również nieuczciwość. Do nieustannych informacji o wciąż nowych aferach zdążyliśmy już przywyknąć, nie robią na nas wrażenia. Polska jest na 49. miejscu w światowym Indeksie Postrzegania Korupcji, opracowanym przez Transparency International, wyprzedzona nie tylko przez Nową Zelandię, Danię czy Singapur, ale też np. przez Zjednoczone Emiraty Arabskie, Kostarykę i Botswanę. Ale czy Polska jest odosobnionym przypadkiem? Choć u nas te patologie ujawniają się w sposób wybitnie jaskrawy, to przykład chociażby Silvio Berlusconi pokazuje, że nie jesteśmy niechlubnym wyjątkiem.

Powiedzmy więc jasno: demokratyczni politycy osłabiają demokrację, dostarczając argumentów jej wrogom.





© legoferris, flickr.com/photos/legoferris/508721616/

„Wierni”: społeczeństwo

Ale czy tylko politycy są tu winni? Przecież politycy nie wzięli się z Marsa. To my ich wybraliśmy. **Każde demokratyczne społeczeństwo ma takich polityków, na jakich zasługuje.** Przyjrzyjmy się więc społeczeństwu polskiemu. Socjologowie są zgodni: cechuje je dramatycznie niski poziom kapitału społecznego. **Gdy Polaków pytano, czy można ufać innym ludziom, ¼ odpowiedziało, że nie. To najgorszy wynik w Europie.** To samo dotyczy stopnia uspołecznienia Polaków, mierzonego udziałem w stowarzyszeniach. Przykłady można by mnożyć. W rezultacie społeczeństwo nazbyt często okazuje się bezkształtną masą, dowolnie manipulowaną przez media. Gdy w czasie ataku na Jugosławię zaserwowały one odbiorcom umiejętnie spreparowaną porcję informacji o serbskich okrucieństwach (pomijając skrupulatnie wszystko, co nie pasowało do czarno-białego obrazu sytuacji), polska opinia publiczna poparła bombardowania tradycyjnie zaprzyjaźnionego kraju.

„Kościół bez Boga”

Apatia społeczeństwa nie bierze się jednak z niczego. Nie obarczajmy tu całą winą komunistycznej spuścizny: w Trzeciej Rzeczypospolitej wychowało się już całe pokolenie, a jego stopień uspołecznienia jest jeszcze niższy niż rodziców. Przyczyn szukać należy w głębiej zachodzących zjawiskach.

Otoczająca nas rzeczywistość staje się coraz bardziej skomplikowana, przeciętny człowiek przestaje

ją ogarniać, zdając się na opinie polityków, ekspertów, dziennikarzy, celebrytów. W miarę postępów globalizacji ośrodki decyzyjne przenoszą się na coraz wyższy poziom – do Brukseli, do Waszyngtonu, wciąż i wciąż oddalając od obywatela. Wynik wyborów parlamentarnych ma coraz mniejsze znaczenie ze względu na zobowiązania międzynarodowe i nacisk rynków finansowych, potrafiących zdestabilizować przeciętną gospodarkę.

Proces profesjonalizacji objął nie tylko politykę, ale także obronność. Na współczesnym, wysoce stechniczowanym polu bitwy radzić sobie potrafi tylko zawodowy żołnierz, co sprawia, że kolejne państwa rezygnują z poboru, z armii obywatelskiej. Choć przeciętnego zjadacza chleba taka perspektywa raduje, to trudno nie zwrócić uwagi, że **demokracja ateńska była dzieckiem falangi hoplitów, demokracja szlachecka – pospolitego ruszenia, demokracja współczesna – powszechnego poboru. Dziś lud wypuszcza oręż z rąk, zdając się na lojalność najemników. O święta naiwności!**

W rezultacie ludzie czują, że tracą kontrolę nad własnym życiem. Nic dziwnego, że demokrację postrzegają jako spektakl, jako formę pozbawioną istotnej treści – coś na kształt Republiki Rzymskiej w okresie pryncypatu. Demokracja zaczyna przypominać Kościół bez wiernych. Ale czy możliwa jest demokracja bez demokratów?

DR JAROSŁAW TOMASIEWICZ

NASZE TRADYCJE

DŁUGIE I MOCNE KORZENIE NASZYCH IDEI

Polityka społeczna w początkach niepodległości

Melania Bornstein-Łychowska

Warunki, w których nastąpiło wskrzeszenie Państwa Polskiego, przesądziły kierunek jego polityki wewnętrznej w duchu najbardziej demokratycznym i współczesnym. Wybitna rola, jaką klasa robotnicza odegrała w polskim ruchu niepodległościowym przed wojną światową i podczas niej, nastroje społeczne, panujące w Europie i Ameryce w latach 1917 i 1918, wyraz, jaki one znajdowały podczas Konferencji Pokojowej, wrzenie rewolucyjne, otaczające Polskę od wschodu i od zachodu w okresie przywracania bytu państwowego, osobistość Józefa Piłsudskiego, któremu ustanowiona przez okupantów Rada Regencyjna przekazała w najkrytyczniejszej chwili (14 listopada 1918 r.) „obowiązki i odpowiedzialność względem narodu polskiego” – wszystko przyczyniało się do spotęgowania wpływów robotniczych i w ogóle radykalnych. [...]

Gabinet Moraczewskiego przygotował i ogłosił ordynację wyborczą sejmu ustawodawczego, opartą na pięcioprzymiotnikowym powszechnym prawie wyborczym, przy pełnym równouprawnieniu kobiet, i szereg innych dekretów, z których kilka dało zasadnicze podwaliny polskiej polityce społecznej. [...] rząd Moraczewskiego stanął od razu na stanowisku konieczności zadośćuczynienia naczelnym hasłom warstw pracujących. Bezpośrednio po ogłoszeniu dekretu o najwyższej władzy reprezentacyjnej Republiki Polskiej nastąpił dekret o 8-godzinnym dniu pracy, ustalający 8-godzinny dzień i 46-godzinny tydzień pracy dla robotników i pracowników we wszystkich zakładach przemysłowych, górniczych, hutniczych, rzemieślniczych, przy komunikacjach lądowych i wodnych oraz w przedsiębiorstwach handlowych, z zastrzeżeniem, by skrócenie czasu pracy do tej normy nie pociągnęło za sobą obniżenia płacy. [...]

Najpilniejszym zadaniem realnym było rozwiązanie zagadnienia bezrobocia. [...] dekretem z dn. 27 stycznia 1919 r., w celu ułatwienia poszukiwania pracy oraz zapewnienia opieki wychodźcom polskim, powstały Państwowe Urzędy Pośrednictwa Pracy i Opieki nad Wychodźcami (PUPP). Zajął się one rejestracją zgłoszeń osób poszukujących pracy, roztaczając szczególną opiekę nad robotnikami powracającymi z Niemiec, i podjęły inicjatywę w kierunku uruchomienia robót publicznych, fabryk i warsztatów. [...] Zasadnicza akcja Państwowych Urzędów Pośrednictwa Pracy w kierunku dostarczenia zatrudnienia pozostałym na miejscu i powracającym bezrobotnym napotkała na razie oczywiście na nieprzewidywane trudności wobec całkowitego długoletniego zamarcia przemysłu. [...]

W obliczu tej zatrważającej swym ogromem klęski przystąpiono śpiesznie do organizowania robót publicznych mimo nieodpowiedniej pory roku i pełnej świadomości, że nie ma żadnych gotowych projektów ani właściwego aparatu. Organami wykonawczymi uczyniono miejscowe komitety przy samorządach, zaś na ich czele postawiono Urząd Robót Publicznych. [...] Jednocześnie podjęto udzielanie pomocy bezrobotnym za pośrednictwem specjalnych komitetów lokalnych, pozostających w ścisłej łączności z Urzędami Pośrednictwa Pracy i złożonych z przedstawicieli miejscowej władzy

administracyjnej, rady miejskiej lub powiatowej instytucji opieki społecznej i delegatów organizacji przedsiębiorców i robotników, przy czym ci ostatni mieli zagwarantowaną połowę przedstawicielstwa. Już z dniem 26 grudnia 1918 r. rozpoczęto wydawanie zasiłków pieniężnych, po miesiącu zaś zaczęto stopniowo przechodzić od tej formy pomocy do zapomóg w naturze w postaci artykułów żywnościowych, mydła i drzewa. Nadto pozostający bez pracy właściciele mieszkań korzystali na zasadzie specjalnego dekretu z moratorium mieszkaniowego. [...]

Czyniąc zadość potrzebom najbardziej palącym, nie tracono jednak z oka celów dalszych, zasadniczych. Przy oparciu się na razie o zasadę 8-godzinnego dnia pracy i przepisy ochronne zaborców, przystąpiono energicznie do przygotowania kadr personelu nadzorującego przestrzeganie tych przepisów. Rosyjscy inspektorzy fabryczni opuścili bowiem swe placówki podczas ogólnej ewakuacji władz rosyjskich, a władze okupacyjne nie pozwalały na rozwój warszawskiej inspekcji pracy, próbując powoływać do życia niemieckie placówki inspekcyjne. Wytworzoną w ten sposób próżnię postarano się zapełnić przy pomocy kilkumiesięcznych kursów kształcących, egzaminów kandydatów na inspektorów pracy i organizacji na razie dwudziestu kilku urzędów na podstawie dekretu tymczasowego o urzędzeniu i działalności inspekcji pracy.

KOMENTARZ

LEPSZE JUTRO BYŁO W CZORAJ?

Niemal cała myśl polityczna oraz intuicja potoczna bazują na przekonaniu, że państwo jest obywatelom potrzebne po to, aby ich wspierało, ulepszało kondycję życia zbiorowego oraz pomagało dokonać tego, co przekracza możliwości oddolnych wysiłków, a co jest korzystne dla społeczeństwa. Jeśli państwo nie podejmuje takich działań, można postawić pytanie, po co ono w ogóle istnieje. Pytanie takie stawiają dziś Polacy przy wielu okazjach.

Przekaz, który płynie do nich od państwa, brzmi mniej więcej tak: „mam was gdzieś, sami martwiecie się o siebie”. Państwo „nie ma” na benzynę do policyjnych radiowozów, państwo nie buduje dróg, państwo zamyka urzędy pocztowe i placówki sądowe w mniejszych miastach. Władze mówią nam, że nie stać ich właściwie na nic – czy będzie to wizyta obywatela u lekarza-specjalisty, czy zaopatrzenie

biblioteki w nowe książki, czy nawet położenie chodnika. Za komuny pewien kabareciarz żartował, że nie ma nic prostszego niż praca w sklepie – wystarczy przez 8 godzin dziennie mówić „nie ma”. Dziś równie mało wymagająca jest praca włodarzy gminnych, powiatowych, wojewódzkich i ministerialnych: „nie mamy”.

Nic dziwnego, że w XXI w. nawet inwestycje w tak „nowatorską” i „luksusową” sferę, jak budowa sieci kanalizacyjnej, muszą być oznakowane tablicami informującymi, że 3/4 środków na ten cel pochodzi z programu operacyjnego numer milion sto dwadzieścia tysięcy dwieście szesnaście, łamane przez duże C, finansowanego przez najwyższy urząd ds. wykopów ziemnych, z siedzibą w lewym skrzydle gmachu Komisji Europejskiej. W Polsce na takie cuda, jak oczyszczanie ścieków – „nie mamy”.

Na domiar złego państwo kpi z obywateli. Choćby wtedy, gdy za pomocą reklamowych spotów zachęca ich do płodzenia dzieci, a zarazem likwiduje żłobki, przedszkola i szkoły. Lub gdy poucza bezrobotnych, że są roszczeniowymi cwaniakami i leniami, jednocześnie obcinając kwoty na programy aktywizowania osób pozostających bez pracy. Albo

Dekret ten, którego zasady rozciągnięto z czasem również na inne dzielnice Polski i który obowiązywał do roku 1928, rozszerzył znacznie właściwości organów nadzorujących wykonywanie ustaw ochronnych, poddając ich kompetencji pracę najemną we wszystkich gałęziach (przemysł, rzemiosło, handel i rolnictwo) bez względu na rozmiary przedsiębiorstwa.

Równolegle do działalności w dziedzinie ochrony pracy tworzone fundament polskich ubezpieczeń społecznych, które w b. zaborze rosyjskim istniały tylko pod postacią prawa do otrzymywania odszkodowania za wypadki przy pracy w większych przedsiębiorstwach górniczych, hutniczych i przemysłowych. Do opracowanego w okresie okupacji projektu o obowiązkowym ubezpieczeniu na wypadek choroby wprowadzono dzięki pomyślnemu przewrotowi w losach kraju daleko idące zmiany i ogłoszono (dn. 11 stycznia 1919 r.) dekret, w którym ustalono cztery dotychczas obowiązujące zasady tego ubezpieczenia: przymus ubezpieczenia, powszechność obowiązku ubezpieczenia w stosunku do pracowników najemnych wszystkich kategorii, rozmieszczenie kas chorych według zasady terytorialnej oraz ich autonomię. Rozpoczęto też zaraz organizację pierwszej kasy chorych w Warszawie, która rozpoczęła swe czynności od sierpnia tegoż roku. [...]



©©© Tobias Higbie, flickr.com/photos/higbie/3342024903/

wtedy, gdy przekonuje obywateli, że powinni być „mobilni”, a w tym samym czasie masowo likwidowane są połączenia kolejowe i autobusowe oraz niszczone cała towarzysząca im infrastruktura.

W kraju, w którym do aktów prawnych – od Konstytucji poczynając – oraz do wszelkich deklaracji czynników oficjalnych wpisywana jest równość szans, sprawiedliwość społeczna, ochrona życia itd., można przy odrobinie pecha umrzeć podczas transportu między wymigującymi się od odpowiedzialności placówkami służby zdrowia. Można zostać odciętym od elementarnych zdobyczy cywilizacyjnych i instytucji. Można po wypadku skutkującym utratą ręki lub nogi stawiać co roku przed komisją orzekającą niezdolność do pracy („nie odrosło wam przypadkiem, obywatelu?”)...

To wszystko nie dzieje się przypadkiem. Choć zdarza się indolencja, brak wyobraźni, lenistwo czy wieloletnie zapóźnienia cywilizacyjne, większość tego rodzaju problemów ma przyczynę w przyjętej ideologii i wynikających z niej sposobach działania. Ideologia ta jest jawnie antyspołeczna, a na imię jej neoliberalizm. Mówiąc w dużym skrócie, zasada się ona na przekonaniu, że państwo nie jest

dla ogółu obywateli, lecz dla wybranych, choć nikt tego nie mówi wprost. To samo państwo, które „nie ma” na połączenia kolejowe dla obywateli, wykląda ogromne kwoty na rozwój infrastruktury mającej ułatwić zagranicznym koncernom wozienie towarów przez Polskę ze wschodu na zachód lub odwrotnie. Państwo, któremu „nie starcza” na przedszkola, jest zawsze gotowe obniżyć podatki Kulczykowi i telewizyjnym celebrytom. Państwo, które za palenie papierosa lub picie piwa w niedozwolonym miejscu wręcza kilkusetzłotowy mandat bezrobotnemu lub emerytowi, podobnej wysokości kary nakłada na operującą w skali globu firmę handlową, której zyski bazują na zorganizowanym systemie wyzysku tysięcy pracowników. Innymi słowy, neoliberalizm jest socjalizmem dla bogatych.

W Polsce mamy do czynienia ze skrajną odmianą tej ideologii i towarzyszących jej rozwiązań. Wystarczy wspomnieć, że nawet w krajach symbolizujących liberalizm społeczno-gospodarczy istnieją systemy wsparcia obywateli na skalę, o której Polacy mogą tylko pomarzyć. W Stanach Zjednoczonych ponad czterdzieści milionów osób (!) otrzymuje od państwa talony na produkty żywnościowe, bo nawet

Gdy [...] fala strajków rolnych, szczególnie gwałtowna w południowo-wschodnim kącie b. Królestwa Kongresowego, nie opadała, gdy strajki te zaczęły grozić nie tylko przelotnymi ekscesami, ale i niewykorzystaniem właściwej pory robót polnych, co w obliczu braków aprowizacyjnych przedstawiało się jako klęska podwójna, sejm zażądał od rządu, by działalność inspektorów pracy niezwłocznie rozciągnąć na rolnictwo, jednocześnie grożąc przymusowym zarządzeniem właścicielom majątków ziemskich „niezagospodarowanych wskutek opornego stanowiska właścicieli wobec słuszných żądań robotniczych i pojednawczej akcji inspektorów pracy”. Uchwała sejmu z 28 marca 1919 r. dała początek szerokiego prawodawstwu o załatwianiu zatargów zbiorowych między pracodawcami a pracownikami w rolnictwie. Prawodawstwo to stworzyło aparat, dzięki któremu cały obszar Rzeczypospolitej pokrywał się stopniowo siecią zbiorowych umów ramowych, a strajki w rolnictwie traciły na ostrości przebiegu i stawały się coraz rzadszym wyjątkiem. Dzięki umowom zbiorowym położenie robotnika rolnego, który w okresie zaborów był najuboższym, najgorzej płatnym, lekceważonym składnikiem proletariatu polskiego, uległo znakomitej poprawie zarówno pod względem materialnym, jak i moralnym. [...]

W miastach sprawę domagającą się zasadniczego uregulowania stanowiła pomoc dla bezrobotnych. Przejście przez doraźnie tworzone komitety

do udzielania zasiłków w naturze zamiast w pieniądzu nie dało pożądaných rezultatów, nie zapobiegło nadużyciom i nie dostarczyło selekcji najbardziej potrzebujących. Mniemano, że złe strony doraźnej pomocy dadzą się usunąć przez stworzenie dla niej podstaw ustawowych, które powstały w postaci ustawy z dn. 4 listopada 1919 r. Ustawa ta przewiduje powiatowe komisje niesienia pomocy bezrobotnym, które oparły się w swej działalności o rejestry sporządzone przez Państwowe Urzędy Pośrednictwa Pracy, nadto zmieniła ustaloną poprzednio formę i wysokość zapomóg, obniżając je i przywracając system wypłaty w produktach. Przy tym już wówczas – przed powstaniem międzynarodowych koncepcji o wzajemności w traktowaniu obywateli własnych i cudzoziemców – uprawniono do korzystania z tej pomocy również obywatele państw obcych, zamieszkałych na terytorium państwa polskiego. [...]

Dnia 12 grudnia 1919 r. ogłoszona została ustawa o czasie pracy w przemyśle i handlu, rozwijająca dekret wydany przed rokiem w tej samej sprawie. Ustawa zachowuje normę 8-godzinnego dnia i 46-godzinnego tygodnia pracy; wprowadza zakaz pracy w porze nocnej oraz w niedziele i dni świąteczne; przewiduje nieliczne wyjątki od powyższych zasad; ustala wysokość dodatku za godziny nadliczbowe na 50% płacy normalnej, jeżeli praca nadliczbowa odbywa się w dzień powszedni, na 100% zaś za pracę

liberałom nie mieści się w głowie, że w cywilizowanym kraju można być w dzisiejszych czasach głodnym. W Wielkiej Brytanii, przez którą przetoczyło się liberalne tsunami autorstwa Thatcher i jej następców, system wspierania rodzin i rodzicielstwa wygląda tak, że wśród polskich emigrantów zarobkowych w Londynie czy Glasgow – nie będących wszak nawet obywatelami owego kraju! – mówi się o prawdziwym *baby boomie*.

Jak wspominałem, nie jest to dziełem przypadku, lecz efektem decyzji podjętych świadomie na progu tworzenia nowego ładu instytucjonalnego. Autorzy polskiej transformacji, niezależnie, czy mieli zawziętą twarz Leszka Balcerowicza, czy dobrodusze oblicze Jacka Kuronia, po prostu wypięli się na społeczeństwo, nie poczuwając się do jakichkolwiek obowiązków wobec niego. Żadnym usprawiedliwieniem nie jest przy tym fakt, że w nowe realia wchodziliśmy z garbem dziedzictwa 45 lat niewydolnego, marnotrawnego i rozsypującego się w oczach „realnego socjalizmu”. Nikt o zdrowych zmysłach nie oczekiwał przecież, że po chwili i bez wysiłku będzie nad Wisłą tak, jak nad Łabą, Sekwaną czy Tamizą. Problem polega jednak na tym,

że decydenci celowo wybrali zupełnie inną drogę – drogę antyspołeczną.

Porównania z innymi krajami są zawsze obarczone ryzykiem błędu, czyli nieuwzględnienia tamtejszej historii, kultury i mentalności z jednej strony, z drugiej zaś położenia, naturalnych atutów lub takowych przeszkód. Dlatego też w niniejszym wydaniu działu „Nasze tradycje” przypominamy polską myśl społeczną sprzed lat. Ten sam kraj, podobne realia naturalne, podobne momenty historyczne – w ostatnich dekadach wychodzenie z komunizmu, w II RP zaś zmaganie się z dziedzictwem zaborów. Za to dwa zupełnie różne sposoby myślenia o społeczeństwie, roli państwa i jego powinnościach.

Publikujemy teksty obrazujące, że nawet w trudnych warunkach władze publiczne i wspierający je specjaliści mogą dla obywateli wiele dokonać i jeszcze więcej planować. Zacołanie gospodarcze, niedobory budżetowe czy brak struktur instytucjonalnych ograniczają pole manewru, jednak nie stanowią nieprzezwycięzalnej bariery. Dla chcącego nic niemożliwego – zdają się mówić autorzy publikowanych rozważań.

w porze nocnej, w niedzielę lub święto. Przy małym doświadczeniu zarówno obu stron zainteresowanych tą ważną sprawą, jak i miarodajnych czynników rządowych i przy niewyrobionych metodach pracy parlamentarnej ustawa o czasie pracy wypadła, w porównaniu z analogicznymi aktami na Zachodzie, nieco sztywno i nie dość wyczerpująco, wymagając z czasem licznych przepisów uzupełniających wykonawczych. Najbardziej zasadniczymi z nich są przepisy o czasie pracy w handlu (z dn. 14 lutego 1922 r.) oraz o dniach świątecznych (wydane jako rozporządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej dn. 15 listopada 1924 r. i znowelizowane dn. 18 marca 1925 r.).

Tak samo uchwalona dn. 19 maja następnego roku ustawa o ubezpieczeniu na wypadek choroby pozostawiła nienaruszonymi podstawowe zasady dekretu poświęconego tej sprawie, wzmacniając powszechność i przymus ubezpieczenia przez ograniczenie dopuszczalności zwolnienia się od tego przymusu. Poza tym nowa ustawa przyniosła rozszerzenie niektórych świadczeń i pewne zmiany w organizacji orzecznictwa. [...]

Ponadto z zakresu prawodawstwa pracy sejm konstytucyjny uchwalił ustawę z dn. 21 października 1921 r. o zarobkowym pośrednictwie pracy. Nabyte w ciągu dwóch i pół lat doświadczenie potwierdziło ważność w walce z bezrobociem należyście zorganizowanego pośrednictwa pracy; wykazało, że poszczególne biura nie mogą poprzestawać na

stosunkach z pracodawcami jednego miasta czy nawet jednego okręgu, lecz winny być wplecione w ogólną sieć pośrednictwa; dowiodło, że pośrednictwo pracy uprawiane przez państwo może działać równie sprawnie jak biura prywatne, a posiada w stosunku do nich niezaprzeczenie wyższe walory moralne. Wszystkie te argumenty przemawiały za uznaniem prywatnych biur pośrednictwa pracy za formę przejściową, która winna ulec likwidacji w miarę rozwoju właściwych organów państwowych. Tymczasem zaś dalsze istnienie czynnych już prywatnych biur pośrednictwa zostało uzależnione od charakteru i kwalifikacji moralnych i fachowych ich kierowników i od złożenia kaucji; roczny termin udzielanej koncesji pozwala wywierać presję na prowadzenie biura zgodnie z wymaganiami władzy państwowej pod groźbą nieprzedłużenia koncesji. [...]

W pierwszym okresie uruchomienia przemysłu, który zbiegł się, jak widzieliśmy, z nastrojem wielkich nadziei społecznych, zapewne pod wpływem idei „płacy sprawiedliwej” zapanował system dodatków rodzinnych: robotnik nieżonaty pobierał płacę zasadniczą, robotnik rodzinny otrzymywał do tej płacy dodatki na żonę i na każde dziecko – do pewnej ich liczby. Istotnie płaca robotnika pojedynczego obliczona była tak nisko, że owe niewielkie dodatki do niej posiadały pewne znaczenie w budżecie domowym. Taki system płac, utrudniający kalkulację kosztów produkcji, mógł powstać i utrzymywać

Melania Bornstein-Łychowska, radca przedwojennego Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej, opisuje ogół wysiłków dopiero odtwarzanego państwa na rzecz pomocy swoim obywatelom. Z jej obszernej publikacji mogliśmy wybrać stosunkowo krótkie fragmenty, jednak nawet one pokazują, iż kraj biedny, pozbawiony właściwie wszystkich atrybutów nowoczesnego i stabilnego państwa, podjął na wielką skalę wysiłki zarówno praktyczne, jak i ustawodawczo-instytucjonalne, aby chronić słabszych. Nie oferował im oczywiście manny z nieba, dawał tyle, ile mógł, a zapewne mniej niż mógłby, jednak za oczywisty obowiązek uznawał nie tylko podejmowanie takich wysiłków, ale także ich intensyfikację i rozwój. Nawet jeśli ówczesna pomoc socjalna była z konieczności „dzieleniem biedy”, to była właśnie dzieleniem, solidarnym wobec współobywateli, nie zaś lekceważeniem ich i odwracaniem się plecami.

W kolejnym tekście dr **Władysław Landau**, naukowiec o poglądach prospołecznych, opisuje nie tylko dokonania. Jego rozważania w równej mierze poświęcone są temu, co dopiero można i należy zrobić. Nie ma w tym żadnego minimalizmu

i spoczywania na laurach po „odfajkowaniu” pewnego zestawu zadań – jest odwaga wizji, chęć ulepszenia rozwiązań i zmiany realiów w duchu ochrony słabszych i potrzebujących. Ba, sporo tu wyrażanego wprost niezadowolenia ze *status quo*, czyli niedostatecznych – wedle autora – wysiłków i efektów. Inaczej niż dzisiejsi mędrkowie na stabilnych, rządowych posadach, którzy zalecają społeczeństwu zaciskanie pasa, bycie konkurencyjnym (czytaj: mniej wymagającym) i równanie w dół, formułuje on zalecenia, abyśmy na drodze rozwoju gospodarczego nie zapominali o rozwoju społecznym, bo tylko wówczas będzie w ogóle można mówić o rozwoju jako takim. Nie wiadomo, czy śmiać się, czy płakać, gdy przypomnimy sobie, że „prospołeczny” i „wrażliwy” Jacek Kuroń miał w analogicznej sytuacji do zaoferowania kocioł z lichą zupą i odkładanie faktycznej troski o społeczeństwo do momentu „aż się wzbogacimy”, czyli w modelu neoliberalnym *de facto* na święty nigdy.

Ostatni z przypomnianych tekstów, autorstwa nie znanego nam nawet z pełnego imienia **r. Siennickiego**, to ciekawe studium przypadku, dotyczące bardzo konkretnych zagadnień, mianowicie dbałości

się jedynie wówczas, kiedy kalkulację zastępowała spekulacja, oparta na kredytach rządowych, spłacanych w pieniądzu zdevaluowanym, i na cenach sprzedażnych, obliczanych w chwili dokonywania transakcji, bez oglądania się na koszt własny, wyłącznie w stosunku do popytu wewnętrznego i warunków zbytu za granicą. Zapotrzebowanie zaś na towary wszelkiego rodzaju musiało być znaczne wobec powszechnej ucieczki przed zdevaluowanym pieniądzem. Zwykła w tych razach spekulacja paskarska pogarszała do ostateczności sytuację spożywcę. Robotnicy, po każdej wypłacie nie mogąc związać końca z końcem, coraz częściej dopominali się o podwyżki. [...]

W uwzględnieniu samorzutnej praktyki prowincjonalnej i życzeń z wielu stron naraz zgłaszanych, w maju 1920 r. rada ministrów powołała do życia przy Głównym Urzędzie Statystycznym w Warszawie Komisję do badania wzrostu kosztów utrzymania rodzin pracowników zatrudnionych w przemyśle i handlu. Do Komisji tej, na wzór innych, zorganizowanych poprzednio przez strony w różnych ośrodkach lub gałęziach przemysłu, powołano w równej liczbie przedstawicieli pracodawców i pracowników oraz zainteresowanych ministerstw. Komisja warszawska i utworzone jej śladem komisje prowincjonalne (w Sosnowcu, Łodzi, Częstochowie, Lublinie, Poznaniu, Radomiu, Kielcach, Krakowie i Bydgoszczy), w braku realnego budżetu polskiej rodziny robotniczej, wzięły za podstawę swych obliczeń

budżet teoretyczny, uwzględniający mniej więcej warunki życia i wartość kaloryczną pożywienia rodziny robotniczej, złożonej z 4 osób. Z tego punktu wyjścia rozpoczęto badanie zmian zachodzących w kosztach utrzymania – badanie, przeprowadzane początkowo co miesiąc. Przy coraz raptowniejszym spadku pieniądza i wzroście cen, komisje zmuszone były przejść na czas pewien na obliczenia dwutygodniowe. Większość fabryk regulowała płace swych robotników stosownie do wyników obliczeń komisji, a w rozpowszechniających się coraz bardziej umowach zbiorowych robotnicy zastrzegali jako jeden z warunków podstawowych dokonywanie zmian w cenniku płac według tej zasady.

Komisje do badania wzrostu kosztów utrzymania nie zdołały oczywiście całkowicie zabezpieczyć zarobków pracowniczych przed ujemnymi skutkami dewaluacji; przyczyniły się jednak w znacznej mierze do złagodzenia tych skutków i pozwoliły uniknąć wielu zatargów, skrócić je lub złagodzić ich przebieg.

Wprowadzenie ubezpieczenia na wypadek choroby według przepisów polskich było odmienne w poszczególnych dzielnicach, zależnie od ich warunków politycznych i gospodarczych. W b. dzielnicach austriackiej i niemieckiej, gdzie istniały już takie instytucje, dokonano w latach 1920 i 1921 przystosowania ich do nowych przepisów. W ostatecznym wyniku prac, przeprowadzonych w tym celu w woj. poznańskim i pomorskim, zamiast 629 drobnych

o pracowników najemnych. Dbałości nie było gdzie, bo w państwowym przedsiębiorstwie. Tym, co uderza dzisiejszego czytelnika, jest nie tylko afirmatywny opis dokonań, ale przede wszystkim wyrażane przez autora przekonanie, że do zakończenia wysiłków droga jeszcze daleka. Znowu mamy zatem myślenie o rozwiązaniach prospołecznych nie w kategoriach przykryj powinności, której najlepiej byłoby się pozbyć pod byle pretekstem, lecz pozytywnie postrzeganego zobowiązania wobec słabszych członków wspólnoty.

Oczywiście czasy opisywane przez trójkę autorów były dalekie od ideału i nie ma sensu tworzenie fałszywego przeciwstawienia rzekomo cudownej II RP oraz koszmarniej Polski współczesnej. Tym, co warte podkreślenia, jest nie tyle odmiennność realiów, lecz różnice w sferze mentalności. Celowo wybraliśmy teksty autorów, którzy niewiele mieli wspólnego z radykalizmem politycznym. Choć ich poglądy były niewątpliwie prospołeczne, były to zarazem poglądy głównego nurtu, a przynajmniej jednej z opcji ścierających się w jego ramach. Nie trudno byłoby znaleźć z tego samego okresu teksty

znacznie bardziej radykalne, czy nawet krytykujące prezentowane tu stanowiska jako nazbyt zachowawcze. Nas jednak interesuje tym razem pokazanie, że takie opinie były pełnoprawnym elementem dyskursu publicznego.

Broszura Bornstein-Lychowskiej to oficjalna publikacja jednego z ministerstw. Tekst Landaua ukazał się w pracy zbiorowej, stanowiącej manifest ideowy lewego skrzydła rządzącego wówczas obozu sanacyjnego. Artykuł Siennickiego zamieszczono w pracy zbiorowej Instytutu Spraw Społecznych – instytucji utworzonej przy pomocy poważnych placówek publicznych, tj. zakładów powszechnych ubezpieczeń społecznych i zdrowotnych.

Trudno sobie nawet wyobrazić, żeby dzisiaj teksty o takim przesłaniu i utrzymanie w takim tonie stanowiły coś zwyczajnego w wywodach decydentów i osób z ich otoczenia, a tak właśnie było wówczas. Ówczesne państwo bowiem, mimo licznych wad i niedoskonałości, było państwem dla obywateli. Dzisiejsze jest państwem lekceważącym obywateli. Może już czas to zmienić?

R. O.

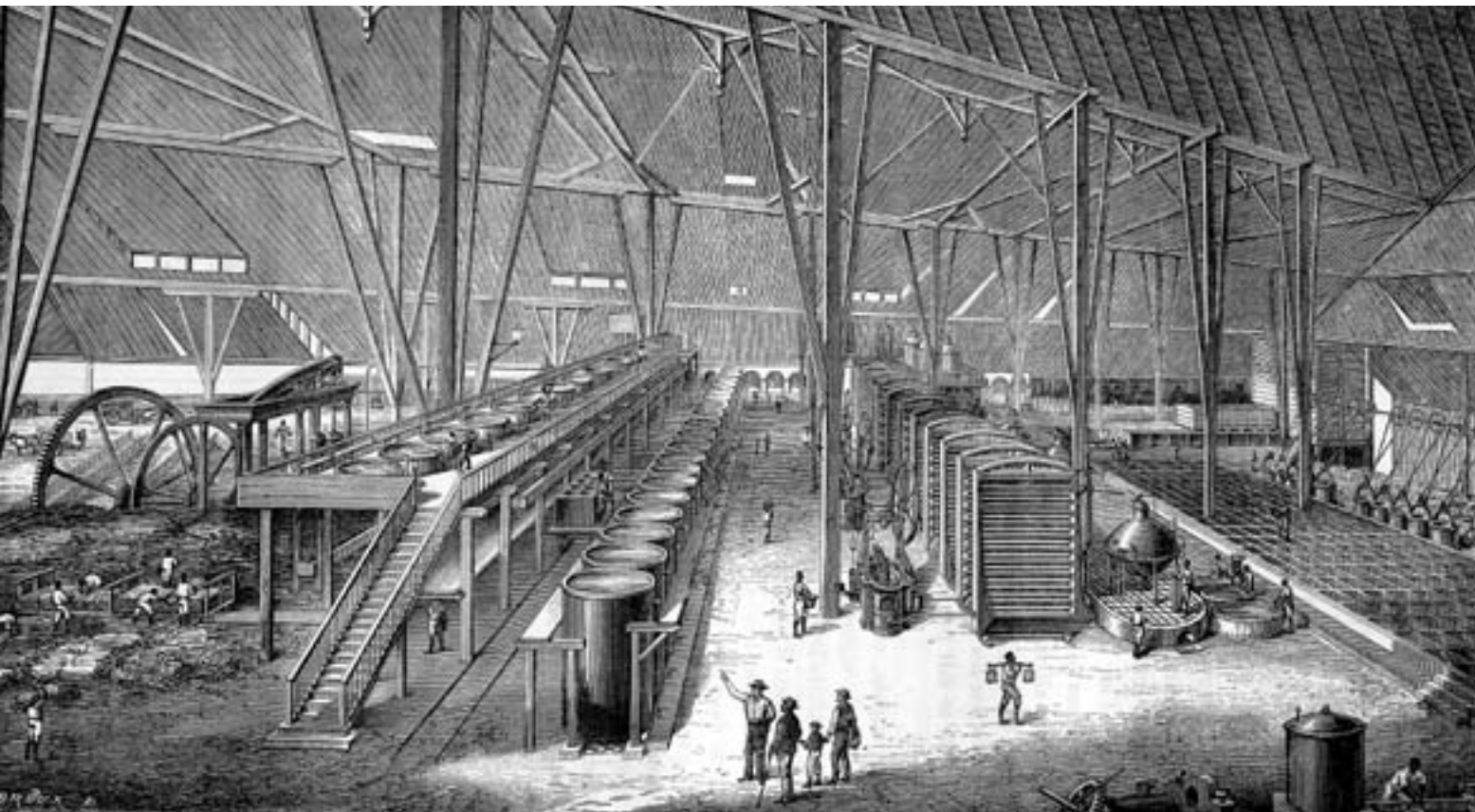
kas chorych różnego typu o znikomej nieraz ilości członków i różnych, przeważnie niskich świadczeniach, powstało 56 kas terytorialnych o jednolitej organizacji, które liczyły przeciętnie blisko po 10 000 członków, posiadały mocne podstawy finansowe i były zdolne do rozwinięcia zakreślonej im przez ustawę szerokiej działalności. Analogiczne wyniki dała reorganizacja w województwach południowych, gdzie zamiast 189 kas chorych, stworzonych za rządów austriackich, różnego typu i przeważnie wegetujących, powstało 71 kas terytorialnych, liczących przeciętnie po 6500 zamiast, jak dawniej, po 980 członków.

Natomiast w b. zaborze rosyjskim trzeba było stworzyć całkowicie nowy aparat, na terenie zupełnie nieprzygotowanym i w warunkach szczególnie niesprzyjających. Skutki działań wojennych, takie jak brak odpowiednich lokali, drożyzna środków leczniczych i narzędzi lekarskich, a obok tego brak dostatecznego personelu lekarskiego i pomocniczego zaciążyły poważnie na organizacji Kas Chorych. Toteż musiała ona być rozłożona na okres lat kilku (1920–1927). Wydatki organizacyjne znalazły pokrycie w pożyczkach bezprocentowych, asygnowanych przez skarb państwa i zwracanych następnie ratami po rozpoczęciu prawidłowego funkcjonowania instytucji przy normalnych źródłach dochodów. Pierwsze zostały uruchomione Kasy Chorych w głównych centrach przemysłowych: w Warszawie, Sosnowcu i Łodzi; następne w powiatach o większych

skupieniach ludności. Trudności finansowe i wojna osłabiały tempo prac organizacyjnych: gdy więc w pierwszym roku po uchwaleniu ustawy o obowiązkowym ubezpieczeniu na wypadek choroby stworzono dwie największe Kasy Chorych, liczące po 100 000 członków każda, w roku 1921 poprzestano na reorganizacji Kas dawnych typów; w roku 1922 powstało 13, w roku 1923 – 8 nowych Kas Chorych. [...]

Odszkodowania za wypadki przy pracy istniały pod różną postacią we wszystkich dzielnicach państwa. Pracownicy umysłowi ubezpieczeni byli tylko na zasadzie i w zakresie przepisów austriackich i niemieckich tam, gdzie przepisy te obowiązywały. Podczas wysiłków czynionych przez państwo polskie w kierunku naprawienia krzywd wynikających z dewaluacji, udało się przeprowadzić szereg reform znacznie ulepszających oba te systemy ubezpieczeń.

W b. dzielnicy austriackiej, gdzie obowiązywała znowelizowana po raz ostatni w 1917 r. ustawa o ubezpieczeniu robotników od wypadków, powstała przede wszystkim konieczność – obok przyznania dodatków drożyznianych do zdevaluowanych świadczeń – usunięcia krzywdy powodowanej niskim wymiarem granicy pobieranego zarobku. Dano do tego podstawę w ustawie z dn. 7 czerwca 1921 r., która, wprowadzając dodatki, zarazem zniosła granicę pobieranego zarobku. Równocześnie, wychodząc z zasady powszechności ubezpieczenia, państwo polskie znacznie rozszerzyło zakres



zakładów i osób podlegających obowiązkowi ubezpieczenia. Obecnie na obszarze działania ustawy austriackiej ubezpieczeni od wypadków przy pracy są wszyscy robotnicy, urzędnicy, uczniowie i praktykanci, zatrudnieni we wszelkich zakładach pracy, włącznie z gospodarstwami rolnymi o obszarze powyżej 30 ha (z wyjątkiem niektórych zakładów prowadzonych nie dla zysku).

W b. dzielnicy pruskiej na plan pierwszy wysunęło się zagadnienie organizacyjne: należało stworzyć instytucję ubezpieczeniową, która objęłaby funkcje po pozostałych w granicach państwa niemieckiego przemysłowych spółkach zawodowych (Berufsgenossenschaften), przeprowadzających ubezpieczenie od wypadków. Powołano przeto do życia Ubezpieczalnię Krajową w Poznaniu, która objęła ubezpieczenie od wypadków w przemyśle, ubezpieczenie inwalidzkie, a początkowo i ubezpieczenie pracowników umysłowych.

Istniejące na zasadzie ustawy z 1906 r. na ziemiach polskich przynależnych do Austrii ubezpieczenie pracowników umysłowych na wypadek niezdolności do zarabkowania, starości i śmierci wykonywane było przez dwa biura powszechnego zakładu pensyjnego dla funkcjonariuszy w Wiedniu oraz przez szereg zakładów zastępczych. Uznając zasadę terytorialności instytucji ubezpieczeniowych za najwłaściwszą, dokonano fuzji jednego z tych biur, które pozostało w granicach Polski, z Towarzystwem Wzajemnych Ubezpieczeń Urzędników Prywatnych, największym spośród zakładów zastępczych, i utworzono z nich (ustawą z dn. 10 czerwca 1921 r.) jeden Zakład Pensyjny dla Funkcjonariuszy we Lwowie. Jednocześnie zniesiono możliwość zastąpienia ubezpieczenia umową zastępczą między pracodawcą a pracownikiem oraz zaostrzono warunki tworzenia odrębnych zakładów zastępczych, wymagając od nich udzielania lepszych świadczeń, większej liczby członków i silniejszych gwarancji finansowych. Prócz tego zwiększono udział ubezpieczonych w organach kierowniczych. Tą samą ustawą rozszerzono zakres ubezpieczenia na pomocników handlowych i na wszystkich pracowników najemnych niezatrudnionych w charakterze służby czeladnej lub robotników oraz wydatnie podwyższono świadczenia. [...]

Sejm konstytucyjny, w przewidywaniu bliskiego końca przeciągającego się swego istnienia, dał jeden poważnej treści akt prawodawczy o nowym znaczeniu dla świata robotniczego. Aktem tym była, uchwalona zgodnie na wniosek stronnictwa chrześcijańsko-demokratycznego, ustawa z dn. 16 maja o urlopach dla pracowników zatrudnionych w przemyśle i handlu. Przepisy tej ustawy zapewniają pracownikom fizycznym 8 dni płatnego urlopu, o ile przepracowali w danym przedsiębiorstwie nieprzerwanie przynajmniej rok jeden, i 15 dni takiegoż

urlopu po 3 latach pracy, zaś pracownikom umysłowym – 2 tygodnie urlopu po nieprzerwanej pracy półrocznej i 1 miesiąc po roku takiej pracy. [...] Do brodziejstwo przepisów o urlopach okaże się w pełni dopiero wówczas, gdy wydadzą owoce wszechstronne prace nad właściwym zużytkowywaniem czasów robotniczych, prowadzone od niezbyt dawna, głównie przy pomocy subwencji rządowych.

Najlepszym streszczeniem istoty myśli społecznej w okresie sejmu konstytucyjnego będzie powołanie się na traktujące o pracy artykuły uchwalonej przez ten sejm obowiązującej Konstytucji z dn. 17 marca 1921 r. Są to artykuły 102 i 103, częściowo art. 68 oraz wstęp do Konstytucji.

Art. 102 rozwija jedną z myśli zawartych we wstępie, który pośród celów ustawy konstytucyjnej wymienia „zabezpieczenie pracy poszanowania, należnych praw i szczególnej opieki państwa”. Art. 102 wyraża tę samą myśl w ten sposób, że „praca, jako główna podstawa bogactwa Rzeczypospolitej, pozostawać ma pod szczególną ochroną Państwa”, powtarzając to po raz trzeci w ustępie 2 tegoż artykułu: „Każdy obywatel ma prawo do opieki Państwa nad jego pracą, a w razie braku pracy, choroby, nieszczęśliwego wypadku i niedołęstwa – do ubezpieczenia społecznego, które ustali osobna ustawa”.

Opieka nad dzieckiem stanowi treść dwóch pierwszych ustępów art. 103:

„Dzieci bez dostatecznej opieki rodzicielskiej, zaniedbane pod względem wychowawczym – mają prawo do opieki i pomocy Państwa w zakresie oznaczonym ustawą”. [...]

Opieka nad macierzyństwem ze strony Państwa wynika z ustępu 3 art. 103:

„Osobne ustawy normują opiekę macierzyństwa”.

Dwa ostatnie ustępy art. 103 wracają znów do spraw ochrony pracy, mianowicie zajmują się ochroną pracy dzieci, młodzieży i kobiet, od razu regulując te sprawy w sposób ogólnikowy, a zarazem bardzo szeroki:

„Praca zarobkowa dzieci niżej lat 15, praca nocna kobiet i robotników młodocianych w gałęziach przemysłu szkodliwych dla ich zdrowia jest zakazana”.

„Stałe zatrudnienie pracą zarobkową dzieci i młodzieży w wieku szkolnym jest zakazane”.

Wszystkie te przepisy Konstytucji polskiej trzeba uznać za zdecydowany i mocny, choć niezupełnie szczęśliwy w formie, wyraz nowej myśli gospodarczo-społecznej. [...]

Melania Bornstein-Łychowska

Powyższy tekst to wybrane fragmenty obszernej broszury „10 lat polityki społecznej państwa polskiego 1918-1928”, Ministerstwo Pracy i Opieki Społecznej, Warszawa 1928.

Drogi rozwoju polskiego ustawodawstwa pracy

Władysław Landau

I

Podobnie jak w państwach innych, tak i w Polsce, rząd wyniesiony przez powojenny przewrót, wsparty o szerokie masy robotnicze, za jedno z pierwszych zadań uznać musiał spełnienie długoletnich dążeń i hasła świata pracy. Już manifest Rządu Lubelskiego zapowiedział wcielenie w czyn szeregu reform społecznych, w tym, w pierwszym rządzie, realizację ośmiogodzinnego dnia pracy. Rząd Moraczewskiego w krótkim czasie program ten spełnił, wydając kolejno dekrety o utworzeniu Ministerstwa Zdrowia Publicznego, Opieki Społecznej i Ochrony Pracy, dekret o ośmiogodzinnym dniu pracy, o inspekcji pracy, o pracowniczych związkach zawodowych, o obowiązkowym ubezpieczeniu na wypadek choroby, o organizacji państwowych urzędów pośrednictwa pracy i inne. [...]

Po tym okresie, w którym przez szereg śmiałych dekretów położono podwaliny pod nowoczesną polską myśl społeczną, w którym budowano już – w planach – strukturę przyszłego jednolitego polskiego kodeksu pracy, nastąpił czas długoletniego marazmu i zastoju. [...]

Cała energia stronnictw robotniczych skoncentrowana była na odpieraniu z zewsząd idących ataków na zdobycze uzyskane w czasie rządów Moraczewskiego, w tym głównie na ośmiogodzinny dzień pracy. I choć marka stała nisko i płace robotnicze w czasach inflacji całkiem drobnym stanowiły odsetek kosztów produkcji, tak, że o braku

konkurencyjności polskiego towaru z powodu zbyt rozbudowanych obciążeń społecznych nie mogło być poważnie mowy, mimo to jednak próby podważenia ustawodawstwa robotniczego wznowiały się bez ustanku. I po każdej deklaracji ministra, konferencji ministrów (skarbu) czy sfer gospodarczych, lub stronnictw sejmowych, urządzano robotnicze zebrania, wiece i demonstracje, ogniskując całą akcję w tej dziedzinie na obronie zajętych już pozycji.

II

Rząd pomajowy zastał w zakresie ustawodawstwa robotniczego szerokie pole twórczej pracy. Trzeba było, otrzymawszy pełnomocnictwa, odrobić długie lata zastoju. Przyznać należy, pełnomocnictwa zostały w tej dziedzinie przez rząd szeroko wykorzystane, znacznie pełniej aniżeli na innych polach. [...] Są w tych dekretach oczywiście braki, luki i niedociągnięcia, ale stanowią one bezsprzecznie poważny krok naprzód. Scharakteryzujemy pokrótce poszczególne dekrety.

Rozporządzenie o umowie o pracę robotników z dnia 13 marca 1928 r. oraz rozporządzenie o umowie o pracę pracowników umysłowych z dnia 16 marca 1928 r. zespala różnorodne normy dawniejszych dzielnicowych praw w jednolitą całość. Pod pewnym względem idą one cokolwiek – co prawda bardzo nieznacznie – dalej od przepisów poprzednio obowiązujących. Jednak już sama unifikacja przepisów, rozproszonych po ustawach przemysłowych, górniczych, drogowych i in., posiada



© Biblioteca de la Facultad de Derecho y Ciencias del Trabajo Universidad de Sevilla, flickr.com/photos/fdctsevilla/4859923814/in/set-72157624657745276

doniosłe znaczenie, szczególnie zaś ważne jest ustawowe umocnienie trzymiesięcznego terminu wypowiedzenia dla pracowników umysłowych w całym państwie.

Rozporządzenie o inspekcji pracy z dnia 14 lipca 1927 r. uregulowało kwestię, która mimo niezliczonych posiedzeń i uzgodnień nie mogła przed przewrotem majowym żadną miarą ruszyć z martwego punktu. [...] Dekret staje na nowoczesnym stanowisku niezależności urzędów inspekcji pracy od organów administracji ogólnej i uczynił z inspektorów pracy organ orzecznictwa karno-administracyjnego, co, rzecz prosta, w wysokim stopniu ułatwia im skuteczne czuwanie nad stosowaniem ustawodawstwa ochronnego.

Najbardziej doniosłym krokiem ustawodawczym jest niewątpliwie rozporządzenie (z dnia 22 marca 1928 r.), powołujące do życia nową instytucję Sądów Pracy. Brak osobnego sądownictwa w sprawach związanych z ustawodawstwem pracy w wysokim stopniu utrudniał realizację dotychczasowych praw ochronnych. Sądy zwykłe nie tylko zbyt są przeciążone, by otoczyć należytą troską drobne na ogół sprawy, wynikające ze stosunku umowy pracy, ale są i zbyt kosztowne, a nade wszystko zaś sędziowie nie wykazywali należytego zrozumienia dla ducha nowoczesnego ustawodawstwa pracy. Brak znajomości i zrozumienia tej dziedziny prawa i związane

z tym nader pobłażliwe wyroki przyczyniły się do lekceważenia u części przemysłowców przepisów tego prawa i uczynił normy prawne w dziedzinie ochrony pracy prawem drugiego rzędu, w wielkiej mierze iluzorycznymi. [...]

Krok naprzód poczyniono również w dziedzinie materialnego prawa bezpieczeństwa i higieny pracy. Wydano rozporządzenie o bezpieczeństwie i higienie pracy z dnia 16 marca 1928 r. Brak odpowiednich postanowień ustawowych bardzo utrudniał dotychczas inspekcji pracy należytą aktywność w tej dziedzinie, co inspektorzy podnosili w swych sprawozdaniach niejednokrotnie. Ponadto, prócz pomniejszych, wydano rozporządzenie o zapobieganiu chorobom zawodowym i ich zwalczaniu (z dnia 22 sierpnia 1927 r.).

Unormowana została również w duchu nowoczesnych pojęć rozległa dziedzina spraw emigracyjnych ustawą emigracyjną z dnia 11 października 1927 r.

Rozporządzenie o ochronie rynku pracy z dnia 4 czerwca 1927 r. daje możność wydania w razie potrzeby zakazu zatrudnienia pracowników nie będących obywatelami Państwa Polskiego.

Wreszcie rozporządzenie o Radzie Ochrony Pracy z dnia 17 września 1927 r. ustanawia organ doradczy i opiniotwórczy przy Ministrze Pracy i Opieki Społecznej we wszystkich sprawach z zakresu ochrony pracy. [...]

III

Odzywają się obecnie, w związku z ujemnym bilansem handlowym i związaną z tym koniecznością wzmoczenia eksportu, głosy nie tylko żądające wstrzymania dalszego rozwoju ustawodawstwa robotniczego, ale domagające się nawet, byśmy cofnęli się wstecz. Jako argument podaje się, że wyprzedzamy prawodawstwo Zachodu, że zbyt rozbudowane ciężary społeczne są kulą u nóg naszego przemysłu w jego walce konkurencyjnej z zagranicą.

Lecz zważmy: Polska ma najniższe płace ze wszystkich krajów, z którymi współzawodniczy. Najniższe w złocie i najniższe w ich realnej sile kupna. Dowodzą o tym zestawienia Międzynarodowego Biura Pracy, przekona o tym każde ad hoc zrobione zestawienie. Przy różnicy znacznej poziomu płac zarobkowych pomiędzy Polską i zagranicą, cóżby znać mogły, gdyby nawet istniały, różnice w wysokości obciążeń społecznych w pozycji kosztów produkcji, stanowiącej zaledwie... 1%. Inne być muszą, i inne też są przyczyny słabej konkurencyjności naszego przemysłu.

Ale przemysł nasz bynajmniej nie jest bardziej obciążony świadczeniami, aniżeli wytwórczość zagraniczna. Legendę tę obaliło już raz wydawnictwo Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej pt. „Obciążenia produkcji na rzecz ubezpieczeń społecznych w Polsce i zagranicą” i zdruzgotały ją badania Komisji Ankietowej, które wykazały nikłość pozycji robotniczy w ogólnych kosztach produkcji, a ujawniły natomiast znaczny poziom kosztów administracji i to administracji częstokroć aż nazbyt nieudolnej! Tak rozpowszechnione obecnie kartele i syndykaty o charakterze monopolistycznym i prawie monopolistycznym, coraz mniej liczyć się muszą w swej polityce cen z istotnymi kosztami produkcji. Opór, na jaki natrafia rozwój ustawodawstwa pracy, tłumaczy się częstokroć w istocie rzeczy nie tyle względami natury kalkulacyjnej, ile przesłankami natury zasadniczej. Przedsiębiorca w każdej ustawie ochronnej dopatruje się zacieśnienia swego stanowiska, sukcesu natomiast klasy pracującej. Przeciw temu każe mu się bronić jego ambicja i myśl o przyszłości, w każdej nowej ustawie widzi on bowiem groźbę obsuwania się podstawy, na której opiera się jego cały byt i jego nastawienie myślowe.

I podczas gdy przedsiębiorca polski i jego ideolodzy głoszą, że ustawodawstwo polskie w radykalizmie swym kroczy na czele wszystkich prawodawstw, to samo zupełnie obwieszcza przemysł niemiecki, austriacki, rosyjski, angielski. Nie tu miejsce stwierdzać, jak jest w istocie, wszakże można skonstatować z całą pewnością, że za granicą znacznie ściślej są ustawy wykonywane i że za granicą obowiązuje szereg ustaw, których u nas jeszcze nie ma. Nie tylko szerzej na ogół są tam rozbudowane

ubezpieczenia społeczne, obejmując również ubezpieczenie na starość, ale także w dziedzinie ochrony pracy obowiązuje szereg postanowień, które u nas znajdują się bądź dopiero w fazie projektów, bądź też wcale nie są nawet jeszcze rozważane. Mamy na myśli ustawy o umowach zbiorowych, akcji polubownej i rozjemczej, płacach minimalnych, o pracy w chałupnictwie, pracy na roli, radach załogowych, izbach pracy itd.

Podobnie jak za granicą rozwinął się i u nas zwyczaj zawierania umów zbiorowych bardzo szeroko. Nie mówiąc o b. zaborze niemieckim, gdzie obowiązuje odnośne dawne ustawodawstwo Rzeszy – w górnictwie, w przemyśle włókienniczym, naftowym, cukrowniczym i innych obowiązują umowy zbiorowe.

Należy formę umów zbiorowych, formę o wiele doskonalszą i bardziej nowoczesną od indywidualnej umowy o najem pracy wszelkimi siłami popierać i rozpowszechniać. Umowa zbiorowa wszak z jednej strony ruguje wypadki skrajnego wyzysku pracy, z drugiej wprowadza pewną równomierność oraz stałość i spokój w stosunki przemysłowe. Cały szereg organizacji przemysłowców, które przez czas dłuższy opierały się jakimkolwiek pertraktacjom ze związkami i zawieraniu umowy, raz ją zawarłszy, odnawiają ją z roku na rok bez zbiorowej nawet ingerencji władz; jest to oznaką niewątpliwą, że ułatwiają one przemysłowi uregulowanie spraw robotniczych.

Również i robotnicy odnoszą z umów niewątpliwe korzyści. Na drodze umów zbiorowych zyskują oni, prócz ustępstw w dziedzinie płac zarobkowych oraz tak pożądaną równości i jawności, dalsze uprawnienia w zakresie przyjmowania i zwalniania, przedstawicielstwa, wpisów dla dzieci itd.

Jednakże istnienie umów zbiorowych wymaga specjalnego ustawodawstwa, które by regulowało cały splot zagadnień związanych z umową, dawało gwarancję ich wykonania, wyjaśniało punkty niejasne, nieustalone itd. Ustawodawstwo odnośne istnieje w różnych państwach przemysłowych: w Austrii, Belgii, Finlandii, Francji, Holandii, Niemczech, Szwajcarii, Szwecji, Włoszech, ZSSR. W Polsce, prócz województw zachodnich, odnośnej ustawy nie ma. A umowy zbiorowe obowiązują szeroko i wraz z organizacją przemysłu coraz bardziej będą się rozpowszechniać. Nie mają one jednak dostatecznej sankcji i są w wielkiej mierze obchodzone i łamane, zwłaszcza jeśli za umowami nie stoi odpowiednia faktyczna siła związków. Przy braku odpowiednich ustaw mogą się przedsiębiorstwa wyłamywać spod umów zbiorowych lub wcale do nich nie przystępować, stwarzając gorszymi warunkami pracy i płacy mniej lub więcej groźną konkurencję dla objętych umową przedsiębiorstw. Ustawa o umowach zbiorowych, wzorowana np. na ustawie niemieckiej,

mogłaby temu zapobiegać przez to, że władze państwowe miałyby prawo rozciągania ich mocy na cały okręg lub przemysł. Projekty są w tym zakresie przygotowane i były już rozpatrywane przez Radę Ochrony Pracy; ich szybkie uchwalenie przez władze ustawodawcze jest sprawą konieczną.

Uregulowania domaga się kwestia załatwiania zatargów zbiorowych. Nie jesteśmy zwolennikami przymusowego rozjemstwa, które doprowadzać musi do zupełnie zbędnych komplikacji pomiędzy państwem a grupami społecznymi. Przykład Australii raczej odstrasza niż zachęca do tego rodzaju eksperymentu. Tym niemniej stan obecny, kiedy strony, będące w zatargu, mogą w ogóle nie objawiać chęci do zejścia się przy wspólnym stole, z czego wynikają długotrwałe strajki, jest na dłuższą metę nie do pomyślenia. Nie jest również pożądane, by każdy zatarg opierał się o najwyższe czynniki rządowe... Muszą być ustanowione specjalne niezależne, a wysoce autorytatywne organy akcji polubownej i rozjemczej. Organ te odciążą również inspekcję pracy, która obecnie jest zajęta zbyt wieloma czynnościami pobocznymi, ponadto wyrokowanie o zatargach niezupełnie daje się pogodzić z rolą i stanowiskiem inspekcji. I w tej dziedzinie istnieje przygotowany już projekt ustawy. [...]

Za konieczność należy również uznać wydanie ustawy o płacach minimalnych i o pracy chałupniczej. Drobne zakłady, stosujące najstraszniejszy wyzysk pracy, nie przestrzegające żadnych zgoła ustaw robotniczych ani nie uwzględniające najskromniejszych nawet wymagań higieny, dzięki temu właśnie mogą obecnie skutecznie współzawodniczyć z wielkimi, nowoczesnymi urządzonymi zakładami pracy. Tak jest w przemyśle włókienniczym okręgu łódzkiego, w przemyśle spożywczym (piekarniach, fabrykach cukierków itd.), konfekcyjnym itp. Państwo winno dążyć do rozwoju wielkiego przemysłu i nie dopuszczać do tego, by zagrażały jego rozwojowi tego rodzaju „przedsiębiorstwa”, stanowiące groźbę dla kultury naszego kraju, przeszkodę dla polepszenia jego stanu zdrowotnego. Mamy tu do czynienia z nakazem nie tylko polityki socjalnej, ale też z wymogiem racjonalizacji życia gospodarczego.

Ustawy o płacach minimalnych i o pracy chałupniczej istnieją – w różnych formach – w większości państw europejskich. [...] Rząd polski w odpowiedzi swej na kwestionariusz o metodach ustalania płac minimalnych wypowiedział się za wąskim ujęciem kwestii, ograniczając ich stosowanie do chałupników. *Praca chałupnicza, tak odróżniająca się swym charakterem zawodowym od pracy rzemieślniczej i fabrycznej, nadaje się już w chwili obecnej do takiej specjalnej reglamentacji, której opracowanie, rozpoczęte jeszcze poprzednio i przerwane jedynie ze względu na okres wahań stabilizacyjnych waluty, zostaje na nowo przez*

rząd polski podjęte – pisze rząd w cytowanej odpowiedzi.

Jak wynika z powyższego, uważa rząd zastosowanie płac minimalnych do chałupników za pierwszy tylko krok w tym kierunku. Należałoby w przyszłości dążyć do polepszenia warunków pracy tą drogą również w tych działach rzemiosła i pracy fabrycznej, które nie mają umów zbiorowych i wykazują niepomiarne niskie zarobki. [...] Państwo nie może się już ograniczać do roli biernego widza w obliczu nędzy i wyzysku. Poziom płac decyduje bowiem o rozwoju całego szeregu innych czynników – nie wyłączając politycznych – w których kształtowaniu jest ono wysoce zainteresowane.

IV

Za najważniejszy jednak brak polskiego ustawodawstwa społecznego – i to z punktu widzenia samej nawet produkcji – uważać należy fakt, że nie sprzęgło ono i nie starało się sprzęgnąć świata pracy z procesem wytwórczym.

W warunkach obecnych robotnik traktuje przedsiębiorstwo jako coś obcego lub co najmniej obojętnego. Jego losy mało go obchodzą. Obawia się zamknięcia zakładu – grozi mu to wszak okresem głodu i niedostatku. Ale w wydajności zakładu, w jego sprawności organizacyjnej i technicznej mało jest zainteresowany. Doświadczenie nauczyło go, że wydajność zakładu mało lub wcale nie wpływa na wzrost robotniczych zarobków, a zwiększa natomiast zysk. [...] Przedstawicielstwa, rady fabryczne, załogowe czy jakakolwiek inna byłaby ich nazwa, dawałyby warstwie robotniczej możliwość wyjścia poza obręb jednego tylko, własnego ich warsztatu pracy i zapoznania się z kręgiem zagadnień gospodarczych, związanych z działalnością danego zakładu. Robotnicy otrzymaliby wgląd w mechanizm życia gospodarczego, poczęliby poprzez swych delegatów rozumieć związki zachodzące pomiędzy poszczególnymi zjawiskami ekonomicznymi i wpływ tych czynników na ich własny los.

W nowej instytucji stworzony zostałby pomost pomiędzy zarządem a personelem pracowniczym, pomost niwelujący tę ciągle jeszcze olbrzymią przepaść leżącą między tymi dwoma światami. [...] Działają u nas w wielu przedsiębiorstwach delegacje robotnicze, lecz prawne podłoże ich działania nie jest wcale uregulowane, co oczywiście krępuje ich znaczenie i rozwój. Na Górnym Śląsku natomiast działała na zasadzie dawnej niemieckiej ustawy instytucja rad załogowych.

Komisja Ankietowa doszła, na podstawie analizy ośmioletniej działalności tej instytucji, do wniosku, że skutki stosowania ustawy o radach załogowych należy ocenić jako niewątpliwie dodatnie, zarówno pod względem realnego oddziaływania

na stosunki społeczno-gospodarcze, jak również i ze względów wychowawczych – podnoszenia poziomu i poczucia odpowiedzialności u pracowników. Na terenie pozostałych dzielnic – stwierdza dalej Komisja – uderza brak opartego na ustawie przedstawicielstwa robotniczego i urzędniczego. Istnieją wprawdzie delegaci robotników, ale nie mają oni określonych przez ustawę zadań i uprawnień. [...]

Wnioski, do których doszła Komisja Ankietowa, są zgodne z rezultatami odpowiednich badań na Zachodzie. Sprawozdania inspekcji pracy czy to Austrii, czy Niemiec, wszystkie podnoszą korzystne wyniki pracy rad fabrycznych. Rady te, aczkolwiek nie za doścućzyły daleko idącym nadziejom, jakie klasa robotnicza przy ich powstawaniu przywiązywała do nich, jednakże wniosły w życie fabryczne pewien konstytucjonizm, czuwają one nad realizacją ustaw ochronnych, łagodzą drobne zatargi itd.

Niemcy poszły, jak wiadomo, dalej jeszcze. Przedstawiciele robotników zasiadają tam w radach nadzorczych towarzystw akcyjnych. Cel tego postanowienia jest jasny – chodzi o dalsze jeszcze zbliżenie pracowników do procesów wytwórczych, do bliższego jeszcze wtajemniczenia ich w warunki współczesnego życia gospodarczego. Radca załogowy, który pozna dokładnie całokształt warunków, w jakich przedsiębiorstwo pracuje, realnie reprezentować może interesy swych mocodawców.

W naszych warunkach tego rodzaju zarządzenie byłoby zapewne przedwczesne. Tym niemniej należałoby klasę robotniczą stopniowo zainteresować już teraz biegiem życia gospodarczego i dać jej możliwość wpływania na nie nie tylko poprzez sejm i partie polityczne. [...]

Dalszą drogą zapewnienia czynnikowi pracy większego, niż dotychczas, wpływu na bieg życia gospodarczego, są izby pracy. Wprowadzone zostały w czasach ostatnich izby przemysłowo-handlowe, rolnicze, rzemieślnicze. Tylko izby pracy nie zostały powołane do życia, ani nawet nie rozpoczęto, o ile nam wiadomo, odpowiednich prac przygotowawczych. I pod tym względem pozostajemy w tyle za Zachodem. [...]

Izba występowałaby z inicjatywą ustawodawczą, brałaby udział w radach opiniotwórczych, prowadziłyby ankiety i badania nad warunkami życia robotniczego, współdziałała z Urzędem Statystycznym w rozwoju statystyki pracy itd.; słowem – byłaby samorządem świata pracy. Jednym z ważnych jej zadań musiałoby również być gospodarcze szkolenie funkcjonariuszy związków zawodowych, ławników sądów pracy i ewentualnie radców załogowych. Wzrost wiedzy i zainteresowań ogólnogospodarczych oraz fachowych wśród klasy robotniczej będzie niewątpliwie regulatorem postępów de-

mokracji gospodarczej, choć będzie niezawodnie również i jej pochodną.

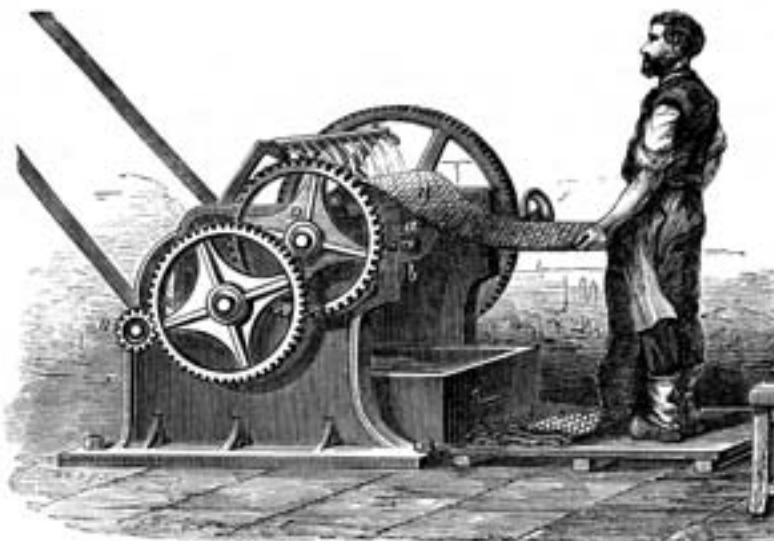
Nakreśliśmy w paru rzutach główne drogi, którymi zdążać winna polska myśl społeczna. Zatrzymaliśmy się jedynie na wytyczeniu szlaków głównych, pozostawiając na uboczu wiele dziedzin, które nie mniej wymagają ustawowych uzupełnień i dalszego rozwinięcia.

Czy to będzie praca młodocianych, czy sprawa wykorzystania wczasów, czy praca na roli lub praca służby domowej – wszędzie twórcza myśl społeczna, wychodząca z założenia, że czynnikiem produkcji najbardziej cennym jest praca, znajdzie szerokie pole inicjatywy. [...]

Wyzwoliliśmy się w latach ostatnich z narzuconej przez pewne sfery opinii, że w dziedzinie polityki społecznej już wszystko zostało dokonane, że nawet zrobiono za dużo i że należy się już... cofnąć wstecz. Uzasadniano to względami natury gospodarczej. Oczywiście, kwestie społeczne łączą się ściśle i nierozdzielnie z zagadnieniami gospodarczymi. Związek ten nie może być negowany i nie jest też przez nas zaprzeczany. Ale aż nazbyt często owe względy gospodarcze służą tylko jako argumenty dla utrzymania preponderancji pewnych warstw, co nie może leżeć w interesie ogólnogospodarczym, w interesie państwowym. W interesie państwa, wzmocnienia jego wewnętrznej siły i zwartości – leży gospodarcze dźwignięcie warstw pracujących i uczynienie z nich aktywnych czynników procesu wytwórczego. [...]

Władysław Landau

Powyższy tekst pierwotnie ukazał się w pracy zbiorowej „Na froncie gospodarczym. W dziesiątą rocznicę odzyskania niepodległości”, Wydawnictwo „Drogi”, Warszawa 1928. Oprócz zaznaczonych skrótów pominięto także przypisy.



Organizacja służby bezpieczeństwa

w fabryce „Ursus” Państwowych Zakładów Inżynierii

R. Siennicki

W krajach Europy Zachodniej oraz w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej już od dawna powstała myśl o walce z nieszczęśliwymi wypadkami przy pracy, przy czym – równorzędnie z rozwojem przemysłu, higieny pracy i ekonomiki społecznej – myśl ta spowodowała na szeroką skalę zakrojoną akcję z bardzo znacznym wynikiem dodatnim.

Zwrotnym momentem w tej dziedzinie było utrwalenie się przekonania, że w akcji bezpieczeństwa pracy odgrywają rolę nie tylko względy finansowe poszczególnych fabryk i przemysłowców, lecz także, i to przede wszystkim, względy natury humanitarnej, społecznej i ogólnogospodarczej.

W państwach uprzemysłowionych, jak Francja, Niemcy, Anglia i Stany Zjednoczone, powstały silne i wpływowe organizacje, których zadaniem jest walka o bezpieczeństwo pracy.

W Polsce zainteresowanie sprawą bezpieczeństwa pracy jest, niestety, słabe, toteż niewielka stosunkowo liczba zakładów przemysłowych wprowadziła u siebie oddziały bezpieczeństwa; są to: Huta Batorego, Huta Królewska, Zakłady Ostrowieckie, Fabryka Metalurgiczna Państwowych Zakładów Inżynierii i kilka innych; natomiast w wielu gałęziach przemysłu przestrzeganie bezpieczeństwa pracy prawie zupełnie nie istnieje. Przechodząc do organizacji służby bezpieczeństwa pracy na terenie Fabryki Metalurgicznej Państwowych Zakładów Inżynierii „Ursus” w Czechowicach pod Warszawą, muszę przede wszystkim stwierdzić pełne zrozumienie tego zagadnienia przez dyrekcję fabryki. Najlepszym dowodem tego jest utworzenie z inicjatywy dyrekcji działu bezpieczeństwa i zapobiegania

nieszczęśliwym wypadkom przy pracy. Kierownictwo tym działem powierzono inżynierowi, który w swej działalności nie jest niczym skrepowany przy przeprowadzaniu potrzebnych badań na terenie fabryki i któremu pozostawiono pełną inicjatywę w tym kierunku.

W myśl zaleceń dyrekcji i wyznawanej przez nią zasady, że z całością funkcji Fabryki Metalurgicznej łączy się bezpośrednio przewidywanie i zapobieganie wypadkom przy pracy, akcja ta na terenie Fabryki Metalurgicznej Państwowych Zakładów Inżynierii w Czechowicach wygląda, jak następuje.

A. AKCJA ZAPOBIEGAWCZA

1. Zapobieganie techniczne

(a) Kontrola ruchu, badanie i sprawdzanie części dźwigów, łańcuchów, lin itd. oraz bezpośrednie czuwanie nad bezpieczeństwem pracy. Na przykład założono specjalne ochrony przy pilach taśmowych, gumowe fartuchy przy piaskownicach obrotowych i specjalne maski, zbadano w roku bieżącym trzy suwnice 5- i 15-tonowe przy próbnym obciążeniu od 7 do 20 ton oraz 14 Demagów 750 i 3000 kg przy próbnym obciążeniu 1000 i 4000 kg. Sprawdzone mechanizmy, liny i łańcuchy. O wynikach sporządzono specjalne protokoły i wpisano je do osobnej książki sznurowej.

(b) Przy pracy zastosowano różne specjalne przyrządy ochronne, jak okulary, respiratory, maski itd. Zdawałoby się, że tak prosta rzecz, jak okulary ochronne, nie nasuwa żadnych wątpliwości. Tymczasem okazało się, że przy każdym rodzaju pracy należy stosować różne rodzaje okularów, jak np.



specjalne okulary dla piecowych w odlewni żeliwa, inne dla pracowników przy szlifierkach, piłach taśmowych do metalu, inne dla odlewczy.

(c) Zapobieganie wypadkom przez racjonalne zorganizowanie pracy.

Ponieważ większość wypadków w odlewniach wydarza się przy przenoszeniu płynnego metalu, przy użyciu podnośników itp., w odlewniach Fabryki Metalurgicznej Państwowych Zakładów Inżynierii zwrócono uwagę na usunięcie przyczyn mogących spowodować wypadki tej kategorii oraz na zachowanie porządku i dyscypliny w odlewni, jako też na komunikację (przejścia) na terenie odlewni. Przejścia, służące do przenoszenia płynnego metalu, uporządkowano tak, że są możliwie najszerze, o równej powierzchni i wolne od przedmiotów tamujących ruch, przy czym przyjęto za zasadę, że jedno lub dwa szerokie przejścia muszą być stale wolne dla ruchu. Zwraca się również specjalnie uwagę, aby pracujący nie zatrzymywali się pod wiszącymi ciężarami. Zabroniono wszelkich czynności pod wiszącymi skrzyniami formierskimi podczas robót formierskich. Podnoszenie dużych odlewów dozwolone jest tylko po pełnym oswobodzeniu ze skrzynki formierskiej. Przy ręcznym podnoszeniu żąda się od pracowników ścisłego wykonania komendy i ostrzeżeń majstra.

Podczas topienia zwraca się zawsze uwagę, aby pracujący stał z boku otworu wylewowego w czasie napełniania kadzi; niezatrudnionym zaś pobyt w pobliżu jest w ogóle wzbroniony. Ponadto same kadzie, służące do transportu płynnego metalu, są zabezpieczone przed przypadkowymi przechyleniami.

Wiadomo jest, że praca przy wyjmowaniu gotowych odlewów ze skrzyń jest jedną z najszkodliwszych dla zdrowia, ponieważ powstają kłęby kurzu przy wybijaniu ze skrzyń formierskich piasku po

wykonaniu odlewu. Aby temu zapobiec, wprowadzono wodne pulweryzatory, działające za pomocą zgęszczonego powietrza i zapobiegające powstawaniu kurzu.

Ulatniający się tlenek cynku w postaci białej pary, podczas topienia mosiądzu oraz zalewania form tym metalem powoduje tak zwaną febrę odlewniczą (para ta powstaje przy nagrzewaniu stopów powyżej temperatury wrzenia cynku). Wobec tego, że nie dało się uniknąć tworzenia się ZnO , zastosowano dobrze działające wyciągi przy piecach tygłowych, umieszczone nad piecami. Dało to bardzo dobre wyniki, gdyż od dłuższego czasu nie zdarzyły się zasląbnienia na febrę odlewniczą, chociaż produkcja dzienna stopu cynkowego o zawartości około 42% cynku dochodzi do 1000 kg dziennie.

Z uwagi na to, że nowo przyjęci robotnicy najczęściej ulegają wypadkom przy pracy, włożono na majstrów obowiązek pouczenia nowo przyjętych i zwrócenia ich uwagi na główne niebezpieczeństwa, obowiązek podobny mają także starzy doświadczeni robotnicy.

Zaznaczyć należy, że w kwestii zapobiegania nieszczęśliwym wypadkom stale uświadamianie robotników, okresowe pouczenia majstrów i rozmowy na ten temat dają zawsze pożądane wyniki.

2. Zapobieganie psychiczne

(a) We wszystkich oddziałach Fabryki Metalurgicznej Państwowych Zakładów Inżynierii umieszczone są tablice ostrzegawcze oraz specjalne przepisy dla spawaczy, zajętych spawaniem i cięciem metali itd. Wywieszono także plakaty rysunkowe, na których są uwidocznione przyczyny i skutki nieszczęśliwych wypadków przy pracy.

Ponieważ robotnicy przyzwyczajają się po pewnym czasie do wywieszonych plakatów i przestają na nie zwracać uwagę, zamienia się plakaty między oddziałami fabryki. Oprócz tego wprowadzone zostały z Czechosłowacji wydane tam plakaty i wywieszono w fabryce po zmianie czeskich napisów na polskie. Nawiasem wspomnę w tym miejscu, iż we Francji propaganda przy pomocy plakatów we wszystkich fabrykach prowadzona jest w szerokich rozmiarach, a ponieważ w fabrykach tych pracuje wielu polskich robotników, dla nich napisy francuskie przetłumaczono na język polski.

(b) W jednym z największych oddziałów Fabryki Metalurgicznej bywa wywieszany na widocznym miejscu dokładny i szczegółowy opis wypadków, jakie miały miejsce w fabryce w ciągu ostatnich paru miesięcy, jako też wykaz nieszczęśliwych wypadków, zaczerpnięty z fachowych tygodników i prasy codziennej.

(c) Fabryka prenumeruje stale czasopisma poświęcone zagadnieniom bezpieczeństwa pracy oraz zapobieganiu nieszczęśliwym wypadkom, jak

„Przegląd Fabryczny”, francuski miesięcznik „Chronique de la Sécurité Industrielle” oraz włoskie czasopismo ilustrowane „Securitas” z Mediolanu.

(d) Wreszcie prowadzi się w fabryce statystykę nieszczęśliwych wypadków w myśl zarządzeń wydanych przez Ministra Spraw Wojskowych z dnia 19.VI.1933 r.



B. RATOWNICTWO

Na terenie fabryki stale jest czynne ambulatorium Kasy Chorych, wyposażone we wszelkie środki potrzebne do udzielenia pierwszej pomocy. Oprócz tego w poszczególnych oddziałach fabryki zaprowadzono podręczne apteczki pierwszej pomocy, wystarczające dla doraźnych mniejszych opatrunków.

Na zakończenie referatu uważam za konieczne zaznaczyć z przyjemnością, iż nie było wypadku, żeby robotnicy przeskadzali w pracy kierownikowi bezpieczeństwa, przeciwnie – stale spotykałem się z czynnym poparciem ze strony robotników w każdej sprawie dotyczącej zapobiegania wypadkom.

Zdajemy sobie sprawę, że wyszczególniona wyżej akcja zapobiegawcza na terenie Fabryki Metalurgicznej Państwowych Zakładów Inżynierii „Ursus” nie może być uważana za skończoną i zupełnie wystarczającą. Jest jeszcze wiele do zrobienia i w najbliższych latach akcja, naszym zdaniem, powinna rozwinąć się w następujących kierunkach:

(a) Doprowadzenie porządku w warsztatach do możliwego ideału tak, aby każdy przedmiot, narzędzie i materiał był na swoim miejscu, czyli – jak mówią Francuzi – „miejsce dla każdej rzeczy i każda rzecz na swoim miejscu”.

(b) Pomimo uświadomienia majstrów i stałego wymagania od nich ze strony kierownictwa

zapobiegania nieszczęśliwym wypadkom, należałoby wydać kodeks bezpieczeństwa, normujący przede wszystkim zakres działalności majstrów w akcji przeciwwypadkowej.

(c) Należy się zastanowić, czy nie byłoby wskazane zaprowadzenie w fabryce wewnętrznej Rady Bezpieczeństwa z udziałem delegatów robotniczych.

(d) Zorganizowanie badań psychotechnicznych dla określania kwalifikacji fizycznych i psychicznych robotników.

(e) Sprawę propagandy zapobiegania i bezpieczeństwa trzeba rozwinąć znacznie szerzej, jak to się robi w niektórych krajach zachodnioeuropejskich, i użyć ku temu środki nowoczesne, przede wszystkim następujące:

Plakaty, które powinny być ładnie ilustrowane i drukowane; należy je często zmieniać seriami, co miesiąc lub co dwa najwyżej. Należy też wykorzystać tak potężny nowoczesny środek, jakim jest film.

Ustalenie odpowiednich druków reklamowych na kopertach przy wypłacie zarobków robotnikowi.

Zaprowadzenie specjalnej skrzynki na terenie fabryki, do której każdy z robotników mógłby składać swe wnioski i spostrzeżenia co do urządzeń ochronnych, na jakie kierownictwo czasami nie zwraca uwagi.

W celu zachęcenia pracowników do walki z wypadkami należy wprowadzić konkursy z nagrodami; pytania konkursowe powinny być jasne i proste, np.: Jakie, według Was, należałoby wprowadzić zmiany i ulepszenia, aby uniknąć wypadków przy pracy w Waszym warsztacie?

Z drugiej strony, w miarę rozwoju prac naszych w tym kierunku trzeba się będzie zastanowić nad rozwiązaniem kwestii należytej wentylacji i ogrzewania hal odlewniczych, co jednak napotyka na trudności natury finansowej.

Wreszcie, korzystając ze statystyki nieszczęśliwych wypadków, trzeba będzie poważnie przestudiować, jakie części ciała podlegają najczęściej urazom i w związku z tym zastanowić się nad wprowadzeniem odpowiednich ochronnych środków, jak ubrania, buty, okulary itd.

W każdym razie stwierdzić musimy, że już obecnie istniejąca w fabryce służba bezpieczeństwa w praktyce znakomicie przyczyniła się do zmniejszenia liczby nieszczęśliwych wypadków przy pracy.

R. Siennicki

Powyższy tekst pierwotnie ukazał się w książce „W służbie bezpieczeństwa pracy (Referaty i przemówienia wygłoszone na I Zjeździe Inżynierów Bezpieczeństwa Pracy, zwołanym przez Instytut Spraw Społecznych w dn. 14 i 15 grudnia 1933 r.)”, Instytut Spraw Społecznych, Warszawa 1934.

Z POLSKI RODEM

ZA SZCZĘŚCIE WASZE I NASZE, czyli polska teologia wyzwolenia

Remigiusz Okraska

W oskarżycielskim tekście „Słowo o bando-sie”, poświęconym niedoli chłopów i robotników rolnych, Stefan Żeromski wymienia garstkę Polaków, którzy dokonali wielkich dzieł, a zarazem byli nieobojętni na krzywdę ludu. Nazwiska ich są znane bardziej (Mickiewicz, Norwid, Witkiewicz) lub mniej (Lelewel, Trentowski, Worcell). Tylko jedna z przywołanych postaci jest dzisiaj niemal całkowicie zagadkowa. Autor „Ludzi bezdomnych” pisze o niej: *ten za naszych dni czy-sty przechodzień z góry ducha, przynoszący ob-ludnym faryzeuszom pozew przed ołtarz, Anto-ni Szech, który nim słowo zwiastujące mówić po-czął, oczyścił się w zimnej kąpeli czynu: sprze-dał, co miał, i wykupił nieszczęsne dusze, jęczące w jarzmie rozpusty.*

Antoni Szech naprawdę nazywał się Izydor Kajetan Wysłouch. Urodził się 25 lipca 1869 r. w Pirkowiczach

nieopodal Drohiczyzna jako najmłodszy z trzech synów. Rodzina prowincjonalnej szlachty wyróżniała się spośród wielu podobnych. Pradziad Zenon Wysłouch to poseł na Sejm Czteroletni. Jego dwaj synowie Kazimierz i Jan byli żołnierzami Legionów Dąbrowskiego, zaś trzeci, Wiktor, miał potomka o imieniu Antoni. Był on uczestnikiem powstania styczniowego oraz ojcem bohatera naszego tekstu. Siostra Antoniego, Katarzyna, to matka legendarnego nestora polskiego ruchu socjalistycznego – Bolesława Limanowskiego. Jeden z dwóch braci ojca, Ludwik, miał z kolei syna – twórcę ruchu ludowego w zaborze austriackim, Bolesława Wysłoucha. Z kolei matka Izydora Kajetana, Teofila z Butowt-Andrzejkowiczów, to przyjaciółka Elizy Orzeszkowej, sportretowana przez nią jako „piękna Tośka” w opowiadaniu „Oficer”. Ludwik Krzywicki po latach pisał: *Wziął po paru pokoleniach Wysłouchów mocne instynkty natury społecznej, a także ich **niezdolność, aby czynami swoimi byli w rozterce z przekonaniami.***

Po gimnazjum Izydor Kajetan wybrał studia historyczne w Warszawie. Był wyróżniającym się zakiem, lecz nie angażował w życie społeczne. Dopiero nagła śmierć jednego z braci, Witolda, zaowocowała refleksjami natury religijnej i zwrotem ku Kościołowi.

Wkrótce trafił w krąg późniejszego błogosławionego, a wówczas jednego z najbardziej prężnych kościelnych działaczy społecznych, o. Honorata Koźmińskiego, twórcy opiekuńczych inicjatyw kościelnych (pomoc ubogim, chorym, sierotom, samotnym kobietom). Po powstaniu styczniowym i kasacie zakonów przez władze carskie Koźmiński organizował podziemne struktury. Z klasztoru w Nowym Mieście nad Pilicą kierował niejawnym ruchem „świeckich zakonników”, którzy powołanie łączyli z działalnością w środowiskach „zaniedbanych” społecznie.

Izydor Kajetan po ukończeniu studiów pojechał do Nowego Miasta i oznajmił Koźmińskiemu chęć współpracy. Carskie regulacje zabraniały przyjmowania nowicjuszy do klasztoru kapucynów, wstąpił zatem do bezhabitowego Zgromadzenia Braci Sług Maryi. W 1893 r. odbył nowicjat wśród łódzkich robotników i rzemieślników. Brat Marcin, bo takie imię przybrał, wkrótce został wybrany generalnym przełożonym zgromadzenia, a już kilka miesięcy później z najbardziej aktywnych członków stworzył nową strukturę – Zgromadzenie Synów Bolesci Maryi. Popularnie zwane dolorystami, prowadziło działalność w miejscowościach, gdzie nie docierały inicjatywy religijne i społeczne, m.in. walczyło z analfabetyzmem i prowadziło kursy rzemiosł dla ubogich.

Wysłouch błyskawicznie zyskał uznanie jako znakomity organizator, a także z uwagi na wykształcenie i zdolności przywódcze oraz z powodu wyjątkowo skromnego, ascetycznego życia. W 1894 r. został przełożonym kolejnej niejawnej inicjatywy – Zgromadzenia Sług Świętej Rodziny. Rok później sprzedał swą część majątku w Pirkowiczach i przekazał pieniądze kapucynkom z galicyjskich Kęt, które pomagały kobietom ze środowisk ubogich i patologicznych – do tego czynu nawiązują słowa uznania, które wyszły spod pióra Żeromskiego.

Po śmierci Aleksandra III, na fali „odwilży” podjęto starania o zgodę na nowicjat w klasztorze w Nowym Mieście. Była to jedyna szansa przetrwania zakonu skazanego na dosłowne wymarcie. Pierwszym kandydatem został właśnie Izydor Kajetan Wysłouch, a władze carskie pozytywnie rozpatrzyły tę prośbę. Otrzymał imię zakonne Antoni. Wykorzystując chwilową liberalizację, nadano wyjątkowe tempo odbywaniu nowicjatu oraz zdobywaniu wykształcenia teologicznego. Latem 1899 r. złożył śluby wieczyste, a święcenia kapłańskie otrzymał w listopadzie.

Wkrótce u młodego zakonnika pojawiły się pierwsze wątpliwości, gdy studiował dostępną literaturę

teologiczną – przestarzałą i kiepsko napisaną. Zetknął się wówczas z modernizmem katolickim, sceptycznym wobec dosłownego traktowania tekstów biblijnych i nauczania Ojców Kościoła. Z powodu poważnych problemów zdrowotnych dwukrotnie dla podreperowania zdrowia przebywał w Egipcie. Gdy zmagął się ze sceptycyzmem wobec form wiary, historia nagle przyspieszyła. Wybuchła rewolucja 1905 r.

Wówczas rozkwitła jego polityczna i publicystyczna pasja. Głównie pod pseudonimem Antoni Szech – pochodzącym od zasłyszanego w Egipcie słowa oznaczającego przywódcę czy przewodnika duchowego, a wedle innych opinii z „Ojca zadżumionych” Słowackiego – opublikował wiele artykułów i broszur. W ciągu zaledwie 3–4 lat Wysłouch **wyartykułował program ideowo-polityczny, łączący chrześcijaństwo z socjalizmem i romantycznym patriotyzmem.**

Szech dostrzegł, że współczesna mu epoka to czas gruntownych przemian. Czy to dynamiczne przeobrażenia gospodarcze, czy konflikty społeczne towarzyszące brutalnemu kapitalizmowi, czy krępowany, lecz stale postępujący proces emancypacji warstw ludowych – wszystko to znacząco odmienia świat. Wymaga więc aktywności intelektualnej i organizacyjnej, które Kościół zaniedbuje.

O tym mówią pierwsze publikacje Szecha wykraczające poza tematykę *stricte* religijną. Ich „wysyp” następuje w roku 1906. W broszurze o mariażach, „W sprawie mankietnictwa”, potępiając zerwanie przez nich związków z Kościołem, pisał jednocześnie, że *rozłam ujawnił to, w co nie chcieliśmy wierzyć dotąd, [...] że lud obecnie rozgoryczony jest na duchowieństwo. Że kapłanów takich, jakich lud mieć by pragnął, mało bardzo [...]*. W broszurze „Do braci kapłanów” dodawał, mając na myśli rozbudzenie dążeń ludu do samodzielności w sprawach społecznych, że *Na wszystkie te wolania odpowiadamy formułkami zatęchłych, średniowiecznych ksiąg.*

W rozprawie „O pracy katolickiej” stawia diagnozę, iż *Działalność katolicka [...] odłączyła się zaledwie od wszystkiego, co obchodzi społeczeństwo. Kościół w pewnym sensie obraża się na rzeczywistość, w efekcie przestaje być dla ludu partnerem* i zmierza w kierunku sytuacji, w której Ecclesia stanie się *depopulata*. Rezygnując z udziału w nowoczesnych procesach społecznych, traci też szansę na formowanie ich oblicza, na nadanie im chrześcijańskiego wymiaru. Katolicy ograniczają się do działalności czysto religijnej, z niewielkimi wyjątkami, jak filantropia. A jeśli czasem podejmują aktywność społeczną, to w ekskluzywnym, wyłącznie

**I któż wziąć powinien
najwięcej do serca
te krzywdy ubogich
i maluczkich, tych
ubogich – ukochanych
przez Chrystusa,
ubłogosławionych
przez Ewangelię,
jeśli nie uczniowie
tegoż Chrystusa,
jeśli nie wyznawcy
i głosiciele Ewangelii?**



commons.wikimedia.org/wiki/File:Early life of Christ in the Bowyer Bible.
print_21_of_21_healing_of_a_paralytic_by_Jesus_Vos.gif

katolickim gronie. W ten sposób Kościół stopniowo przekształca się w anachroniczną sektę.

Bądźmy [...] wszędzie, gdzie trzeba bronić wielkich ideałów ludzkości lub wcielać je w życie. By świat cały poznał, że katolicy tam są, gdzie walczą o najświętsze i najwyższe rzeczy. [...] Że wszystko, co piękne, wzniosłe, wielkie, czyste w nich ma obrońców – apeluje Szech. I dodaje, że gdyby pierwsi chrześcijanie naśladowali obecnych, to byśmy na pewno poganami byli dotąd, a gdy się trzymać [tych zasad] będziemy dziś – to na pewno za sto lat Europa znowu pogańską będzie. **Musimy – przekonuje współwyznawców – zrozumieć pragnienia społeczeństwa – i nie zwalczać ich, jeśli są słuszne, ale je uświęcić i oczyścić.**

Oczywiście kapłan z Nowego Miasta nie był tak naiwny, aby mniemać, że postawa kleru wynika tylko z ciasnych horyzontów czy wygodnictwa. Konserwatyzm Kościoła ma także wymiar interesowny. Obojętność na krzywdę ludu i na protesty przeciwko niej to postawa przynosząca wymierne profity. Jednak wedle Szecha krótkowzroczna: *Katolicy [...] zatracili niejako świadomość, w czym istotna potęga Kościoła. Im chodziło o to, by rządy zjednać sobie, te rządy skompromitowane dziś powszechnie, znienawidzone [...] A przecież potęga Kościoła – nie w przyjaźni rządów, i nie w przyjaźni możnych [...] Jego moc w potęgę moralnej. Jego siła we wzniosłości nauki, w podniosłości czynów. Jego potęga w tym, by on, Kościół Chrystusowy, jaśniał jak słońce wśród ciemności świata. [...] By ludzkość widziała, że to, co idzie stamtąd – to*

Boże, to wielkie, to święte, że w tym nic nie masz ludzkiego, nic z tego, co małe, co ziemskie, co egoistyczne.

W artykule „Wrogom Kościoła, tłumicielom wiary”, będącym odpowiedzią na ataki klerykalnej prawicy, pisał: *Chcecie uczynić z Kościoła miejsce zbiorcze tych, co w egoizmie swoim zastraszeni, w niskich, poziomych interesach swoich zachwiani – ludzkość chcą wstrzymać i dzień wszelki zgasić, i ruch wszelki stłumić, i ducha skarlić, i serca ścieśnić i zdławić.*

Szech nie proponował zmian w praktyce Kościoła ze względów taktycznych – aby utrzymać dotychczasową pozycję w społeczeństwie. Jego zdaniem, **istniejący porządek jest do głębi sprzeczny z ideałami chrześcijańskimi. Zatem Kościół ma moralny obowiązek wspierania ludu, ponieważ jego bunt i dążenia są słuszne.**

W „O pracy...” pytał: *I któż wziąć powinien najwięcej do serca te krzywdy ubogich i maluczkich, tych ubogich – ukochanych przez Chrystusa [...], ubłogosławionych przez Ewangelię, jeśli nie uczniowie tegoż Chrystusa, jeśli nie wyznawcy i głosiciele Ewangelii?* Bieda, głód, wyzysk czy handel żywym towarem powinny wywoływać reakcję katolików. W broszurze „Wyjaśnienia” przekonywał: *Kościół Chrystusowy na ruch społeczny, w imię pogwałconej sprawiedliwości wszczęty, patrzeć musi sympatycznym okiem. Wszak to plon*

wyrosły z Ewangelii posiewu. Wszak to zaczęły Ewangelii, co przeniknął społeczeństwo całe.

W broszurze „Gdzie wróg?”, napisanej u schyłku rewolucji 1905 r., krytycznie ocenia tendencje reakcyjne, których przedstawiciele uważają, że wraz z uśmierzeniem buntu społecznego rozwiązano istotne problemy. Zakonnik przekonuje, że mniemanie to jest błędne, **a socjalizm stanowi skutek, nie przyczynę niepokojów społecznych.** [...] *nieprzyjacielem strasznym, nieubłagany, nie ugłaskany nigdy, tym nieprzyjacielem, co grozi, co grozić będzie, co grozić musi, co zemstą wre, i zemstę wyrze w swoim czasie, nie dziś to jutro, tym wrogiem krwawym i okrutnym – nie socjalizm i nie socjaliści. Tym wrogiem – niesprawiedliwość społeczna, krzywda milionów. I co za tym idzie – nienawiść milionów.* [...] *Krzywda, co wygląda zewsząd i jest wszędzie; w mieście i po wsiach, po fabrykach i folwarkach, w pałacach i suterynach, warsztatach i pracowniach, wśród najmodniejszych ulic i zaułków nędzy.* [...] *Ta krzywda milionów, ta niesprawiedliwość społeczna, ta nędza, co się wzmacnia [...]. Słowem – kwestia socjalna. Oto wróg – oto nieprzyjaciół. Z nim rozprawić się trzeba – tego wroga przemóc.*

Wskutek takich refleksji powstały publikacje dotyczące socjalizmu, w tym jedna z głównych rozpraw Szecha, „Uwagi o socjalizmie”. W jego przekonaniu, socjalizm był swoistym zwieńczeniem buntu mas w epoce dzikiego kapitalizmu. Tego rodzaju postawy nieprzypadkowo zrodziły się w Europie – tyleż skutek dynamicznego rozwoju gospodarczego (jak chciał Marks), co i chrześcijańskiego dziedzictwa kontynentu. Zakonnik uważał, że **tylko na gruncie ideałów ewangelicznych mogły się zrodzić masowe dążenia do sprawiedliwości społecznej.**

Przywołuje pionierów katolicyzmu społeczne-go, von Kettelera i Manninga, jednak konstatuje, że większość katolików nie podjęła się – ze wspomnianych już względów – wspierania wykluczonych. *Ogół dbał więcej o garstkę zboża, co ukradł z głodu biedny wyrobnik, niż o krzywdę całych pokoleń. O przełamanie piątkowego postu, niż o zgwałcenie i zdeptanie przez społeczeństwo chrześcijańskie prawa wiekuiestej sprawiedliwości* – pisał w „Uwagach...”. Ludowe poczucie krzywdy zostało więc „zagospodarowane” przez socjalizm.

W odróżnieniu od katolickich przeciwników socjalizmu, rozpowszechniających czarną legendę, Szech rzetelnie omawia jego założenia. Wskazuje, że znaczna część ruchu odeszła od postulatów hedonistycznych („wolna miłość”) czy od forsowania rewolucyjnej drogi przeobrażeń ustrojowych, a doktryna

socjalizmu podlega rewizji wraz z rozwojem wiedzy i zmianami społecznymi. Zauważa, że swoisty „program minimum” socjalistów (swobody obywatelskie, równość wobec prawa, powszechne nauczanie, podatek progresywny, cywilizowane zasady i warunki pracy najemnej) został przyjęty także przez chrześcijańską demokrację.

Autor „Uwag o socjalizmie” akcentuje nie tylko ekonomiczne i społeczne aspekty programu socjalistycznego, lecz także jego wymiar etyczny. Wedle Szecha, **kapitalizm jest ustrojem niekorzystnym pod względem moralnym, przy czym jego ofiary widzimy także wśród niewolników u góry – tych bogaczy zbydlęconych, i ogłupiałych, i zdeprawowanych przez złotego cielca, co zakuci także w kajdany ustroju dzisiejszego.** Zakonnik powtarza marksowską tezę, że wyzysku nie da się sprowadzić do indywidualnych decyzji „złych ludzi”, stanowi on bowiem immanentną cechę systemu wolnokonkurencyjnego. Nawet jeśli pracodawca ma świadomość skutków własnych poczynań, *musi krzywdzić i wyzyskiwać. To jego być – albo nie być.*

Tym bardziej bieda i upodlenie odciskają piętno na moralności. Wysłouch dostrzegał – do dziś nie jest to powszechne wśród kleru i katolickiej prawicy – **społeczno-ekonomiczne przyczyny wielu grzechów.** *Niedostateczne pożywienie i ubranie [...] pobudza od wczesnej młodości do kradzieży i oszukaństwa. Brak pracy [...] popycha bardzo wielu do podstępного korzystania z cudzego majątku. [...] Prostytycja [...], ta ohyda wieku naszego i to źródło zgnilizny i zguby społeczeństw – to zło, które zrodzone przez obecny ustrój społeczny – także przecie dzieckiem nędzy i ekonomicznych dzisiejszych warunków* – pisał w „Uwagach...”. Był też autorem broszury „W jaki sposób można zapobiec prostytucji”, w której – jak pisze Henryk Syska – *pragnie wskazać na tak zwane nierządne kobiety nie jako na ofiary wrodzonych skłonności, tajemniczego przekleństwa nadprzyrodzonych sił miotających [...] człowiekiem, ale przede wszystkim jako na ofiary kapitalistycznego ustroju.*

Nie twierdził, że wszystkie złe czyny można wyjaśnić warunkami społecznymi. Należał jednak w łonie Kościoła do prekursorów myślenia, które wskazuje, że określone realia stanowią bardziej urodzajną glebę dla grzechu. Stanisław Gajewski pisze, iż Wysłouch *dostrzegał [...] to, co obecnie Jan Paweł II [...] nazywa „strukturami zła”,* czyli takie warunki ustrojowo-instytucjonalne, w których znacznie trudniej żyć wedle zasad katolickich.

Wedle Szecha, błędem jest oddzielanie wymiaru doczesnego od wiecznego, a indywidualnego od zbiorowego. **Modlitewne wezwanie „Przyjdź Królestwo Twoje” to wskazówka, iż tutaj i teraz powinniśmy tworzyć świat jak najlepszy,**



©Punch, flickr.com/photos/georgedthompson/2558252454

świat, w którym grzech i nieprawość miałyby znacznie mniejsze pole do popisu. Program socjalistyczny jest – pisze w „Uwagach...” – *wprowadzeniem idei chrześcijańskiej w urządzenie społeczne*. Jeżeli socjaliści zdołają zmniejszyć skalę niesprawiedliwości i wyzysku, *to największą przysługę wyrządzą religii – przygotują grunt pod posiew Boży. Tak rozumiany socjalizm nie tylko nie sprzeciwia się Kościołowi – ale owszem jest [ideą] arcychrześcijańską.*

Jak podsumowuje Jerzy Mazurek, wymowa rozpraw Szecha z tego okresu brzmi: *katolicyzm nie*

musi wiązać się z aktualnym porządkiem społecznym; socjalizm nie jest antytezą chrześcijaństwa.

Docenieniu zalet socjalizmu towarzyszyły w jego rozważaniach uwagi krytyczne – zarówno wobec taktyki i działalności bieżącej ruchu, jak i sedna idei.

Zarzuty mniejszego kalibru dotyczyły stosunku socjalistów wobec religii i obyczajowości. Szech krytycznie oceniał „wolnościowe” postulaty tego obozu

jako prowadzące do rozkładu moralnego warstwu ludowych. Przyznawał socjalistom prawo do krytyki kleru czy Kościoła za uchybienia moralne lub zaangażowanie polityczne po stronie reakcji, jednak surowo oceniał antyreligijne wątki ich doktryny i propagandy. Uważał, że są one wtrącaniem się w osobistą, wręcz intymną sferę przekonań człowieka, a także błędem polityczno-taktycznym. *Te godne pożałowania wybryki przeciw obrazom, krzyżom, te głoszone bluźnierstwa, które rozbrzmiewały po ulicach, polach, fabrykach [...] mogły oburzyć i odstręczyć bardzo wielu, najżyyczliwiej nawet dla samej sprawy usposobionych* – pisał w „Uwagach...”. Ludowy antyklerykalizm, dość powszechny i nierzadko ostry, nie oznacza bowiem występowania przeciwko religii. Ataki socjalistów na tę ostatnią skutkują niechęcią względem nich, a nawet silniejszym utożsamieniem się ludu z klerem.

Jednak główną kością niezgody między Szechem a socjalistami, a zarazem *clou* ideowego przesłania zakonnika, był stosunek wobec kwestii klasowych. Kapłan popierał większość postulatów społeczno-gospodarczych ruchu socjalistycznego, zwłaszcza w jego wydaniu reformistycznym i ewoluującym wraz z przeobrażeniami społecznymi (Czy *nie śmieszną jest rzeczą pasować Marksa na nieomylnego proroka przyszłości?* – pytał). Sceptycznie oceniał natomiast „klasowość” i przewagę wątków negatywnych.

W „Uwagach...” pisał, że *Idea socjalistyczna – idea powszechnej sprawiedliwości – usunięcia krzywdy raz na zawsze, praktycznego zastosowania haseł braterstwa, jedności i miłości – piękna jest i wzniosła. [...] jeśli z niej zrobić interes tylko klasy jednej, interes życiowy robotnika, w imię której on nastaje na interesy tych, którym dziś dobrze, traci swą piękność, swój urok, a z nimi swą potęgę. Przeradza się w wyraz egoizmu klasowego. Staje się czymś brzydkim, jak brzydkim samolubstwo i egoizm bogatych. [...] Na tym gruncie oparty socjalizm, staje się walką brutalną o byt, walką jednych przeciw drugim [...] Socjalizm w tym znaczeniu – jest walką głodnych psów nad pełną miską strawy.*

Choć przekonywał, że bez zaspokojenia potrzeb nie można godnie funkcjonować, a o idealizmie mówią zazwyczaj żyjący w dobrobycie, których takie wywody nic nie kosztują, to jednak przestrzegał przed „obniżeniem” ideałów. Inspirowany tyleż chrześcijaństwem, co poglądami Edwarda Abramowskiego, z którym współpracował, przekonywał w piśmie „Siewba” w tekście „Jeszcze jedno”, że ludowi potrzeba postępu ekonomicznego i zdobyczy cywilizacyjnych, *Ale to jeszcze nie wszystko. [...] Prócz dobrobytu, prócz oświaty, potrzeba jeszcze czegoś. Potrzeba ducha.* Konieczne są nie tylko reformy socjalne, lecz także piękny ideał i dążenie doń

poprzez zmiany we wzorcach kulturowych i postawach, czyli reformy etyczne.

Opowiadał się zatem za walką *nie w imię egoizmu – ale szczęścia wszystkich. Nie z nienawiści do innych, ale z miłości dla idei – i dla wszystkich ludzi. Socjalistom radził, by na sztandarach zamiast walki klas – wypisali hasło sprawiedliwości ogólnej. Dawne zawołanie „za Waszą i naszą wolność” proponował przekuć na „za Wasze i nasze szczęście”.*

W „O pracy katolickiej”, książce skierowanej do ludzi Kościoła, apelował o syntezę wartości chrześcijańskich z przeciwdziałaniem krzywdzie społecznej, o *socjalizm naprawdę chrześcijański, oparty na chrześcijańskich ideałach, [...] ożywiony duchem ewangelicznej miłości. Byłby to socjalizm – ale taki, co nie poniżałby, ale podnosił duszę, uszlachetniał [...]. I pięknoscią swoją i podniosłością zrobiłby on więcej niż socjalizm niechrześcijański ze swymi bombami.* Z kolei chłopów na łamach „Siewby” używał do przepojenia swych dążeń duchem chrześcijańskim. W artykule „Ty, ludu polski” pisał: *Idź swoją drogą – w przyszłość Twoją, ku słońcu. I świętej chwili przebudzenia Twojego nie zbrukaj gniewem, nie plam nienawiścią. [...] w świętym Twoim pochodzie – Chrystusa weź na krzyż. I męką Jego zagrzej się do czynu. [...] I w Ewangelię Jego przystroj duszę Twoją. A wtedy nie zbłądzisz [...].*

Postulat „szczęścia dla wszystkich” miał związek z innym ważnym aspektem poglądów Szecha – stanowiskiem w sprawie niepodległości. Jej odzyskanie było zarazem wartością samą w sobie, jak i drogą do przeobrażeń w duchu egalitarnym – tylko wolne państwo może być jednocześnie sprawiedliwym społecznie.

Szech głosił poglądy znane bodaj od czasów Wielkiej Emigracji, które nabrały jeszcze mocy po klęsce powstania styczniowego. Nierealne jest odzyskanie niepodległości na drodze elitarnej walki „Polski pańskiej”. W broszurze „Wolności...” rzuca pod ich adresem gorzkie słowa: *Żeśmy o braciach naszych nie myśleli, i pragnąc sami wolności, i oburzając się na własne krzywdy, tyranami byli i krzywdzicielami ludu. [...] Żeśmy dla wolności, za wolność walczyli po świecie całym [...] a dla braci własnych nie mieliśmy miłosierdzia [...] Kainami chcieli być dalej dla braci swoich – a wolność pozyskać dla siebie. I cieszyć się sami, i chodzić w blaskach słońca, w promieniach wolności, nie dbając o to, że miliony braci cierpią i płaczą i że krzywdą im się dzieje.*

Polska – ale jaka? W „Uwagach...” tak przedstawiał tę kwestię: *Jeśli kochamy Polskę, to [...] pragnąc*

musimy nie tylko, [...] by się stała wolną, ale [...] aby ona, ta wymarzona ojczyzna, ukochana nasza, była cudną w rzeczywistości [...] By wolnych i szczęśliwych ludzi – wolną i szczęśliwą stała się ojczyzna. Aby wolność nadeszła, nie dość usunąć krzywdę polityczną – trzeba usunąć krzywdę ekonomiczną. Że nie dość wyzwolić się z kajdan najeźdźców – że trzeba się wyzwolić i z kajdan kapitalizmu – pisał w „Wolności...”. W broszurze „Sursum corda” dodawał, iż *nie może być szczęścia klasy jednej, kiedy druga cierpi. I szczęścia narodu – bez szczęścia wszystkich.*

Program Szecha był solidarystyczny, ale w odmiennym rozumieniu niż solidaryzm warstw posiadających. Tamte głosiły, że niepodległość jest wartością nadrzędną, dla której lud musi pokornie znosić zły los. Płaskiej idei „zgody narodowej” przeciwstawiał kapłan wyrzeczenie się przez możnowładców swoich przywilejów, aby lud czuł się partnerem w dziele odzyskania suwerenności, a przyszła Polska jawiła mu się jako sprawiedliwa społecznie. W „Przyjdź Polsko” o Niepodległej pisał tak: *W niej będzie jedność – jedność wszystkich bratnia. W niej cud się stanie, ale nie ten, co ze szlachtą polską lud miał polski złączyć. W niej ani szlachty, ani ludu nie będzie. W niej będą bracia.* W broszurze „Orzeł Biały” dodawał: *Polska wolna będzie, gdy wszyscy wolnymi zostaną.*

Jego wizja braterstwa obejmowała nie tylko kraj ojczysty. *Polska nie zbrodnią wstanie – ale cnotą. Nie szowinizmem, ani hakatyzmem, ani nienawiścią. Ale miłością bratnią wszystkich ludów. I ukochaniem wszystkiego, co święte, i podniosłością ideałów swoich. I apostołstwem ich po świecie całym, by wszyscy z nią – je pokochali razem. I wtedy przyjdzie wolność wszystkich ludów. I wolność ludzi wszystkich* – przekonywał w „Przyjdź Polsko”.

Nie ograniczał się do publicystyki. W listopadzie 1905 r. wziął udział w warszawskiej filharmonii w wiecu zainicjowanym przez PPS. Głośnym echem odbiły się jego słowa, stanowiące streszczenie wywodów św. Hieronima: *Każdy posiadacz jest złodziejem lub potomkiem złodzieja.* Współorganizował też późniejszy o miesiąc zjazd duchowieństwa zaboru rosyjskiego, inspirowany tym razem przez Ligę Narodową. Przemówienie zakonnika odbiegało od pozostałych akcentowaniem problematyki socjalnej i radykalizmem wniosków.

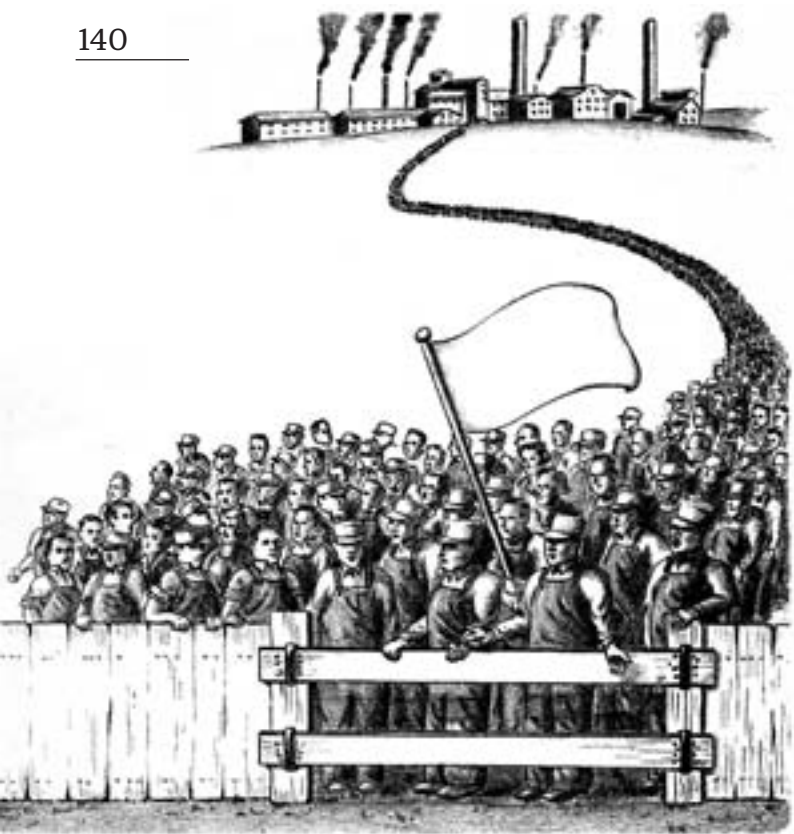
Nazwisko Szecha widnieje w stopce redakcyjnej „Życia Gromadzkiego” – tygodnika Polskiego Związku Ludowego, pierwszej radykalnej chłopskiej organizacji w Królestwie Polskim. Sygnował wraz z m.in. Abramowskim, Władysławem Orkanem

i Żeromskim tzw. prospekt tego pisma, zawierający deklarację obrony *wyłącznie interesów ludu* [...] *a cel tej pracy widzimy jasny: uczynić z każdego samodzielnego, rozumnego obywatela.*

Wydawnictwa PZL były efemeryczne, a sama organizacja szybko została rozbita przez carską policję. Jednak już wkrótce kapłan wszedł do grona współpracowników „Siewby”, pierwszego polskiego czasopisma tworzonego wedle zamysłu i pod kierunkiem samych chłopów. Redagowane od jesieni 1906 r. przez grupę włościan z Thuszcza i okolic, miało profil postępowo-lewicowy. Pierwszy numer otwierała odezwa autorstwa Szecha, w której zakończeniu pisał: *Niech żyje lud – niech żyje siewba ta, co na dobro ludu. Niech żyje Polska przyszła, co z ludu wstanie – w imię Boże.* Jak pisał Tomasz Szczechura, *Współpraca księdza Wysłoucha była dla [...] „Siewby” bardzo cenna. Dla wychowanych w duchu religijnym i posłuchu dla Kościoła chłopów głos księdza miał szczególną wymowę.* Nakładem pisma ukazały się też trzy broszury Szecha.

W środowisku „Siewby” zrodziła się też polityczna inicjatywa z udziałem zakonnika. Był to nielegalny, zrzeszający kilkaset osób Związek Młodej Polski Ludowej, powołany 2 września 1906 r. Wysłouch opracował jego program, przyjęty kilka miesięcy później. Dokument zapowiadał walkę o niepodległość (nie wykluczając działań zbrojnych) i zjednoczenie ziem polskich, a podwaliną odrodzonej ojczyzny miał stać się lud. Głosił hasła tolerancji religijnej i narodowościowej, sojuszu-federacji z Rusinami (Ukraińcami) i Litwinami, a w wymiarze ponadlokalnym – federacji krajów europejskich. „Na dziś” walczyć należało m.in. o autonomię Królestwa Polskiego, powszechne szkolnictwo polskie, swobody obywatelskie, równouprawnienie kobiet. Ważnym elementem programu były oczywiście sprawy chłopskie – wywłaszczenie, za odszkodowaniem, wielkich właścicieli ziemskich, a także podniesienie kultury rolnej (od szkolnictwa rolniczego poczynając, na komasacji gruntów kończąc) i nacjonalizacja obszarów leśnych. System fiskalny opierałby się na podatku progresywnym, aby bogaci mieli większy wkład w dobro wspólne. Postulaty robotnicze to m.in. 8-godzinny dzień roboczy, płaca minimalna, zniesienie pracy dzieci, równość wynagrodzeń kobiet i mężczyzn, swoboda działalności związkowej, tanie budownictwo mieszkaniowe.

Bez wątplenia silnie inspirowany wizjami Abramowskiego, program ZMPL kładł nacisk na rozwój inicjatyw społecznych. Kooperatywy (spółdzielnie) to zarówno praktyczne narzędzia poprawy doli warstw ludowych, jak i szkoły demokracji, uczące wspólnej pracy i współzarządzania. A także instytucjonalne zręby nowego ustroju, celem było bowiem *przeobrażenie obecnego ustroju społecznego klasowego na ustrój kooperatywny.*



©©© Tobias Higbie, flickr.com/photos/higbie/2571028941/

Ustrój taki stanowiąc będzie wyższą formę przyszłego współżycia narodów, w której nie masz miejsca dla sobkostwa, krzywdy i ucisku braci przez braci, a wszyscy razem w pracy koło dobra społecznego zabiegać będą, by ojczyzna jaśniała szczęściem, sprawiedliwością, miłością bratnią!

Kolejną inicjatywą było Towarzystwo Kółek Rolniczych im. S. Staszica. Powołane na zebraniu w Tłuszczu w grudniu 1906 r., wkrótce posiadało oddziały w całym Królestwie. Wśród założycieli był Wysłouch, który wszedł do Tymczasowego Zarządu organizacji. TKR było nie tylko inicjatywą przekuwającą hasła programowe w konkretne chłopskie inicjatywy o charakterze spółdzielczym i samopomocowym. Ważny był też jej symboliczny i praktyczny wymiar emancypacyjny. Dotychczasowe kółka rolnicze pozostawały bowiem – mimo wielkościowego udziału drobnych posiadaczy – pod kontrolą i kuratelą, jak mawiano wówczas, „patronów”, czyli ziemian i kleru. Natomiast nowo powołane kółka były niezależnymi inicjatywami chłopów, pracujących w myśl zasady „sami sobie”. Hasło to stało się znakiem firmowym kolejnego ludowo-postępowego pisma, „Zaranie”, założonego w kręgu „staszycowsko-sieubiarskim” w roku 1907. Również z nim współpracował Wysłouch.

Zakonnik z Nowego Miasta nad Pilicą był więc wśród ojców-założycieli ruchu ludowego w zaborze rosyjskim, a jednocześnie pełnił ważną rolę w środowisku postępowej inteligencji. Kapłan, publicysta, społecznik, wspierający lud głównie piórem, ale gdy trzeba także autorytetem, przykładem i dobrą radą doświadczanego organizatora.

Jego działania i poglądy – zarówno wspomniane już, jak i np. optowanie za równouprawnieniem kobiet (o którym pisał: *Kto wolność kocha, ten niewoli matek swych i żon i córek nie zniesie. I ludzie wolności niegodni, jeśli jej nie chcą dla wszystkich*) – spotkały się z licznymi głosami krytyki. „Szechizm” – bo dla jego przekonań ukuto wręcz taką nazwę – zaowocował mnóstwem polemicznych artykułów, oświadczeń, a nawet broszur.

Prasa katolicko-prawicowa odsądzała go od czci i wiary. Oto próbka ze szczególnie napastliwej „Roli”: *Kto zaczął ów Antoni Szech i jaką wytwarza truciznę? Ma to być „kapłan”, nawet kapłan-zakonnik, ale kapłan taki, którego [...] admirują i wystawiają najnędniesze świstki wywrotowe i żydowsko-socjalistyczne*. Ataki te przyniosły początkowo skutek odwrotny od zamierzonego. Jak pisał, *Rozgłos to mi zrobili moi przeciwnicy. A najlepszym dowodem, że podczas, gdy przez kilka miesięcy przed artykułami „Roli” mój wydawca sprzedawał zaledwie paręset egzemplarzy moich broszur, w czasie kampanii [...] rozeszło się kilka tysięcy*.

Jednak nagonka przyniosła efekty – „sprawę Szecha” zainteresowała się hierarchia kościelna. Chodziło wszak o czynnego zakonnika – i to nie byle jakiego, bo lidera licznych środowisk katolickich, w dodatku postrzeganego jako wielką nadzieję swego zgromadzenia. Wątpliwości hierarchii budziła dokonana przez niego obrona socjalizmu, wskazywanie związków przesłania chrześcijaństwa z koniecznością radykalnych reform ustrojowych, modernistyczny sceptycyzm wobec tradycyjnej narracji historyczno-teologicznej, a także krytyka Kościoła za niedostateczną aktywność wobec palących problemów społecznych. Krytyki Wysłoucha dokonali publicznie m.in. biskup łucko-żytomierski Karol Niedziałkowski, biskup wileński Edward Ropp i arcybiskup lwowski Józef Teodorowicz.

Atakujący nie mieli łatwego zadania z uwagi na nienaganną postawę jako zakonnika i kapłana. Choć usiłowano go pogrążyć za pomocą plotek o lekceważeniu wymogów stanu duchownego, to zwierzchnicy i współpracownicy z kręgów kościelnych wystawili mu jak najlepsze świadectwo w tej kwestii. Jego religijność, sumienność praktyk, niezwykle skromne życie i brak zainteresowania pokusami świata doczesnego stawiano wręcz za wzór do naśladowania. To wszystko jednak nie miało znaczenia w obliczu światopoglądu.

Pod koniec roku 1906 próbowano „uciszyć” o. Antoniego. Nakazano mu publikować wyłącznie po uzyskaniu każdorazowej aprobaty u zwierzchników. Wysłany został do Kolegium Jezuickiego w Innsbrucku dla pogłębienia wiary i wiedzy teologicznej.

Wrócił po niespełna roku i przerwał milczenie. Nowe publikacje były bezkompromisowe, choć zawierały też wyjaśnienia. Zakonnik miał jeszcze nadzieję na jakiś *modus vivendi* z władzami kościelnymi. W liście do innego buntowniczego kapłana, Edwarda Miłkowskiego, krytycznie ocenił jego decyzję o opuszczeniu Kościoła: *Reforma musi być w Kościele, nie poza Kościołem. [...] Walcząc z tym, z czym walczyć należy śmiało, narażając się na sądy ludzkie i może na kary konsystorskie, ale z kościołem nie zrywać.*

Jednak hierarchia twardo zareagowała na złamanie zakazu publikowania bez konsultacji. W czerwcu 1908 r. Wysłouch otrzymał nakaz opuszczenia klasztoru w Nowym Mieście, w jego sprawie miało się toczyć postępowanie dyscyplinarne. Jednak 28 sierpnia 1908 r. zakonnik ogłosił decyzję o wystąpieniu ze stanu duchownego. Tłumaczył ją w broszurze pt. „Dlaczego?”, pisząc, iż działalność w łonie Kościoła uświadomiła mu *straszną przepaść między ideałem chrześcijańskim a tym, co widzimy wcielone w społeczeństwie wiernych – między ideą Chrystusową a tym obozem reakcji, bezduszości, bezruchu, faryzeizmu, obłudy, jakimi w przeważnej części stał się Kościół [...]*. Do pewnego momentu miał przesłanki sądzić, że Kościół otwiera się na świat współczesny, jednak *encyklika „O modernizmie” rozwiązała resztki, przebłyśki złudzeń, których jeszcze dusza [...] rozpacznie chwycić się próbowała.* Dodawał, że nie chce być *księdzem-hipokrytą, choć z wielu względów dla mnie i dla innych wygodnie by było.*

Wkrótce przysłyły kolejne, ostrzejsze publikacje Szecha-Wysłoucha, wymierzone w polityczny i kościelny obóz zachowawczy oraz w atmosferę po upadku zrywu z lat 1905-07. W broszurze „Hańba” powtarzał tezy o egoizmie warstw posiadających jako przyczynie niepowodzeń walk o niepodległość. Tekst kończył z goryczą: *Hańba nam, że bezruchem swym do trupa uczyniliśmy Polskę podobną, że bezduszną, trupią i zgniłą jest ta, co wyroki feruje wszelkie – nasza „oświecona” opinia, że w imię dobra ojczyzny, której zgniłego snu nikomu mącić nie wolno, tłumi się wszelką myśl śmielszą, że w każdym słowie szlachetnym, odważnym, zdradę się widzi ojczyzny i zamach na „jedność” jej i spokój, że [...] „prawdziwy Polak” to sługa reakcji i wsteczności [...] a katolik u nas synonimem głupoty, bezmyślności, niewolnictwa ducha.*

W broszurze „Na sąd was wzywam” konstatował moralny upadek kleru i obojętność na problemy nurtujące społeczeństwo. Zarzucał mu też, że wychował wiernych w bezmyślnym posłuszeństwie, a chrześcijański Bóg jest przez szeregowych wyznawców traktowany jak pogańskie bożki, bądź to krwawe i okrutne, bądź prześlągane, więc łaskawe.

Kościół miał być dźwignią świata, stał się zapórą dla wszelkiego ruchu – miał być przewodnikiem ludzkości do przyszłego świata, do Bożego Królestwa, stał się gnębicielem jej, więziennym dozorcą.

Przypieczętowaniem ewolucji ideowej Izzydora Kajetana Wysłoucha stały się jego ostatnie większe publikacje. W broszurze „Katolicyzm a polskość” z 1909 r., opatrzonej wymownym mottem – cytatem ze Słowackiego: „Polsko, Twoja zguba w Rzymie”, przekonywał, że katolicyzm nie przyniósł Polsce zbyt wiele dobrego, lecz wzmacniał tendencje negatywne i hamował wartościowe. Uważał też, że fałszywe jest utożsamienie polskości z katolicyzmem. Tak jak Niemcy porzucili go na rzecz luteranizmu, a Francuzi dla laicyzmu, tak i Polacy nie muszą być katolikami, aby pielęgnować tożsamość. Wręcz przeciwnie – katolicyzm nierzadko jest sprzeczny z interesem narodowym, zaś *Rzymski katolik, o ile naprawdę nim jest, nie zawaha się, gdy o wybór idzie między Ojczyzną a Watykanem. [...] W tym znaczeniu i na tym polu katolicyzm nie tylko nie jest podporą polskości, ale jest owszem, szkołą narodowego zaprzaństwa.*

Jeszcze dalej szedł w wydanej rok później broszurze „Być albo nie być”, stanowiącej odpowiedź na artykuł Bolesława Prusa, który przyłączył się do napaści kleru na szkołę ludową w Kruszyńku, utworzoną w środowisku „Zarania”. To już nie jest krytyka „błędów i wypaczeń” jednostkowych czy zbiorowych. Ex-zakonnik stwierdza, że polski katolicyzm uległ tak wielkiej degeneracji, że *obezwładnia ducha, osłabia energię, niszczy wszelką inicjatywę, wypacza i usypia umysł, kaleczy serca, sprzymierzeńcem jest wszelkiej reakcji.* Szech apelował: *Jeśli przyszłość ludu naprawdę na sercu nam leży, jeśli lud z bierności jego i duchowego serwilizmu wyprowadzić chcemy – w wolnych ludzi go zamienić [...] choćby dlatego, że lud – to Polska, to jedyna Polski nadzieja, musimy nie księżom jedynie wypowiedzieć walkę, ale na walkę z Kościołem się zgodzić. [...] katolicyzm wśród ludu osłabić trzeba, walkę mu wydać otwartą. Walka to o Prawdę, światło, wolność. Walka o lud. O Polski lepszą przyszłość. [...] jestem głęboko przekonany, że walka z Kościołem – to obowiązek w imię dobra ludu i miłości ojczyzny.*

Nie oznaczało to porzucenia samej wiary. Wiosną 1910 r. pisał w „Zaraniu”, w duchu dawnych tekstów, o ideałach ewangelicznych, kładąc jednak szczególny nacisk na to, że o człowieku nie świadczą formułki. Blisko Boga może być ktoś nominalnie niewierzący lub innowierca, jeśli czyni dobro, natomiast wielu deklaratywnych chrześcijan przekreśla swoim postępowaniem takie autoidentyfikacje. [...] *nie w słowach Bóg żąda świadectwa, ale w życiu, w czynie. Bo On nie ofiar pragnie*

całopalnych, lecz ofiar serca. Bo nie w modlitwie się kocha bezmyślniej, lecz w życiu godnym tej nazwy, w uczynkach szlachetnych, w wielkości serca, w świętym pożądaniu. Bo Mu nie chodzi o cześć jaką inną, prócz tej, co miłością bliźnich się wyraża.

Choć nie krępowany już zasadami kościelnymi, wkrótce po opuszczeniu zakonu zaprzestał działalności publicystycznej. Kilka broszur, kilkanaście artykułów – to wszystko, co Szech zrobił po zrzućeniu sutanny, czyli niewspółmiernie mało w porównaniu do lat 1906-08. Początkowa satysfakcja jego przeciwników nie miała się czym żywić, zawiodły nadzieje na jakiś „skandal” – prowadził żywot iście zakonny (mająca nadzieję na romans z nim Zofia Nałkowska konstatowała, że sposób bycia Wysłoucha nie zmienił się po opuszczeniu klasztoru).

Choć jego stanowisko ideowe zradyzalizowało się, to na tle innych świeckich postępowców było umiarkowane, a on sam nie chciał „prac brudów” z czasów zakonnych. Okazało się też, że wielu uprzednich sojuszników traktowało Szecha instrumentalnie – jako ksiądz był wygodnym listkiem figowym lub przynętą na plebejuszy, jako świecki okazał się niepotrzebny. Nie pasował do żadnego z obozów. Był nie tylko zbyt „lewacki” dla Kościoła i załączków chadecji, ale i – jak pisał – *postępowi [...] za nadto widzą we mnie religijnego, bym się im podobać mógł. Socjaliści takich idealistów nie aprobują. Jak pisał Andrzej Chwalba, nie znalazł on zrozumienia w partiach robotniczych, które widziały w nim człowieka Kościoła.*

Aleksander Świętochowski konstatował: *Z Szecha nie wyjdzie więc szechizm.* Rzeczywiście, nie stał się liderem żadnej inicjatywy społecznej czy nurtu ideowego. Pod koniec 1910 r. wyjechał do Paryża, gdzie był wolnym słuchaczem w École des hautes études, uczęszczał też na wykłady francuskiego modernisty, ekskomunikowanego Alfreda Loisy. W stolicy Francji funkcjonował w kręgu skupionym wokół anarchosyndykalisty i wolnomysliciela, lekarza Józefa Zielińskiego. Ponoć wygłaszał – ubrany w habit – radykalne antyklerykalne przemówienia podczas demonstracji robotniczych.

W przededniu I wojny światowej powrócił do Polski ze względu na odnawiające się problemy z płucami. Popierał czyn zbrojny i działalność Piłsudskiego, ale z uwagi na stan zdrowia nie brał udziału w akcji niepodległościowej.

1 stycznia 1919 r. zatrudniono go w Ministerstwie Pracy i Opieki Społecznej. W ciągu 8 lat przeszedł

kolejne szczeble kariery urzędniczej, zostając naczelnikiem jednego z wydziałów. Choć uległa zmianie forma, treść jego aktywności pozostała podobna. Izidor Kajetan Wysłouch **był bowiem współtwórcą zrębów polskiego ustawodawstwa socjalnego, a pamiętajmy, że nasz kraj należał wówczas do ścisłej światowej czołówki w tej dziedzinie.** Przygotował nowelizację ustawy o obowiązkowych ubezpieczeniach na wypadek choroby oraz był współautorem projektu ustawy o Kasach Chorych. Doprowadził – i był jej sygnatariuszem – w 1931 r. do polsko-niemieckiej umowy o wzajemnym respektowaniu zobowiązań wynikających z ubezpieczeń społecznych obywateli obu krajów. W 1933 r. pod jego kierownictwem przygotowano projekt nowej ustawy o ubezpieczeniach społecznych. Reprezentował Polskę w pracach na forum Ligi Narodów jako jeden z liderów międzypaństwowej Komisji Ubezpieczeniowej. Za całokształt tego rodzaju działalności otrzymał Order Polonia Restituta oraz Złoty Krzyż Zasługi.

Prowadził ascetyczny i samotniczy tryb życia, zmagając się stale z kłopotami zdrowotnymi. Jedynym wyjątkiem była aktywność w masonerii. W listopadzie 1932 r. przyjęto go w poczet członków warszawskiej loży „Kopernik”, gdzie działał pod pseudonimem Antoni Sławicz. W 1935 r. został przewodniczącym tej najstarszej polskiej wspólnoty wolnomularskiej.

Zmarł nagle, w samotności, 25 lub 26 czerwca 1937 r. w swoim warszawskim mieszkaniu po powrocie z wakacji w Pirkowiczach. Pochowano go na skraju lasu w tradycyjnym miejscu grzebalnym nieopodal rodzinnego dworku.

Choć minęło ponad 100 lat od zakończenia politycznej aktywności Antoniego Szecha, sytuacja jest zadziwiająco podobna. Zajadła antyreligijność środowisk lewicy oraz ich bezrefleksyjne zachwyty nad wszelkimi nowinkami obyczajowymi skutecznie odstraszały osoby wierzące i bardziej zachowawcze. Polski Kościół pozostaje niemal całkowicie impregnowany na postawy i idee egalitarne. Większość księży bez wahania święci pałace i limuzyny nawet największych krwiopiców, zaś wśród politycznie aktywnych wiernych dominują osoby, które wydają się służyć raczej Mamoni i Złotemu Cielcowi, zwanemu wolnym rynkiem, niż Bogu. W takich czasach warto wracać do wspólnych ideałów Ewangelii i socjalizmu.

Remigiusz Okraska

O NOWĄ WIEŚ

Koncepcje agrarne Władysława Grabskiego

dr hab. Rafał Łętocha

Nazwisko Władysława Grabskiego kojarzy się przede wszystkim z reformą walutową, którą przeprowadził w 1924 r., pełniąc funkcje premiera i ministra skarbu.

Wówczas to, w ramach pełnomocnictw udzielonych przez Sejm, dokonał uzdrowienia finansów państwa poprzez m.in. radykalne cięcia kosztów administracji, podwyższenie podatków, usprawnienie systemu ściągania danin majątkowych, stabilizację cen, wprowadzenie jednolitego systemu podatkowego oraz państwowego monopolu spirytusowego, tytoniowego i zapalczanego. Przede wszystkim jednak ustanowiono nową walutę – złoto polskiego i powołano jego emitenta, Bank Polski.

Reforma była rozmaicie oceniana. Dziś generalnie dominują pozytywne oceny, mówi się wręcz o imponującym sukcesie. Jej rangę i charakter dobrze obrazuje, jak się wydaje, zestawienie z reformą Leszka Balcerowicza, która oparta była na zupełnie odmiennych przesłankach. Grabski, jako zwolennik szkoły historycznej w ekonomii, odrzucał możliwość generalizowania zjawisk gospodarczych i wyodrębnienia niezmiennych motywów gospodarowania. Charakterystyczne dla niego było **podkreślanie podmiotowości (polegającej na szukaniu oparcia dla reform w siłach wewnętrznych kraju) oraz wielowymiarowości życia gospodarczego, solidaryzmu społecznego i potrzeby harmonijnego rozwoju wszystkich grup społecznych.**

Grabski, w przeciwieństwie do Balcerowicza, postanowił obciążyć kosztem reform głównie bogatszą część społeczeństwa. Jak pisali Zbigniew Landau i Jerzy Tomaszewski, jego program uderzał przede wszystkim *w interesy klas posiadających. One w pierwszym rządzie miały płacić daninę majątkową, one zostały dotknięte waloryzacją podatków. [...] Ludzie żyjący z płacy roboczej, jak również drobnotowarowi rolnicy byli zbyt biedni, aby obciążenie ich nowymi świadczeniami na rzecz państwa mogło dać zadowalające efekty finansowe.*

Grabski był jednak również działaczem społecznym. Niemało uwagi poświęcił kwestiom rozwoju polskiej wsi, był jednym z rodzimych teoretyków agraryzmu oraz twórcą socjologii wsi. Te płaszczyzny jego działalności są o wiele słabiej znane, dlatego warto omówić je szerzej.

Władysław Dominik Grabski urodził się 7 lipca 1874 r. w Borowie nad Bzurą w rodzinie ziemiańskiej jako trzecie dziecko. Starszy brat, Stanisław, był współorganizatorem PPS, a później wybitnym politykiem i ekonomistą obozu narodowego. Starsza siostra, Zofia, również angażowała się w życie polityczne jako działaczka PPS. Zainteresowanie wsią i stosunek do ludności wiejskiej Grabski wyniósł z domu rodzinnego. Jego ojciec jeszcze przed powstaniem styczniowym, w 1859 r. uwłaszczył

chłopów na terenie swego majątku, żywo interesował się sprawami wsi, współpracował z włościanami z obszaru gminy.

W latach 1883–1892 Władysław uczęszczał do V Gimnazjum Filologicznego w Warszawie. Tam wraz z bratem organizował kółka samokształceniowe i wszedł w skład tajnej Centralizacji Związku Kółek Gimnazjalnych Królestwa Polskiego. Jej program zawierał postulaty awansu cywilizacyjnego ludu i walki w obronie interesów najbiedniejszych. W owym czasie wykazywał wyraźne sympatie socjalistyczne, jednak jak pisał Józef Wojnarowski, *Już pod koniec swego pobytu w szkole zraził się do socjalizmu, dostrzegając sprzeczność między postępowaniem socjalistów a wyznawanymi przez nich poglądami. Władysław był bodajże pierwszym z grona swego rodzeństwa, który socjalistyczną teorię walki klasowej zastąpił koncepcjami solidaryzmu społecznego i narodowego, co nastąpiło zresztą nie bez wpływu myśli Abramowskiego. Wrodzone predyspozycje intelektualne oraz wyniesione z domu rodzinnego umiłowanie prawdy i sprawiedliwości skłoniły go do podjęcia wysiłku stworzenia własnego światopoglądu.*

Po zdaniu matury udał się na studia do Paryża, tam w latach 1892–1894 pobierał nauki w École des Sciences Politiques, skupiając uwagę na finansach, prawie, ekonomii politycznej i historii. Równocześnie w latach 1893–1895 studiował historię i archiwistykę na Sorbonie. W 1895 r. wrócił do kraju, wkrótce jednak ponownie wyjechał na studia, tym razem agronomiczne w Halle, jednak po roku przerwał je w związku ze śmiercią ojca. Wrócił wówczas do Borowa, aby zająć się prowadzeniem rodzinnego majątku. Kontynuując dzieło ojca, przekształcił folwark w nowoczesne gospodarstwo rolne oraz dokonał parcelacji ziemi, umożliwiając rolnikom jej wykup za pośrednictwem Banku Włościańskiego.

Intensywnie angażował się także w prace społeczne. W 1899 r. założył pod Kutnem rolniczą stację doświadczalną, instytucję naukową o charakterze społecznym, drugą tego rodzaju w Królestwie Polskim. W 1901 r. zorganizował w tych okolicach pierwszą w Królestwie fabrykę spółdzielczą drenów, o nazwie „Spójnia”. Dwa lata później zaś w Bocheniu pod Łowiczem utworzył drugie w zaborze rosyjskim kółko rolnicze, przy którym powołał pierwszą spółdzielnię mleczarską. W 1904 r. zorganizował w Warszawie Towarzystwo Melioracyjne, na czele którego przez jakiś czas stał. W 1905 r. utworzył natomiast Powiatowe Towarzystwo Rolnicze w Łowiczu, którego pracami kierował do 1919 r., zakładając również kasy spółdzielcze dla chłopów czy wspierając finansowo szkoły rolnicze. Sam w rodzinnym Borowie utrzymywał nielegalną szkołę dla chłopskich dzieci. W latach 1901–1906 pełnił



Władysław Grabski

obowiązki sekretarza Sekcji Rolnej przy Towarzystwie Popierania Przemysłu i Handlu w Warszawie. Przyczyniła się ona do rozwoju szeregu towarzystw rolniczych, na czele z Centralnym Towarzystwem Rolniczym, skupiającym *całe społecznie czynne ziemiaństwo polskie (około 2000 członków) oraz ogromną większość uspołecznionego włościaństwa (około 20000 członków kółek).*

W 1904 r. wydał pierwsze ważniejsze dzieło, pt. „Historia Towarzystwa Rolniczego”, za które otrzymał nagrodę Akademii Umiejętności w Krakowie. Zwracał w nim uwagę na szkodliwość pańszczyzny i poddaństwa, a także akcentował siły twórcze, drzemające w polskim społeczeństwie. Pisał tam, iż *Idealizm w Towarzystwie Rolniczym polegał na tym, że wierzono, iż ludzie są w stanie wznieść się ponad poziom własnych osobistych i stanowych interesów, że sumienie społeczne może stać się potężną dźwignią czynów, że rozum na usługę tego sumienia oddać należy. We własnym zakresie, w łonie własnych członków, w łonie obywatelstwa wiejskiego dokonano w tym względzie wiele. A nawet i zatwardziałe uprzedzenia ludu wiejskiego zaczęły się kruszyć.*

W tamtym czasie Grabski związał się z obozem narodowo-demokratycznym, z jego ramienia trzykrotnie posłował do kolejnych Dum rosyjskich w latach 1906–1912, pracując tam w Komisji Budżetowej Ministerstwa Rolnictwa Rosji. O pracy w Kole Polskim Dumy pisał: *W sprawie agrarnej postawiłem tezę o tym, że nie Rosja, a tylko Polska sama może zreformować swój ustrój agrarny, przy czym stanąłem na gruncie konieczności tej reformy, w sprawach podatkowych wykazałem pokrzywdzenie Królestwa w porównaniu z Rosją*

i udowodniłem, że na przeprowadzeniu uwłaszczenia włościan rząd rosyjski zarobił na czysto [...] W sprawach finansowych wykazałem, że Rosja czerpała większe dochody z Królestwa, niż na nie wydawała, a w sprawach rolniczych postawiłem tezę konieczności subwencji dla ich rozwoju nie tylko w Rosji, ale i w Królestwie wobec ujemnych skutków dla ludności włościańskiej polskiej, wynikających z konkurencji zbóż i bydła rosyjskiego. Praca ta moja przyczyniła się gruntownie do podkopania zaufania do rządu rosyjskiego ze strony mas włościańskich, na mnie zaś ściągnęła karę administracyjnego aresztu w 1906 r., z którego zostałem po kilku tygodniach zwolniony.

W czasie pobytu w więzieniu pracował nad studium „Materiały w sprawie włościańskiej”. Postulował w nim przyspieszenie procesów parcelacyjnych, wprowadzenie udogodnień kredytowych dla chłopów oraz mocniejsze zwrócenie się w kierunku ludu. Wówczas, jak tłumaczył, przekonamy się o tym, że w nim samym tkwią głębokie zasady cywilizacyjne, które wszelkie barbarzyńskie eksperymenty w nas udaremnią [...]. *Dziś lud to wielkie zbiorowisko świadomych swego położenia jednostek, które nie przeciwstawiają się społeczeństwu, lecz stanowią jego prawdziwą podporę. Potrzeba tylko oświaty i nauki, potrzeba dużo szczerości ze strony inteligencji w stosunku do ludu, potrzeba lepszych urzędzeń ekonomicznych krajowych, a lud nasz, zespolony już dziś z całym narodem, wykaze zdolność swoją do odrodzenia cywilizacyjnego Polski.*

W kolejnym etapie życia, jak sam wspominał, oddał się przede wszystkim przygotowaniu przyszłej państwowości polskiej poprzez organizowanie jej surogatów, jakimi były Biuro Pracy Społecznej czy Centralny Komitet Obywatelski. Gros aktywności w Biurze poświęcił problematyce wiejskiej, a w jej ramach kwestiom edukacyjnym. Konstatując katastrofalny stan edukacji w Królestwie oraz, jak pisał, *w ciemnocie ludu główną siłę, na której system panowania rosyjskiego był oparty*, podjął działania zaradcze. Jego książka „O nauczaniu powszechnym i zakładaniu szkół ludowych” stanowiła analizę sytuacji, a jednocześnie konkretny program działania. Tematykę tę kontynuował w okresie międzywojennym w studiach „Kultura wsi polskiej i nauczanie powszechne” i „Oświata ludu i sprawy agrarne w Polsce”. Odwołując się tam do przykładów duńskich, belgijskich i amerykańskich, Grabski postulował gruntowną reformę szkolnictwa ludowego w naszym kraju.

Dostrzegał on ścisły związek między rozwojem i kulturą wsi, a stanem oświaty ludowej, która, jak podkreślał, wpływa także na standardy mieszkaniowe czy dochody. Stąd **warunkiem usunięcia**

niedomagań życia ekonomicznego miała być właśnie reforma oświaty. Jej szerzenie nie miało być jedynie akcją społeczną, działaniem warstw wyższych na rzecz ludu, lecz przede wszystkim wprowadzeniem potężnego czynnika produkcji rolnej, wpływającego na jej wzrost, poprawę stosunków agrarnych i dobrobytu ludności. Na przykładzie monografii powiatu wadowickiego, autorstwa Franciszka Dziedzica, wskazywał, iż jego mieszkańcy, pomimo dużego rozdrobnienia ziemi, właśnie za sprawą lepszego wykształcenia częściej znajdują pracę poza rolnictwem lub uzyskują wyższe dochody dzięki wprowadzeniu nowych metod gospodarowania. Niestrudzenie więc przez lata akcentował, iż należy reformować ustrój, upelnorolnić gospodarstwa, komasować grunty, meliorować – ale to nie wystarczy. *Wieś bowiem nie przestanie być siedliskiem biedy, jeśli nie wydobędzie z siebie sił ekonomicznych, gospodarczych, tkwiących w człowieku samym, jak te, które dały typ życia wsi i społeczeństwa w tych krajach, gdzie nędza ze wsi dawno znikła.*

Wiedza nabywana dzięki oświacie pełni rolę kapitału kulturowego, który pozwala skuteczniej rozwiązywać problemy, doskonalić rolnictwo i podnosić wieś pod względem cywilizacyjnym. *Wieś niekulturalna nie wydobywa z siebie tych wszystkich wartości, jakie kryje i które wydać by mogła jako wkład swój do ogólnej skarbnicy dobra narodowego. [...] Wieś jako ognisko życia ogromnej większości narodu musi mieć pewien poziom moralno-umysłowy, zabezpieczający narodowi możliwość swego rozwoju.* Szkoły wiejskie, jak podkreślał, nie spełniają tych zadań. Mieszcząc się w dusznych pomieszczeniach, z dużą liczbą uczniów, nie budzą nowych potrzeb kulturalnych, nie uczą porządku, systematyczności czy łączenia w działalności gospodarczej własnych korzyści z korzyściami rodziny, wsi, miasta czy narodu. Nauczycielom zarzucał natomiast izolowanie się od społeczności lokalnych, wynikające z poczucia wyższości. Wskazywał, że szkoły wiejskie potrzebują specjalnie przygotowanych programów, podręczników i pedagogów. ***Inteligencja nasza stoi na wysokości, lekceważy potrzeby ludu, bo lekceważy producentów w ogóle, bo jest nastawiona na odczuwanie jedynie intelektualizmu i czynnika konsumpcji.***

Okres niepodległości do zamachu majowego wypełniła Grabskiemu przede wszystkim służba państwowa, po jej zakończeniu natomiast poświęcił się pracy naukowej. Już w 1923 r., pomimo braku doktoratu i habilitacji, na podstawie wcześniejszego dorobku w dziedzinie agronomii społecznej i polityki agrarnej został mianowany profesorem zwyczajnym polityki ekonomicznej w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego. Dwukrotnie pełnił obowiązki

rektora tej uczelni, równocześnie od 1926 r. kierował Katedrą Polityki Ekonomicznej SGGW, w ramach której powołał do życia w 1927 r. Sekcję Agronomii Społecznej, drugą tego typu placówkę w Europie. Jak pisał jego uczeń i współpracownik, Czesław Strzeszewski, przygotowywała ona działaczy, *których zadaniem jest rozbudzenie świadomości i podniesienie ekonomiczne wsi polskiej*. Oprócz wykładów organizowała wyjazdy w teren, do szkół rolniczych, zakładów doświadczalnych, drobnych gospodarstw, związków rolniczych itp.

Grabski wychodził z założenia, iż problemów polskiej wsi nie da się rozwiązać doraźnymi działaniami, dzięki pracy społecznikowskiej w typie XIX-wiecznym. Potrzeba dobrego przygotowania i systematyczności. Jednocześnie rozumiał, iż **największy potencjał kraju tkwi właśnie w społecznościach wiejskich. Należy go jednak rozbudzić, który to proces wiązał z profesjonalizacją pracy rolniczej oraz aktywności instytucji i organizacji wiejskich, z wykształceniem fachowych wiejskich działaczy społecznych**. Oduwoliwał się tutaj do wzorców zza oceanu, do roli agronomii społecznej w USA. *Nie jest ona – pisał – dawnej daty, ale doszła do wielkich rozmiarów: 3195 osób personelu fachowego pełni czynności agronomów społecznych. Organizacje rolnicze obejmują 22 miliony osób, wśród których prócz farmerów i dzierżawców są liczni robotnicy*.

Postulował więc przygotowanie szeregu fachowych agronomów społecznych. Przytaczał przykłady działań amerykańskich, angielskich czy włoskich – bezpośredniego docierania do rolników z odczytami i kursami uzupełniającymi wiedzę. Skrętnie wyliczył, że aby ośrodki promieniowania wiedzy rolniczej były dostępne dla ogółu, należy stworzyć jedną placówkę na 106 gospodarzy (500 hektarów), wówczas poradnictwo fachowe będzie miało charakter indywidualny. W każdym ośrodku powinno funkcjonować gospodarstwo pokazowe. W sumie przewidywał 30 tys. takich placówek, po 2-3 na każdą gminę, 120 na powiat. W każdym powiecie miało być przeciętnie 8 nauczycieli, którzy prowadziliby zimowe kursy rolnictwa i kontrolowali ośrodki kultury rolniczej.

Upowszechnieniu pożądanych wzorców służyć też miał system subwencjonowania rolnictwa przez państwo. Grabski proponował przejście od systemu dowolnego czy zryczałtowanego do premii za dobre wyniki gospodarowania. Zwracał również uwagę, że dawne formy współdziałania ludności wiejskiej, jak pomoc sąsiedzka, nie odpowiadają już potrzebom czasów. On sam był jednym z pionierów organizowania się rolników do zbiorowych działań, postulował tworzenie i zakładał różnego rodzaju stowarzyszenia rolnicze, kooperatywy,

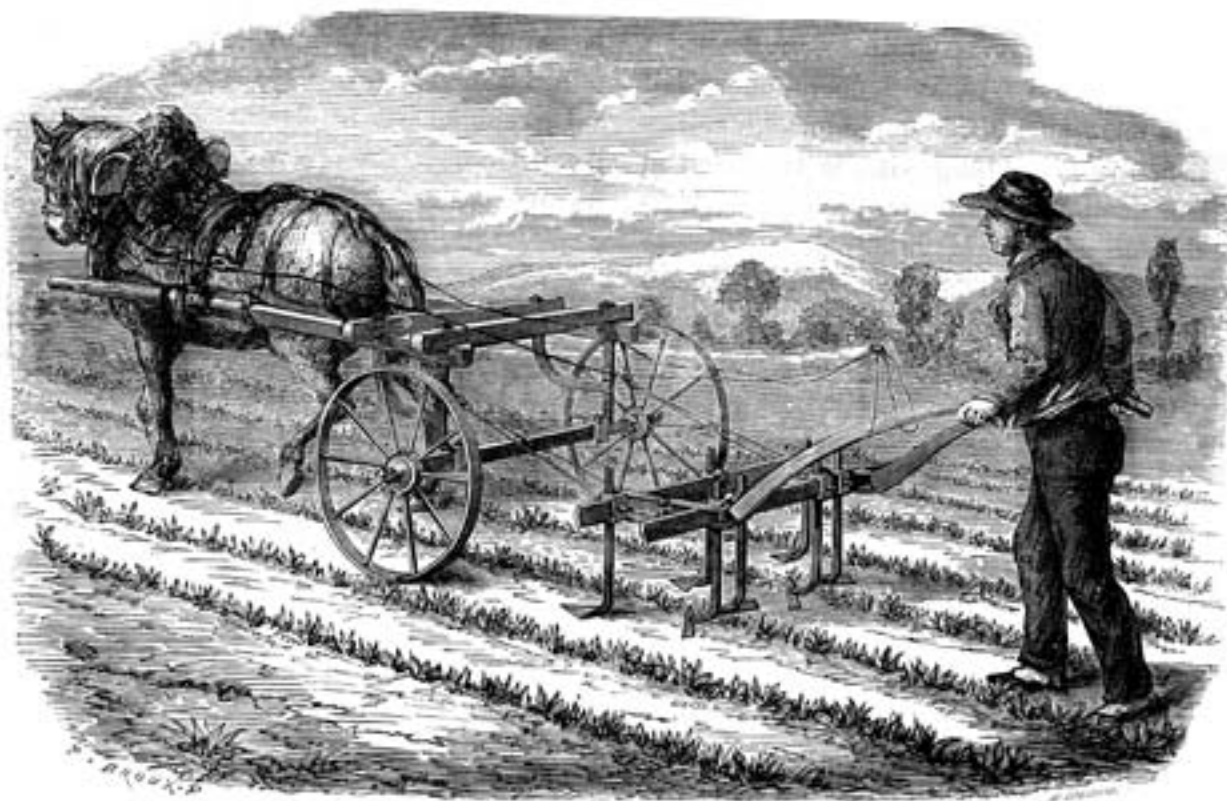
kółka włościańskie, spółki handlowe itp. **Kółka rolnicze w jego ujęciu miały znacznie poszerzać zakres działań, stać się szkołą życia publicznego i narodowego, zajmując się nie tylko problemami gospodarowania, ale i stosunków na wsi, w gminie, parafii czy budową szkół wiejskich. Jednocześnie ostro przeciwstawiał się ich upolitycznianiu, uznając, że rozpolitykowanie zabija ducha pracy społecznej**.

Kooperatywy wiejskie miały być gwarantem szybszej absorpcji nowych rozwiązań w dziedzinie gospodarowania w drobnych gospodarstwach. Jak zauważał, w Polsce postęp rolniczy wprowadzali wyłącznie właściciele dużych gospodarstw, tymczasem na Zachodzie, gdzie od lat funkcjonowały kooperatywy drobnych rolników, problem ten nie istniał. W Belgii, Holandii czy Danii mniejsza własność nie ustępowała większej pod względem postępu właśnie dzięki formom kooperatywnym, np. tworzeniu spółek wodnych w celu przeprowadzenia melioracji.

Przyszłość wsi polskiej Grabski widział w silnych gospodarstwach farmerskich o wysokiej produktywności i niskich kosztach produkcji. Ubolewał, że Polska ma za dużo gospodarstw wielkich i karłowatych, zbyt mało zaś średnich. W 1929 r. pisał w związku z tym: *Nie możemy rozwinąć działalności eksportowej naszego rolnictwa na poważną skalę, nie możemy skompensować eksportem rolniczym ujemności naszego bilansu handlowego w zakresie surowców i towarów przemysłowych, pomimo że na wsi pracuje u nas 66% ludności [...]. Wydajność pracy naszego rolnictwa jest bardzo słaba*.

Jako środki zaradcze proponował ochronę celną polskich produktów rolnych, regulowanie obrotu zbożem wewnątrz kraju za pośrednictwem skupu przez aparat państwowy, obniżanie kosztów produkcji rolnej poprzez wdrażanie nowych technik, szeroko zakrojoną meliorację gruntów czy rozbudowę elewatorów zbożowych. Nie żądał jednak całkowitego zniesienia wielkiej własności ziemskiej, uznając, iż ma ona do spełnienia ważne cele, rozwijając uprawy wyspecjalizowane (chmielu, buraków) oraz przemysł rolniczy (drzewny, ceramiczny itp.). Działalność taką winno państwo wspierać, stosując odpowiednie instrumenty polityki gospodarczej. Tego rodzaju gospodarstwa mogą również stanowić doskonałe narzędzie walki z bezrobociem na wsi. Przy czym, jak podkreślał, państwo musiałoby tutaj wykazać się troską o robotników najemnych, zabezpieczając takie kwestie, jak odpowiednie wynagrodzenie czy ubezpieczenia.

Wreszcie zaś podkreślał, iż **konieczna jest zmiana mentalności, wyrobienie swoistej samoświadomości na wsi polskiej i zrozumienie**



© Biblioteca de la Facultad de Derecho y Ciencias del Trabajo Universidad de Sevilla, flickr.com/photos/fdctsevilla/4726510185

zadań, które przed nią stoją: *Wieś polska ma pełnię praw – czytamy w „Historii wsi w Polsce” – ma większość liczebną, ale nie czuje w pełni swych sił. Brak jej wyrobienia i umocnienia gospodarczego, brak wyrobienia umysłowego, brak przywódców, na których by liczyć mogła, brak świadomości, co jest istotnie najbardziej potrzebne. Liczni są, którzy jej to pragną podpowiedzieć. Ale ona sama musi do tego dojść, by zrozumieć swoją rolę w społeczeństwie współczesnym.*

Jeden z uczniów Grabskiego, Tadeusz Cywiński, pisał, iż punkt wyjścia jego agronomii społecznej można streścić w sposób następujący: *Podniesienie poziomu gospodarczego i kulturalnego warstwy włościańskiej zadecyduje o przyszłości Polski. Cały wysiłek światłego społeczeństwa rolniczego winien być skierowany do tej warstwy ludności wiejskiej nie dlatego, że ktoś ma ten czy inny światopogląd, lecz z tej przyczyny, że stan włościański z tytułu władania przytłaczającą większością obszaru rolnego o wiele więcej waży z punktu widzenia państwowego niż jakikolwiek inny. Że poza tym zgodnie z „prawem zmniejszającego się dochodu” podnoszenie tych gospodarstw jest zabiegiem najbardziej uzasadnionym z punktu widzenia gospodarstwa narodowego, gdyż przy obecnym niskim ich poziomie, każdy najmniejszy, a racjonalny nakład już daje tu bardzo widoczne skutki – że wreszcie obok całego szeregu czynników mogących zadecydować o przyszłości wsi, zawsze poczesne miejsce*

będzie przysługiwało czynnikowi ludzkiemu, który musi być odpowiednio wyszkolony.

Ukoronowaniem działalności Grabskiego na tej niwie była niewątpliwie praca „System socjologii wsi”, nieukończona z powodu śmierci autora. Jej pierwsze trzy części ukazały się na łamach założonego przez Grabskiego periodyku pt. „Roczniki Socjologii Wsi” – pierwszy numer wydano w tym samym 1936 r., w którym zaczął się ukazywać pionierski w skali światowej amerykański kwartalnik „Rural Sociology”. Na potrzeby rozwoju tej subdyscypliny, na wniosek Grabskiego Rada Wydziału Rolniczego SGGW powołała do życia 27 października 1936 r. Instytut Socjologii Wsi. Niemal równocześnie prezydent Ignacy Mościcki powołał Państwowy Instytut Kultury Wsi, w którym Grabski pełnił funkcję prezesa Rady Naukowej. Instytut zajmował się badaniami naukowymi nad kulturą wsi oraz doradztwem. Badania miały dotyczyć przede wszystkim: 1) wpływu ekonomicznych warunków życia wsi na jej kulturę, 2) zbiorowego życia wsi, 3) potrzeb społeczno-kulturalnych wsi, 4) akcji społeczno-kulturalnej wsi [...]. W zakresie metod pracy nad podniesieniem kultury wsi Instytut opracowuje: 1) metody organizowania zbiorowości wiejskiej dla działania zespołowego, 2) metody wychowania jednostki dla działania zespołowego, 3) wzory różnych urządzeń społeczno-kulturalnych, jak np. dom ludowy, biblioteka, oraz metody podniesienia sprawności tych urządzeń, 4) projekty planowego zaspokajania

potrzeb wsi w różnych dziedzinach jej życia społeczno-kulturalnego.

Grabskiemu generalnie chodziło o awans ekonomiczny, polityczny i kulturalny włościanstwa. Zdając sobie sprawę, iż przez długi czas stanowiło ono narzędzie realizacji celów warstwy ziemiańskiej, utożsamianej z narodem, postulował gruntowne przeobrażenie tego stanu rzeczy. Nie miało ono jednak polegać na wyrugowaniu ziemianstwa i zastąpieniu go włościanstwem, gdyż w takim wypadku mielibyśmy znowu do czynienia z dzieleniem narodu i realizacją partykularnych interesów stanowych. Nawoływał natomiast do przywrócenia równowagi sił społecznych, harmonijnego współdziałania w imię solidarystycznych ideałów, którym przez całe życie był wierny.

Zainteresowanie Grabskiego wsią to wynik przekonania, że awans chłopów stanowi warunek konieczny właściwego rozwoju państwa i narodu. Podkreślał, że próby reformowania wsi skazane są na porażkę, jeżeli nie zostanie w nie wciągnięty sam lud. W pracy „Idea polska” pisał w związku z tym: *Gdy władza państwowa opiekuje się i kieruje biernym ludem, jest to metoda rządzenia przeszłości. Dziś jest konieczne, aby władza współpracowała z ludem nad jego dobrem.*

dr hab. Rafał Łętocha

Bibliografia:

- M.M. Drozdowski, *Władysław Grabski*, Rzeszów–Warszawa 2004.
- A. Golec, *Wieś i rolnictwo w poglądach społeczno-ekonomicznych Władysława Grabskiego* [w:] *Z dziejów gospodarki i myśli ekonomicznej Drugiej Rzeczypospolitej*, pod red. r. Orłowskiego, Lublin 2001.
- W. Grabski, *Dwa lata pracy u podstaw państwowości naszej*, Warszawa–Rzeszów 2003.
- W. Grabski, *Wybór pism*, oprac. i wstęp J. Wojnarowski, Warszawa 1987.
- K. Korab, *Władysław Grabski*, Warszawa 2004.
- K. Korab, *Władysław Grabski jako socjolog wsi*, Warszawa 2004.

Z. Landau, J. Tomaszewski, *Od Grabskiego do Piłsudskiego. Okres kryzysu proinflacyjnego i ożywienia koniunktury 1924-1939*, Warszawa 1971.

P. Sieliwończyk, *Władysław Grabski: wieś i rolnictwo na tle solidarystycznej koncepcji narodu* [w:] *Szkice z historii socjologii polskiej*, pod red. K. Z. Sowcy, Warszawa 1983.

Władysław Grabski. *Uczony i mąż stanu*, pod red. J. Konefała, S. Wójcika, Lublin 2005.

Wspomnienia i relacje o reformach Władysława Grabskiego, wyb. i oprac. M. M. Drozdowski, Warszawa 2004.



© Biblioteca de la Facultad de Derecho y Ciencias del Trabajo Universidad de Sevilla, flickr.com/photos/fdctsevilla/4723566805

Antykwa Półtawskiego

Tekst główny działu „Nasze tradycje” i „Z Polski Rodem” został złożony Antykwą Półtawskiego – krojem pisma zaprojektowanym w latach 1923–1928 przez polskiego grafika i typografa Adama Półtawskiego. Jest to pierwszy polski krój zaprojektowany od podstaw, bywa nazywany „polskim krojem narodowym”.

Informacje o tradycjach polskiej typografii oraz elektroniczne wersje czcionki można znaleźć na stronie internetowej: nowacki.strefa.pl



Trud socjalizmu, trud polskości

KRZYSZTOF WOŁODŹKO

Jedną z kwestii istotnych dla zrozumienia kondycji współczesnej lewicy w Polsce jest jej tożsamość i korzenie ideowe. A raczej ich brak.

Żaden projekt społeczny czy polityczny nie istnieje w dziejowej próżni. Książka dr. Marcina Paneckiego „Kazimierz Pużak (1883–1950). Biografia polityczna” stanowi cegiełkę w odbudowie rodzimej tożsamości lewicowej, umożliwia jej osadzenie w historycznych realiach. Szkoda jedynie, że praca ta jest właściwie dość elementarnym zapisem biograficznym, bez poszerzenia tła historycznego i bez pogłębionych dociekań nad aspektami życiorysu bohatera.

Pużak urodził się w 1883 r. w Tarnopolu. Matka była Ukrainką, ojciec – Polakiem. Bohater książki wcześniej włączył się w działalność patriotyczno-radykalną. W 1899 r. założył w gimnazjum tajną organizację, a w 1901 przyłączył ją do „promienistych”, galicyjskiego związku młodzieży socjalistycznej. Najprawdopodobniej w 1904 r. wstąpił do Polskiej Partii Socjalistycznej. W rewolucyjnym roku 1905 często wykonywał polecenia Wydziału Bojowego partii. *W ciągu kilku miesięcy, podczas których agitował i zakładał koła PPS, stał się jednym z bardziej czynnych działaczy w partii.*

Po rozłamie współtworzył Frakcję Rewolucyjną. Jak podaje Panecki: *W 1909 roku Pużak wraz z Henrykiem Minkiewiczem był wykonawcą wyroku sądu partyjnego na prowokatorze z Organizacji Bojowej PPS, Edmundzie Tarantowiczu. Tarantowicza wywieźli do Rzymu i tam zamordowali. Oficjalnie sprawców nigdy nie wykryto.* W roku 1911 został aresztowany w Łodzi i skazany na karę ośmiu lat ciężkich robót i późniejsze osiedlenie na Syberii. W 1915 r. trafił do twierdzy szlisselburskiej, wyszedł na wolność po rewolucji lutowej 1917 r.



Panecki zauważa: *O wiele bardziej, niż realizacja idei socjalistycznych w Rosji, interesowała [Pużaka] kwestia niepodległości Polski. [...] Podkreślał konieczność zachowania pełnej samodzielności, twierdząc, że PPS jest partią polskich robotników i musi odegrać czynną rolę przede wszystkim w życiu polskiego narodu.* W ogarniętej rewolucją Rosji organizował sieć miejscowych sekcji partii, działał aktywnie w jej Centralnym Komitecie Wykonawczym oraz w Komisariacie do Spraw Polskich. Jako rewolucjonista-weteran, dyskutował z Leninem o możliwości utworzenia wojska polskiego na terenie Rosji. Za jego sprawą bezpiecznie opuścili ów kraj żołnierze gen. Józefa Hallera. Interweniował także u Dzierżyńskiego w sprawie Polaków aresztowanych przez Czecha.

Od początków II RP Pużak z całych sił zaangażował się w działalność publiczną jako członek PPS i poseł na sejm z ramienia tej partii. Pod wpływem rozwoju wydarzeń w Rosji sowieckiej coraz mocniej dystansował się od lewego skrzydła partii, nawołującego do ufundowania Polskiej Republiki Socjalistycznej za pomocą rewolucyjnego przewrotu. Co istotne, zajmowały go konkretne kwestie społeczne, dużo czasu poświęcał sprawom wyborców ze swoich okręgów (Zagłębie Dąbrowskie, później Częstochowa-Radomsko). Wiele pracy włożył w nowelizację ustawy o lokatorach. Występował przeciwko proponowanym podwyżkom czynszów, zajmował się dopuszczalnością eksmisji, problemami świadczeń odpłatnych, stał w obronie sublokatorów i bezrobotnych, którzy zalegali z zapłatą za czynsz itd. Bronił także wolności obywatelskich, więźniów politycznych, przeciwstawiał się ciężkim niejednokrotnie nadużyciom, jakich wojsko i policja dopuszczały się wobec strajkujących.

W trakcie wojny z Sowietami werbował ochotników do Wojska Polskiego, zwalczał komunistyczną agitację za Rosją radziecką. W sierpniu 1920 r. działał w lewicowych inicjatywach antybolszewickich, współorganizował robotnicze oddziały ochotnicze. Po wycofaniu się wojsk sowieckich został oddelegowany do badania przypadków współpracy członków PPS z Armią Czerwoną i polskimi komunistami. Działał także na Śląsku w czasie III powstania: wysyłał tam grupy młodzieży, pomagał w organizowaniu szkolenia bojowego, w Sosnowcu utworzył Główny Komitet Opieki nad Powstańcami.

Kolejną cezurą był przewrót majowy i problemy będące konsekwencjami Wielkiego Kryzysu. Kierownictwo PPS szybko przeszło do opozycji wobec pomajowych rządów, pojawiały się ponadto problemy z prosanacyjnymi grupami w łonie PPS. W tamtym czasie Pużak podkreślał konieczność organizowania wsi i zacieśniania współpracy partii z lewicą chłopską (PSL „Wyzwolenie”, Stronnictwo Chłopskie). Popierał także utworzony w 1929 r. Centrolew. Konsekwentnie przeciwstawiał się tendencjom i środowiskom odwołującym się do radykalnie rewolucyjnych, a przy tym probolszewickich

haseł. *Cel walki widział [...] w powstrzymaniu ofensywy nacjonalistycznej prawicy, przywróceniu demokracji parlamentarnej i rozszerzeniu socjalnych i politycznych praw robotników* – podkreśla Panecki.

Działalność Centrolewu spowodowała reakcję rządzącej sanacji. W sierpniu 1930 r. na czele rządu stanął Piłsudski, przerwano kadencję parlamentu oraz zaplanowano aresztowania działaczy opozycji. Wśród osób, które zamierzano uwięzić, znalazło się sześciu posłów PPS. Panecki relacjonuje: *gdy minister Stanisław Car przedstawił Piłsudskiemu listę kandydatów do uwięzienia, znajdował się na niej również Kazimierz Pużak, jednakże Marszałek skreślił jego nazwisko, mówiąc: „Co by o mnie powiedziano, gdybym ja więźnia Szlisselburga zamknął w twierdzy”.*

Jednak wyniki wyborów z listopada 1930 r. okazały się dla Pużaka bodaj większym ciosem niż ryzyko uwięzienia. Choć po raz czwarty został posłem, jego ugrupowanie zdecydowanie przegrało z BBWR. Skala porażki była w dużej mierze pochodną terroru, manipulacji i zwykłych fałszerstw ze strony rządzącego obozu, Pużak zmuszony był jednak uznać, że lewica musi zmienić strategię. Powinna przejść od działalności parlamentarnej ku rozbudowie *form organizacyjnych, które miały doprowadzić do umocnienia więzi partii z masami.* Równocześnie rosła jego rola w PPS, w której pełnił już wtedy funkcję sekretarza generalnego.

W przededniu wybuchu II wojny światowej Pużak organizował wraz z Tomaszem Arciszewskim ściśle zakonspirowane oddziały dywersyjne, złożone z zaufanych członków PPS. W razie niemieckiej inwazji miały stanąć do walki. Wcześniej współtworzył paramilitarną Akcję Socjalistyczną, która we wrześniu 1939 r. odegrała znaczną rolę w Robotniczych Batalionach Obrony Warszawy. Do ostatnich chwil jako przedstawiciel opozycji podejmował próby porozumienia z prezydentem Mościckim, domagając się m.in. powołania rządu obrony narodowej, niestety bezskutecznie.

Podwójna okupacja przyniosła pracę w nowych, bardzo trudnych warunkach. Pod koniec września 1939 r., tuż przed kapitulacją Warszawy, Pużak w gronie zaufanych osób podjął decyzję o oficjalnym rozwiązaniu PPS w jej ówczesnej formie. W oparciu o dotychczasowe struktury powstała podziemna partia Wolność, Równość, Niepodległość (Ruch Mas Pracujących Miast i Wsi). *Na Pużaka spadł ciężar [...] doboru ludzi do pracy w zakonspirowanej partii. Werbowano tylko sprawdzonych i zdyscyplinowanych działaczy [...].* Został także komendantem głównym Gwardii Ludowej WRN i podporządkował ją Komendzie Głównej ZWZ-AK.

Osobnym zagadnieniem była konsolidacja stronnictw politycznych na terenach okupowanych oraz ich stosunek do rządu londyńskiego i socjalistycznego odłamu emigracji. Kwestia ta była niezwykle złożona, zwłaszcza w kontekście wybuchu wojny niemiecko-radzieckiej i konieczności ułożenia na nowo stosunków z Sowietami. Ci ostatni mieli w Polsce do rozegrania

własną partię i dążyli do zdominowania lewej strony sceny politycznej. WRN bardzo krytycznie odniosła się do układu Sikorski-Majski, sam Pużak **niejednokrotnie podkreślał brak złudzeń co do Sowietów w ogóle i Stalina osobiście.**

15 sierpnia 1943 r. podpisano Deklarację Porozumienia między PPS-WRN, Stronnictwem Ludowym, Stronnictwem Narodowym i Stronnictwem Pracy, która dała początek podziemnej Radzie Jedności Narodowej. Panecki przypomina: *W tamtym okresie niezmiernie wzrosła rola Kazimierza Pużaka w życiu politycznym okupowanego kraju. Brał aktywny udział w pracach Krajowej Reprezentacji Politycznej, wpływając w ten sposób na kształt tworzącego się podziemnego parlamentu.* 15 marca 1944 r. przez aklamację został wybrany jego przewodniczącym.

W czasie powstania warszawskiego pozostał w stolicy jako przewodniczący RJN. Słął w świat, do Londynu i Waszyngtonu, do władz polskich i sprzymierzonych (także do Sowietów) coraz bardziej desperackie depesze. Oto fragment jednej z nich, z 11 sierpnia, apel do Narodów Zjednoczonych: *Podjęliśmy walkę. Nakazywał nam to honor, godność i odwieczna polska uczciwość. I oto wzywana raz po raz do wystąpienia zarówno przez Sowiety, jak przez demokracje zachodnie Polska znalazła się znowu samotna, bez pomocy, opuszczona przez sprzymierzeńców.* Zaś 29 września, gratulując de Gaulle'owi oswobodzenia Paryża, pisał doń: *Paryż był wolny, a Warszawa zamieniała się w cmentarzysko.*

Po upadku powstania Kazimierz Pużak wraz z rodziną zamieszkał w Piotrkowie. Rozdziały piąty i szósty książki oraz znaczna część aneksu zawierają omówienia i dokumentację najtrudniejszego okresu w jego życiu. Wraz z zajmowaniem ziem Rzeczypospolitej przez idące na Berlin wojska radzieckie, wzrastał się nacisk Stalina na Polskę, zaś podporządkowani mu komuniści coraz jawniej występowali w roli jedynych prawowitych władz.

We wspomnieniach Pużak tak opisywał ówczesne realia: *Od pierwszych dni wywożono z Polski literalnie wszystko, rekwirowano dla wojsk sowieckich chleb i mąkę i piekarnie, powodując powszechny głód. Kraj ogołoceny i spustoszony w ciągu okupacji niemieckiej - musiał żywić nie tylko garnizony rosyjskie wewnątrz kraju, ale i te wojska, które ciągle przebiegały przez kraj i lądowały w Niemczech. [...] Całość była przyczepką do całego systemu okupacji sowieckiej i jej postępowanie było obowiązujące dla agentury Lubelskiej. Wybielaniem i motywacją tego systemu zajmowała się zgłajszachtowana prasa, kryjąca się ze zrozumiałych względów za tytułami istniejących przed wojną wydawnictw prasowych, nie mających nic wspólnego z komuną i agenturą sowiecką. [...] Zaczęto obrabiać moje nazwisko, Bora i Zarembę. My byliśmy odpowiedzialni za zniszczenie, palenie i masakrę Warszawy i jej ludności.*

Ustalenia jałtańskie (4-11 lutego 1945 r.) czyniły sytuację jeszcze trudniejszą. Polska Partia Robotnicza

miała już niemal pewność, że z radzieckiego nadania przejmie całkowitą władzę. Tzw. odrodzona PPS była infiltrowana przez komunistów. W tej sytuacji *na jednym z marcowych posiedzeń kierownictwa PPS-WRN wydano instrukcję zakazującą członkom partii angażowania się w prace polityczne. Zalecano natomiast działalność w organizacjach zawodowych, spółdzielczych i kulturalno-oświatowych [...]. Pużak i Zaremba odnieśli się negatywnie do postanowień konferencji jałtańskiej w sprawie definitywnego uznania granicy polsko-radzieckiej na Bugu. Opowiedzieli się też za bojkotem odbudowywanej PPS.*

W drugiej połowie marca ogłoszono decyzję o wyjściu z podziemia. 27 marca 1945 r. w Pruszkowie uwięzieni zostali podstępem przez Sowietów przybyli na „pokojuowe negocjacje” Jan Stanisław Jankowski (delegat rządu londyńskiego), gen. Leopold Okulicki i Kazimierz Pużak. Następnego dnia znaleźli się w Moskwie, na Łubiance. Rozpoczęto śledztwo będące preludium „procesu szesnastu”. Wspólnie prowadziło je NKWD i NKGB. *Nie stosowano tortur fizycznych - pisze Panecki - dążono natomiast do psychicznego złamania przesłuchanych. Pużak odmawiał podawania nazwisk i szczegółów konspiracji, co budziło wściekłość radzieckich śledczych.* Major Gałkin nazywał go upartym „starikiem”, uważał za człowieka „hardego i opryskliwego”.

„Proces szesnastu” trwał między 18 a 21 czerwca 1945 r. w Moskwie. W tym samym czasie odbywały się w stolicy ZSRR rozmowy na temat utworzenia Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej. **Pużaka sądzono jako „recydywistę” - dawnego więźnia carskiego Szlisselburga!** Oskarżycielami byli naczelny prokurator Armii Czerwonej Nikołaj Afanasjew oraz Roman Rudenko, późniejszy główny oskarżyciel ZSRR w procesach norymberskich. Wiele lat później, w pracy „Więźniowie polityczni w Polsce 1945-1956” (Gdańsk 1981) zaznaczono: *W procesie moskiewskim Okulicki, Pużak i Stypułkowski złożyli piękne dowody odwagi i poczucia godności własnej i narodowej.* Jerzy Lerski pisał zaś: *Poznałem od razu w zeznaniach uwięzionego Prezesa Rady Jedności Narodowej, tegoż nieugiętego człowieka, którego nawet oskarżyciele sowieccy musieli szanować.*

W moskiewskim procesie skazano Pużaka na półtora roku więzienia, ale 1 listopada 1945 r. jemu, Bażyńskiemu i Zwierzyńskiemu udzielono „indywidualnej amnestii”. Kilka dni później znaleźli się w „nowej Polsce”. W kwietniu 1990 r. Plenum Sądu Najwyższego ZSRR stwierdziło oficjalnie, że w *działalności oskarżonych nie było cech przestępstwa* i uznało wyniki postępowania rehabilitacyjnego.

Po powrocie do kraju Pużak był stale obserwowany. Zachowując najwyższe środki ostrożności, działał w podziemiu. W styczniu 1946 r. wobec praktycznego rozbicia WRN próbował współtworzyć nową strukturę: Krajowy Ośrodek WRN. Z dzisiejszej perspektywy ambicje grupy były skrajnie nierealistyczne. Tak przedstawiano je w ówczesnych raportach bezpieki: *Domagano*

się [...] m.in. niezależnienia polityki zewnętrznej i wewnętrznej od ZSRR [...]. Zapowiedziano walkę o odzyskanie niezależności, o jawną dyplomację i zniesienie Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. **Struktura konspiracji przypominała tę, jaką Pużak stosował w czasach hitlerowskiej okupacji.** Równocześnie konsekwentnie odmawiał przyjaciółom, którzy namawiali go do opuszczenia Polski: *Za stary jestem na emigrację. Muszę dokończyć swą drogę tutaj.*

5 czerwca 1947 r. został aresztowany. Podobny los spotkał innych działaczy WRN, m.in. Tadeusza Szturma de Sztrema, Józefa Dziegielewskiego i Ludwika Cohna. W listopadzie 1948 r. rozpoczął się proces liderów niepodległościowej lewicy, skrupulatnie relacjonowany przez propagandową prasę. Warto przytoczyć kilka tytułów z „Głosu Ludu”, organu KC PPR: „Agentura międzynarodowego kapitału w ruchu robotniczym”, „Kazimierz Pużak paraliżował walkę przeciwko Niemcom”, „Pużak zszedł do kolaboracjonizmu”. Zaś „Robotnik” „odnowionej” PPS pisał: *Na sali sądowej odżyły [...] postacie zdradzieckie przedwojennych bonzów naszej partii, tych, którzy przez dwudziestolecie drugiej niepodległości konsekwentnie szli po linii zdrady i rozbijania klasy robotniczej, tych, którzy w okresie okupacji wywiedli na manowce uczciwych robotników, tych wreszcie, którzy nie spiskując przeciw Polsce sanacyjnej, spiskowali przeciwko Polsce Ludowej.* I jeszcze raz „Głos Ludu”: *Kazimierz Pużak ma kartę życia zapisaną krwią i błotem. Służył na wszystkich frontach kontrrewolucji.*

Marcin Panecki przytacza obszernie fragmenty zeznań Pużaka, mów oskarżyciela i obrońcy. Pozwalają one wczuć się w atmosferę procesu i **ukazują, na jak fundamentalnej niegodziwości budowany był od początku ustrój państwa, które miało czelność nazywać się „Polską Ludową”.** Ostatecznie Pużaka skazano na karę 10 lat pozbawienia wolności, utratę praw publicznych i obywatelskich na okres 5 lat i przepadek mienia na rzecz Skarbu Państwa. W wyniku amnestii karę więzienia zmniejszono do 5 lat.

Niedługo po procesie, w dniach 15-21 grudnia, w auli Politechniki Warszawskiej zebrał się Kongres Zjednoczeniowy PPS i PPR, podczas którego powstała Polska Zjednoczona Partia Robotnicza. **Dziś można uznać, że poprzedzający to wydarzenie proces stanowił swoisty „akt założycielski” nowego ustroju.**

W czerwcu 1948 r. rozpoczął się ostatni etap w życiu Pużaka. Najpierw osadzono go w więzieniu na Rakowieckiej, następnie w Rawiczu, gdzie poddawany był specjalnym szykanom. Władze miały wywierać presję, by napisał do Bieruta wiernopoddany list, będący zarazem przepustką na wolność. Więzień Rawicza, Mieczysław Truszczyński, wspominał: *Był chory i straszliwie*

cierpiał. Co drugi i trzeci dzień był wzywany na przesłuchania, które trwały kilka godzin. Wracał zmaltretowany. Młodym z celi mówił: „wy chłopcy przeżyjecie, tylko nie dajcie się sprzedać, bądźcie zawsze wierni ojczyźnie”. Wiele razy przebywał w karczerze bez powodu. O formacie Pużaka świadczy też to, że w składanych zeznaniach nigdy nie obciążył Józefa Cyrankiewicza, choć oczekiwano tego po nim, zaś sam Cyrankiewicz – dawny współpracownik PPS-WRN, a późniejszy lider filosoficznej „odrodzonej” PPS – był dlań wielkim rozczarowaniem.

Panecki przytacza wymowne wspomnienie Jana Karskiego o spotkaniu z wieloletnim premierem PRL: *W latach siedemdziesiątych odwiedziłem Polskę, wtedy odnalazł mnie Cyrankiewicz. Przegadaliśmy pół nocy. [...] Opowiedziałem mu, jak poszedłem do Pużaka w 1942 roku, kiedy Cyrankiewicz był w Oświęcimiu. Pytałem Pużaka, czy nie można coś zrobić, żeby ratować Cyrankiewicza. Odbić albo kogoś przekupić. Pużak się zezłościł: chce, żeby Pan wiedział, że polska klasa robotnicza nie zapomniła przyszłego sekretarza generalnego PPS. Mówię do Cyrankiewicza [...]: „Józek, jak ty byłeś w obozie, to Pużak myślał o tobie jako o przyszłym sekretarzu generalnym”. Chwila milczenia i Cyrankiewicz odpowiada: „No cóż, po wojnie Pużak się zdezaktualizował”.*

Zmarł 30 kwietnia 1950 r., schorowany, zniszczony warunkami osadzenia (nieogrzewana cęła piwniczna), sprowadzony do więziennego szpitala wprost z karceru lub izolatki. Panecki stwierdza: *Wiele wskazuje na to, że na Kazimierz Pużaku dokonano politycznego mord.* Rodzina nigdy się nie dowiedziała, jak naprawdę zmarł ich mąż i ojciec. Pużaka zrehabilitowano 19 kwietnia 1989 r., a w 1996 r., w Święto Niepodległości Aleksander Kwaśniewski odznaczył go pośmiertnie Orderem Orła Białego. Córka Maria nie odebrała odznaczenia z rąk postkomunisty, najbliższa rodzina przyjęła je dopiero 7 lipca 2009 r. od Jana Olszewskiego, doradcy prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego.

Życie polskiego lewicowca, bohatera swoich czasów oraz jednej z ich ofiar, w pełni ukazuje, co znaczył trud socjalizmu i trud polskości wtedy, gdy za taką podwójną wierność trzeba było płacić najwyższą cenę. I choć książka Paneckiego jest suchą, naukową biografią, to przecież widzimy w niej człowieka wybitnego, a przy tym tak ludzkiego w swoich wyborach i perypetiach życiowych. Karty życia Pużaka zapisane są dumną treścią.

KRZYSZTOF WOŁODŹKO

Marcin Panecki, *Kazimierz Pużak (1883-1950). Biografia polityczna*, Wydawnictwo Neriton, Warszawa 2010.

Co z tym handlem?

NATALIA KRÓLIKOWSKA

Przyczyny i skutki oszałamiającego sukcesu sieci handlowej Wal-Mart wiele mówią o całym współczesnym systemie gospodarczym.

Założona w 1962 r. na amerykańskiej prowincji, jeszcze pod koniec 1990 r. posiadała zaledwie 9 tzw. supercentrów, największych z prowadzonych przez siebie sklepów. Pod koniec 2000 r. było ich już 888, tysiąc kolejnych otworzyła w ciągu zaledwie 5 lat. Dziś jest właścicielem prawie 9 tys. placówek na całym globie. Zajmuje pozycję największego detalisty w USA, Meksyku i Kanadzie, dynamicznie rozwija się m.in. w Chinach. Zatrudnia bezpośrednio 2 mln osób i osiąga roczny przychód rzędu 400 mld dolarów. To prawdopodobnie najbardziej wpływowe przedsiębiorstwo na świecie.

Dawno przestało być jedynie potężną firmą. Wal-Mart nadaje formę miejscu, w którym kupujemy, produktom, które nabywamy i cenom, które płacimy - oddziałuje nawet na tych, którzy nigdy nie robili w nim zakupów. Wpływ Wal-Martu sięga podstaw działalności przedsiębiorstw, które są jego dostawcami [...] zmienia styl życia pracowników zakładu, który wytwarza te towary - czasami nawet zmienia oblicze krajów, w których mieszczą się fabryki - przekonuje amerykański dziennikarz Charles Fishman. Podjął on próbę analizy „efektu Wal-Martu”. Pokłósiem starań jest książka o takim właśnie tytule.

Niskie ceny zmieniają świat

W-M stał się tak popularnym miejscem zakupów, gdyż produkty powszechnie znanych marek oferuje po cenach niższych niż którykolwiek z konkurentów. Ich utrzymanie, a nieraz dalsze obniżki możliwe są dzięki minimalnym marżom oraz niewyczerpanej inwencji w cięciu kosztów. Przykładowo, prawie niezauważalne przeprojektowanie butelki firmowej wody pozwoliło oszczędzać 2 mln kg plastiku rocznie.

„Zawsze niskie ceny” biorą się jednak nie tylko ze śrubowania efektywności. Są niestety także efektem przerzucania kosztów: na producentów, pracowników i środowisko naturalne. Presja na obniżkę kosztów po



stronie dostawców jest tak wielka, że w pewnym momencie nie da się już więcej oszczędzić na zmianach w logistyce, skromniejszym opakowaniu czy gorszych surowcach. Skutkuje to m.in. rosnącą eksploatacją pracowników oraz przenoszeniem produkcji. Projekt, cena i harmonogram narzucane dostawcom uniemożliwiają nieraz przestrzeganie nawet trzecioświatowych standardów czasu pracy czy wynagrodzenia.

Nienasycony głód tanich produktów, których głównym odbiorcą jest Wal-Mart, potrafi zmieniać gospodarkę i środowisko naturalne całych regionów. Przemysłowe fermy łososia w południowym Chile powstały „od zera” w odpowiedzi na wysokie ceny tej ryby w USA. W ok. 20 lat branża stała się drugim najważniejszym

sektorem eksportowym kraju, przekształcając tysiące rybaków i farmerów w robotników zakładów przetwórczych. Równie duże zmiany wywołała w przyrodzie: typowa ferma produkuje tyle nieczystości, co 65 tys. ludzi.

Zmiany objęły też sferę zachowań konsumentów. Przeobrażeniom uległy np. oczekiwania wobec cen: Jeżeli klient może kupić zupełnie dobry odtwarzacz DVD w Wal-Marcie za 39 dolarów, odtwarzacz DVD za 129 dolarów musi w nim budzić podejrzenia. Nie przyjdzie mu do głowy, że ten sprzęt może być lepszy, ale uzna, że to zwykłe zdzierstwo.

Robienie interesów z Wal-Martem bywa bardzo opłacalne, m.in. dzięki skali i ciągłości zamówień. Wiąże się z nim jednak liczne pułapki, np. ryzyko rosnącego uzależnienia od jednego kanału dystrybucji. Autor opisuje historię producenta kosiarek, który zakończył współpracę z siecią, widząc w perspektywie m.in. konieczność stopniowego obniżania jakości – jego najcenniejszego kapitału. Nadal jednak musi utrzymywać działalność fabryki na wysokich obrotach z taką samą niezmordowaną determinacją, jakby nadal dostarczał produkty do marketów Wal-Martu; musi mierzyć efektywność każdego pracownika fabryki każdej godziny i każdego dnia, ponieważ Wal-Mart narzuca tempo, nawet jeżeli zakład nie pracuje na potrzeby koncernu.

Jak się wydaje...

Choć „efekt Wal-Martu” jest bez wątpienia bardzo silny i budzi ogromne zainteresowanie amerykańskiej opinii publicznej, wiele jego przejawów pozostaje raczej w sferze odczuć niż „twardych dowodów”. Skrajnie nieliczne są badania poświęcone oddziaływaniu koncernu np. na rynek pracy czy tradycyjny handel.

Wyniki istniejących analiz każą jednak nienajlepiej oceniać wpływ supercentrów na lokalne społeczności. W latach 1997–2004 W-M bezpośrednio stworzył w USA aż 480 tys. miejsc pracy z 670 tys. przyrostu zatrudnienia w całym handlu detalicznym. Jednak **powstawanie „nowych”, słabo płatnych miejsc pracy odbywało się głównie kosztem innych detalistów. Supercentrum może dać pracę 300 osobom, ale po pięciu latach od otwarcia traci ją 250 pracowników sąsiednich punktów handlowych.**

Wątpliwa w świetle badań jest także teza, że budowa marketu powoduje lokalne ożywienie gospodarcze. Na przykład w stanie Iowa sklepy Wal-Mart wywołały spadek obrotów firm usługowych o 13%, co można tłumaczyć m.in. przekonaniem klientów, że pewnych artykułów nie warto naprawiać, skoro tanio kupią nowe. Również w Iowa, w okresie, w którym nie mając w całym stanie ani jednej placówki otworzył ich 45, upadło 43% sklepów z odzieżą męską i chłopięcą.

Autostrada dla wózków

Książka nie jest pamfletem, lecz szkicem do studium zjawiska, jakim jest nowoczesny handel detaliczny. Tytułowy fenomen to dla Fishmana po prostu sposoby – proste

i wyrafinowane, oczywiste i ukryte – na jakie największa firma tego sektora zmienia życie mieszkańców USA i innych krajów. Dziennikarz dotarł do byłych pracowników koncernu, rozmawiał z szefostwem i załogami firm robiących z nim interesy, przeczytał setki artykułów i książek, odwiedził dziesiątki sklepów. Relację oparł w dużej mierze na konkretnych przykładach.

Głównym atutem publikacji jest brak efektownych uproszczeń. Fishman przekonuje, że **pytanie, czy Wal-Mart jest dla Ameryki dobry czy zły, zostało źle sformułowane, gdyż bez trudu można udowodnić każdą z tych tez. Tymczasem sieć jest przede wszystkim całkiem nowym zjawiskiem kryjącym się pod pozorem zwykłej, wręcz prozaicznej firmy.**

Dobrą analogią jest samochód – wynalazek, który w równie wszechstronny sposób zmienił XX-wieczną Amerykę. Zaoferował wiele nowych możliwości, jednak z czasem skala zastosowania zaczęła generować liczne problemy. W miarę jak sobie je uświadamiano, w interesie publicznym nakładano na motoryzację pewne ograniczenia, np. związane z ochroną środowiska, czemu towarzyszyło ścieranie się rozmaitych racji i interesów. W przypadku W-M brak na razie zrozumienia rewolucji, którą przyniósł, stąd otaczająca go mieszanka podziwu i niechęci, strachu i zakłopotania.

Autor książki potrafi dostrzec pozytywne aspekty sieci. Handlowy gigant m.in. znacząco ogranicza inflację. Nie utrzymuje on niskich cen jedynie do momentu pokonania lokalnej konkurencji, lecz zbija je dalej – a różnica zostaje głównie w kieszeniach konsumentów. Jego zdaniem, spółka nadal hołduje cnotom zaszczytanym pracownikom przez legendarnego założyciela, zmarłego w 1992 r. Sama Waltona. Etos ciężkiej pracy, samodoskonalenia i przedsiębiorczości, kult skromności i oszczędności, imperatyw służby konsumentom – wszystko to można odnaleźć nawet na szczytach hierarchii koncernu. Dlaczego zatem działalność firmy wiernej tradycyjnym wartościom powoduje tak wiele szkodliwych skutków?

Zakładnicy samych siebie

W-M jest obecnie tak duży, że każde jego posunięcie ma ogromne konsekwencje. **Niejako „przerósł” ograniczenia, jakie nakładały na niego z jednej strony kultura korporacyjna, z drugiej zaś – państwo i rynek, których prawa w większym stopniu kształtuje, niż im podlega.**

Kultura Wal-Martu, a także rozumienie kultury przez spółkę, nie zmieniły się przez ostatnie dwadzieścia lat. Jednakże rzeczywistość Wal-Martu – jego wielkość, stosunki panujące w spółce, misja firmy, z którą identyfikują się pracownicy, a także sposób ich wynagradzania, to wszystko uległo dramatycznej zmianie. Wal-Mart [...] jeszcze nie doszedł do ładu z tym nowym wcieleniem – przekonuje Fishman.

Firma sprzeniewierzyła się części swoich wartości z powodu obsesyjnego pielęgnowania innych, na czele z oszczędnością. Warunkiem wstępnym realnych

zmian jest głęboka przemiana budowanej przez ponad 40 lat kultury korporacyjnej przedsiębiorstwa, które nieustannie analizuje szybkość skanowania artykułów przez poszczególnych kasjerów, a na dostawców przerzuca nawet koszty rozmów telefonicznych.

Nie mniej istotna jest bariera bardziej prozaiczna: spółka stała się zakładnikiem strategii, która zapewniła jej sukces. W-M nie kłamie, gdy oznajmia, że nie może podnieść pensji. W typowym roku jego zysk w przeliczeniu na jeden etat wynosi ledwie 3 dolary na godzinę. Fishman pisze: Jeżeli odchody łososia muszą zostać poddane oczyszczeniu i neutralizacji, nie ma to oczywiście nic wspólnego z obniżeniem ceny łososia – a raczej jej podniesieniem. Wal-Mart z pewnością obawia się, że jeżeli raz pozwoli sobie na rozważenie kwestii innych niż te, które narzucają regulacje prawne, na podjęcie spraw innych niż te, które wiążą się z podnoszeniem efektywności i obniżaniem kosztów, to koniec żądań nigdy nie nastąpi. Czego opinia publiczna będzie się domagać [...] w następnej kolejności? **Konsumenci chcą czystego środowiska i dobrych warunków pracy, ale wcale nie kwapią się do płacenia za produkty wytwarzane z uwzględnieniem tych restrykcji.**

Patologie towarzyszące funkcjonowaniu sieci nie biorą się z chciwości jej kierownictwa ani nie są immanentną cechą przedsiębiorstwa, lecz mają charakter systemowy. W tej sytuacji, zdaniem autora, konieczne jest zwłaszcza pokazywanie firmie oraz jej klientom, że sprzedawanie/kupowanie po tak niskich cenach niekoniecznie jest cnotą.

Kłapki na oczach

Fishman dowodzi, że politykę W-M przynajmniej częściowo tłumaczy (choć nie usprawiedliwia jej negatywnych następstw) brak zdolności zrozumienia przez kierownictwo, dlaczego koncern jest krytykowany, mimo że oferuje „zawsze niskie ceny”. Dla nich oraz dla wszystkich pchających sklepowe wózki ma on nie moralizatorstwo, lecz bardzo trafnie sformułowane pytania.

Gospodarkę rynkową cechuje nieustanna realokacja zasobów, a często tymi zasobami są ludzie, którzy stracili pracę i muszą szukać nowego zajęcia. Problem tak naprawdę polega na tym, że ludzie nie żyją w makro-gospodarce, nie żyją w kategoriach długoterminowych. [...] czy niektórzy powinni tracić środki do życia, po to aby narzędzia elektryczne, bielizna czy proszek do prania mogły być dla wszystkich tańsze?

W ramach obecnego systemu gospodarczego odpowiedź jest zawsze twierdząca. Efektywność jest uważana za źródło postępu, tworzącego nowe możliwości zatrudnienia, także dla tych, którzy wcześniej stracili źródło utrzymania. Jednak surowość tego kompromisu – nasze zakupy w Wal-Marcie kosztują tych ludzi utratę pracy – jest zwykle bezpiecznie ukryta w złożoności gospodarki [...] – zauważa Fishman.

Książka o gigantycznym detaliście staje się więc zaproszeniem do stawiania sobie uniwersalnych pytań,

co i za jaką cenę musimy lub chcemy mieć. Opisując los młodych bangladeskich pracownic, szyjących dla koncernu spodnie za 13 centów za godzinę, autor pyta Amerykanów, czy potrzebują ubrań tak tanich, że ludzie je produkujący nie mogą sobie pozwolić na kupno szczoteczki do zębów.

Oczywiście w takim pytaniu kryje się sugestia moralna, jednak autor stawia także takie, na które brak jednoznacznej odpowiedzi. **Jaki jest zakres odpowiedzialności wielkich korporacji za skutki działań podwykonawców? Czy jako społeczeństwo tanie towary cenimy bardziej niż dobre i stabilne miejsca pracy, gdy okazuje się, że nie można mieć jednego i drugiego? Debatę wokół Wal-Martu powinna zatem przerodzić się w spór o to, jakim krajem zamierza być Ameryka. I nie tylko ona, gdyż nam również oferuje się „codziennie niskie ceny”.**

Duży musi więcej

Najwyższy czas [...] przyznać w kategoriach polityki publicznej, że istnieje różnica między firmą, której obrót wynosi 100 milionów dolarów, a firmą, której obrót wynosi 100 miliardów dolarów – pisze autor. Nie zgłasza niestety praktycznych propozycji zmian, co wypada uznać za największy z braków książki.

Podkreśla natomiast znaczenie „podwyższania poprzeczki” przez konsumentów: Żaden z piętnastu najczęściej kupowanych artykułów nie kosztuje nawet 3 dolarów. [...] Spółka, która stała się największą i najbardziej wpływową firmą w historii, nie jest przedsiębiorstwem zbrojeniowym ani koncernem samochodowym; jej pozycja nie jest rezultatem działalności doświadczonych lobbystów w Waszyngtonie, zbiegu okoliczności na rynku dostaw ropy naftowej czy politycznego spisku, niezrozumiałego dla zwykłych ludzi. Największa i najbardziej wpływowa firma w historii jest budowana przez każdego klienta, który na zakupy w tej sieci regularnie wydaje trzy jednodolarowe banknoty.

Zachowując rezerwę wobec deklaracji szefów spółki, Fishman uważa, że pod wpływem rosnącego krytycyzmu opinii publicznej sieć zaczęła się zmieniać na lepsze. Zdaniem dziennikarza, jeśli koncern zacznie narzucać i egzekwować od kontrahentów przestrzeganie norm socjalnych i środowiskowych, zamiast wymuszać ich łamanie bezlitosną presją na cięcie kosztów, możliwy jest całkiem nowy rodzaj efektu Wal-Martu – Wal-Mart, wykorzystując swoją ogromną siłę nabywczą, nie tylko podnosi standard życia swoich klientów, ale także swoich dostawców.

NATALIA KRÓLIKOWSKA

Charles Fishman, *Efekt Wal-Martu. Jaka jest prawda o najpotężniejszej firmie na świecie i jaki ma ona wpływ na światową gospodarkę*, Wydawnictwo Studio EMKA, Warszawa 2009, przełożyli Aldona i Witold Matuszyński.

Rafał Bakalarczyk (ur. 1986) – absolwent polityki społecznej na Uniwersytecie Warszawskim i socjologii politycznej w Högskolan Dalar-na (Szwecja); od 2010 r. doktorant na Wydziale Dziennikarstwa i Nauk Politycznych UW. Interesuje się szeroko rozumianą polityką społeczną, zwłaszcza problemami opieki, edukacją, skandynawskim modelem dobrobytu oraz mechanizmami dialogu społecznego. Publikował m.in. w „Głosie Nauczycielskim”, „Dziś” i „Przeglądzie”. Współautor książki „Jaka Polska 2030?”, wydanej przez Ośrodek Myśli Społecznej im. Ferdynanda Lassalle’a, z którym stale współpracuje. Zwolennik współdziałania i wymiany doświadczeń między różnymi środowiskami prospołecznymi. Bliski jest mu duch książek Żeromskiego, zwłaszcza postać Szymona Gajowca z „Przedwiośnia”. Stały współpracownik „Nowego Obywatela”.

Wendell Berry (ur. 1934) – rolnik, poeta, powieściopisarz, publicysta i aktywista społeczny. Wykładowca literatury angielskiej i historii literatury, m.in. na Uniwersytecie Kentucky. Od kilkudziesięciu lat działacz na rzecz ochrony środowiska i przyrody oraz jeden z intelektualnych liderów amerykańskiego ruchu obrony wsi przed ekspansją wielkoprzemysłowego rolnictwa. Należy do prekursorów rolnictwa ekologicznego w USA oraz do pierwszych krytyków globalizacji. Odwołuje się do amerykańskiej tradycji oddolnych działań obywatelskich, nieufnych wobec Wielkiego Biznesu i Wielkiego Rządu. Popularny autor artykułów publicystycznych i zbiorów esejów, wydał m.in. „A Continuous Harmony: Essays Cultural and Agricultural” (1971), „The Unsettling of America: Culture and Agriculture” (1978), „Home Economics” (1987), „Life Is a Miracle: An Essay Against Modern Superstition” (2001), „Citizenship Papers” (2003), „Bringing It to the Table: On

Farming and Food” (2009), „What Matters? Economics for a Renewed Commonwealth” (2010).

Ryszard Bugaj (ur. 1944) – doktor habilitowany nauk ekonomicznych, polityk socjaldemokratyczny, publicysta. Jako student brał udział w działalności opozycyjnej wobec władz komunistycznych (m.in. protestach Marca ’68), co przypłacił relegowaniem z uczelni. Związany z KOR oraz „Solidarnością” od ich powstania, był m.in. przedstawicielem Krajowej Komisji Porozumiewawczej w rządowej Komisji ds. Reformy Gospodarczej. Po 13 grudnia 1981 r. zaangażowany w działalność podziemną. Od 1982 r. do dziś pracuje w Instytucie Nauk Ekonomicznych Polskiej Akademii Nauk. W latach 1988-1990 działał w Komitecie Obywatelskim przy Lechu Wałęsie; uczestnik obrad Okrągłego Stołu w zespole ds. gospodarki i polityki społecznej, współprzewodniczący grupy roboczej ds. samorządu i form własności; poseł na Sejm kontraktowy. W wolnej Polsce zaangażowany w budowę lewicy skoncentrowanej na interesach pracowników najemnych i odcinającej się od PRL. Był posłem na Sejm I kadencji (z listy Solidarności Pracy, której był współzałożycielem) i II kadencji (z listy Unii Pracy, którą współtworzył w latach 1993-1997). W 1998 r. odszedł z Unii Pracy, w proteście przeciwko polityce nowych władz partii, które dążyły do współpracy z postkomunistami. Był doradcą społecznym Prezydenta Lecha Kaczyńskiego ds. ekonomicznych. Odznaczony Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski.

Ewa Charkiewicz – ekonomistka, działaczka społeczna, feministka. Prowadziła transdyscyplinarne badania, wykładała i publikowała m.in. w Holandii, Stanach Zjednoczonych i Indiach. W latach 80.

jedną z założycielek Ruchu „Wolę Być”. W latach 90. koordynatorka Grupy Doradców ds. Gender w Banku Światowym, później koordynowała program badań nad ekologią i trwałymi podstawami do życia w DAWN, feministycznej sieci badaczek i aktywistek z krajów rozwijających się. Współzałożyła Instytut Feministyczny w Bangalurze, założycielka Fundacji im. Tomka Byry „Ekologia i Sztuka”, inicjatorka Think Tanku Feministycznego oraz Lewicowej Sieci Feministycznej Rozwiązda, współorganizatorka seminarium „Lewica od Foucaulta: transformacja i władza” (2006-2009). Należy do Zielonych 2004 (wchodzi w skład Rady Krajowej partii) oraz Koalicji Karat. Autorka i redaktorka książek oraz artykułów stanowiących feministyczną krytykę ekonomii, ekologii oraz związków między płcią a rozwojem gospodarczym; krytykuje również feminizm liberalny, m.in. za zamazywanie ekonomicznych różnic między kobietami. Poczłwa się do roli „bosonogiej intelektualistki uciśnionych”, mówiąc słowami Maxa Neefa. Jej analizy pisane po polsku znaleźć można na stronie www.ekologiasztuka.pl.

Jordan Cibura (ur. 1981) – Ślązak z dziada pradziada, mieszkający w Szwajcarii, student Uniwersytetu we Fryburgu (media i komunikacja, ekonomia i dziennikarstwo). Zafascynowany demokracją w przedsiębiorstwach i demokracją bezpośrednią, ściśle związany ze Stowarzyszeniem Więcej Demokracji (www.demokracjabezposrednia.pl). Na co dzień niepoprawny optymiista, pełen pomysłów, szukający możliwości, aby je wprowadzić w życie. Wolne chwile spędza na odkrywaniu nieznanych zakątków, koniecznie (!) z plecakiem pełnym „klapsznit”, taplaniu się w rzekach, jeziorach i basenach, niezliczonych dyskusjach, nauce zupełnie niepotrzebnych fraz we

wszelkich możliwych językach świata - a wieczorami daje się porwać wirowi tanga argentyńskiego.

Joanna Duda-Gwiazda - inżynier okrętowiec, działaczka Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża (1978) i Pierwszej „Solidarności” (członek prezydium MKS-MKZ, Zarządu Regionu), w stanie wojennym internowana, niezależna dziennikarka i publicystka („Robotnik Wybrzeża”, „Skorpion”, „Poza Układem”). Od początku do dziś konsekwentnie w opozycji do metod i polityki firmowanej przez Lecha Wałęsę i jego następców. Żona Andrzeja Gwiazdy. Odznaczona Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski. Stała współpracowniczką „Nowego Obywatela”.

Piotr Ikonowicz (ur. 1956) - lewicowy działacz społeczny i polityk; dziennikarz i tłumacz. Z wykształcenia prawnik. Związał się z Pierwszą „Solidarnością”, m.in. był redaktorem w serwisie informacji Regionu Mazowsze. Działalność opozycyjną kontynuował po wprowadzeniu stanu wojennego, w maju 1983 r. został na ponad pół roku internowany w Białolecie. Był jednym z założycieli reaktywowanej w 1987 r. krajowej Polskiej Partii Socjalistycznej, wszedł w skład prezydium rady naczelnej tej formacji. Następnie był członkiem rady naczelnej PPS-Rewolucja Demokratyczna, a po zjednoczeniu wszystkich nurtów krajowej i emigracyjnej PPS (1990) - przewodniczącym rady naczelnej i liderem powstałego ugrupowania. W wyborach 1993 i 1997 r. został posłem PPS, która współpracowała wówczas z SLD. Konsekwentny krytyk polskiej transformacji i przesuwania się partii lewicowych w kierunku centrum. W 2003 r. znalazł się wśród twórców prospołecznej i antykapitalistycznej Nowej Lewicy. Jeden z animatorów stowarzyszenia Kancelaria

Sprawiedliwości Społecznej, zajmującego się m.in. bezpłatną pomocą prawną dla niezamożnych. Od lat zaangażowany w blokady eksmisji komorniczych, za co ukarany został karą więzienia w zawieszeniu.

Natalia Królikowska

(ur. 1985) - polonistka, kulturoznawca, pracownica Muzeum Miasta Łodzi, redaktorka portalu zapomnianewartosci.pl.

Aleksandra Lis (ur. 1982) - absolwentka socjologii na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu, pracę magisterską pisała pod kierunkiem prof. Andrzeja Zybertowicza. Absolwentka socjologii i antropologii społecznej Uniwersytetu Środkowoeuropejskiego w Budapeszcie - obecnie doktoryzuje się w tejże placówce na Wydziale Socjologii i Antropologii Społecznej.

Rafał Łętocha (ur. 1973) - politolog i religioznawca. Doktor habilitowany nauk humanistycznych, zastępca Dyrektora w Instytucie Religioznawstwa Uniwersytetu Jagiellońskiego, profesor w Instytucie Politologii Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej w Oświęcimiu. Autor książek „Katolicyzm a idea narodu. Miejsce religii w myśli obozu narodowego lat okupacji” (2002), „Oportet vos nasci denuo. Myśl społeczno-polityczna Jerzego Brauna” (2006) i „O dobro wspólne. Szkice z katolicyzmu społecznego” (2010). Publikował m.in. we „Frondzie”, „Glaukopisie”, „Nomosie”, „Nowej Myśli Polskiej”, „Państwie i Społeczeństwie”, „Pro Fide Rege et Lege”, „Studiach Judaica”, „Templum Novum”. Od urodzenia mieszka w Myślenicach i bardzo jest z tego zadowolony. Stały współpracownik „Nowego Obywatela”.

Konrad Malec (ur. 1978) - przyrodnik, z zainteresowaniem i sympatią spogląda na tzw. hipotezę Gai, autorstwa Jamesa Lovelocka. Lubi przemieszczać się przy użyciu własnych sił, stąd rower i narty biegowe są mu nieocenionymi przyjaciółmi. Miłośnik tego, co lokalne i nieuchwytnie, czego nie da się w prosty sposób przenieść w inne miejsce. Każdą wolną chwilę spędza na łonie Natury. Dumny ojciec Olafa. Członek redakcji „Nowego Obywatela”.

Krzysztof Okrasiński

(ur. 1978) - absolwent ochrony i inżynierii środowiska, pracownik stowarzyszenia Pracownia na rzecz Wszystkich Istot, członek Regionalnej Rady Ochrony Przyrody we Wrocławiu. Autor publikacji z dziedziny ochrony środowiska, zawodowo związany z ocenami oddziaływania na środowisko. Miłośnik gór i dobrego jazzu.

Remigiusz Okraska (ur. 1976) - współzałożyciel i redaktor naczelny „Obywatela”/„Nowego Obywatela”. Twórca koncepcji i redaktor portalu www.lewicowo.pl. W latach 2001-2005 redaktor naczelny ekologicznego miesięcznika „Dziki Życie”. Autor kilkuset tekstów prasowych, redaktor kilkunastu książek. Z wykształcenia socjolog. Od 17. roku życia związany z działalnością społeczną.

Maciej Pańków (ur. 1985) - socjolog, absolwent Instytutu Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego, badacz społeczny, współpracownik The Gallup Organization Poland. Jego zainteresowania koncentrują się na problematyce zbiorowych stosunków pracy oraz społecznych aspektów Internetu. Prywatnie - miłośnik Tatr, absolwent szkoły muzycznej II stopnia (flet) oraz pasjonat numizmatyki (mennictwo Wazów i Stanisława Augusta Poniatowskiego).

Janina Petelczyc (ur. 1985) – absolwentka polityki społecznej na Uniwersytecie Warszawskim, od 2010 r. doktorantka na Wydziale Dziennikarstwa i Nauk Politycznych UW. Zawodowo interesuje się zabezpieczeniem społecznym, polityką rodzinną i międzynarodową porównawczą polityką społeczną. Pozazawodowo pochłania ją astronomia. Warszawianka od urodzenia, ciągle znajduje w tym mieście coś nowego i prowadzi o nim bloga mojawarszawa.blox.pl. Lubi rower, podróże i malarstwo holenderskie.

Bartosz Pielniński (ur. 1977) – adiunkt w Instytucie Polityki Społecznej Uniwersytetu Warszawskiego. Przez długi czas interesował się problematyką polityki społecznej w Azji Wschodniej, z tego względu spędził trochę czasu w tym regionie świata, a także obronił doktorat poświęcony tej problematyce. Obecnie coraz więcej czasu poświęca roli instytucji społeczeństwa obywatelskiego w szeroko rozumianej polityce społecznej. Dlatego też uczestniczy m.in. w projekcie badawczym „Philanthropication thru Privatization”, realizowanym przez Johns Hopkins University i poświęconym wykorzystywaniu procesów prywatyzacyjnych na rzecz rozwoju społeczeństwa obywatelskiego. Pracę naukową łączy z wychowywaniem dwóch niesfornych bliźniaków.

Anna Sobótka (ur. 1985) – absolwentka etnologii i studentka filologii polskiej na Uniwersytecie Łódzkim. Pasjonatka literatury – samej w sobie i ujmowanej z różnych perspektyw, także jako zjawiska kulturowego. Chciałaby zajmować się literaturą w życiu zawodowym. W działalności społecznej stawia pierwsze kroki, ale już czuje, że to pozytywny nałóg, który ją pochłonie.

Joanna Szalacha (ur. 1979) – socjolog, absolwentka stosunków międzynarodowych, adiunkt w Wyższej Szkole Bankowej w Toruniu, badacz w zespole prof. Andrzeja Zybortowicza. Autorka tekstów analizujących zakulisowe i podmiotowe wymiary globalizacji, m.in. rozprawy doktorskiej „Podmiotowe aspekty globalizacji. Poza-państwowi aktorzy i globalna władza strukturalna”; nadal stara się wypracować intelektualnie swoje „gladwellowskie 10 tys. godzin”. Stały współpracownik „Nowego Obywatela”.

Jarosław Tomasiewicz (ur. 1962) – doktor nauk politycznych, pracownik naukowy Instytutu Historii Uniwersytetu Śląskiego, publicysta, autor książek „Terroryzm na tle przemocy politycznej (zarys encyklopedyczny)” (2000), „Między faszyzmem a anarchizmem. Nowe idee dla

nowej ery” (2000), „Ugrupowania neoendeckie w III Rzeczypospolitej” (2003) i „Zło w imię dobra. Zjawisko przemocy w polityce” (2009), a także wielu tekstów publicystycznych i naukowych. Stały współpracownik „Nowego Obywatela”.

Agnieszka Wasilewska

(ur. 1974) – ekonomistka o lewicowych przekonaniach i poglądach na gospodarkę. Pracuje w polskim oddziale jednego z zagranicznych koncernów. Dużo czyta, a niedawno postanowiła także pisać.

Krzysztof Wołodźko

(ur. 1977) – wychował się w Szóldrach, pegeerowskiej wsi w Wielkopolsce, wiele lat mieszkał w Krakowie, niedawno przeprowadził się do Łodzi. Współpracownik platformy hostingowej Salon24.pl i blogger (consolamentum.salon24.pl), czasem tłumacz, czasem dziennikarz; lubi pisać i mówić o Nowej Hucie. Kontakt: k.wolodzko@iphils.uj.edu.pl. Stały współpracownik „Nowego Obywatela”.

CZYTELNIKU, ZAPRENUMERUJ NOWEGO OBYWATELA

1. zapłacisz aż 10 zł taniej za kolejne cztery numery - prenumerata roczna to koszt 50 zł, zaś cena 4 numerów pisma wynosi 60 zł
2. wesprzesz finansowo nasze inicjatywy (pośrednicy pobierają nawet do 50% ceny pisma!)
3. masz szansę na ciekawe i cenne nagrody
4. często dostaniesz drobny upominek dołączony do numeru
5. prenumerata to wygoda - „Nowy Obywatel” w Twojej skrzynce pocztowej
6. zamawiając prenumeratę, dostaniesz gratis numer archiwalny kwartalnika „Obywatel” (do wyboru nr 45-53)

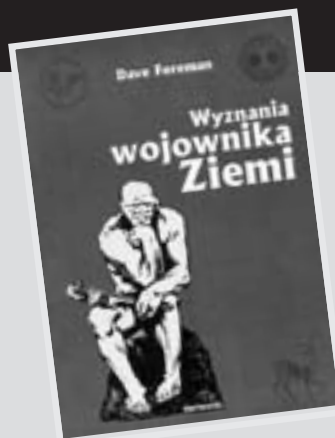
TYLKO
50 zł
ROCZNIE

Opłacić roczną prenumeratę w banku lub na pocztę i czekać, aż „Nowy Obywatel” sam do Ciebie przywędruje :)
Możesz też skorzystać z naszego sklepu wysyłkowego, dostępnego na stronie nowyobywatel.pl/sklep

Wpłaty w wysokości **50 zł** należy dokonywać na rachunek:
Stowarzyszenie „Obywatele Obywatelom”
Bank Spółdzielczy Rzemiosła
ul. Moniuszki 6, 90-111 Łódź
Numer konta: 78 8784 0003 2001 0000 1544 0001

Prenumeratę można rozpocząć od dowolnego numeru.

UPOMINKI OTRZYMUJĄ



Książkę „Wyznania wojownika Ziemi” wylosowali:

- **Adalmar** firma z Zielonej Góry - Przylep
- **Dominika Chylińska** z Wrocławia
- **Tomasz Kozakiewicz** z Warszawy
- **Rafał Kryś** z Chorzowa
- **Wiktor Zajac** z Opola

PRENUMERATA NAPRAWDĘ SIĘ OPŁACA

NOWY OBYWATEL

Celem, do którego dążymy, jest państwo, społeczeństwo i kultura zorganizowane wokół idei dobra wspólnego. Przyswiegają nam następujące wartości:

Samorządność, czyli faktyczny udział obywateli w procesach decyzyjnych we wszelkich możliwych sferach życia publicznego.

(Re)animacja społeczeństwa. Sprzeciwiając się zarówno omnipotentnemu państwu, jak i liberalnemu egoizmowi, dążymy do odtworzenia tkanki inicjatyw społecznych, kulturalnych, religijnych itp., dzięki którym zamiast biernych konsumentów zyskamy aktywnych obywateli.

„Demokracja przemysłowa”. Dążymy do zwiększenia wpływu obywateli na gospodarkę, poprzez np. akcjonariat pracowniczy, ruch związkowy, rady pracowników. 1/3 życia spędzamy w pracy – to zbyt wiele, aby nie mieć na nią wpływu.

Sprawiedliwe prawo i praktyka jego egzekwowania, aby służyło społeczeństwu, nie zaś interesom najsilniejszych grup.

Media obywatelskie, czyli takie, które w wyborze tematów i sposobów ich prezentowania kierują się interesem społecznym zamiast oczekiwaniami swoich sponsorów.

Wolna kultura. Chcemy takiej ochrony własności intelektualnej, która nie będzie ograniczała dostępu do kultury i dorobku ludzkości.

Rozwój autentyczny, nie pozorny. Kultowi wskaźników ekonomicznych i wzrostu konsumpcji, przeciwstawiamy dążenie do podniesienia jakości życia, na którą składa się m.in. sprawna publiczna służba zdrowia, powszechna edukacja na dobrym poziomie, wartościowa żywność i czyste powietrze.

Ochrona dzikiej przyrody, która obecnie jest niszczona i lekceważona w imię indywidualnych zysków i prymitywnie pojmowanego postępu. Jeśli mamy do wyboru nową autostradę i nowy park narodowy – wybieramy park.

Solidarne społeczeństwo. Egoizmowi i uznaniowej filantropii przeciwstawiamy społeczeństwo gotowe do wyrzeczeń w imię systemowej pomocy słabszym i wykluczonym oraz stwarzania im realnych możliwości poprawy własnego losu.

Sprawiedliwe państwo, czyli takie, w którym zróżnicowanie majątkowe obywateli jest możliwie najmniejsze (m.in. dzięki prospołecznej polityce podatkowej) i wynika z różnicy talentów i pracowitości, skromne dochody nie stanowią bariery w dostępie do edukacji, pomocy prawnej czy opieki zdrowotnej.

Gospodarka trójsektorowa. Mechanizmom rynkowym i własności prywatnej powinna towarzyszyć kontrola państwa nad strategicznymi sektorami gospodarki, sprawna własność publiczna (ogólnokrajowa i komunalna) oraz prężny sektor spółdzielczy. Nie zawsze prywatne jest najlepsze z punktu widzenia kondycji społeczeństwa.

Gospodarka dla człowieka – nie odwrotnie. Zamiast pochwał „globalnego wolnego handlu”, postulujemy dbałość o regionalne i lokalne systemy ekonomiczne oraz domagamy się, by państwo chroniło interesy swoich obywateli, nie zaś ponadnarodowych korporacji i „zagranicznych inwestorów”.

Przeszłość i różnorodność dla przyszłości. Odrzucamy jałowy konserwizm i sentymenty za „starymi dobrymi czasami”, ale wierzymy w mądrość gromadzoną przez pokolenia. Każdy kraj ma swoją specyfikę – mówimy „tak” dla wymiany kulturowej, lecz „nie” dla ślepego naśladownictwa.

zaprenumeruj

Przy większym zamówieniu, cena podlega negocjacji



Tygodnik **Solidarność**

„Tygodnik Solidarność” w dzisiejszej Polsce utrzymuje wysoką pozycję opiniotwórczą, trzyma standardy etyczne i zawodowe.

Jerzy Kropiwnicki, polityk, ekonomista

Szczególnym zainteresowaniem redakcji cieszy się tematyka społeczna, a więc problemy rynku pracy, zatrudnienia i bezrobocia, wynagrodzenia, zabezpieczeń społecznych i obrony rodziny. W ważnym kręgu zainteresowań redakcji leży najnowsza historia Polski, związana z walką o niepodległość i opresją komunistyczną oraz szeroko rozumiana tradycja narodowa. Redakcja z przychylnością opisuje także misję Kościoła katolickiego i aktywnie stara się podejmować tematy związane z tą misją.

Jerzy Kłosiński, Redaktor naczelny „Tygodnika Solidarność”

„Tygodnik Solidarność”, czasopismo NSZZ „Solidarność” można zaprenumerować:

1. W RUCH SA lub jego oddziałach w całym kraju;
2. Na pocztę lub u listonosza;
3. Bezpośrednio w TYSOL Sp. z o.o. wydawcy „Tygodnika Solidarność”;

- a) telefonicznie pod numerem 22 88 22 789
- b) e-mail: marketing@tygodniksolidarnosc.com, kolportaz@tygodniksolidarnosc.com;
- c) faks: 22 88 22 780
- d) listownie: TYSOL Sp. z o.o., ul. Grójecka 186 lok. 613, 02-390 Warszawa
4. W wersji PDF poprzez e-gazety.pl

Opiszemy każdy przypadek!

kto? co? kogo? czego? komu? czemu? kogo? co? z kim? z czym? o kim? o czym?

- niepoprawna politycznie publicystyka
- alternatywna ekonomia
- tradycje myśli społecznej
- radykalna ekologia



Gwiazdowski w „Solidarności”

Joanna i Andrzej Gwiazdowie w rozmowie z Remigiuszem Okraską

Obszerny zapis rozmów z legendami opozycji antykomunistycznej, wzbogacony o wybór unikalnych materiałów dotyczących ich życia. Wśród tematów PRL, Wolne Związki Zawodowe, „Solidarność”, stan wojenny, „okrągły stół” i III RP. W barwnych, pełnych anegdot opowieściach sporo jest opinii zwanych kontrowersyjnymi, i to dla wielu uczestników życia publicznego, nie tylko tych, z których krytyką Gwiazdowie są kojarzeni.

Do książki dołączono płytę DVD z filmem o niezależnych obchodach 25. rocznicy powstania „Solidarności”, współorganizowane m.in. przez J. i A. Gwiazdów oraz „Obywatela”.

512 stron plus 32 strony wkładki zdjęciowej oraz płyta DVD

Cena 44 zł – u wydawcy • 49 zł – w księgarniach



„Braterstwo, solidarność, współdziałanie” – Edward Abramowski

Po raz pierwszy w historii w osobnym tomie zebrane wszystkie artykuły Abramowskiego poświęcone kooperacyzmowi, współpracy, stowarzyszeniom, oddolnym inicjatywom społecznym, w tym kilka niepublikowanych od roku 1938! Legendarny polski myśliciel przypomniany po latach. Jako bonus unikatowy artykuł Jana Wolskiego „Z przemówień Edwarda Abramowskiego” oraz obszernie postłowie Remigiusza Okraski.

280 stron

Cena 24 zł – u wydawcy • 29 zł – w księgarniach

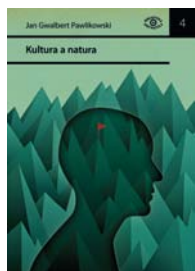


„Świat według Monsanto” – Marie-Monique Robin

Zapis szokującego śledztwa dziennikarskiego na temat działalności wielkiego koncernu biotechnologicznego. Autorka opierając się na bogatej dokumentacji (relacje świadków, „odzyskane” ściśle tajne pisma itp.) przedstawia agresywne praktyki korporacji będącej największym producentem roślin modyfikowanych genetycznie (GMO). Do publikacji dołączona jest płyta DVD zawierająca cztery filmy poświęcone zagrożeniom związanym z GMO.

480 stron + płyta DVD

Cena 34 zł – u wydawcy • 39 zł – w księgarniach



„Kultura a natura” – Jan Gwałbert Pawlikowski

Pierwsze w historii wznowienie całości unikatowego tekstu pierwotnej edycji książki „Kultura a natura” z roku 1913 – pionierskiego w Polsce manifestu ochrony przyrody. Oprócz niego książka zawiera dwa inne ważne teksty tego autora – „Tatry parkiem narodowym” (1923) i „W obronie idei parku narodowego” (1936), a także obszerną przedmowę Remigiusza Okraski. Poznaj tradycje polskiej myśli ekologicznej!

150 stron

Cena 17 zł – u wydawcy • 19 zł – w księgarniach



„Razem! czyli Społem” – Romuald Mielczarski

Wybór najważniejszych tekstów współtwórcy i wieloletniego lidera nowoczesnej spółdzielczości spożywców w Polsce, poświęconych jej zasadom, wizjom i celom. Zawarte w nim artykuły nie były wznawiane od roku 1936! Towarzyszy im jedna z najbardziej szczegółowych prezentacji biografii autora, jakie kiedykolwiek opublikowano, pióra Remigiusza Okraski.

164 strony

Cena 18 zł – u wydawcy • 20 zł – w księgarniach

Zamawiając dwie książki zapłacisz o 2 zł mniej za każdą z nich, przy zakupie trzech – o 3 zł taniej za każdy egzemplarz, jeśli weźmiesz wszystkie – otrzymasz rabat w wysokości 4 zł od ceny każdej pozycji. Do każdej wysyłki dołączamy drobny podarek od redakcji „Nowego Obywatela”.



Wpłaty przyjmujemy na konto:
Stowarzyszenie „Obywatela Obywatelom”
Bank Spółdzielczy Rzemiosła
ul. Moniuszki 6, 90-111 Łódź
Numer konta:
78 8784 0003 2001 0000 1544 0001

Zamówienia w Internecie:
nowyobywatel.pl/sklep

Kontakt: Małgorzata Cyrańska
tel.: 42 630 22 18
e-mail: sklep@nowyobywatel.pl